Hood-Stewart Fiona

Droga ku przeznaczeniu

Ich pierwsze spotkanie mogło być ostatnim: niewiele brakowało, by Jack Buchanan przypadkowo zastrzelił Indię Moncrieff. Tak rozpoczęta znajomość musiała mieć burzliwy przebieg.

Zamglone szczyty Szkocji, egzotyczny blask Buenos Aires, gorące Miami. W takich sceneriach toczy się opowieść o pieniądzach i władzy, zbrodni i zdradzie, lojalności i wielkim uczuciu.

PROLOG

Niziny Szkocji 1746

Rob Dunbar przytulił Mhairie, swoją młodziutką żonę. Grzali się przy ogniu, głodni i zmęczeni po przeprawie przez góry. Rob, Mhairie i jej matka oraz giermek Hamish podróżowali przebrani za wieśniaków, którzy niby to pędzą bydło na targ w Falkirku. Unikali spotkań z wojskami Anglików, zatrzymywali się tylko w jakobickich sadybach, bo jedynie tam mogli czuć się bezpieczni.

Rob patrzył czule na żonę. Słowa były zbędne. Cóż miał powiedzieć, skoro okrutny los ich rozdzielał, choć tak bardzo pragnęli być razem. Dobrze jednak się stało, że mimo stanowczych sprzeciwów zarówno jego, jak i jej rodziców, przeprowadzili swój zamiar i pobrali się. Wprawdzie akceptowano ich związek, lecz czasy nie sprzyjały żeniaczce. Najdosadniej wyraził to Struan, ojciec Mhairie:„Na co ci pchać się przed ołtarz, mój chłopcze, kiedy w łożu nie zaznasz z żoną spokojnych roz-

*** Jakobici - stronnicy zdetronizowanego przez rewolucję angielską 1688-1689 króla Jakuba U, a następnie jego potomków z dynastii Stuartów. Jakobitami byli głównie szkoccy i irlandzcy katolicy. Wzniecali liczne powstania, druzgocącą klęskę ponieśli w 1746 r. za panowania Jerzego II z dynastii hanowerskiej (1683-1760, król Anglii i Irlandii oraz elektor Hanoweru od 1727), przez jakobitów pogardliwie nazywanego „German Georgie" (przyp. tłum.).**

koszy? Po mojemu lepiej byłoby wam poczekać, aż się skończy ta zawierucha".
Rob uśmiechnął się do swoich myśli, poprawił sztylet zatknięty za skórzany pas przy kilcie. Smutny to był uśmiech. Struan miał rację. Miast w zamkowej sypialni dzielić łoże z Mhairie, pozostały im tułacze noce... Takie były ich ostatnie chwile przed nieuchronnym rozstaniem. A jednak Rob dziękował losowi, że choć tyle szczęścia zdołali dla siebie wydrzeć.
Zapatrzył się w ogień. Kolonie wydawały się takie odległe, na drugim końcu świata. Westchnął i okrył Mhairie pledem. Czy jego najmilsza kiedyś powróci? Oddziały wroga były wszędzie, panoszyły się w edynburskim zamku, a Szkoci z nizin, ci podli zdrajcy, gromadnie stawali za hanower-czykiem Jerzym U. Nawet jeśli Karol Edward Stuart pokona w końcu niemieckiego przybłędę, Mhairie najpewniej i tak nie wróci do ojczyzny. A jeśli książę przegra, dla nich obojga nie będzie już żadnej nadziei, bowiem zwolennicy młodego Karola zostaną zdeptani i rozbrojeni, ich majątki przejmie Korona, a sprawa jakobicka odejdzie w zapomnienie. Wiele się zmieniło od czasu szkockiego powstania w 1715 roku. Coraz trudniej dawało się skrzyknąć ludzi do walki i już tylko crois tara, krzyż z dwóch patyków pomazanych krwią serdeczną, mógł sprawić, że wojownik chwytał za broń i stawał za wodzem klanu.
Rob musnął loki ukochanej Mhairie. Czekał go trudny

*** Karol Edward Stuart (Młody Pretendent, Bonnie Prince Charlie) - 1720-1788, syn pretendenta do tronu Anglii i Szkocji, Jakuba Franciszka Edwarda Stuarta i Marii Klementyny Sobieskiej. W 1745 r. przybył do Szkocji i z poparciem jakobitów wszczął powstanie przeciwko panowaniu Jerzego II. Po klęsce na wrzosowiskach Culloden (1746) wrócił na kontynent i z rozpaczy popadł w alkoholizm (przyp. tłum.).**

wybór. Mógł wracać do siebie na południe lub przyłączyć się do księcia. Czule tulił żonę, ale wiedział, że obowiązek ważniejszy jest od uczucia i że on, szkocki pan, nade wszystko winien jest lojalność swojemu suwerenowi. Zatem podąży na północ i choćby mieli ponieść sromotną klęskę, będzie walczył do ostatka.
A przecież serce bolało na myśl o tym, że za kilka godzin przyjdzie mu .się rozstać z Mhairie.
Ukochana zadrżała, więc przygarnął ją bliżej do piersi.
- Zamróz cię chwycił?
- Nie na ciele mi zimno, jeno duszę ziąb zdejmuje - szepnęła.
Rob dorzucił torfu do ognia, po czym usiadł na powrót i położył głowę Mhairie na swoich kolanach. Pieścił jej gęste, kasztanowe loki okalające delikatną twarzyczkę. Czy dane mu będzie jeszcze kiedyś ją zobaczyć?
Do izby wszedł Jamie, wierny i drogi przyjaciel Roba. Ze szklanicą whisky usiadł przy ogniu i pogrążył się w myślach. Trwali tak w milczeniu, a czas mijał nieubłaganie. Z każdą godziną zbliżała się pora rozstania.
O świcie dosiedli koni i ruszyli w stronę Leith, gdzie czekał statek. Rob wyprawił Hamisha przodem, by przekazał kapitanowi umówiony sygnał.
Stanęli wreszcie na brzegu i z ciężkimi sercami wsłuchiwali się w plusk wioseł małej łodzi, która ku nim płynęła, by zabrać Mhairie na pokład brygu.
- To ani chybi sam kapitan MacPherson - szepnął Jamie. - Zamienię z nim słowo na osobności. - Odszedł szybko, pozostawiając młodym kilka chwili na pożegnanie.
- Och, słodka Mhairie, pamiętaj, że cię miłuję i nigdy miłować nie przestanę.
- Ty też, najdroższy, wiedz, że moje serce bije tylko

dla ciebie. - Spojrzała na męża błagalnie. - Płyń z nami, Robbie. Jeszcze czas, jeszcze możesz odmienić swój zamiar. Nie wracaj tam. Nasza sprawa stracona, Bóg odwrócił się od nas. Czy tego nie widzisz? - Ujęła twarz Roba w dłonie.
- Wiesz, że muszę zostać, Mhairie. Nie popłynę z wami. Moje miejsce jest przy księciu. Obowiązek mi nakazuje trwać przy nim. Gdybym go opuścił, nigdy już w twarz nie mógłbym sobie spojrzeć. Westchnęła zrezygnowana.„Wiedziała, że na nic zdadzą się prośby. Rob pójdzie walczyć, jak jej ojciec i bracia.
- Nim się rozstaniemy, muszę ci coś wyznać, Robbie.
- Mów, najmilsza... - Rob przytulił żonę do piersi, boleśnie odczuwając mijające sekundy.
Mhairie łzy napłynęły do oczu, ukryła twarz w kaftanie Roba.
- Jestem przy nadziei, Rob. Urodzę twoje dziecko.
Przejęty, uradowany ponad wszelkie wyobrażenie, odsunął się o krok i trwożliwie położył dłoń na łonie Mhairie. Promień szczęścia rozjaśnił biedną duszę i zaraz zgasł. Dzielny wojownik tracił nie tylko żonę, ale i nienarodzone dziecię.
- Mhairie, och, kochana Mhairie. Kiedy wszystko się skończy i nastaną lepsze dni, powrócisz tu i zajmiesz należne miejsce u mego boku. Wrócicie oboje, ty i mój prawy dziedzic. Słuchaj teraz, Mhairie... - Głos mu uwiązł w gardle, gdy zobaczył, że łódź przybija już do brzegu i wysiada z niej kapitan MacPherson. Westchnął ciężko i ze sporranu, futrzanego mieszka przypasanego do kiltu, wyjął list. - Gdybym nie mógł... Gdybym, kiedy wrócisz, musiał się ukrywać albo i gorszy los mnie spotkał... wtedy pójdziesz do Jamiego z tym listem. Piszę

w nim, co dalej masz robić. Jamiemu możesz ufać jak bratu. Powiedz naszemu dziecięciu, moja ukochana... -Głos znowu mu się załamał. - Powiedz mu, jak bardzo drodzy oboje jesteście mojemu sercu. Powiedz mu też, że błagałem cię o sto pocałunków... zapamiętaj, sto pocałunków... Pilnuj dokumentów, pilnuj tego listu, stanowić bowiem będą dowód, że byłem twym prawowitym mężem, a mój syn jest moim prawowitym dziedzicem.
- Twój syn? - Mhairie schowała list za stanik sukni, po czym podniosła wzrok na męża i uśmiechnęła się przez łzy.
- A jakże, syn. Zobaczysz, że będzie syn. Nasz pierworodny. Nie inaczej przepowiedziała babcia Bissett.
Przytulił jeszcze raz żonę, dłonią jej łono pieścił, obraz ukochanej w sercu rzeźbił. Nadszedł czas rozstania. Pocałował Mhairie, raz jeszcze zapewnił o dozgonnej miłości, a potem ze łzami w oczach patrzył, jak wsiada do łódki i odpływa w dal. Kiedy znalazła się na pokładzie, kotwica poszła w górę, a marynarze postawili żagle. Statek skierował się na pełne morze, unosząc ze sobą duszę i serce Roba. Długo jeszcze patrzył za nim, aż została maleńka kropka na widnokręgu. W końcu i ona zniknęła.
- Pora ruszać, Robbie.
Dopiero teraz uświadomił sobie, że Jamie cały czas stał obok, w milczeniu dzieląc jego smutek. Ostatnie spojrzenie na szare fale... i ruszył za przyjacielem ku koniom. Hamish podał mu cugle.
- Jedźmy, zanim obudzą się żołdacy Niemca. Leniwe toto, ale lepiej być czujnym.
- Ano. Bardziej godzi się stanąć przed Niebieskim Stworzycielem ze śmiertelną raną od wrażego miecza,

niźli skończyć z powrozem u szyi - odparł Rob, sadowiąc się w siodle.
- O to, że nie zawiśniesz na szubienicy, dziwniem spokojny. Ani się obejrzysz, a będziesz z powrotem. Czy aby wiesz na pewno, co czynisz? - zapytał Jamie z powątpiewaniem.
Rob włożył niebieski beret z orlim piórem, dumnie wyprostował ramiona, dumnie się uśmiechnął.
- Wiem. Moje miejsce jest przy moim suwerenie. Ślubowałem mu wierność i wiernym pozostanę.
- Niech się więc dzieje wola nieba. Bóg z tobą, przyjacielu.
W piątek, piętnastego kwietnia, przekroczyli rzekę Spey i skierowali się ku Cullodenowi*, gdzie jego wódz, książę Murray, rozbił się obozem. Z każdą milą z Roba uchodziła nadzieja. Żołnierze, których mijał, byli apatyczni, głodni, o martwych spojrzeniach. Nie z taką armią wygrywa się na bitewnym polu...
Kiedy stanął u wejścia do namiotu Murraya i ujrzał zasromane, ponure twarze zebranych wokół księcia dowódców, serce mu się ścisnęło.
Znieruchomiał na chwilę, zdjęty złym przeczuciem. Podniósł oczy na niebo zasnute ołowianymi chmurami, które zdawały się wieszczyć klęskę. Westchnął ciężko, po czym wszedł do środka i zajął miejsce przy stole. O.nic pytać nie musiał. Słowa nie były potrzebne. Każdy wiedział, jaki los im pisany. I Rob wiedział: nigdy już nie ujrzy

*** Culloden - wrzosowiska w północnej Szkocji, miejsce ostatniej bitwy w trakcie powstania jakobitów 1745-1746. 16 IV 1746 armia- jakobitów poniosła Ostateczną klęskę, po której nastąpiły krwawe represje i deportacje do kolonii (przyp. red.).**

ukochanej żony, nigdy nie weźmie w ramiona swego syna.
Śmierć zbierze swoje straszliwe żniwo w górach Szkocji. Poleje się krew szeroką rzeką, jak jeszcze nigdy dotąd, i umiłowana ojczyzna odmieni się na zawsze.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Midlothian, Szkocja 1999

Jack Buchanan trzeci raz się złożył i trzeci raz spudłował. Nie upoluję dziś bażanta, pomyślał z wściekłością, kiedy ostatni ptak, wprawdzie spłoszony strzałem, lecz nawet nie draśnięty, wzbił się w szare niebo.

Buchanan opuścił strzelbę, sarkając pod nosem. Bażanty nie są po to, by odlatywać. To niedopuszczalne. Powinny posłusznie spadać na ziemię. Ludzie go słuchali, tylko te ptaszyska nie chciały.

Energicznie ruszył przed siebie. Widać miał dzisiaj zły dzień. Mógł się tego spodziewać. Tego dnia zawsze wszystko szło na opak. Co roku obiecywał sobie, że będzie lepiej, i co roku ból odzywał się na nowo, z tą samą co zawsze siłą. Zatrzymał się i uniósł strzelbę. Tym razem zdobycz mu nie umknie. Kolejny bażant. Starannie wymierzył, nacisnął spust...

I zimny pot wystąpił mu na czoło, żołądek się zacisnął. W ostatniej chwili na linii strzału dostrzegł postać, która nagle wyłoniła się zza kępy krzaków. Instynktownie przesunął lufę w prawo. Kula wbiła się w pień samotnie rosnącego na polu drzewa.

- Wszystko w porządku?

Przerażony pognał ku intruzowi, psy za nim.

13

Kobieta stała nieruchomo. Wysoka, szczupła, długie kasztanowe włosy okalały szarą jak popiół twarz.

- Nic pani nie jest? - zapytał z niepokojem w głosie. Kiedy upewnił się, że jej nie zranił, napięcie ustąpiło i Jack dał upust irytacji: - Nie wie pani, że takie spacery w środku sezonu łowieckiego mogą się źle skończyć?

- Ejże, wolnego! Omal mnie pan nie zabił! - zawołała. - Poza tym może mi pan wyjaśnić, co pan tu robi? To teren prywatny.

- Wiem o tym. Mam pozwolenie od właściciela. Mogę tu strzelać do każdego pieprzonego bażanta i kuropatwy, żadnych ograniczeń - oznajmił z przekąsem, zirytowany, że taka młódka śmie mu zwracać uwagę. - Przepraszam, że panią wystraszyłem, ale to pani wina. Powinna pani uważać, zamiast błądzić myślami w obłokach. Siad! - rzucił pod adresem węszących pointerów.

- Co za bezczelność! Te grunta należą_do majątku Dunbar. Wszedł pan na teren prywatny - powtórzyła dziewczyna z wściekłością i oparła się o drzewo.

Jack dopiero teraz przyjrzał się jej uważniej. Miała niezwykłe oczy, szarozielone jak Morze Północne w wietrzny letni dzień. Spoglądały na niego stanowczo, a on nie miał ochoty na kłótnię.

- Widzi pani tamto drzewo? - wskazał na lewo od siebie. - Tutaj majątek Dalkirk... - zaczął cierpliwie.

- Bzdury. Jest pan na moim terenie i jeśli zaraz się pan stąd nie wyniesie, wezwę policję.

- Ciekawe, jak pani tego dokona? - zapytał wyzywająco.

- Nie pańska sprawa. Jak pan nie umie obchodzić się z bronią, nie powinien pan brać strzelby do ręki. To skończona bezmyślność.

14

DROGA KU PRZEZNACZENIU

Jack najeżył się. Nikt nie śmie nazywać go bezmyślnym.

- Posłuchaj, panienko. Jestem gościem Kinnairdów. Już chyba wyjaśniłem, że mam prawo polować na ich gruntach. Sir Peter i lady...

Dziewczyna zmierzyła go lekceważącym spojrzeniem. Po akcencie poznała, że jest jankesem, co wiele tłumaczyło. Przybysze zza oceanu bywali nad wyraz uciążliwi.

- Może w Ameryce nie istnieje coś takiego jak prawo własności, ale Szkocja to cywilizowany kraj. U nas nie wolno bez pozwolenia wchodzić na cudzy teren. - Złośliwie przyjęła ton belferki, która próbuje oświecić tępego ucznia. - A teraz żegnam pana. - Zrobiła kilka kroków i odwróciła się. - Niech pan uważnie popatrzy, choćby i godzinę, tyle ile trzeba, żeby pan dobrze zapamiętał. Ten płot wyznacza granicę obu majątków.

Wściekły Jack poszedł wzrokiem za palcem dziewczyny, wskazującym rozpadający się płot, ledwie widoczny między chaszczami.

Miał już serdecznie dość tej wymiany zdań. Ta arogancka kobieta wyraźnie z niego drwiła, a do tego zupełnie nie był przyzwyczajony.

- Zawsze do usług, milady. - Złożył dworski ukłon i pokornie schylił głowę.

Odziana w wypłowiałe dżinsy i znoszoną zieloną kurtkę , jnilady", wyprostowana jakby kij połknęła, powoli ruszyła ze wzniesienia, ignorując prześmiewcze maniery intruza.

Ależ sekutnica z tej małej, pomyślał z ponurym rozbawieniem, po czym przywołał psy krótkim gwizdnięciem. Wiedział, że wina jest po jego stronie. Powinien był bardziej uważać, zamiast rozpamiętywać przeszłość,

która od dwunastu lat w ten szczególny listopadowy dzień nieodmiennie go dopadała.
Już miał odejść, gdy jakiś błysk przykuł jego uwagę. Wśród suchych liści i połamanych gałązek skrzył się brylant na łańcuszku. Wisiorek. Jack podniósł go.
- Proszę zaczekać! - zawołał za awanturnicą. - Zgubiła pani coś.
Widział, jak właśnie dochodziła do lasu. Nagle zatrzymała się, zachwiała, rozpaczliwie walczyła o utrzymanie równowagi, aż osunęła się na ziemię niczym bezwładna kukiełka. Wsunął brylant do kieszeni i rzucił się biegiem w jej stronę.
Przezornie odstawił strzelbę, opierając ją o pień drzewa. Nie czas teraz na wyrzuty sumienia, powiedział sobie. Musi się zastanowić, co robić. Wczesny jesienny zmierzch już zapadał. W powietrzu czuło się zapowiedź śnieżnych opadów. Podniósł dziewczynę, spojrzał na jej śmiertelnie bladą twarz i nagle przeszył go straszliwy ból. Inna twarz, droga i utęskniona, stanęła mu przed oczami. Twarz kobiety spoczywającej, jak ta teraz, bez ruchu w jego ramionach.
Co za okrutny żart losu, że musiało mu się to przydarzyć właśnie dzisiaj.
Wziął głęboki oddech i ostrożnie posadził nieznajomą, opierając jej głowę o swoją pierś. Podziękował w duchu Bogu, gdy poczuł, że nieznacznie się poruszyła. Wszystko dobrze, zaraz dojdzie do siebie. Poczuł delikatny zapach perfum. Jack zabrał się do cucenia nieprzytomnej dziewczyny.
India Moncrieff oprzytomniała, gdy poczuła okropne, dławiące pieczenie w gardle. Chciała się wyprostować, ale więził ją mocny chwyt.

- Proszę wypić jeszcze trochę - zakomenderował stanowczy męski głos.
Zanim zdołała odpowiedzieć, musiała przełknąć kolejny łyk piekącego płynu.
- Dość już - wykrztusiła wreszcie z wysiłkiem. Próbowała pozbierać rozpierzchłe myśli.
Przypomniała sobie wszystko. Ktoś do niej strzelał. Chybił, ale strach i wstrząs zrobiły swoje.
Zemdlała. Co za idiotyzm. Nigdy w życiu nie zdarzyło się jej zemdleć. Uświadomiła sobie z niejakim niesmakiem, że ramię, które ją więzi, musi należeć do antypatycznego jankesa. To on był przyczyną całego zamieszania.
- Proszę pić i nie dyskutować. Alkohol dobrze pani zrobi. Teraz panią przeniosę. - Nim zdążyła zaprotestować, uniósł ją niczym piórko i ostrożnie posadził na pniu drzewa. - Gdzie pani mieszka?
- Nie pańska sprawa - mruknęła z irytacją.
- Owszem, moja. Czy się to pani podoba, czy nie, czuję się za panią odpowiedzialny. - Dopiero teraz zdjął ręce z jej ramion i wyprostował się.
- Odpowiedzialny? Dobre sobie! No cóż, widocznie w Ameryce strzelanie do ludzi uchodzi za odpowiedzialne zajęcie... Poradzę sobie bez pańskiej pomocy. Bez pana będę bezpieczniejsza. - Wymownie spojrzała na strzelbę, a potem zerknęła na nieznajomego.
No cóż, mimo że arogant, prezentował się nieźle. Gęste, kruczoczarne brwi, niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu... które spoglądały na nią z troską i niejakim rozbawieniem.
- Dojdzie pani sama do domu? - W jego głosie zabrzmiało wyraźne powątpiewanie.
- Oczywiście - skłamała i spróbowała wstać. - Po-

wiedziałam przecież, że dam sobie radę. Niech pan już sobie idzie.
- Nie zostawię pani tutaj.
- Proszę wreszcie iść. Dość już pan narobił zamieszania. Poradzę sobie.
Nie drgnął nawet. Stał nad nią z zaciętą i pewną siebie miną, jakby był tu panem.
- Od kiedy otworzyła pani usta, słyszę same utyskiwania i złośliwe uwagi pod moim adresem - powiedział i uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Proszę przestać się kłócić i przywołać rozsądek. Musimy się stąd ruszyć. Zaraz zrobi się ciemno, a ja nie mam latarki.
India popatrzyła na nieg"o nieufnie.
- A właściwie kim pan jest? Po akcencie...
- Tak, jestem Amerykaninem. Nazywam się Buchanan. Jack Buchanan. Jak już mówiłem, mieszkam w Dalkirku u Kinnairdów. Jest pani ich sąsiadką?
- Chyba tak.
- Chyba? - zdziwił się. - Albo jest pani ich sąsiadką, albo nie.
- Jestem... w pewnym sensie. Chociaż nie bardzo rozumiem, co to pana może obchodzić.
Nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem, tylko przyglądała się migotliwym cieniom wczesnego listopadowego zmierzchu. Myśl, że pozostawiona sama sobie będzie musiała szukać w mroku drogi do domu, nie budziła w niej szczególnego entuzjazmu. Co prawda z oporami, schowała jednak dumę do kieszeni i podniosła się powoli.
- Skoro uparł się pan mnie odprowadzić, to ruszajmy, choć dałabym sobie radę i bez pańskiej pomocy. Tak czy inaczej, dziękuję - dodała burkliwie, zła, że z konieczności zdała się na towarzystwo jankesa.

- No to w drogę. A tak przy okazji, jak się pani nazywa, jeśli wolno spytać?
- India Moncrieff.
- Też dziękuję losowi, że dane mi było panią poznać - powiedział z przekąsem. Nie próbował nawet ukryć ironicznego uśmieszku.

India obciągnęła kurtkę. Jeśli ten człowiek jest przyjacielem Diany i Petera, nic się nie stanie, jak odprowadzi ją do domu. Jej duma co prawda ucierpi, ale trudno, pomyślała markotnie, patrząc, jak Amerykanin zarzuca strzelbę na ramię.

Kiedy ruszyli w drogę, India poczuła na twarzy pierwszy powiew wiatru. Wtedy ocknęła się na dobre. Wróciły jej na myśl powody, dla których wypuściła się na tak długi spacer. Szła, powłócząc nogami, i zastanawiała się, co ją czeka w domu. Tak bardzo chciała uciec przed rzeczywistością, zaznać chwili spokoju. Krótkie to było wytchnienie.

Przeszli po rozchybotanym drewnianym moście. Psy, które przebiegły brodem, otrząsały się energicznie na drugim brzegu. Wspinali się powoli po zboczu, na którego szczycie zaczynał się ogród, pośrodku którego, stał dom. India rozmyślała o przyszłości. Jak będzie wyglądało jej życie? Poza przyrodnią siostrą, Sereną, nie miała nikogo bliskiego, a dalszej rodziny prawie nie znała. Samotność może być straszna. Wolała o niej zapomnieć, przynajmniej na moment. Bezpieczniej będzie zająć się milczącym jankesem, choć jego towarzystwo też nie było niczym miłym. Prawda, był przystojny i tliła się w nim dżentelmeńska natura, bo uparł się ją odprowadzić, ale co z tego?

Przyspieszywszy kroku, pierwsza stanęła na szczycie

wzgórza. Tu oparła się o pień starego dębu i chłonęła widok pogrążającego się w mroku Dunbaru. Ku własnemu zaskoczeniu zamiast smutku ogarnęła ją otucha. Dobre, ciepłe uczucie.
Nie wszystko stracone, zdawał się szeptać jakiś wewnętrzny głos, który dawał Indii siłę i upragniony spokój. Napięcie, które nie opuszczało jej od chwili przyjazdu do Dunbaru, powoli ustępowało. Byłaby gotowa przysiąc, że czuje czyjąś obecność u swojego boku.
Ale błoga chwila przeminęła szybko jak sen, wrócił mroczny smutek. Tak łatwo ulec czarowi tego miejsca, pomyślała z westchnieniem. Tak łatwo uwierzyć, że istnieje nadzieja, tak łatwo snuć marzenia, które nigdy, przenigdy się nie spełnią.
Szkocja działała na Jacka kojąco. Pokochał ten kraj od razu, w czasie pierwszego pobytu przed czterema laty; Oczarowało go surowe piękno natury, wzgórza porosłe wrzosowiskami, niezwykłe światło. Teraz nagie jesienne drzewa, zapach palonych liści, zapowiedź zimowych mrozów w wieczornym powietrzu, wszystko to budziło wspomnienia dzieciństwa w Tennessee. Myślał p dawno już nieżyjących rodzicach, widział swojego małego braciszka, Chada, jak biega po ogrodzie i rozkopuje sterty zgrabionych liści... Słyszał radosny śmiech matki.
Dotarł na szczyt wzgórza w chwilę po Indii, przystanął, zdjął strzelbę z ramienia i omiótł wzrokiem roztaczający się stąd widok.
Oto Dunbar House, dumna, majestatyczna rezydencja o klasycznych liniach, otoczona przystrzyżonymi trawnikami. Po prawej, za wschodnim skrzydłem, łąka i ledwie widoczne w szybko zapadającym mroku stado byd-

ła spędzane do obory na spoczynek. Wokół cudowna, magiczna cisza, sprawiająca wrażenie, że czas się zatrzymał. Jack trwał przez moment w niemym zachwycie.
- Dunbar należy do pani rodziny? - przerwał w końcu milczenie.
- Tak. - India, tak jak on, utkwiła spojrzenie w domu. - Ten majątek od niepamiętnych czasów jest w rękach Dunbarów. Przynajmniej od trzynastego wieku. W tamtych czasach byli rycerzami rozbójnikami, najeżdżali ziemie sąsiadów, zabierali cały dobytek.
- Wspaniała rezydencja. Z jakiego czasu pochodzi?
- Zaczął ją budować w połowie osiemnastego wieku William, a dokończył Fergus Dunbar, kuzyn, który odziedziczył te dobra, kiedy syn Williama, Rob, zginaj w bitwie pod Cullodenem.
- A jak wyglądała poprzednia siedziba? - zainteresował się Jack.
- O ile wiem, stał tu niewielki pawilon myśliwski, chociaż nie mam pewności. - India chciała już iść, ale Jack tkwił w miejscu jak zaczarowany.
- Można by tu stworzyć pierwszorzędny hotel - zauważył.
- Hotel? - powtórzyła ze zgrozą. - Koszmarny pomysł godny jankesa. Nie mógł pan wymyślić nic gorszego. Dunbar House to siedziba rodowa i zawsze nią pozostanie.
- Nie chciałem pani urazić. Przepraszam - próbował się usprawiedliwiać. - Proszę mi opowiedzieć o Fergusie.
- Całkiem nieźle sobie radził w życiu. - India ruszyła powoli w kierunku domu. - W czasie powstania w 1745 roku stanął po stronie Anglików, wzbogacił się, a kiedy prawowity dziedzic był uprzejmy polec, przejął

Dunbar House i dokończył przebudowę. Zachował się jego portret, ale muszę powiedzieć, że twarz nie budzi mojej sympatii, raczej przyprawia mnie o ciarki.
- Dlaczego? - zapytał Jack, rozbawiony uwagami Indii. - Dopuścił się jakichś haniebnych czynów, że tak go pani nie lubi?
Wzruszyła ramionami.
- W opinii wielu ludzi był zdrajcą. W Szkocji przeważały wtedy sympatie projakobickie, chociaż ze zrozumiałych względów niewielu głośno deklarowało swoje stanowisko, a jeszcze mniej liczni poparli zbrojnie Młodego Pretendenta, co nie znaczy, że ogół był za Anglikami. Większość odnosiła się do nich zdecydowanie wrogo.
- Ale nie Fergus?
India ponownie wzruszyła ramionami.
- Tak głosi legenda, ale trzeba pamiętać, że legenda jest tylko legendą. W każdym razie miał dość pieniędzy, żeby zamówić projekt nowej rezydencji u Adama.
- Chodzi o Roberta Adama czy jego brata Jamesa? Toż to najwybitniejsi architekci swoich czasów!
- Był jeszcze trzeci, John, ale Robert zasłużył się najbardziej.
- Styl Adamów, cudowna odmiana klasycyzmu. To musiał być Robert, widać rękę mistrza.
- Pewnie tak, choć bracia często wspólnie wykonywali projekty. - Widać było, że pochwała Amerykanina ujęła Indię. - Bryła jest taka czysta, harmonijna... Nie potrafię tego ująć słowami.
- Doskonale rozumiem, co pani ma na myśli. Wzajemna niechęć zniknęła, jakby rozpłynęła się w otaczającym Indię i Jacka półmroku. Kiedy stanęli

przed bocznym wejściem we wschodnim skrzydle, było już prawie ciemno.
Jack rozejrzał się, zatrzymał na moment wzrok na majaczącym w oddali starym dębie, wreszcie spojrzał na Indię, która uchyliła już drzwi.
- Już nie jestem pani potrzebny - powiedział z wahaniem. - Proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie sądziłem, że natknę się na kogoś podczas polowania. Mój błąd. -Zabrzmiało to sztywno i nieprzekonująco, ale Jack nie pamiętał, kiedy po raz ostatni czuł się zobligowany przepraszać kogokolwiek. - Na mnie już czas. Pozwoli pani, że zamówię taksówkę? Boję się, że po ciemku nie znajdę drogi powrotnej.
Spojrzał na szybko ciemniejące niebo. Nagle poczuł, że miałby ochotę zostać tutaj, nie rozstawać się z dziewczyną. Dojrzał na jej twarzy grymas irytacji, który zniknął równie szybko, jak się pojawił, ustępując miejsca uprzejmemu uśmiechowi.
Teraz już był zdecydowany wprosić się z wizytą pod całkiem zręcznym pretekstem obejrzenia znamienitego dzieła Roberta Adama.
Zazwyczaj otrzymywał to, czego pragnął. Nie znał różnicy między chcieć i mieć. Teraz, z bliżej nieokreślonych powodów, chciał zostać w Dunbarze. Intrygowała go India Moncrieff i otaczająca ją aura tajemniczości. Ta dziewczyna wdarła się w jego życie w dniu, który od dwunastu lat był dla niego najgorszym dniem roku, i naznaczyła tę fatalną datę w szczególny sposób.
- Proszę wejść. Telefon jest w bibliotece.
Patrząc na stojącą w drzwiach Indię, na refleksy światła na jej kasztanowych włosach, mimo woli pomyślał o rycerzach i księżniczkach z celtyckich legend.

Odsunęła się, a kiedy wszedł do niewielkiego korytarza zawieszonego płaszczami i zastawionego butami do konnej jazdy, zamknęła cicho drzwi, pamiętając, by wpuścić cisnące się do środka za swoim panem psy.
Położył strzelbę na ławce pod ścianą, zdjął kurtkę i powiesił na wieszaku obok kurtki Indii, po czym ruszył za swoją przewodniczką. Rozglądał się z zaciekawieniem. Jego uwagę zwróciła tarcza herbowa powtarzająca się w stiukowej dekoracji ścian. Wydawała się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją widział. Nie potrafił też wytłumaczyć dziwnego nastroju oczekiwania, który nim zawładnął. Oczekiwanie, przeczucie? Dwa razy w życiu zdarzyło mu się coś podobnego i za każdym razem dotyczyło ważnych zdarzeń. Może uległ po prostu czarowi miejsca? W końcu był w Szkocji, kraju legend i tajemnic.
Uśmiechnął się. Cokolwiek go czekało, czuł się dobrze.
Kiedy weszli do biblioteki, Jacka natychmiast uderzyła przytulna gościnność wnętrza. Sięgające sufitu i wypełnione starymi woluminami szafy, ogień na kominku obramowanym siedemnastowiecznymi kaflami z Delft, wszystko tu świadczyło, jak zwykła mawiać Diana Kinnaird, o niedbałej elegancji, w której Brytyjczycy byli mistrzami.
- Wy, wyspiarze, potraficie sprawić, że każda rzecz wygląda tak, jakby służyła wam od wieków, przez całe pokolenia - powiedział z uśmiechem, "przyglądając się zastawie do herbaty umieszczonej na niskim stoliku między dwoma obitymi ciemnozielonym aksamitem kanapami. Jedna z nich zarzucona była poduszkami, na drugiej wylegiwał się w najlepsze ogromny owczarek angielski.

- Mamy to w genach. - W oczach Indii błysnęło rozbawienie. - Dobry gatunek, patyna czasu, wygoda, to cenimy w przedmiotach, którymi się otaczamy. Telefon stoi tam - wskazała biurko w głębi pokoju, między dwoma wysokimi oknami.

Wszystko harmonizowało ze sobą w sposób wręcz doskonały: ciężkie kotary o wyblakłym wzorze, wypłowiałe obicia foteli, stare tomy, mahoniowe meble, wytarty dywan przed kominkiem.

- Numer znajdzie pan na kartce obok aparatu - dodała,^ czym podeszła do kominka, rozcierając ramiona. - Okropnie zmarzłam.

- No cóż, jest połowa listopada, a pani upadła na wilgotne poszycie - zauważył Jack, biorąc do ręki kartkę z numerami. Zmrużył oczy, żeby odczytać odręczne notatki. Część numerów była przekreślona, inne po kilkakroć przepisywane i .aktualizowane. Nie bardzo mógł pojąć, jak mieszkańcy domu potrafili rozeznać się w tych gryzmołach.

- Nie może pan znaleźć numeru? Jack uniósł głowę.

- Nie mogę się połapać, w czym rzecz. Może pani mi pomoże?

- Trzeci od dołu.

- Stary MacFee? - z niejakim powątpiewaniem zapytał Jack.

- Tak się nazywa taksówkarz. Jedyny w wiosce.

- Rozumiem. - Podniósł słuchawkę staroświeckiego, czarnego aparatu i zaczaj nieporadnie wykręcać kolejne cyfry, nie nawykł bowiem do telefonów z tarczą. Po drugiej stronie nikt się nie zgłaszał. Czekał cierpliwie i przyglądał się Indii, która przysiadła na oparciu kanapy. Była

w niej gracja i spokój, ale też tłumiona energia, gotowa w każdej chwili wybuchnąć. Ciekawe, jak wyglądałyby jej oczy w chwili rozkoszy, pomyślał ni stąd, ni zowąd.
Otrząsnął się z niewczesnych rozmyślań i gwałtownie odłożył słuchawkę.
- Wygląda na to, że starego MacFee nie ma w domu. Jeśli pani pozwoli, zaczekam i spróbuję zadzwonić jeszcze raz za kilka minut.
- Naturalnie. Może napije się pan herbaty? - zaproponowała bez szczególnego entuzjazmu.
- Dziękuję. Z przyjemnością. - Prawdę mówiąc, nie znosił herbaty, ale coś go podkusiło, żeby przyjąć poczęstunek.
- Nie sposób odczytać gryzmołów mamy. - India wzięła do ręki wyświechtany karteluszek, uśmiechnęła się smutno i usiadła na kanapie możliwie najbliżej kominka. - Rusz się, Angus, strasznie się rozwaliłeś. Możesz równie dobrze wylegiwać się na dywanie. - Lekko klepnęła psa i Angus, co prawda niechętnie, ale zszedł z kanapy i przeciągnął się leniwie.
- Nie ma tu numeru taksówkarza z Pennickuik - powiedziała India, wpatrując się w kartkę. - Niestety nie pamiętam jego nazwiska. - Wzruszyła ramionami. - W najgorszym razie odwiozę pana. To niedaleko.
- Dziękuję. Będę bardzo zobowiązany. - Usadowił się wygodnie na kanapie i założył nogę na nogę. Nie było mu spieszno opuszczać piękny dom, a tym bardziej rozstawać się z jego intrygującą mieszkanką.
India zastanawiała się, jak długo będzie musiała zabawiać nieoczekiwanego gościa. Tyle jeszcze miała do zrobienia przed jutrzejszym rankiem, tymczasem jankes rozgościł się w najlepsze i nic nie zapowiadało, by szyb-

ko zamierzał się pożegnać. Kogoś jej przypominał, ale kogo? Może Pierce'a Brosnana, choć był wyższy i mocniej zbudowany od aktora. Nalała herbaty do filiżanek i odstawiła imbryczek. Jack Buchanan ładnie wygląda w tym kremowym kaszmirowym swetrze i oliwkowych sztruksach, pomyślała mimo woli. Ciekawe, ile może mieć lat? Około trzydziestu pięciu? Podała mu filiżankę i spojrzała prosto w oczy.

Chyba jednak nie jest podobny do Brosnana, stwierdziła w końcu, sięgając po mleko. A jednak twarz wydawała się znajoma.

- Jak długo zamierza pan zostać w Dalkirku? - zapytała. Powinna była sama zadzwonić po taksówkę. Amerykanin mógł przecież wykręcić zły numer.

- Jeszcze kilka dni. Co jakiś czas odwiedzam Kin-nairdów. Prowadzę z Peterem interesy, przyjaźnimy się.

- Czym się pan zajmuje? Hotelarstwem?

- Owszem. Jeśli można, napiłbym się jeszcze herbaty. Bardzo dobra. - Musnął palce Indii, kiedy podawał jej filiżankę. - Kilka lat temu Peter wszedł ze mną do spółki. Azja, Ameryka Południowa, tam działamy. Zamiast konkurować ze sobą, połączyliśmy siły.

- Bardzo roztropnie.

- W rzeczy samej. A przy tym bardzo lubię Petera, dobrze się nam współpracuje. A pani czym się zajmuje?

- Jestem projektantką wnętrz.

- Naprawdę? Pracuje pani dla prywatnych zleceniodawców czy dla firm? - Wpatrywał się w nią z takim zainteresowaniem, że musiała odwrócić wzrok.

- Jedno i drugie, ale głównie hotele. Projektowałam nawet jeden, który należy do Petera. Jeremy Hotel w Londynie. Zna pan?

- Naturalnie. Byłem na otwarciu, ale pani sobie nie przypominam. - Zmarszczył brwi.
- Nie mogłam przyjść. Moją przyjaciółka akurat tego dnia brała ślub.
- Co za pech. - Jack uśmiechnął się. - Zrobiła pani znakomite wnętrza. Ta rzeźba w holu... Odważne zestar wienie minimalistycznej formy z tradycyjnym wystrojem dało świetny efekt. Zachowując wiele z oryginalnej struktury, udało się pani stworzyć nowoczesny, świetnie funkcjonujący hotel. To nie lada sztuka.

India zaczerwieniła się, zaskoczona, że pochwała Jacka może mieć dla niej aż takie znaczenie. Chwilę mieszała herbatę, zanim odpowiedziała:
- Lubię moją pracę. Potrafię się w niej całkowicie zatracić. Każdy projekt jest nowym wyzwaniem. W przypadku Jeremy'ego rzeczywiście najważniejsze było harmonijne połączenie dawnej architektury z nowoczesnością.
- Peter mówił, że zlecenie wykonała szwajcarska firma. Pracuje pani dla nich?
- Nie. La Dolce Vita to moja firma. Mieszkam w Szwajcarii.
- Myślałem, że tutaj. - Jack ponownie uniósł brwi.
- Dunbar należy... - zaczęła z wahaniem, nie do końca pewna, czy chce się zwierzać jankesowi - a właściwie należał do mojej matki. - Ból i napięcie, jakim ulegała w ostatnich dniach, znowu wróciły z całą siłą, nie pozwalając Indii uciec od rzeczywistości.
- Jak to należał? Chce pani powiedzieć, że sprzedała posiadłość?
- Nie. - India spuściła głowę. - Zmarła cztery dni temu.
- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedział po

długiej chwili milczenia. - Przepraszam. Nie powinienem był pytać. - Zniknęła gdzieś amerykańska nonszalancja. Jack był naprawdę przejęty i skonsternowany.
- To stało się tak nagle. Atak serca... Na szczęście nie cierpiała. To jedyna pociecha. - Starała się nie myśleć, jak bardzo będzie jej brakowało lady Elspeth.
- Bardzo pani współczuję - powtórzył Jack i oboje zamilkli.
India wstała, przyklęknęła przy kominku i zaczęła dokładać polana do ognia, usiłując ukryć napływające do oczu łzy.
Jack natychmiast znalazł się u jej boku.
- Proszę pozwolić, ja to zrobię - powiedział, wyjmując z dłoni Indii polano.
- Wszystko w porządku - mruknęła. Łzy spływały jej po policzkach.
- Miała pani ciężki dzień. Przepraszam, że swoimi pytaniami wytrąciłem panią z równowagi. Pójdę już, a pani niech odpocznie. - Serce mu się ściskało na widok cierpienia malującego się na twarzy Indii. - Trudno jest żegnać kogoś, kogo naprawdę się kochało, ale czas leczy wszystkie rany.
India skinęła głową.
- Dziękuję. Tak mi głupio... Ja...
- Nie musi się pani tłumaczyć. Naprawdę panią rozumiem. - Uścisnął jej dłoń, wstał, podał swoją chusteczkę, potem odwrócił się i poruszył polana pogrzebaczem. - Bardzo długo nie mogłem przeboleć straty - powiedział cicho, bardziej do siebie niż do Indii.
Ona też się podniosła i stanęła obok Jacka.
- Mówi pan o ojcu lub mamie?
- O żonie. - W kominku buchnęły na nowo płomie-

nie. - Akurat dzisiaj przypada dwunasta rocznica jej śmierci.
Stali przez chwilę w milczeniu zapatrzeni w ogień, każde pogrążone we własnym bólu. Wreszcie India odwróciła się i usiadła na kanapie. Jack westchnął. Rozumiał doskonale, jaką walkę musiała toczyć z własnymi uczuciami, jak trudno jej było pogodzić się z tragedią, która na nią spadła. Bardzo chciał jej pomóc, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie nic zrobić. Każdy sam musi uporać się z nieszczęściem.
Podniosła głowę i uśmiechnęła się niepewnie.
- Skoro pan już tu jest, może chciałby pan obejrzeć dom?
- Z przyjemnością - przystał skwapliwie i po chwili znaleźli się w głównym holu.
Nie wiedział nawet, jak i kiedy minęła godzina. Był oczarowany Indią i jej rozległą wiedzą. Sprawiała przy tym wrażenie osoby, która kompletnie nie jest świadoma wrażenia, jakie wywiera na mężczyznach. Przemierzyli niezliczone pokoje, a ona opowiadała mu zabawne i smutne historie z przeszłości, pokazywała portrety przodków, zwracała uwagę na szczegóły architektoniczne. Słuchać jej, obserwować, jak zmienia się wyraz jej twarzy, było dla Jacka ogromną przyjemnością. Rozmawiali też o hotelach, które znali, o podróżach, o przeczytanych książkach. Jack był oszołomiony. Jeszcze nigdy z nikim nie zdarzyło mu się nawiązać tak bezpośredniego kontaktu w tak krótkim czasie.
- Boże, już siódma! - zawołała India, kiedy wrócili do biblioteki. - Wypije pan drinka przed wyjściem?
- Chętnie - przystał Jack.
- Proszę sobie nalać. - India wskazała srebrną tacę

z karafkami, stojącą na osiemnastowiecznym stoliczku z paryskiej pracowni André Boulle'a, najwybitniejszego projektanta mebli za czasów Ludwika XIV.
- Piękny stolik - zauważył Jack. - Co dla pani?
- Śliczny, prawda? Podobno został kupiony na aukcji w czasie Rewolucji Francuskiej. Kieliszek sherry poproszę. Jack podał jej drinka.
- Nad czym pani teraz pracuje?
- Muszę lecieć do Rio na otwarcie hotelu La Perla. Projektowałam tam wnętrza i jak to zwykle bywa, trzeba będzie dokonać ostatnich poprawek przed wielkim dniem.
- Nachyliła się i podrapała Angusa za uchem.
- La Perla należy do Cardoso Group, jeśli się nie mylę? Dobrze znam Nelsona Cardosa. To poważne zlecenie - dodał z uznaniem.
- Tak. Cieszę się, że mam je już za sobą, choć sama praca była bardzo przyjemna. Z Nelsonem świetnie się współpracuje, ale ciągłe podróże tam i z powrotem dały mi się we znaki.
- Jak długo zostanie pani w Rio?
- Najpierw lecę do Argentyny. Obiecałam Gabby 0'Halloran, że zaprojektuję nowe wnętrza ich rodzinnej rezydencji. Mieszkają półtorej godziny od Buenos Aires. Pewnie spędzę u nich święta Bożego Narodzenia.
- Niech pani uważa w Rio. Kiedy byłem tam ostatnio, okradziono wszystkie sejfy hotelowe. Nieprawdopodobna historia. Nie uwierzyłbym, gdybym nie widział na własne oczy pustych schowków. Zabawne, że wspomniała pani o Buenos Aires. Astra kupiła niedawno udziały w jednym z tamtejszych hoteli. India spojrzała uważnie na Jacka.
- Astra?

- Tak, moja firma.
- Pan jest właścicielem Astra Group?
- Uhu... To źle czy dobrze?
- Ani źle, ani dobrze. Po prostu zapytałam. - Była skonfundowana, że okazała zaskoczenie.
- Weszliśmy w spółkę z właścicielami Palacio de Gres. Słyszała pani o tym obiekcie? Dawna prywatna rezydencja, częściowo odrestaurowana. Obok miał powstać hotel, ale zabrakło funduszy i inwestorzy zwrócili się do nas. Propozycja nam się spodobała, no i mamy nowe przedsięwzięcie. - Jack zaśmiał się, licząc, że rozbawi Indię i oderwie ją na chwilę od przytłaczających myśli.
- Byłam tam kiedyś jako dziecko - powiedziała. -Poprzedni właściciele, senor i senora Carvajal y Oueiroz, przyjaźnili się z moimi rodzicami. Teraz to staruszkowie, jeśli jeszcze żyją. Pamiętam, że pałac mnie zafascynował. Piękna, niepowtarzalna architektura.
- Teraz posiadłość należy do Hernana Carvajala. Mówił mi, że odziedziczył ją po dziadkach. To zapewne oni byli przyjaciółmi pani rodziców.
- Stał się pan współwłaścicielem prawdziwej perły. Chce pan stworzyć w pałacu część recepcyjno-reprezentacyjną całego kompleksu?
- Tak to zaplanowałem.
- A jak został pomyślany sam hotel? Proszę mi opowiedzieć. - W oczach Indii pojawił się błysk autentycznego zainteresowania.
- Na tyłach pałacu stawiamy nowoczesny budynek z pokojami hotelowymi. - Jack odstawił szklankę, pochylił się i zaczął rysować palcem na aksamitnym obiciu kanapy plan. - Tu jest pałac Wchodzi pani do ogromnej sieni wyłożonej marmurem...

- Idealna przestrzeń recepcyjna! - zawołała podniecona. - A w salonie błękitnym od strony ogrodu można urządzić część wypoczynkową. Albo bar - dodała po chwili namysłu. - Jak w Alvearze, tylko...
Nie dokończyła zdania. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do biblioteki wtargnęła lady Serena Hamilton. Ona, tutaj? Zdumiony jej widokiem Jack patrzył, jak rzuca niedbale kurtkę na fotel i podchodzi do kominka.
- Jestem wykończona - oznajmiła, rozcierając dłonie. - Co za koszmarna pogoda. W dodatku ten człowiek w domu pogrzebowym to skończony dureń. O; herbata. Tego mi było trzeba.
Jack zauważył, że India zesztywniała, a kiedy Serena odwróciła się ku niemu, wstał z niejakim ociąganiem.
- Jack! - wykrzyknęła z wymuszonym uśmiechem. - A ty co tutaj robisz, na miłość boską?
- Mógłbym zadać ci to samo pytanie. Niefortunne spotkanie. Tak jak ich przygoda, jeśli można nazwać przygodą jedną wspólną noc, pomyślał ponuro, ciekaw przy tym, jak Serena rozegra tę zaskakującą .sytuację.
Mierzyli się przez chwilę wzrokiem niczym dwaj przeciwnicy, którzy kalkulują, czy zaatakować, czy też działać z kontry. India, zaintrygowana dziwną sceną, widziała, jak oczy Jacka zamieniają się w dwie bryłki lodu.
- To wy się znacie? - zapytała zupełnie zbita z tropu.
- Powiedzmy - odparł Jack. - Poznałem lady Serenę jakiś czas temu na przyjęciu u Kinnairdów.
- Powiedzmy? - Serena uniosła brwi, uśmiechnęła się z przekąsem i usiadła na kanapie. - Nadal nie wiem, skąd się tutaj wziąłeś.
- Spotkaliśmy się na terenie posiadłości i odprowa-

dził mnie do domu - wtrąciła India i natychmiast pożałowała, że w ogóle się odzywała.
- A ty co robiłaś poza domem?
- Poszłam na spacer - rzuciła krótko, zła, że musi się tłumaczyć.
Serena wyciągnęła przed siebie nogi.
- Polowałem tam na bażanty i o mało jej nie zabiłem. - Jack uśmiechnął się blado. - Sama rozumiesz, że po czymś takim nie mogłem puścić jej samej. A teraz ty powiedz, skąd się tutaj wzięłaś?
- Mieszkam w tym domu.
Nie była to do końca prawda. Serena mieszkała, czy też powinna mieszkać, w swoim mieszkaniu w Edynburgu, ale z rozmów z matką India wiedziała, że ostatnimi czasy siostra i jej okropny przyjaciel, Wolfie von Loe-wendorf, zjeżdżali na całe tygodnie do Dunbaru. Dziwne, jako że stosunki między lady Elspeth i Sereną nigdy nie układały się dobrze. India westchnęła. Szkoda, że sama nie mogła tu bywać częściej. Kiedy rozmawiały po raz ostatni, matka wydawała się bardzo zmartwiona. Czym, tego India już nigdy się nie dowie...
- Prawda, herbata... - Serena sięgnęła po imbryk i zaraz cofnęła rękę. - Zimna, i oczywiście nie ma filiżanki. Trudno, obejdę się bez - oznajmiła z ciężkim westchnieniem.
- Zaparzę świeżą - zaofiarowała się India, wykorzystując pretekst, by zniknąć bodaj na chwilę. - Przyniosę przy okazji filiżankę.
- Jak to miło z twojej strony, kochanie. - Na twarzy Sereny pojawił się protekcjonalny uśmiech.
India wyszła pospiesznie z biblioteki i skierowała się do pokoju kredensowego. Nigdy nie potrafiła wyczuć,

na ile słowa Sereny są szczere, a ile jest w nich ironii. Tak jak nigdy nie potrafiła polubić swojej przyrodniej siostry.
Przygotowała herbatę i wyjęła z szafki filiżankę. Kiedy przechodziła koło kuchni, uderzył ją smakowity zapach.
- Mmm, co za aromaty - mruknęła z uznaniem i podeszła do stołu kuchennego, na którym gospodyni mieszała coś w misie wielką drewnianą łyżką. - Co pani robi?
- Trzeba coś przygotować na jutro. - Sue Walker smutno pokiwała siwą głową. - Nie może być, żeby ko* chana mamusia panienek, niech spoczywa w spokoju, wstydziła się za mnie. - Wzniosła oczy do nieba. - Zjedzie się dużo ludzi. Lady Kathleen to już nawet dzwoniła, czy czego nam nie trzeba z miasteczka. Zawsze pierwsza do pomocy. A płacze po paninej mamusi, że serce ściska. Jak my wszyscy. - Przestała ucierać ciasto i zdjęła szpatułką resztki z łyżki. - U mnie nic się nie może zmarnować. Mieć za dużo grzech, ale i braków w domu nie ścierpię, zawsze to powtarzam. - Odsunęła miskę z pełnym satysfakcji westchnieniem. - Tom od razu powiedziała lady Kathleen, niech o nic ją głowa nie boli. Trzydzieści lat służę w tym domu. Najpierw u panienki wujka sir Thomasa, a Bóg jeden wie, że nie miał łatwego charakteru, potem u mamusi, niech spoczywa w spokoju. Jakżebym miała nie zadbać o naszych gości. - Pani Walker chhpnęła głośno.
- Kathleen chciała dobrze. Nie dlatego pytała, że pani nie ufa, tylko z troski - pocieszyła India gospodynię i przesunęła palcem po brzegu misy.
- A gdzie to z paluchami, panienko! - Gospodyni pacnęła Indię ścierką po dłoni.

- Pyszne, jak zwykle. - India oblizała palec i uśmiechnęła się psotnie.
- Kiedy wreszcie panienka dorośnie?! - W głosie pani Walker zabrzmiała czuła nuta. - Strach pomyśleć, co by mamusia powiedziała.
- Muszę zanieść Serenie herbatę. Mamy gościa w bibliotece, Amerykanina. Zajadał się pani ciasteczkami z dżemem i bitą śmietaną.
- To może ten Amerykanin od sir Petera? Słyszałam, że zjechał jakiś do Dalkirku.
- Ten sam.
- Od razu takem pomyślała. Pan Hunter, rzeźnik, sam mi mówił, że panna MacGregor słyszała od Mary MacClean, gospodyni z Dalkirku, że to nadzwyczaj miły młodzieniec. Przywiózł jej aż z Ameryki flakon perfum i zawsze pamięta, żeby coś służbie zostawić za wyjazdem. - Pani Walker z uznaniem pokiwała głową. - Szum się straszny podniósł w miasteczku, jak sir Peter wszedł z nim w interesa, ale widać dobrze zrobił. - Pani Walker zaczęła zbierać brudne naczynia. Talerz o mało nie wysunął się z jej artretycznych dłoni.
India udała, że nic nie zauważyła, bo nie chciała ranić dumy staruszki. Wyszła z kuchni z promiennym uśmiechem i ciężkim sercem, pełna lęku przed jutrzejszym dniem. Z całej duszy pragnęła, by pani Walker została w majątku. A byli jeszcze inni: stary Tompson, ogrodnik Mackay, dzierżawcy. Co się z nimi wszystkim stanie, jeśli... Nie powinna teraz o tym myśleć. Zbliżając się do drzwi biblioteki, usłyszała ożywione głosy i dopiero teraz uświadomiła sobie, że pochłonięta własnymi troskami, zupełnie zapomniała o Jacku i Serenie.
Zawahała się na moment przed wejściem do pokoju

i wtedy doszły ją wypowiadane protekcjonalnym tonem słowa Sereny:
- India musiała być przerażona. Pewnie nie zdawała sobie sprawy, że wyszła na strzał. Nie nawykła do naszego stylu życia, biedactwo.
- To ja zawiniłem. Tylko ja - sprostował Jack. -Zachowałem się lekkomyślnie. India nie ponosi najmniejszej winy za wypadek. Powinienem był bardziej uważać.
Oto mówi człowiek nawykły do wydawania rozkazów i nie przyjmujący żadnych uwag, pomyślała India z rozbawieniem, zapominając na moment o kąśliwościach Sereny. Zdziwiło ją przy tym, że Jack tak łatwo przyznał się do winy.
- Dziękuję, kochanie. - Serena uśmiechnęła się łaskawie, kiedy India postawiła przed nią filiżankę. Przy swoich trzydziestu sześciu latach nadal zachowała doskonałą figurę modelki i gdyby jej stroje nie były tak krzykliwe, India z powodzeniem mogłaby je nosić.
Była ciekawa, jak dalece „poznali się" Jack i Serena. Nie uszło jej uwagi zdumienie na twarzy siostry i zakłopotanie Jacka.
Ale co ją to mogło obchodzić? Usiadła ciężko. Czuła się wyczerpana. Napięcie, w jakim żyła od kilku dni, dawało znać o sobie.
Serena snuła jakąś długą i zawiłą opowieść, w której występowali Kinnairdowie, narratorka we własnej osobie oraz jej arystokratyczni znajomi. India słuchała jednym uchem monotonnego monologu, bez powodzenia usiłując wykrzesać z siebie bodaj odrobinę zainteresowania. Kiedy zobaczyła, że Jack zerka ukradkiem na zegarek, postanowiła przyjść mu z pomocą.

Serena akurat przerwała, by zaczerpnąć tchu, i wtedy wykorzystała okazję:
- Zrobiło się późno. Jeśli chce pan już jechać, proszę powiedzieć.
- Jechać? Dokąd? - żachnęła się Serena. - Zrób sobie jeszcze jednego drinka, Jack. Nie ma pośpiechu.
- Dziękuję. Nie będę już pił.
Nawet najmniej spostrzegawczy człowiek usłyszałby oschłość w głosie Jacka, lecz nie Serena. Indii było wstyd za siostrę.
- Obiecałam odwieźć pana Buchanana do Dalkirku - powiedziała sztywno. - Nie udało się nam zamówić taksówki.
- Chyba żartujesz. Ty? Nie trafisz do bramy wjazdowej, nie mówiąc już o Dalkirku. - Serena posłała siostrze chłodny uśmiech.
- Dlaczego nie? Jeśli pan Buchanan pokaże mi drogę...
- Mowy nie ma. Nie zgadzam się. - Serena zwróciła się do Jacka: - Ona zawsze taka dobra, biedactwo. Każdemu chciałaby pomóc, ale nie mogę przecież pozwolić, by jeździła po nocy. Jeszcze się zgubi.
- Nie bądź śmieszna, Sereno. - India z trudem hamowała złość. Droga, ukochana siostra, te jej protekcjonalne uśmieszki i ton głosu, jakby przemawiała do małego dziecka.
- Zadzwonię po taksówkę - odezwał Jack, wstając z kanapy. - Może stary MacFee już wrócił.
- Na pewno nie zastaniesz go w domu. O tej porze siedzi w barze Pod Knurem i wlewa w siebie trzecią kolejkę. Nie martw się, skarbie. Ja cię odwiozę. Znam drogę na pamięć. Nie ma mowy, żebym zabłądziła.

Jack zawahał się. Perspektywa jazdy z Sereną najwyraźniej nie wprawiała go w zachwyt.
India nie próbowała dyskutować z siostrą. Jeśli Serena postanowiła odwieźć Jacka, niech tak będzie. Prawdę mówiąc, wolała zostać w domu. Rzeczywiście nie znała drogi, błądziłaby po ciemku, w dodatku wszystko wskazywało, że lada chwila może spaść śnieg. Bolała ją głowa, ledwie trzymała się na nogach. Z rozkoszą położy się do łóżka. Przemknęło jej co prawda przez głowę pytanie, dlaczego Serenie tak zależało na odwiezieniu Jacka? Może łączyła ich znacznie bliższa znajomość, niż mogła przypuszczać. Nawet jeśli tak, to nic jej do tego. Ini szybciej oboje znikną, tym lepiej.
Serena chwyciła kurtkę i pierwsza wyszła do holu.
- Do zobaczenia, Indio. Pozamykam drzwi, kiedy wrócę - rzuciła przez ramię.
Jack zatrzymał się jeszcze na moment. Milczał przez chwilę, wpatrując się w twarz Indii, jakby czekał, że odezwie się pierwsza, po czym, ku jej zaskoczeniu, pocałował ją w rękę.
- Proszę uważać na siebie. Zaczerwieniła się mimo woli.
- Dziękuję, że mnie pan odprowadził. - Chciała dodać: „I okazał tyle zrozumienia", ale cofnęła tylko dłoń i wsunęła ją do kieszeni. - Serena czeka w samochodzie. Pogoda z każdą chwilą robi się coraz gorsza. Niech pan już idzie.
- Słusznie - przytaknął Jack, ale jeszcze się ociągał. - Kiedy pani wyjeżdża?
- Zaraz po pogrzebie. Muszę wracać do Szwajcarii i zabrać się do pracy.
- Kto wie, może nasze ścieżki kiedyś jeszcze się prze-

tną. Dziękuję za herbatę i za pokazanie mi domu. Tymczasem do widzenia.
India nie była pewna, czy to gra świateł, czy też gra wyobraźni, ale ponownie zobaczyła w jego oczach błysk zrozumienia. Urojenie, powiedziała sobie, patrząc, jak Jack schodzi po kamiennych stopniach na podjazd.
Zatrzymał się na dole i przywołał gwizdnięciem psy, po czym odwrócił się i poszukał wzrokiem jej oczu.
- Dla jasności, jestem Jack, żaden pan Buchanan. India nie mogła się nie uśmiechnąć.
- Zapamiętam... Jack.
Zniknął w ciemnościach, zostawiając Indię samą z jej smutkiem. Stała przez chwilę w zimnym, pustym holu, przyglądając się różom w wazonie. Tuż przed śmiercią układała je matka. India postanowiła zasuszyć bukiet, ostatnie wspomnienie po lady Elspeth. Otuliła się szczelniej kaszmirowym kardiganem i przeszła do salonu. Usiadła przy fortepianie i zaczęła grać ulubiony przez matkę nokturn Chopina. Muzyką składała hołd najbliższej osobie i było w tych dźwiękach wszystko, czego nie potrafiła wyrazić słowami: miłość do matki, uczucie całkowitego osamotnienia, żal do losu, przygnębienie. Grała, a łzy spływały jej po policzkach.
Kiedy wybrzmiały ostatnie akordy nokturnu, zamyśliła się nad tym, co na nią spadło wraz ze śmiercią lady Elspeth. Spłaty długów, uregulowanie podatków, Bóg wie co jeszcze. Matka zawsze unikała rozmów o niemiłych, przyziemnych sprawach i India nie miała pojęcia, jak przedstawiają się aktywa zmarłej. Byłoby znacznie prościej, gdyby to Serena odziedziczyła cały majątek i wzięła na siebie wszystkie problemy. India jakiś czas temu dowiedziała się, że hipoteka domu w Szwajcarii jest obło-

żona długami. Biedna mama. Gdyby nie markiz, wierny przyjaciel, który w ostatnich latach pomagał jej zarządzać finansami, lady Elspeth zostałaby zapewne bez grosza.
Zamknęła wieko fortepianu i powlokła się na górę, do sypialni. Zmęczona wsunęła się pod kołdrę. Nie miała nawet siły się rozebrać.
im dłużej myślała, coraz bardziej upewniała się w przekonaniu, że dobrze się stało, iż to Serena odziedziczy Dunbar. India właściwie nie znała posiadłości, była tu tylko gościem.
Jutro pochowają matkę, potem notariusz odczyta testament i będzie mogła wrócić do Chantemerle, swojego domu nad Jeziorem Genewskim, i do normalnego życia.
Otulona szczelnie kołdrą, zawieszona na granicy między jawą i snem, wracała myślami do rozmowy z Jackiem. Robił wrażenie pragmatycznego biznesmena, a jednak tyle w nim było entuzjazmu, kiedy opowiadał o Palacio de Gres. A wyraz jego oczu, gdy usłyszał o śmierci lady Elspeth... Ujrzała w nich prawdziwe zatroskanie, widziała, że jest szczerze przejęty, że jej współczuje. Coś się wydarzyło między nimi, kiedy stali obok siebie przy kominku zapatrzeni w buzujący ogień. Coś, czego nie potrafiła wytłumaczyć.
Jakie to dziwne, pomyślała, zapadając w sen. Od dnia przyjazdu do Dunbaru jedynych spokojnych chwil zaznała przy obcym człowieku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Range rover posuwał się w ślimaczym tempie. Zasypana śniegiem droga była prawie niewidoczna, a zawieja nasilała się z każdą chwilą.

- Co za noc. - Wysilając wzrok, Serena usiłowała dojrzeć coś przez szybę samochodu. - Mam nadzieję, że do jutra przestanie padać, bó inaczej karawan może nie przejechać.

- Bardzo wam współczuję. - Jackowi stanęła przed oczami ściągnięta bólem twarz Indii.

- Ach, kłopot i tyle - zbyła go Serena. - Pogrzeb o tej porze roku to męka. A potem jeszcze czeka mnie sprzedaż Dunbaru.

- Chcesz sprzedać Dunbar? - zapytał zaskoczony Jack. Kiedy wspomniał Indii, że Dunbar to idealne miejsce na hotel, oczy jej pociemniały ze złości, a on poczuł się jak ostatni bałwan.

- Tak. Już zdecydowałam. Dom jest dla mnie zbyt duży, a jego utrzymanie kosztuje majątek. Wolę pieniądze. - Samochód zatańczył niebezpiecznie na śliskiej nawierzchni. - Uff, mało brakowało - syknęła przez zęby.

- Kiedy pogrzeb?

- Jutro o drugiej, w Cockpen. Zamarzniemy na śmierć, jak pastor zacznie ględzić. Stary nudziarz.

Jack słuchał tego-z narastającym niesmakiem. Zdarzało mu się w życiu mieć do czynienia z ludźmi, o któ-

rych wolał natychmiast zapomnieć, ale nigdy jeszcze nie spotkał osoby równie egocentrycznej jak Serena. Nie było w niej cienia smutku, który tak przytłaczał Indię. Własna wygoda, to było dla niej najważniejsze. Fakt, że kiedyś się z nią przespał... ot, przypadkowa noc spędzona razem... napełniał go teraz wstrętem.

Próbując o niej zapomnieć, wrócił myślami do projektu, który zaświtał mu w głowie na widok Dunbar House. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział hotele, jego hotele. To było silniejsze od niego. Gdyby udało mu się kupić Dunbar...

- Twoja siostra godzi się na sprzedaż posiadłości? -zapytał, zerkając z ukosa na Serenę i usiłując wyczytać coś z jej twarzy.

- Nie ma nic do gadania.

- Jak to?

- A tak to, że mama z całą pewnością mnie zapisała Dunbar. India nigdy nie interesowała się majątkiem. Nigdy tu nie przyjeżdżała. Ma własną posiadłość w Szwajcarii, znacznie więcej wartą i znacznie atrakcyjniejszą dla ewentualnych kupców. Nie wierzę, żeby chciała zamieszkać w Dunbarze.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał Jack ze zdziwieniem. Doskonale pamiętał, z jakim entuzjazmem India oprowadzała go po domu. Czuło się, że uwielbia to miejsce, że jest pod jego wielkim urokiem, jakby stanowiło ważny element jej życia.

- Jesteś Amerykaninem, więc trudno ci to zrozumieć. Tutaj trzeba być naprawdę dobrze urodzonym, żeby ludzie cię zaakceptowali. Cudzoziemców to oczywiście nie dotyczy - dodała z pełnym wyższości uśmiechem. - Szczególnie bogatych i wykształconych. W Ameryce trochę inaczej

zapatrujecie się na kwestię pochodzenia, prawda? Jak dla mnie, jesteście w tych sprawach zbyt liberalni. Dlatego wasze społeczeństwo jest takie przemieszane.
Jack nie odpowiedział. Zachodził w głowę, jakim cudem kilka miesięcy temu wylądował z tą kobietą w łóżku. Tak się kończy, kiedy człowiek miesza alkohole. W przyszłości będzie ostrożniejszy, obiecał sobie w duchu. Wypił za dużo, Serena wyglądała oszałamiająco w czarnej, obcisłej sukni. Nie wiedział, kiedy znaleźli się w sypialni. Nie miał wtedy nic przeciwko temu, tym bardziej że okazało się, iż trafił na prawdziwą profesjonalistkę.
Zobaczył nagle przed oczami twarz Indii i zrobiło mu się głupio. Trudno o dwie bardziej .różne kobiety. Z jednej strony piękna, pozbawiona sztuczności, wyciszona, trochę tajemnicza India, z drugiej okropna Serena, atrakcyjna i seksowna, ale niedorastająca siostrze do pięt.
- Chcesz sprzedać posiadłość przez pośrednika? -Jack coraz poważniej rozważał możliwość kupienia Dunbar House.
- Dlaczego pytasz? Jesteś zainteresowany?
- Może... Jeśli cena okaże się rozsądna. Serena rzuciła mu szybkie spojrzenie.
- Wpadnij któregoś dnia. Obejrzysz dom dokładniej.
- Świetnie. Chciałbym też zobaczyć dokumenty dotyczące Dunbaru. Wiesz, plany budynku, hipoteka, ewentualne obciążenia finansowe.
- To zrozumiałe. Przygotuję wszystko. Do kiedy zostajesz?
- Jutro muszę wyjechać na kilka dni, ale w sobotę będę z powrotem.
- Zadzwonię do ciebie albo ty się odezwij. Masz mój numer telefonu?

- Znajdę.
- Kiedy Peter i Diana wracają z Perthshire? - zapytała Serena, zatrzymując się na podjeździe Dalkirku.
- Pojutrze.
- Ucałuj ich ode mnie i powiedz Di, że do niej zadryndam. Wiesz co? Musisz wpaść któregoś dnia na kolację. Robię całkiem niezły suflet i wymyślę coś baaardzo egzotycznego na deser - mruknęła obiecująco.
Jacka przeszły ciarki na myśl o kolejnej nocy z panią na Dunbarze. Za nic.
- Dobranoc, Sereno. Dziękuję za podwiezienie. Wypuścisz psy?
- Tylne drzwiczki są otwarte, naciśnij tylko klamkę. - Gniewnym gestem przekręciła kluczyk w stacyjce.
Jack wypuścił psy i wyjął strzelbę z bagażnika. Padał tak gęsty śnieg, że kiedy dotarł do drzwi, przypominał bałwana.
Dopiero teraz uświadomił sobie, że poza śniadaniem i ciasteczkami do herbaty przez cały dzień nie miał nic w ustach. Czyszcząc broń i zmieniając ubranie, cały czas myślał o Dunbarze. Coś mu mówiło, że kupno posiadłości to opłacalna inwestycja. Jeśli tylko cena okaże się rozsądna, a papiery będą w porządku, zamieni rezydencję w prawdziwy klejnot. Od dawna szukał czegoś takiego.
Włożył miękkie mokasyny i zszedł na dół w poszukiwaniu Mary MacClean, ochmistrzyni zarządzającej domem Kinnairdów od ponad ćwierćwiecza. Dunbar może poczekać, kolacja w żadnym wypadku.
Otworzył drzwi i przyglądał się przez chwilę krzątaninie gospodyni. W Ameryce nikt nie potrafiłby zagotować wody na tak archaicznej kuchence, tymczasem Mary

MacClean radziła sobie znakomicie i wszelkie próby modernizacji wyposażenia spotkałyby się z jej stanowczym sprzeciwem.
Przywitała go ciepłym uśmiechem.
- O, pan Jack. Jak raz miałam pana wołać. Kolacja prawie gotowa, już nakrywam w jadał...
Jack powstrzymał ją.
- Jeśli wolno, zjem dzisiaj w kuchni. Dotrzyma mi pani towarzystwa? - zapytał z ujmującym uśmiechem.
- Smutno samemu, co? A pewnie, że dotrzymam. -Mary zdjęła rękawice, położyła na stole podkładkę pod talerze, ozdobioną wyblakłą sceną myśliwską, i wyjęła z szuflady ciężkie srebrne sztućce. *
Jack stał oparty o blat kuchenny i rozkoszował się smakowitym zapachem jagnięciny, który dobywał się z piekarnika. Zwykle stołował się w restauracjach i hotelach. Kiedy był u siebie, w Miami, co zdarzało się rzadko, zamawiał coś na wynos. Kiedyś, jeszcze za życia Lucy, lubił domowe posiłki. Bawili się wtedy, niczym dwoje dzieci, w dom. Lucy uwielbiała francuską kuchnię. Jak na ironię, Jack w ostatnich latach jadał tyle wyrafinowanych francuskich dań, że mu się przejadły.
Westchnął. Nie opuszczały go dzisiaj natrętne myśli w rodzaju „co by było, gdyby". Czas nie zatarł w pamięci cudownych lat młodości spędzonych z żoną. Rzadko pozwalał sobie na powroty do przeszłości, bo wspomnienia były zbyt żywe i bolesne. Miał wrażenie, że dość wyciągnąć dłoń, a znowu poczuje pod palcami jedwabistą miękkość złotych włosów Lucy, zatraci się w błękitnych oczach ukochanej żony.
W takich chwilach myślał o ich wspólnym życiu, o tym, jak walczyli, żeby się pobrać, gdy wszyscy wokół

byli przeciwni ich małżeństwu. „Poczekajcie, jesteście za młodzi", powtarzali z uporem rodzice. Na szczęście nie posłuchali przestróg. Kochali się, świata poza sobą nie widzieli, byli młodzi i pełni nadziei na przyszłość. Większość ich nadziei, ich wspólnych planów, spełniła się. Ale Lucy już tego nie dożyła, Nie mogła cieszyć się materialnymi dobrami, o których kiedyś marzyli. Nie zobaczyła dalekich krajów, o których opowiadali sobie wieczorami w małym domku kupionym przez Jacka za pierwsze zarobione pieniądze. Jaki był wtedy dumny... Koledzy imprezowali, podryw.ali dziewczyny, a on studiował i pracował, w każdy weekend, w każde wakacje tylko praca i praca...

Był dwunastoletnim smarkaczem, kiedy postanowił, że ożeni się z Lucy. Ona też od początku wiedziała, że nie wyjdzie za mąż za nikogo innego.

Aż w jednym koszmarnym ułamku sekundy wszystko się zmieniło. Lucy nie zdążyła nawet zobaczyć pędzącej z naprzeciwka ciężarówki. Od tamtej chwili życie straciło dla Jacka jakikolwiek sens. Miał dwadzieścia dwa lata, kiedy przyszło mu stanąć nad grobem ukochanej. Śmierć zabrała młodziutką żonę i nienarodzone dziecko. Z dnia na dzień z chłopca stał się tragicznie doświadczonym przez los mężczyzną. Jeśli potem się podniósł, jeśli w ogóle funkcjonował, to tylko dzięki żelaznej dyscyplinie i determinacji.

- Gotowe. Niechże pan siada. Już wyjmuję pieczeń z piekarnika.

Głos Mary przywrócił Jacka do rzeczywistości.

Nie na długo.

Usiadł przy stole i znowu się zamyślił. India, co za egzotyczne imię. I ten arystokratyczny brytyjski akcent...

no i oczy, które mieniły się wszystkimi odcieniami zieleni. Kiedy tak niedawno siedziała na pniu drzewa, wydawała się taka bezbronna. Kolana podciągnęła pod brodę i przyglądała mu się czujnie. A jak śmiesznie marszczyła nos, kiedy podsuwał jej piersiówkę z whisky. Widział w niej leśnego elfa, ale i damę, która wyciągnięta na rekamierze w czarnej,- wieczorowej sukni i w kolii z brylantów sączy szampana z wysokiego kieliszka.

W drodze do Dalkirku Serena robiła jakieś niejasne aluzje na temat jakoby „złego" urodzenia Indii. Ciekawe, co miała na myśli? Może dowie się czegoś od Mary?

Dunbar to wyjątkowa rezydencja. Czuł to, a intuicja nigdy go nie zawodziła, gdy wybierał lokalizację dla hoteli. Od momentu gdy zajął się tą branżą, raz tylko popełnił błąd. Miał wtedy dwadzieścia cztery lata i dopiero zaczynał prowadzić interesy na dużą skalę, ale zainwestowane pieniądze zdołał odzyskać.

Coraz bardziej zapalał się do pomysłu kupienia posiadłości i czekał niecierpliwie, kiedy będzie mógł dokładnie obejrzeć dom oraz sprawdzić dokumenty. Jeśli dojdzie do transakcji, konieczny będzie gruntowny remont, ale nakłady powinny szybko się zwrócić, zresztą Dunbar wart był każdych pieniędzy. Położony o pół godziny jazdy od lotniska stanowił wymarzone miejsce na luksusowy hotel. Jack obawiał się tylko, czy Peter się zgodzi. Lokalna społeczność mogła mieć zastrzeżenia, a Kinnaird musiał się liczyć z opinią publiczną. Trudno, w najgorszym razie Jack był gotów sam zrealizować swój projekt. Niełatwe zadanie, zważywszy, że obecnie kierował tyloma przedsięwzięciami, nie wspominając już o ogromnej inwestycji w Buenos Aires.

- Proszę jeść, zanim wystygnie. - Mary postawiła pie-

czeń na stole. - Nie ma nic gorszego niż zimne jedzenie. Przyniosłam nawet butelkę burgunda, co to ją sir Peter otworzył. Zawsze powtarza, że wino musi się odstać.
Jack otrząsnął się z zamyślenia i rozłożył wykrochmaloną serwetkę na kolanach.
- Sir Peter ma rację - przytaknął. - Czerwone wino trzeba szambrować przez kilka godzin, bo zyskuje wtedy na smaku.
- Tak właśnie mówi sir Peter. Coś jeszcze panu podać? - Mary omiotła stół krytycznym spojrzeniem.
- Dziękuję. Mam wszystko, czego mi trzeba. - Jack ukroił kawałek pieczeni, napełnił kieliszek chambertinem rocznik 61 i z namaszczeniem podniósł go do nosa. - Sir Peter wybrał przednią butelkę, pani MacClean.
- Tak samo jak starszy pan. Był prawdziwym smakoszem.
Jack też znał się na winach. W swojej piwniczce w Miami miał wyborną kolekcję pochodzącą głównie z aukcji, a w niej prawdziwe rarytasy. Teraz jednak zajmowało go co innego.
- Proszę mi opowiedzieć coś o pani na Dunbarze, tej, która zmarła kilka dni temu - zwrócił się do gospodyni. - Dunbarowie wydają się ciekawą rodziną.
Mary odłożyła w zamyśleniu ścierkę.
- A jakże, ciekawa familia. Biedna lady Elspeth, chociaż mówią, że lekką miała śmierć. - Westchnęła. -Układała róże w wazonie w holu, a piękne umiała układać bukiety nasza lady Elspeth. Aż tu pani Walker, co to jest gospodynią w Dunbarze, wchodzi, patrzy, a lady Elspeth leży na posadzce.
- Podobno był to zawał.
- Zawał, zawał. Tak od razu powiedział doktor Mac-

Duff. Jedna chwila i już po człowieku. Pani Walker to wprost przyjść do zmysłów nie mogła, jak nieboszczkę dziedziczkę zobaczyła. Sama na serce chora.
- Lady Elspeth miała męża?
- Wdową była. Dwaj ją odumarli, biedaczkę. Jej pierwszy, lord Henry Hamilton, przeniósł się na tamten świat... oj, ze trzydzieści lat będzie. Potem wyszła za pana Duncana Moncrieffa. - Mary zniżyła głos. - Rodzina się burzyła, że on nie ichni, jeśli pan rozumie, co chcę powiedzieć.
Jack zastrzygł uszami.
- Prawdę powiedziawszy, nie rozumiem. Dlaczego się im nie podobał?
- A dlatego, że niby gorszego stanu. Był bogaty, statki w Glasgow budował, a tu same pany po majątkach siedzący, z dziada pradziada na swoich włościach. - Mary pokiwała głową na potwierdzenie własnych słów. - Przemówiwszy się ze starszym panem, sir Thomasem znaczy się, jak z Dunbaru pojechał, tak więcej jego noga tam nie postała. Sir Thomas w oczy mu powiedział, że jego siostra nie dla takiego. Obydwoje precz pojechali, za granicą mieszkali. Jak sir Thomas umarł starym kawalerem, lady Elspeth Dunbar odziedziczyła. Wtedy już wdową była po Moncrieffie. Jak ten czas ucieka. - Mary westchnęła i podsunęła Jackowi porcję szarlotki ze śmietaną. - Jakby to wczoraj było.
- Tak, czas ucieka - przytaknął Jack ze smutkiem w głosie. Gdyby Lucy żyła, gdyby urodziło się dziecko... Nie dokończył myśli.
- Mieli dzieci?
- Dziewuszkę. Panienkę Indię.
- India. Niezwykłe imię.
- Bo widzi pan, tam lady Elspeth na świat przyszła. Sir William, jej ojciec, przy wojsku w Indiach służył.

India musi mieć teraz jakie dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat.
Jack zaczynał rozumieć, dlaczego Serena tak lekceważąco odnosi się do siostry i dlaczego to ona będzie dziedziczką Dunbaru. Nic dziwnego, że w 1776 roku jan-kescy chłopcy wzięli sprawy w swoje ręce i ogłosili Deklarację Niepodległości.
Dla niego, Amerykanina, zdobywanie majątku,, wznoszenie się od zera do milionera, świadczyło o sile, energii i możliwościach człowieka. Nie pojmował, jak można kogoś skazać na ostracyzm tylko dlatego, że należy do „niższej" klasy.
To jakieś przesądy, ludzie z końca dwudziestego wieku nie powinni tak myśleć, a Mary należy do wymierającego gatunku. Diana i Peter nie byli przecież ani trochę snobami, nie mieli ograniczonych horyzontów. Ale kto wie, jak by zareagowali, gdyby któraś z córek postanowiła wyjść za mąż za człowieka „spoza ich sfery".
- Proszę opowiedzieć mi coś więcej o Dunbarach. Mieszkają tu od zawsze, prawda?
- Odkąd ludzka pamięć sięga. Tak samo Kinnairdo-wie. Powiadają, że sir Jamie Kinnaird...
- Ale Dunbarowie to starszy ród? - Jack natychmiast pożałował nierozważnych słów. Maleńka Mary MacClean wyprostowała się i dumnie spojrzała mu w oczy.
- W naszych stronach nie ma starszego od Kinnair-dów. Wiadoma rzecz, że Kinnaird przeciwko Anglikowi z naszym królem Robertem stawał, a i on nie pierwszy był z rodu.
*** Robert I de Bruce - 1274-1329 r., król Szkocji od 1306 r., wybitny wódz i znakomity polityk. Dzięki wspaniałemu zwycięstwu pod Bannockburn (1314) wyzwoli! Szkocję od dominacji angielskiej (przyp. red.).**

- Oczywiście, Peter mi o tym opowiadał. Teraz sobie przypominam - skłamał Jack.
- A jak idzie o familię lady Diany, to tak dawno tu siedzą, że pamięć nie sięga. - Mary wyraźnie zapaliła się do tematu. - Dunbarowie to stary ród, ale Kinnairdów starszy. - Ton jej głosu nie pozostawiał miejsca na żadne wątpliwości. - Prawda, Rob Dunbar poszedł walczyć za Młodego Pretendenta w czterdziestym piątym, chociaż reszta Dunbarów za broń nie chwyciła, Niemca uznała.
- Bardzo interesujące, pani MacClean. A pani szarlotką i Bonnie Prince Charles by nie pogardził. - Uśmiechnął się szeroko, usiłując wkraść się na powrót w łaski gospodyni.
- Pochlebstwa, pochlebstwa. Tyle pan jeździ po świecie, to nie takie rzeczy jadał.
- Może i nie takie, pani MacClean, ale nie takie dobre jak pani szarlotka.
Gospodyni aż zatrzęsła się od śmiechu i zaraz zamilkła, nasłuchując.
- Jakbym samochód słyszała. Kto to może być o tej godzinie? Wyjdę zobaczyć. A pan niech je pudding.
- Pójdę z panią. Właściwie już skończyłem. - Jack odłożył serwetkę i wstał. Nie mógł przecież puścić Mary samej.
- Niech pan siedzi, toż nic mi się nie stanie. U nas ludzie spokojni, to nie Ameryka - powiedziała ze śmiechem.
Ledwie skończyła, rozległo się pukanie do drzwi kuchennych.
- Dziękuję za doskonałą kolację, pani MacClean. Jack przeszedł do gabinetu Petera. Usiadł za biurkiem,
odgarnął na bok jakieś dokumenty i ulotki, zrobił trochę

miejsca dla siebie, omiótł spojrzeniem pokój pełen książek, starej broni, rodzinnych pamiątek. Peter ma kolekcjonerskiego bzika, pomyślał z uśmiechem.
Nagle przypomniał sobie ich wspólny wieczór, przed pięciu łaty, w Hongkongu. Siedzieli w barze hotelowym i opijali przystąpienie do spółki. Polubili się od pierwszej chwili. Jacka ujęła bezpośredniość Petera, poczucie obowiązku, rzetelność w pracy. Emerytowany oficer dyscyplinę miał we krwi. Intuicja mówiła Jackowi, że ma do czynienia z człowiekiem na wskroś uczciwym, i czas potwierdził tę ocenę.
Nalał sobie kilka kropli brandy, wyjął cygaro i zanurzył jego koniuszek w bursztynowym alkoholu, jak to robią Kubańczycy, i dopiero potem zapalił. Zapatrzony w unoszącą się smużkę dymu, Jack przypomniał sobie kolację u Gaddiego i dziwną atmosferę tamtego wieczoru. I on, i Peter byli bardziej przygaszeni niż rozemocjo-nowani. Obaj mieli świadomość, że zaczynają nowy rozdział. W pewnym momencie Peter zaproponował:
- Może odwiedziłbyś nas w Dalkirku, Jack? Spodoba ci się Szkocja. Jest gdzie polować i wędkować. Poznasz Dianę i dziewczynki.
Gwałtownie pchnięte drzwi oderwały Jacka od wspomnień. W pokoju pojawiła się Chloe, piękna siostra Diany. W długim futrze z soboli wyglądała jak Królowa Śniegu.
- Cześć, jankesie. Nie wiedziałam, że tu jesteś. Rzuciła wielką skórzaną torbę Vuittona na fotel, zdjęła futro i podeszła uściskać Jacka.
- Co cię sprowadza? - zapytał, przyglądając się jej z rozbawieniem. Niska, ciemnowłosa, żywa, o roziskrzonych oczach, zawsze roześmiana, z zadziorną miną. Kró-

Fiona Hood-Stewart
53
Iowa Śniegu zniknęła, pojawił się wesoły skrzat, pomyślał. Zawsze go zdumiewało, że w tak drobnej osóbce może się mieścić tyle energii. - Masz ochotę na drinka?
- Pewnie! Gin z tonikiem, proszę. Jestem wykończona. Mam pilną sprawę. - Jej twarz nagle posmutniała.
- Gdzie Peter i Di?
- U waszej matki. Zabrali dziewczynki i pojechali do niej na kilka dni.
- Ach tak, zapomniałam. A ty dlaczego nie pojechałeś? - Spojrzała na Jacka z zaciekawieniem.
- Nie miałem ochoty.
- Przepraszam, nie powinnam była pytać. Miałam okropną podróż. W Turnhousę nie mogłam znaleźć taksówki, w końcu wynajęłam samochód. Wracając, zostawię go na lotnisku. Nieważne. Musiałam przyjechać. -Chloe westchnęła ciężko.
- Wyglądasz na zmartwioną. Chloe, co się stało? -Jack podał jej szklaneczkę i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.
- Przyjechałam na pogrzeb. Umarła matka mojej najserdeczniejszej przyjaciółki. Znamy się od dziecka, nie rozstawałyśmy się w szkole. Złapałam pierwszy lot wahadłowy, wyjadę jutro wieczorem albo pojutrze z samego rana.
- Masz na myśli matkę Indii?
- Tak. Skąd wiesz? - zdumiała się Chloe.
- Poznaliśmy się.
- Nie może być. - Chloe odstawiła szklaneczkę z dżinem i nachyliła się ku Jackowi. Znowu była sobą.
- Musisz mi wszystko opowiedzieć.
- Spotkałem ją podczas polowania. Wyszła prosto na strzał, centymetry dzieliły ją od śmierci. Powinna była bardziej uważać.

54.

DROGA KU PRZEZNACZENIU

- Chcesz powiedzieć, że ktoś o mały włos nie zastrzelil Indii?
- Chcę powiedzieć, że ten „ktoś" to ja.
- Dlaczego? Co ci zrobiła? - Chloe zmarszczyła czoło. Nic nie rozumiała ze skąpych słów Jacka.
- Zlituj się, Chloe. To był wypadek. - Na myśl o fatalnym zdarzeniu wróciła cała irytacja.
- Jezu. I co dalej? - Chloe zabłysły oczy. Uwielbiała takie romantyczne historie. Wokół głusza, ona i on, dramatyczne zdarzenie, a potem... - Mów, Jack, co potem?
- Jak na dzikiego jankesa przystało, obaliłem ją na leśne runo i zgwałciłem - odparł Jack z kamienną twarzą.
- Nie wygłupiaj się. Powiedz, jak było naprawdę. Na pewno się wściekła.
- Owszem. Kazała mi spadać. Powiedziała, że naruszyłem teren prywatny, uznała za półgłówka.
- Cała India. Kiedy chce, potrafi pokazać, jak wyglądają fochy wielkiej damy. Ale z tym półgłówkiem trafiła w sedno... Mów dalej. - Chloe zapomniała na moment o przygnębiających okolicznościach, które sprowadziły ją do Dalkirku.
- Coś taka ciekawska?
- Jestem dziennikarką. Zbieram informacje i przekazuję je do wiadomości publicznej. Na tym polega moja misja - stwierdziła z emfazą godną lepszej sprawy.
- Misja, dobre sobie... Chloe, prowadzisz kronikę towarzyską w babskiej gazecie. Innymi słowy, żywisz się plotkami. Jesteś jak harpia i za grosz ci nie ufam.

Puściła tę uwagę mimo uszu.

- No więc poszła sobie zła jak wszyscy diabli. Ale to jeszcze nie koniec, czuję to.
- Straszna piła z ciebie. India z tych wszystkich emo-

cji zemdlała, a jak się ocknęła, odprowadziłem ją do domu. Może być?
- India zemdlała? - Chloe ze smutkiem pokręciła głową. - Biedaczka. To pewnie przez to straszne nieszczęście, które na nią spadło. Lecz czyż nie jest zachwycająca?
Oczywiście, ale choćby go żywcem przypalali, Jack i tak nie przyzna się, jakie wrażenie na nim zrobiła.
- Ujdzie - rzucił od niechcenia. - Ale nie jest w moim typie. Tylko nie próbuj nic knuć, z łaski swojej. Naprawdę cię lubię, Chloe, ale jeśli spróbujesz swoich sztuczek, uduszę jak kurczaka... - Spoważniał.
- Naprawdę nie potrzebuję żadnych komplikacji. Dobrze mi tak, jak jest. - Wstał gwałtownie zza biurka. Nie chciał rozmawiać o Indii, o chwilach, które z nią spędził. Sam ich jeszcze nie przetrawił w myślach.
- Biedna Indy. Nie mogę uwierzyć, że nie wpadłeś w zachwyt na jej widok. Wszyscy faceci wpadają, ale ona każdego spławia.
- I przyjaźni się z kimś takim jak ty?
Chloe zmierzyła Jacka mrocznym spojrzeniem i pogroziła mu palcem.
- Teraz rozumiem, dlaczego się nie ożeniłeś. Żadna by z tobą nie wytrzymała. Powinieneś nosić tabliczkę z napisem: „Uwaga, gryzę kobiety". Muszę zrobić sobie jeszcze jednego drinka.
Jack przyglądał się z uśmiechem, jak Chloe nalewa szczodrze dżin do szklanki. Dobrze mu było w Dalkirku. Wprawdzie dom nie był tak wspaniałą perłą architektoniczną jak Dunbar, do tego kolejne pokolenia dokonywały wielu zmian, kierując się bardziej wygodą niż względami estetycznymi, lecz tchnął ciepłą, rodzinną atmosferą. Na każdym kroku, w każdym detalu czuło się

rękę Diany i jej subtelny smak. Widać to było nawet w przemyślanym bałaganie, który odejmował wnętrzom sztywności i sprawiał, że człowiek czuł się tu naprawdę swobodnie.
Zupełnie inaczej niż w jego luksusowym mieszkaniu w Miami. Jack skrzywił się z niechęcią. Marmurowe posadzki i regały ze szkła lśniły tam martwym blaskiem niczym ekspozycja na targach wnętrzarskich. Kupił ten apartament dla widoku, który rozpościerał się za oknami, oraz miał stąd blisko do pracy, poza tym była to znakomita lokata kapitału. Ale nie praw,dziwy dom.
Szkocja od pierwszego pobytu zapadła mu w duszę i zaczął przyjeżdżać tu regularnie. Dalkirk był jedynym miejscem, gdzie po latach samotności poczuł się trochę jak u siebie. Kinnairdowie przyjęli go do rodziny. Diana otaczała go matczyną opieką, zaś urocza Chloe wciąż mu dokuczała niczym młodsza siostra znęcająca się nad okropnym, choć kochanym bratem.
Patrzył, jak Chloe sadowi się wygodnie na skórzanej kanapie, i po raz nie wiadomo który uświadamiał sobie, jak cała ta rodzina jest mu droga i bliska.
- Grosik za twoje myśli - mruknęła pani redaktor kroniki towarzyskiej, rzucając spojrzenie spod długich rzęs.
- Myślę o was. Wy, Kinnairdowie, jesteście moimi prawdziwymi przyjaciółmi - powiedział, wydmuchując dym z cygara.
- Jack, skarbie, my cię uwielbiamy. Nie wyobrażam sobie naszego gniazda bez ciebie. - Podniosła szklaneczkę i uśmiechnęła się serdecznie. - No i mam na kim ćwiczyć jęzor, kiedy tu wpadam. Dlaczego nie mielibyśmy być twoimi przyjaciółmi?

- Zdziwiłabyś się. - Jack zaśmiał się cierpko. - Ludzie zapraszają mnie do siebie, kiedy do czegoś jestem im potrzebny. Nie potrafią powiedzieć wprost, to szukają innych sposobów. Goszczą mnie, karmią, poją i tylko czekają na dogodny moment, żeby wyłożyć sprawę. Tymczasem kiedy Peter zaprosił mnie tutaj po raz pierwszy, wiedziałem, że po prostu chce mojego przyjazdu. Od tego czasu czuję się u was jak w domu.
- Chociaż tego nie widać na pierwszy rzut oka, z ciebie jest kawał porządnego faceta. Gdybyś nie był taki apodyktyczny i pryncypialny, co na ludzki język tłumaczy się: upierdliwy, pewnie zakryłabym cię tiulowym płaszczem mych nieodpartych wdzięków - pokpiwała Chloe.
- Zero szans. Jestem wolnym ptakiem.
- Tere-fere brzdąc. Na zewnątrz zimna skała, w głębi czułe serduszko, taki jesteś, Jack. Wiem dobrze, że potrafisz być kochaniutki i cieplutki, jeśli tylko zechcesz.
- A niech cię, Chloe... Odczepisz się wreszcie? Miałem ciężki dzień. Niedawno wróciłem z Dunbaru. Serena mnie odwiozła.
- Ta zgaga?
- Cholerna, pieprzona zgaga.
- Któż zaprzeczy słowom poety? Z pewnością nie ja. - Roześmiała się. - Masz rację, Serena to nic dobrego. Natomiast India to prawdziwe cacuszko. Wytworna, wrażliwa, z klasą. A jak jej się chce, to pokazuje swoje poczucie humoru. - Redaktorka od plotek wiedziała, jak zmienić temat.
- I świetnie zna swój fach.
- Jesteśmy bardzo spostrzegawczy, co, panie Buchanan? A jak tam nasza Serena? Czeka na łupy?

- Na to wygląda. Ma odziedziczyć Dunbar.
- I odziedziczy. Lady El najpewniej jej zapisała posiadłość. India nigdy nie była przywiązana do tego miejsca. Pojadę do niej jutro z samego rana. Przyda się jej moje wsparcie. We dwie damy odpór kochanej siostrzyczce. Och, coś sobie przypomniałam. - Na smutnej jeszcze przed sekundą buzi Chloe pojawił się złośliwy uśmieszek. - Wtedy, na przyjęciu, które urządzaliśmy we wrześniu, widziałam, jak wymykałeś się z Sereną na górę.
- A tobie co do tego, smarkulo? Ale dobrze, wydam oficjalne oświadczenie i koniec tematu. Otóż był to pożałowania godny incydent, wart jedynie tego, by pokryły go mroki niepamięci. A zresztą, porządna panienka nie rozmawia z facetami o takich rzeczach.
- Nie rozmawiam z żadnym facetem, tylko z tobą -lekceważąco oznajmiła Chloe.
- Serdeczne dzięki. Słuchaj, mała, zabiję, zadźgam, zetnę łeb, utopię, powieszę, do wyboru, jeśli piśniesz choć słowo Peterowi albo Di.
- Obiecuję. - Chloe położyła dłoń na sercu i popadła w zamyślenie, a roziskrzone oczy zasnuły się nieoczekiwanie mgiełką melancholii.
- Ej, ptaszynko, czyżby serduszko znowu szwankowało? Zakochałaś się?
- Skąd wiesz? - zawołała i omal nie wylała drinka na podłogę.
- Można czytać w tobie jak w księdze. Z nagła nieobecne spojrzenie, ciche westchnienia, stęskniona dusza ulatująca do lubego... - Jack zachichotał.
- Śmiej się, pajacu, ale tym razem to poważna sprawa.
- Rozumiem... No to gadaj, ale wszystko, jak na torturach.

- Jack, przestań! - fuknęła Chloe i zaraz się rozmarzyła. - Nie, nie zrozumiesz tego. Bo on jest... inny, całkiem niepodobny do facetów, z którymi wcześniej się spotykałam.
Jack wywrócił oczami.
- Chloe, brzmi to jak refren wciąż ponawianej piosenki. Dokładnie to samo mówiłaś o trzech ostatnich fa-tygantach.
- Ale z ciebie wredny palant! Czy potrafisz choć przez chwilę być poważny? Tobie nic nie można powiedzieć. A on kupił nasze pismo. Rozszerza pole działania
- dodała wyniośle.
- A na jakim działał dotąd?
- Naftowym. To Teksańczyk.
- Miał chłopina taki porządny fach... Po co mu, na Boga, babskie pismo z kolorowymi obrazkami? - Mimo tych kpin teksański *amoroso zaczął* budzić zainteresowanie Jacka.
- Chce z niego zrobić duży międzynarodowy magazyn. Zaproponował mi stanowisko naczelnej w filii nowojorskiej - rzuciła od niechcenia i zajęła się splataniem frędzli przy poduszce. - Nie wiem, czy je przyjąć. Lubię Londyn, ale Nowy Jork to Nowy Jork, centrum świata bez dwóch zdań. Coraz więcej Brytyjczyków otwiera biznesy na Madison Avenue.
- Przejął cię razem z pismem? Żywy inwentarz?
- Ty kanalio! - Chloe rzuciła poduszką, ale Jack zdążył się uchylić. - Jak widzisz Indy? - zapytała po chwili.
- Trzyma się? Kiedy rozmawiałam z nią wczoraj wieczorem, ledwie mogła mówić. Nie ta sama dziewczyna. Lady El była super. Wszystkim nam będzie jej brakować.
- Nie wiem, jak czuje się-India. - Jack nie chciał

wdawać się w szczegóły. - Dowiedziałem się o śmierci jej matki przez czysty przypadek. Gdyby nie moje głupie pytania, nic by nie powiedziała. Gości nie zabawia się opowieściami o zejściu mamusi. Taka z niej doskonała pani domu.
- Typowe! - wybuchnęła Chloe. - Chodzący podręcznik dobrego wychowania. Czasami mogłaby sobie odpuścić. Wszystko przez tego fiuta Christiana. Nie powinna była za niego wychodzić. Przy nim się tak zasko-rupiła.
- Jest mężatką? - W głosie Jacka zabrzmiał głęboki zawód.
- Już nie, Bogu dzięki.
- Jak długo byli małżeństwem?
- Kilka lat.
- Dlaczego się rozstali?
- I kto tu jest wścibski?
- Zaledwie ciekawy. Chloe zasępiła się.
- Zostawił ją dla jakiejś niemieckiej księżniczki von Coś Tam, kiedy tylko się zorientował, że lady El roztrwoniła fortunę po drugim mężu, a faktycznie spadek Indii. Biedna lady El nigdy nie miała głowy do pieniędzy. Nie rozumiem, dlaczego Moncrieff nie ustanowił funduszu powierniczego, tak czy inaczej nie pomyślał o tym i zabójczy hrabia de Monfort znowu musiał ruszyć na łowy. Miał szczęście, bo ustrzelił całkiem posażną dziedziczkę. - Chloe kipiała gniewem. - Ten skunks nie miał nawet dość odwagi, żeby powiedzieć o tym Indii w oczy. Nie, wolał załatwić sprawę listownie. Miał czelność napisać, że musi myśleć o dobru swojego rodu i właściwej paranteli. Dasz wiarę?

- Dupek. - W Jacku wezbrała złość. Ten bydlak zasługiwał na chińskie tortury.
- Owszem. Zabiłabym go za to, co zrobił. Indy bardzo to przeżyła, choć kryła się z tym. W efekcie uciekła w pracę. Druga sprawa, że potrzebuje pieniędzy, bo inaczej straci Chantemerle.
Jack słuchał uważnie. Umierał z ciekawości, chciał wiedzieć więcej, ale nie był na tyle szalony, żeby wypytywać Chloe.
Zakochana pani redaktor ziewnęła szeroko.
- Zadzwonię do Indy i kładę się. Padam z nóg.
- Śpij dobrze, smarkata. - Jack wstał i podał jej futro.
- Smarkata, widzicie go - sarknęła.
- Dobrze, niech będzie dzierlatka. Tobie potrzebny jest ktoś, kto zdoła wziąć cię na krótką smycz. Inaczej zbłądzisz na manowce.
Chloe pokazała język i wyszła.
Jack uśmiechnął się i wziął dp ręki książkę leżącą na stoliku. Był to najnowszy Grisham, w sam raz lektura do poduszki.
Sprawdził, czy ogień na kominku wygasł, zgasił światło i wyszedł z gabinetu. Nie mógł przestać myśleć o Indii, ale zanim dotarł do swojego pokoju, zdołał sobie wytłumaczyć, że to zupełnie normalne. W końcu omal jej nie zastrzelił, właśnie straciła matkę, podły mąż ją opuścił... Dość powodów, by osoba Indii zaprzątała jego uwagę.
Spojrzał na książkę krzywym okiem. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio musiał się uciekać do lektury, żeby zapomnieć o kobiecie. Nie angażuj się, bo napytasz sobie biedy, przestrzegał się w duchu. Ale intuicja mówiła mu coś zupełnie innego, a Jack zawsze ufał swojej intuicji.

ROZDZIAŁ TRZECI

India nawet nie przypuszczała, że odezwie się w niej tak silny sentyment do Óunbaru. Nigdy tu nie mieszkała, nigdy nie bawiła dłużej, jedynie w dzieciństwie, skąd zatem to wrażenie swojskości? A jednak czuła się tu jak w domu.

W galerii, gdzie wisiały portrety przodków, spoglądała w twarz swojej prababki, lady Helen. Jej mądre, pełne zrozumienia oczy zdawały się mówić: „Nie martw się, idź spokojnie swoją drogą".

Przemierzała kolejne pokoje, utrwalając w pamięci każdy szczegół. Być może po raz ostatni była w Dun-barze. Na myśl o sprzedaży posiadłości serce się jej ściskało z bólu. Kiedy wczoraj oprowadzała Jacka, uświadomiła sobie, jak wiele znaczy dla niej ten dom, i teraz po raz setny zadawała sobie pytanie, jaki los go czeka. Jeśli Serena odziedziczy Dunbar, czy będzie w stanie

o niego zadbać, jak tego wymagał? Czy poświęci mu czas

i starania? India westchnęła z rezygnacją. Zapewne nie. Droga siostrzyczka sprzeda Dunbar tak szybko, jak tylko zdoła, rada, że może pozbyć się kłopotu.

Zatrzymała się przy oknie w sypialni matki i wyjrzała na zewnątrz. Na ośnieżonym trawniku królował samotny, potężny dąb. Zasadził go w 1280 roku William, pierwszy pan na Dunbarze. Przypomniała sobie jego słowa przekazywane z pokolenia na pokolenie, a które sama usły-

szała od matki: „Dopokąd dąb stał będzie, potąd tą ziemią władać będą Dunbarowie".
Już nie będą, Williamie, pomyślała ze smutkiem i odwróciła się od okna.
Zamierzała wyjść z pokoju, gdy jej wzrok padł na biureczko lady Elspeth. Na blacie leżała do połowy zapisana kartka papeterii, a na niej otwarte pióro wieczne. India podeszła do biurka, wzięła kartkę do ręki i zadrżała. Był to adresowany do niej list.
Najdroższa Indio,
Piszą do Ciebie, bo znalazłam się w prawdziwym kłopocie, z którego nie wiem, jak wybrnąć. Muszą z Tobą koniecznie porozmawiać. Przyjedź do Dunbaru najszybciej, jak możesz. Zadzwoniłabym, ale boją się, że nasza rozmowa zostanie podsłuchana. Musisz wiedzieć, że...
Tu list się urywał, jakby ktoś przeszkodził lady Elspeth. India spojrzała na datę. Matka pisała w dniu swojej śmierci. Co ją tak bardzo zaniepokoiło? Skąd ten lęk, że ktoś podsłucha rozmowę? Nie czas teraz o tym myśleć. India starannie złożyła kartkę i schowała ją do kieszeni. Później, po pogrzebie, wróci do zagadkowych słów matki.
Zeszła na dół i skierowała się do pokoju śniadaniowego. Miała nadzieję, że Serena jeszcze nie wstała, pragnęła bowiem choć przez chwilę pozostać z własnymi myślami.
Przeliczyła się. Serena siedziała już przy stole, chociaż trafniej byłoby powiedzieć, że rozwalała się, bo pozę przyjęła wielce swobodną: łokieć na blacie, jedna noga na sąsiednim krześle. Kiedy India weszła, podniosła głowę.
- Dzień dobry. - Wykonała dłonią gest, który miał

oznaczać, że pozwala siostrze zająć miejsce, i zapaliła papierosa. - Zjedz cokolwiek. Przyda ci się. Przed chwilą była tu Kathleen. Nie wiem, jak mama mogła wytrzymać towarzystwo tej nudziary. W dodatku zachowuje się tak, jakby ten dom należał do niej. Bełkotała coś, że o dziesiątej pojawi się łan z Ramseyem, tym notariuszem.

India mruknęła coś na powitanie i usiadła, słuchając monologu Sereny jednym uchem. Dziwne, myślała. Mieć tę samą matkę i nie czuć wobec siebie nic poza obcością. Dziwne i smutne, tym bardziej teraz, kiedy zostały tylko we dwie.

Nie była głodna, ale nie mogła dopuścić, żeby burczało jej w brzuchu w czasie odczytywania testamentu. Byłaby to niewybaczalna kontuzja. Zdecydowała się na tost, więc znowu wstała i podeszła do pomocnika.

- Tosty? - zawołała Serena. - Świetnie. Włóż do opiekacza kromkę dla mnie. - Wrzuciła niedopałek do szklanki z resztką soku pomarańczowego i zdjęła swoją arystokratyczną łydkę z krzesła. - Potknęłam się o ten cholerny dywan w holu. Ma całkiem wysiepane brzegi. O mało co nie złamałam nogi. Ale skręciłam kostkę. -Skrzywiła się i zaczęła masować sponiewieraną część ciała. - Nigdy bym nie przypuszczała, że zobaczę w Dunbarze Jacka Buchanana. Zabawne. Wiesz, że nawet mi nie podziękował, kiedy odwiozłam go do Dalkirku? W końcu wyświadczyłam mu sporą grzeczność. Nie każdy gotów byłby jechać Bóg wie dokąd w taką paskudną pogodę. Niektórzy ludzie zupełnie nie mają manier, ale kto miał ich uczyć dobrego wychowania? Nieważne. Powiedz mi lepiej, co o nim myślisz. - Spojrzała na Indię badawczo. - Jest wspólnikiem Petera Kinnairda i ma kupę pieniędzy. Aż dziw, że żadna go jeszcze nie upolowała.

- Może jest z kimś związany. - India wróciła do stołu i podała Serenie srebrny stojak z tostami.
- On? Skądże. To samotny myśliwy, prawdziwy pies na kobiety. Możesz mi wierzyć. - Serena uśmiechnęła się znacząco. - Zupełnie nie w twoim typie. Lubi jasne sytuacje, czego ty raczej nie akceptujesz.
- Nie moja sprawa, kim jest, ani co lubi - powiedziała India obojętnym tonem.
- Nie chcę, żebyś się sparzyła, skarbie. Widziałam, jak na ciebie patrzy. To twarda sztuka, ale tak między nami, świetnie się pieprzy.
India odstawiła z trzaskiem filiżankę na spodek.
- Dzisiaj jest pogrzeb mamy, zaraz potem odczytanie testamentu, a ty zabawiasz mnie opowieściami o sprawności seksualnej pana Buchanana. Mogłabyś sobie darować. Zachowaj choć odrobinę szacunku...
- O la la. Przepraszam, jeśli uraziłam twoją wrażliwość - powiedziała Serena z przekąsem. - Ale masz rację, trzeba się zająć sprawami spadkowymi - dodała zupełnie innym tonem.
- Wiesz, jak sprawy stoją?
- Nie. Ramsey cały czas powtarza, żeby nie wspominać słowem o kiepskiej kondycji finansowej Dunbaru. Już się spieszę. Poszłabym na ulicę, gdyby bank nie udzielił mi kredytu pod zabezpieczenie spadkowe. Z samym majątkiem będę miała dość kłopotów, a do tego jeszcze dochodzą spanikowani dzierżawcy i służba. - Serena zapaliła następnego papierosa, odgarnęła włosy z twarzy i prychnęła lekceważąco.
India nic nie odpowiedziała. Niewiele wiedziała o zarządzaniu majątkiem, ale domyślała się, że nie jest to prosta sprawa. Serena zachowywała się tak, jakby była

już panią na włościach, ale czy podoła nowym obowiązkom? Z drugiej strony wydawało się logiczne, że to właśnie ona odziedziczy Dunbar. Należała do świata hołdującego feudalnym tradycjom, w którym India była jedynie przybłędą.
- Coś trzeba zrobić z folwarkiem. Jeśli chodzi o tereny łowieckie... Zresztą, nie będę cię zanudzała sprawami, na których się nie znasz. To mój problem. Może zresztą sprzedam majątek - rzuciła jakby nigdy nic.
- Myślisz o sprzedaży? - India mogła się spodziewać tych słów, a jednak sprawiły jej ból. - Ta ziemia od ponad siedmiuset lat należy do Dunbarów. Rozumiem, posiadłość jest zadłużona, ale coś chyba da się zrobić, żeby ją uratować. Mama na pewno tego by sobie życzyła.
- Nie wiem, czy zdołam utrzymać Dunbar. Za dużo wymaga pracy, zbyt wiele musiałabym w niego zainwestować, a na sprzedaży jeszcze zarobię. Ty nie musisz się martwić o pieniądze, prawda? - W głosie Sereny zabrzmiała wyraźna pretensja.
Aż do dzisiejszego ranka India nie zastanawiała się nad podziałem spadku. Była zbyt wstrząśnięta śmiercią matki, żeby się o tym myśleć, ale teraz jeżyła się, słuchając Sereny. Z jednej strony absolutna nonszalancja, gdy szło o przyszłość Dunbaru, z drugiej całkowita pewność, że majątek jej właśnie przypadnie.
- Pytasz, czy zadowolę się tym, co mam? Owszem. Kosztowało mnie to kilka lat pracy, ale teraz La Dolce Vita przynosi całkiem niezły dochód, a dzięki ostatniemu zleceniu z Brazylii mam nadzieję do końca spłacić zadłużenie na hipotece Chantemerle. Ale to nie ma nic do rzeczy. Nie wiem, czy chcę sprzedać Dunbar.
Na twarzy Sereny pojawiło się zdumienie.

- A co ty masz do gadania? Nie sądzisz chyba, że będziesz współdziedziczyła Dunbar?
- A dlaczego nie? Jestem przecież tak samo córką mamy jak ty.
- I wielka szkoda. No cóż, nasza matka zdradziła swoją klasę. Nie powinna była wychodzić za twojego ojca, a już w żadnym razie rodzić ciebie. Dunbar mnie się należy.
India z trudem hamowała gniew. Wreszcie zrozumiała przyczynę siostrzanych przycinków, które znosiła przez lata. Wstała i podeszła do kominka.
- Zapewne miło żyć z poczuciem własnej wyższości, ale wybacz, nie będę przed tobą dygać i całować herbowego sygnetu na twoim palcu. Nie masz prawa tak się do mnie odzywać.
- Wyobraź sobie, że mam. Jestem od ciebie starsza, a mój ojciec był szlachcicem, natomiast ty jesteś efektem żałosnej pomyłki, której nasza matka gorzko żałowała, ale nigdy się do niej nie przyznała, bo była na to zbyt dumna. Wydaje ci się, że jak odziedziczysz Dunbar, to zostaniesz jedną z nas. Otóż nie. Zawsze będziesz nikim. - Serena zaśmiała się triumfalnie.
- Nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie myślą. Obchodzi mnie natomiast Dunbar i związani z nim ludzie, tacy jak pani Walker czy stary Tompson. Przepracowali tu całe życie. Dokąd teraz pójdą? Chcesz mi powiedzieć, że ich los jest ci zupełnie obojętny? - India zacisnęła dłonie, aż pobielały jej knykcie. - A jeśli chodzi o prawa, to należę do rodziny tak samo jak ty, czy ci się to podoba, czy nie. To jest dom także moich przodków i mam coś do powiedzenia w sprawie jego przyszłości.
- Albo nie chcesz, albo nie potrafisz zrozumieć naj-

prostszych rzeczy. - Serena pokiwała głową z politowaniem i dolała sobie kawy.
- Dzień dobry paniom - doszedł od drzwi gardłowy męski głos. W progu stał Wolfie, przyjaciel Sereny, sztywny jakby kij połknął Niemiec o ziemistej cerze, manierach kamerdynera i przyciętych z chorą precyzją blond włosach.
Na pewno podsłuchiwał pod drzwiami, zanim wszedł, pomyślała India ze złością. Nigdy nie mogła zrozumieć, co Serena widziała w tym człowieku. Nie miała też zamiaru ciągnąć w jego obecności rozmowy o sprawach ściśle rodzinnych.
- Idę na górę - oznajmiła z jawną wrogością w głosie.
- Spokojnie - mruknęła Serena. - Moja siostra uważa, że mama zapisała jej Dunbar - poinformowała ze śmiechem swojego najdroższego i ponownie zwróciła się do Indii: - Nie spóźnij się na otwarcie testamentu. Czysta formalność, ale warto posłuchać, prawda?
- Prawda - przytaknęła India. - Jeszcze jedno. Nie zgadzam się, żeby twój przyjaciel był przy tym. To sprawa czysto rodzinna. Jasno się wyraziłam?
- Jak możesz tak traktować biednego Wolfiego? Tak lubił mamę. - W głosie Sereny zabrzmiała nuta urazy.
- Hm. Powiedz mi, Sereno, dlaczego mamie tak zależało na rozmowie ze mną? Dlaczego napisała list, w którym nalegała, żebym koniecznie przyjechała do Dunbaru tak szybko, jak to możliwe?
- Nie wiem, o czym mówisz, Indy, ale pozwolisz, że to ja będę decydowała, co wolno gościom w moim domu.
- Proszę bardzo, jeśli się okaże, że to rzeczywiście twój dom. - India spojrzała na Wolfiego. - Mam wrażenie, że chcieliście wymóc na mamie sprzedaż majątku, dlatego mnie wzywała.

Serena podniosła się gwałtownie, stanęła naprzeciwko siostry i odrzuciła włosy do tyłu.
- Nie waż się mówić w ten sposób ani do mnie, ani do Wolfiego. Wymóc na mamie, rzeczywiście. Jeszcze jedno słowo, a...
- Nie zamierzam znosić dłużej twojej bezczelności, Sereno. - India nie panowała już nad sobą. - Nie dopuszczę, żebyś swoim zachowaniem obrażała pamięć naszej matki w dniu jej pogrzebu. Przynajmniej mogłabyś udawać, że coś dla ciebie znaczyła.
- Jak śmiesz odzywać się do mnie tym tonem? - Serena niemal krzyczała.
- Powinnam wobec ciebie używać tego tonu już dawno temu, ale nie chciałam sprawiać przykrości mamie. Poza tym ciągle wierzyłam, że kiedyś w końcu uda się nam porozumieć.
Serena rzuciła siostrze wściekłe spojrzenie i wróciła do stołu.
- Uspokój się, kochanie - powiedział Wolfie, kładąc dłoń na jej ramieniu.
- Rozumiesz chyba, że to sprawa wyłącznie rodzinna i że nic tu po tobie - zwróciła się do niego India, usiłując nadać głosowi możliwie spokojne brzmienie.
- On nie wyjedzie. Ma prawo tu być. Niedługo się pobieramy. Mnie mężczyźni nie zostawiają.
- Tracisz czas, Sereno. Nie zamierzam odpowiadać na twoje niewybredne złośliwości. - India odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.
W holu odetchnęła z ulgą, rozprostowała zaciśnięte dłonie i powoli ruszyła po schodach do swojej sypialni. Po chwili położyła się na łóżku, uważając, żeby nie pognieść czarnego kostiumu Chanel. Dostała go kiedyś

w prezencie od lady Elspeth, kiedy jeszcze pieniądze nie stanowiły problemu. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Matka zawsze była niezwykle elegancka, więc India chciała dzisiaj też wyglądać elegancko. Dla niej.
Nagle przypomniała sohie, co Serena mówiła o Jacku. Czy spała z nim? India skrzywiła się z niesmakiem. Nawet jeśli tak, to co jej do tego? Miała ważniejsze rzeczy na głowie, sprawy, które mogły zaważyć na całym jej dalszym życiu, a także na życiu ludzi, którzy przez tyle lat wiernie służyli rodzinie. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, gotując się na najgorsze.
John Ramsey zdjął okulary w szylkretowych oprawkach i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. India siedziała na kanapie obok Kathleen, kuzynki i wiernej towarzyszki lady Elspeth, osoby czterdziestosiedmioletniej, pogodnej i zażywnej. Jej przysypane siwizną, krótko obcięte włosy miały nieokreślony kolor, a głęboko osadzone piwne oczy spoglądały bystro na świat. Ubrana była w skromny, mocno znoszony kostium z tweedu. Po lewej ręce Indii usadowiła się pochlipująca, w wielką chustkę do nosa, pani Walker. Trochę dalej zajął miejsce chudy jak szczapa kuzyn łan, który od czasu do czasu rzucał pełne dezaprobaty spojrzenia w stronę wielce znudzonej czekającą ją procedurą Sereny, Na szczęście Wolfie nie pojawił się.
Po obowiązkowym poczęstunku, na który złożyły się herbata i ciasteczka, John Ramsey przystąpił do rzeczy:
- Zebraliśmy się tutaj, by odczytać ostatnią wolę lady Elspeth Caroline Moncrieff, primo voto Hamilton, de domo Dunbar. - Notariusz przez kilka minut czytał monotonnym głosem prawnicze formuły.

Niewielkie sumy otrzymali Kathleen i Ian, a także pani Walker i stary Tompson.
Ramsey przeszedł do najważniejszej części testamentu:
- Moim córkom, Serenie Helen Hamilton i Indii Dunbar Moncrieff zapisuję cały swój majątek w ruchomościach i nieruchomościach do równego podziału. Posiadłość ziemska Dunbar ma należeć do obydwu moich córek. W wypadku gdy jedna ze stron zechce przejąć Dunbar, powinna spłacić połowę należną drugiej po cenach obowiązujących na rynku.
Serena poderwała się z fotela.
- Jak to do obydwu? - zawołała. - Musiał pan źle przeczytać. Proszę mi to dać! - Podbiegła do Ramseya i wyrwała mu testament z dłoni.
- Na litość boską, Sereno, opanuj się! - nie wytrzymał Ian.
- A to niespodzianka - wymamrotała Kathleen. -Kto by przypuszczał. - Spojrzała na Serenę i położyła dłoń na kolanie Indii. - Zawsze wiedziałam, że coś z nią nie w porządku, ale żeby aż...
Do Indii długo nie docierało to, co przed chwilą usłyszała. Dunbar należy do niej - co prawda też do Sereny - ale jest jej. Naprawdę jej. Wezbrała w niej nieopisana radość.
- Protestuję! - Serena wymachiwała testamentem. - Ja to unieważnię! Mama nigdy nie zapisałaby jej Dunbaru.
- Lady Sereno, to jest procedura prawna. Proszę, z łaski swojej, siadać na swoim miejscu i pozwolić mi dokończyć. - Notariusz próbował załagodzić sytuację. -Możemy przedyskutować sprawę przy innej...
- Milczeć! Wspólnie to uknuliście. To na pewno twoja sprawka, ty...

- Sereno, dość tego. - Ian chwycił rozwścieczoną kuzynkę za ramię. - Uspokój się. Jeśli nie potrafisz się opanować, lepiej stąd wyjdź. Zachowujesz się skandalicznie - dodał nieco ciszej i pociągnął ją z powrotem na jej miejsce. - Przepraszam, Ramsey. Kontynuuj, nikt ci już nie będzie przerywał. - Rzucił Serenie wymowne spojrzenie.
Kiedy notariusz odczytywał ostatnie zdania testamentu, Indii łzy napłynęły do oczu:
- Mojej najdroższej córce, Indii, zapisuję brylantowy naszyjnik z pracowni Van Cleefa & Arpela, brylantową broszę oraz pierścionek z szafirami i brylantami, który dostałam od jej ojca w dniu naszych zaręczyn...
Lady Elspeth sprawiedliwie rozdzieliła swoje klejnoty między córki. India zachodziła w głowę, jakim sposobem matce udało się je zachować mimo tak ciężkiej sytuacji .finansowej. Zapewne nie bez pomocy markiza. Kochany Giordano, pomyślała z czułością. Prędzej dałby się posiekać na kawałki, niż pozwolił swojej drogiej przyjaciółce rozstać się z biżuterią.
Zafrasowana mina Ramseya wskazywała, że ma w zanadrzu niewesołe informacje. India czekała w napięciu. Być może będzie musiała sprzedać naszyjnik. Matka jej wybaczy. Teraz przecież najważniejsze było utrzymanie Dunbaru w rękach rodziny.
- Głupia ta nasza Serena - rozległ się sceniczny szept Kathleen. - Myślała, że Dunbar jej się należy. Nic z tego. Tak samo należy się tobie, a ona nie ma dość pieniędzy, żeby cię spłacić. I bardzo dobrze.
A ty zdołasz wykupić jej część? - spytała niby obojętnie.
India pokręciła głową.
- Nie. Będziemy musiały wspólnie zarządzać majątkiem.

- Możesz na mnie liczyć. Pomogę ci we wszystkim, na ile tylko potrafię. Wiesz, jak droga była mi twoja matka. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie było mnie przy niej, kiedy umierała. Ale cóż, wybrałam się w odwiedziny do ciotki Moiry. Akurat czas sobie znalazłam. - Westchnęła smutno.
- Dziękuję ci. - India uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Oczywiście zostaniesz w Dunbarze?
- Jakaś ty dobra, Indio. - W oczach Kathleen zalśniły łzy. - Znam ten dom jak nikt inny i wierzę, że ci się przydam. Niełatwo zarządzać takimi dużymi włościami. Gdyby ojciec nie umarł wcześniej, ja bym teraz dziedziczyła...
Kiedy Ramsey skończył czytać testament, Serena znowu zaczęła się pienić:
- Nie miała prawa tak postąpić. Powiedzmy sobie szczerze, India nie należy do naszej sfery. W nosie ma Dunbar i nic nie wie o zarządzaniu posiadłością ziemską. W ogóle nie powinno jej tu być!
- Przestań robić z siebie idiotkę, Sereno! - wybuchnął łan. - Ciotka El miała prawo rozdysponować majątek, jak się jej podobało. Ramsey powie ci dokładnie to samo i fakt, czy się zgadzasz z wolą matki, czy nie, nie ma żadnego znaczenia.
- Tak jest - przytaknął notariusz. - Zgodnie ze szkockim prawem lady Elspeth mogła zapisać posiadłość każdemu. Ograniczenie dziedziczenia przestało obowiązywać w chwili śmierci sir Thomasa. Rzecz wyglądałaby inaczej, gdyby ojciec lady Kathleen go przeżył. Wtedy, w myśl ograniczonego dziedziczenia, Dunbar przypadłby jej. - John Ramsey pokiwał głową. - Pomyśleć, że zmarł trzy dni przed sir Thomasem. Straszna rzecz. - Zawahał

się przez moment: - Lady Elspeth wezwała mnie na kilka dni przed śmiercią, chciała bowiem spisać nowy testament. Dokonałem osobiście żądanych zmian.
- Od razu wiedziałam, że to pana robota - prychnęła Serena. Tym razem łan już nie próbował uspokajać rozwścieczonej kuzynki, tylko chwycił ją za rękę i wyprowadził z pokoju.
Zebrani odetchnęli z ulgą, gdy drzwi się za nią zamknęły.
- Wreszcie będzie spokój. Co za przedstawienie! Nie przejmuj się, Indio. Jest po prostu.-zazdrosna - mówiła Kathleen. - Wszyscy Hamiltonowie mają nierówno pod sufitem. Serena nie jest wyjątkiem. - Uścisnęła dłoń Indii i uśmiechnęła się, jakby chciała dodać jej otuchy.
Kiedy łan wrócił do pokoju, zebrani usłyszeli dochodzący z podjazdu warkot ruszającego samochodu.
- Pojechała do Edynburga, do adwokata - wyjaśnił. - Niech jedzie, i tak nic nie zdziała. Przepraszam cię, Ramsey. Nie wiem, co w nią wstąpiło. Zachowała się skandalicznie. Musi cię przeprosić.
- Och, daj spokój. Takie rzeczy zdarzają mi się częściej, niż myślisz. To naprawdę smutne. Ludzie oczekują Bóg wie czego, a potem nie są w stanie pogodzić się z twardymi faktami.
- To prawda, Ramsey. Serena już widziała się panią na Dunbarze. Swoją drogą ma czelność - zauważyła z przekąsem Kathleen.
- A ty nie pozwól jej sobą dyrygować, Indio. Masz prawo do majątku i ona o tym doskonale wie - wtrącił łan.
India uśmiechnęła się ciepło, wdzięczna, że kuzyni okazują jej tyle wsparcia. Zdawała sobie jednak sprawę,

że jest kimś obcym w ich świecie, że nigdy nie znajdzie wśród nich miejsca dla siebie. Należeli do klasy, która nie tolerowała przybłędów. W porywczych, pełnych pychy słowach Sereny było wiele prawdy i India tym bardziej doceniała serdeczność Kathleen i lana.
- Dziękuję, lanie, i tobie też, Kathleen. Jesteście wspaniali, ale może Serena ma rację. Może mama rzeczywiście jej powinna była zostawić Dunbar? Lepiej ode mnie zarządzałaby posiadłością.
- Bzdura. Jej zależy tylko na tym, żeby mówić przez jakiś czas: ‚Dunbar jest mój", a potem gö sprzedać. Nie obchodzi jej ani posiadłość, ani ludzie z nią związani. Serenę interesuje tylko jedno, czyli ona sama - stwierdził łan.
- Ciężko to przyznać, ale masz rację - przytaknęła Kathleen. - Zawsze była samolubna. Hamiltonowie to stara rodzina, ale biedni jak kościelne myszy. Serena roztrwoniła wszystko, co zostawił jej ojciec, a potem utrzymywała ją lady El. Jednego dnia nie przepracowała, od kiedy przestała być modelką. Jestem pewna, że liczyła na pieniądze ze sprzedaży Dunbaru.
- Z pewnością - zgodził się łan. - Gdyby ten jej Niemiec miał coś do gadania, Dunbar już byłby w obcych rękach. Von Loewendorfów zrujnowała wojna i już nigdy nie stanęli na nogi. Nic dziwnego, że Wolfie szuka bogatej dziedziczki. Kath, pamiętasz tę zamożną wdówkę z Manchesteru, koło której się kręcił, dopóki nie upolował Sereny? - zaśmiał się sucho. - Cóż, Indio, jeśli zechcecie sprzedać majątek, będzie musiała obejść się połową kwoty.
- Mam nadzieję, że nie dojdzie do sprzedaży. Chcę zrobić wszystko, by Dunbar pozostał w naszych rękach - powiedziała cicho India.

- Naprawdę nie rozumiem, skąd Serenie strzeliło do głowy, że Dunbar jej się należy. - Kathleen pokręciła głową z niedowierzaniem.
- Myślenie życzeniowe - zauważył łan.
Zebrani przeszli do salonu, gdzie podano zimny lunch. Rozmowa z Ramseyem na temat kwestii praktycznych związanych z przejęciem majątku miała się odbyć dopiero po pogrzebie. India pochowa matkę na małym cmentarzu na wzgórzu i będzie musiała zmierzyć się z własną przyszłością.

- Nie dopuszczę do tego - powtórzyła Serena po raz setny i skręciła w George Street.
- Tylko spokojnie, kochanie. Nie pora się denerwować - zauważył trzeźwo Wolfie. - Musimy się zastanowić, co robić. Wszystko ułożyło się inaczej, niż myśleliśmy.
- Spokojnie? Do jasnej cholery, trzeba działać, a nie zastanawiać się.
- Znajdziemy rozwiązanie, moja droga. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Pamiętaj, zemsta najlepiej smakuje na zimno.
Serena rzuciła przyjacielowi niechętne spojrzenie.
- Mam nadzieję, że błyska ci jakiś genialny pomysł, bo mnie nic nie przychodzi do głowy. Mogę zakwestionować testament, ale wszystko wskazuje na to, że został sporządzony zgodnie z prawem. Nie da się go unieważnić.
- Zdziwisz się. Pozwól sprawom toczyć się swoim torem. Zaczekajmy. Niech mija dniem za dniem, a my będziemy się przyglądać. I myśleć. Tajemnica sukcesu tkwi w szczegółach. Wypatrujmy ich.
Słowa Wolfiego trochę uspokoiły Serenę. Być może rzeczywiście miał rację?

- Idiotka. To nie fair...
- Sza, ani słowa. Samochody też mają uszy. - Wolfie rozejrzał się podejrzliwie, jakby spodziewał się znaleźć podsłuch ukryty w tapicerce starego volvo.
- Nie bądź śmieszny. To nie film szpiegowski. - Serena skręciła w zatłoczoną Frederick Street. - Muszę wrócić na pogrzeb. Ty też weźmiesz udział w ceremonii. Nikt nie będzie nu dyktował, co wolno moim gościom. Za kogo ona się, do cholery, uważa?
Wolfie milczał chwilę, wreszcie ostrożnie rzucił:
- Na razie spróbuj z nią nie zadzierać. Nie, nie pójdę na pogrzeb, bo to rozdrażni Indię.
- O czym ty mówisz? - Serena omal nie uderzyła w tył jadącego przed nią auta. - W moim domu mogę robie, co mi się podoba. Ja...
- Wiem, wiem. Lepiej jednak jej nie denerwować. Niech myśli, że pogodziłaś się z decyzją matki. Pamiętaj, że bez zgody siostry nie sprzedasz Dunbaru. Bądź grzeczna i miła, ale bez przesady, bo zacznie coś podejrzewać. Tyle tylko, żeby się uspokoiła. I zobaczysz, że się uspokoi. Jest głupia i łatwowierna, jak większość burżujów. Jeśli rozegrasz rzecz inteligentnie, *meine Liebe,* owiniesz ją sobie wokół palca.
- A co z Buchananem? Co zrobimy, jeśli wystąpi z ofertą? Będziemy potrzebowali jej zgody. - Serena syknęła z furią. - Nie mogę uwierzyć, że mama wykręciła mi taki numer.
- Drobna niedogodność - zauważył nonszalancko Wolfie. - Oczywiście do naprawienia. Powinnaś pójść na pogrzeb i zachowywać się jakby nigdy nic. Bądź uprzejma, ale chłodna. Potem pomyślimy, co dalej.
Serena rzuciła Wolfiemu niemal wrogie spojrzenie.

- Cały czas mówiłeś, że wszystko będzie dobrze, a teraz tylko zobacz, w czym ugrzęzłam.
- Przegrałaś zaledwie ważną potyczkę, rzecz w tym, by wygrać wojnę. Dopóki twoja siostra myśli, że jest górą, nie masz się czym martwić. Amerykaninem też się nie przejmuj. Zaprosiłaś go, zaproponowałaś, że pokażesz mu dom. I bardzo dobrze. Przygotuj wszystkie dokumenty, o które prosił. Oni lubią precyzję i efektywność. Szybko podejmują decyzje, co może być naszym atutem, jeśli dobrze rozegrasz karty. Nie będzie nic podejrzewał, skoro mu powiedziałaś, że to ty dziedziczysz Dunbar. Zanim dojdzie do transakcji, rozwiązanie samo się znajdzie. Wierz mi. - Wolfie ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się z otuchą.
- Chciałabym - powiedziała Serena, wzruszając ramionami. - Zawiozę cię do hotelu i wracam do Dunbaru. - Zerknęła na zegarek. - Muszę się spieszyć, jeśli mam zdążyć na pogrzeb.
- Jedź koniecznie. O mnie się nie martw. Będę czekał na ciebie. Czekał i myślał.
- Wysil umysł, bo sprawy źle wyglądają. Niech to szlag trafi!
- Sereno, ostrzegam cię. Nigdy dość ostrożności. Im mniej słów, tym lepiej.
- Dobrze, dobrze - mruknęła. Wszystko ją dzisiaj denerwowało, również zachowanie Wolfiego. Nawet nie pokiwała mu dłonią na pożegnanie, kiedy wysiadł pod hotelem. Zirytował ją, ale w głębi duszy przyznawała mu rację. Nie powinna podejmować pochopnych decyzji.
Na myśl o siostrze zaklęła pod nosem. Ta plebejka nie powinna była w ogóle się urodzić. Serena serdecznie nienawidziła matki za ten prezent.

India siedziała przed lustrem i szczotkowała włosy.
Dunbar. Nie przypuszczała, że będzie kiedyś do niej należał, i oto teraz cząstka świata lady Elspeth miała stać się także integralną częścią jej życia. Jak się ono potoczy?
Może czegoś, się dowie w rozmowie z Ramseyem, która miała się odbyć po pogrzebie.
- Indy? - W drzwiach pojawiła się Chloe i po chwili przyjaciółki ucałowały się serdecznie.
- Dziękuję, że przyjechałaś. - India uśmiechnęła się przez łzy.
- Nie żartuj. Jak mogłabym nie przyjechać? Tak mi przykro, Indy. Wszystkim nam będzie bardzo brakowało lady El. - Chloe drżał głos, kiedy to mówiła. - Bierz. - Podała przyjaciółce szklaneczkę.
- Dzięki. Czegoś takiego było mi trzeba.
- Lady Elspeth nie miałaby nam chyba za złe, jak myślisz? - zapytała Chloe ze smutkiem.
- Wręcz przeciwnie. Pierwsza by nas namawiała. -India upiła łyk dżinu z tonikiem i usiadła ponownie przy toaletce. - Boże^ Chloe, nie wyobrażasz sobie, jakie się tu piekło rozpętało.
Przyjaciółka zrzuciła pantofle i usadowiła się na łóżku.
- Mów, co się dzieje. Testament już odczytany?
- Tak. Serena i ja odziedziczyłyśmy wszystko po połowie. Omal nie pękła z wściekłości, jak się domyślasz. Uważa, że Dunbar jej powinien przypaść. Jest przekonana, że herbowe urodzenie daje jej szczególne prawa.
- Myślałam, że ona... - Chloe nagle przerwała i sposępniała.
- Co myślałaś? - India rzuciła przyjaciółce pytające spojrzenie.
- Nic takiego. Po prostu myślałam, że lady El zostawi

Dunbar Serenie, a tobie posiadłość w Szwajcarii. Nigdy nie czułaś specjalnego związku z Dunbarem.
- Masz rację, Chloe, ale stało się coś dziwnego. Od chwili przyjazdu nie mogę pozbyć się wrażenia, że należę do tego miejsca. - India pokręciła głową. - To niesamowite.
- A co ze Szwajcarią?
- Dom był zadłużony po dach, zapewne na pokrycie tutejszych długów, więc prawnie przejęłam go od mamy i zaczęłam spłacać hipotekę. Dlatego nie wszedł do masy spadkowej. Chyba tylko biżuteria mamy ocalała, ale i ją trzeba będzie sprzedać, żeby ratować Dunbar.
- Naprawdę chcesz utrzymać posiadłość? - zapytała Chloe z niedowierzaniem.
- Nie wiem. Muszę się zorientować, jak wygląda sytuacja. Po pogrzebie mamy się spotkać z notariuszem. Wyjaśni nam, na czym stoimy, ale podejrzewam, że nie usłyszymy nic dobrego. Tylko proszę, na razie nikomu ani słowa.
Chloe z powagą skinęła głową.
- Dobrze się zastanów, Indy. Bierzesz na siebie ogromną odpowiedzialność. Wiem, ile jest kłopotów z Dalkirkiem. Gdyby Peterowi nie szły tak dobrze interesy, nie wiem, czyby sobie poradzili. Wszystkie pieniądze, które uzyskują z majątku, na powrót w nim topią i jeszcze dokładają. - Spojrzała na przyjaciółkę współczująco i dodała z westchnieniem: - Znalazłaś się w paskudnej sytuacji, Indio. Tak bardzo chciałabym ci jakoś pomóc.
- Pomagasz mi, bo jesteś przy mnie. Nie wyobrażasz sobie, jaka samotna czułam się w ostatnich dniach, chociaż Ian i Kathleen są naprawdę wspaniali.

- Przynajmniej tyle - mruknęła Chloe. - Nie podoba mi się, że chcesz zatrzymać Dunbar. To nierozsądna decyzja.
- Pewnie tak, ale znudziło mi się być rozsądną. Moje życie składa się z samych rozsądnych decyzji. Zawsze robię to, co należy. Tymczasem kiedy Ramsey przeczytał dzisiaj, że dziedziczę Dunbar, poczułam, jak robi mi się ciepło na sercu. Tym razem nie mam zamiaru kierować się rozsądkiem. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Pewnie myślisz, że zwariowałam, a ja wiem, że muszę tu zostać. Widać los tak chciał.
- Wyobraź sobie, że ani trochę nie jestem zdziwiona. Zawsze byłaś niezwykłą osobą, Indy. Jeśli podjęłaś taką decyzję, to mogę tylko życzyć ci powodzenia i trzymać za ciebie kciuki. Ach, zapomniałabym. Rozmawiałam wczoraj z Jackiem. Mówił, że się poznaliście.
- A powiedział ci, w jakich okolicznościach? - zapytała India, parskając śmiechem.
- Jakżeby nie. Co za historia! Przystojny facet, nie sądzisz?
- Przystojny, tylko zbyt pewny siebie.
- Daj spokój, Indy, nie zapominaj, że rozmawiasz ze mną. - Chloe skrzywiła się zabawnie.
- No dobrze. W skali jeden do dziesięciu dałabym mu osiem punktów. Zadowolona?
- Osiem punktów? Chyba zwariowałaś. Ten facet to Adonis, do tego bogaty jak Krezuś i seksowny jak dziesięciu Gibsonów.
- Skoro jest taki wspaniały, dlaczego sama się nim nie zajmiesz?
- Kocham go miłością siostrzaną. Cała nasza rodzina go kocha. Jak naszą Mimi...

- No wiesz, Chloe! Jak możesz porównywać Buchanana do bezpańskiej suki. - India pokręciła głową.
- Bo on jest taki trochę bezpański. No wiesz, bardzo samotny. Dwanaście lat temu stracił żonę. Nigdy o niej nie wspomina, ale musiał bardzo przeżyć jej śmierć.
- Mówił mi o żonie.
- Naprawdę? - Chloe uniosła brew i zsunęła się z łóżka. - Z nami nigdy nie rozmawia na jej temat. -Zerknęła na zegarek. - Zejdę na dół. Ty też się pospiesz. W końcu teraz ty jesteś tu gospodynią. - Podeszła do przyjaciółki i pocałowała ją w policzek. - Pamiętaj, że jesteśmy z tobą i martwimy się o ciebie.
- Jeszcze raz dziękuję, że przyjechałaś - powiedziała India i objęła serdecznie Chloe. - Nawet nie wiesz, ile twoja obecność dla mnie znaczy. I zabierz szklanki. Nie wiem, czy pani Walker byłaby zadowolona, że w takim dniu raczymy się alkoholem. Powiedz Kathleen, że zaraz przyjdę.
Chloe zabrała szklaneczki i zniknęła.
India przez chwilę patrzyła w lustro. Myślała o Dun-barze, o swoim życiu, o przyszłości. Raptem w srebrnej tafli zamiast swojej wymizerowanej twarzy zobaczyła ogród w pogodny letni dzień, dzieci biegnące przez trawnik. .. i Jacka podrzucającego na kolanie małego smyka. Gwałtownie odwróciła wzrok. Najwyraźniej w głowie się jej miesza, skoro nachodzą ją podobne przywidzenia. A jednak obraz nie chciał zniknąć.
Chwyciwszy futro z norek, szybko wyszła z pokoju. Kiedy przechodziła przez galerię portretów rodzinnych, miała wrażenie, że spoglądający z ciężkich ram przodkowie czytają w jej myślach, gotowi w każdej chwili dać wyraz swej dezaprobacie, gdyby doszło do sprzedaży ma-

jątku. A przecież żeby zachować Dunbar, India musiałaby dokonać radykalnych zmian w swoim życiu i wziąć na swoje barki ogromną odpowiedzialność. Mówiąc wprost, całkowicie poświęcić się temu miejscu.
Zatrzymała się przed portretem wiszącym tuż przy schodach. Przedstawiał siedmio-, może ośmioletniego chłopca o gęstych, ciemnych włosach. W wesołych błękitnych oczach i psotnym uśmiechu dostrzegła coś znajomego. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jak wczoraj pod starym dębem. Spojrzała na datę w prawym dolnym rogu obrazu. 1730. Mogłaby przysiąc, że zna tę twarz. Potrząsnęła głową, jakby chciała obudzić się ze snu. Imaginacja, powiedziała sobie. Kolejne przywidzenie. Ale otucha i łagodna pewność, zda się tchnące z portretu, już jej nie opuszczały.
Punktualnie o drugiej żałobnicy zebrali się wokół wystawionej w holu Dunbar House trumny lady Elspeth.
Słowa mów pożegnalnych docierały do Indii jak przez mgłę. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że matka jest przy niej, żegna się z nią. Nie było w tym pożegnaniu rozpaczy, tylko spokój.
- Smutny dzień, panienko Indio, ale kwiaty dostała piękne. Ten wieniec, co pośrodku, przysłali dzisiaj rano z Edynburga - szepnęła pani Walker, kiedy dobiegł końca lunch wydany po ceremonii poprzedzającej pogrzeb.
Chloe na te słowa podeszła do katafalku i wyprostowała białe wstążki przy wieńcu.
- Spójrz, Indio - przywołała cicho przyjaciółkę. „Pamięć jest wieczna. Jack Buchanan". Wzruszona India rozejrzała się wokół. Jack nie znał

jej matki i wieniec mógł przysłać jako znajomy Sereny, a nie Indii, niemniej był to ciepły, serdeczny gest.
- Słowem mi o tym nie wspomniał - szepnęła Chloe.
India ponownie spojrzała na wieniec i przypomniała sobie pogrzeb ojca, tamto uczucie dojmującej samotności. Dzisiaj było zupełnie inaczej. Tutaj ludzie żyli i umierali otoczeni opieką swoich przodków, każde pokolenie pozostawiało po sobie coś w spadku następnym.
Gdyby Dunbar przeszedł teraz w obce ręce, oznaczałoby to koniec bez mała osiemsetletniej tradycji.
„Można by tu stworzyć pierwszorzędny hotel", powiedział Jack, kiedy zobaczył dom. Indię przeszły ciarki na wspomnienie tych słów. Sama myśl, że Dunbar miałby stać się luksusowym miejscem na mapie weekendowych wypadów, była nie do zniesienia.
Czterech mężczyzn uniosło trumnę z katafalku i orszak powoli ruszył. Na przodzie szedł kobziarz wygrywający szkocki lament. India szła zaraz za trumną, wsparta na ramieniu Chloe. Za chwilę karawan powiezie doczesne szczątki lady El na mały cmentarzyk na wzgórzu i matka spocznie w ziemi Midlothianu, którą tak ukochała.
„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz". Z tej ziemi rodzili się Dunbarowie i do niej powracali. Pierwsza grudka rzucona dłonią Indii cicho uderzyła o wieko trumny.
India, mijając omszałe tablice nagrobne, wychodziła z cmentarza pogrążona w głębokiej zadumie. Dojrzała go zaraz za bramą. Wysoki, postawny, ubrany w płaszcz z czarnego kaszmiru.
Zawahała się. Może przyszedł tu dla Sereny? Ale nie, podszedł prosto do niej, bez słowa ujął jej dłonie i serdecznie uścisnął. Nie musiał nic mówić, słowa nie były potrzebne.

- Dziękuję, że pan przyszedł.
- Bardzo chciałem.
łan i jego żona, Francesca, stali z boku, niepewni, czy mogą podejść. Chloe uśmiechnęła się do nich.
- Pozwólcie, to Jack Buchanan, przyjaciel i wspólnik Petera.
- Miło mi. Szkoda, żę poznajemy się w tak smutnych okolicznościach. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. - łan uścisnął dłoń Jacka i zwrócił się do Indii: - Jedziesz z nami, czy...?
- Jadę z wami - odpowiedziała, zerkając na Jacka.
- Odprowadzę panią do samochodu. - Podał jej ramię i powoli ruszyli za pozostałymi.
India miała kompletny zamęt w głowie. Ledwie pochowała matkę, a oto serce jej bije gwałtownie, bo pojawił się człowiek, którego prawie nie znała. Czy bluźni Bogu?
- Jadę na lotnisko, ale chciałem parną zobaczyć i jeszcze raz wyrazić współczucie.
- Bardzo dziękuję.
- Proszę na siebie uważać.
Zatrzymali się przy samochodzie, w którym siedzieli już łan, Francesca i Chloe. Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu.
- Dziękuję... - powtórzyła India ze ściśniętym gardłem. - Bardzo dziękuję. Ja... - nie wiedząc, co mogłaby jeszcze powiedzieć, szybko wsiadła do wozu.
Orszak samochodów ruszył w drogę powrotną do Dunbar House. India wciąż czuła na skórze ciepły dotyk dłoni Jacka, w uszach rozbrzmiewały jego słowa. Nagle ogarnęło ją poczucie pustki, opuszczenia i po policzkach popłynęły długo wstrzymywane łzy.

DROGA KU PRZEZNACZENIU

Jack długo patrzył na strugi deszczu rozmywające się na szybach samolotu, a kiedy gulfstream nabrał wysokości, wyjął papiery, które zamierzał przejrzeć. Jonathan, niezawodny steward, podsunął mu szklaneczkę glendfiddicha z lodem.

Upił łyk whisky i wyciągnął wygodnie nogi. Dlaczego zdecydował się lecieć właśnie dzisiaj? Dlaczego pojechał na cmentarz, skoro z zasady omijał cmentarze? Żeby zobaczyć kobietę, której właściwie nie znał i być inoże nigdy więcej już nie zobaczy? Uśmiechnął się do siebie. Rzadko kierował się impulsem. Czy spotka ją jeszcze? Kto wie. Pracowali w tej samej -branży, ich ścieżki jeszcze nie raz mogły się przeciąć. Choćby w Buenos Aires. Ale to nic jeszcze nie oznaczało. Tam, przed cmentarzem, była taka smutna, że miał ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić do piersi. Poderwał głowę na to wspomnienie i wyjrzał przez okno. Właśnie powinni teraz przelatywać nad Dunbarem.

Zobaczył w dole otoczoną parkiem dumną rezydencję, teraz maleńką niczym domek dla lalek. Nie mógł już doczekać się spotkania z Sereną, obliczał w myślach przypuszczalne koszty przeróbek. Kiedy wysiadał z samolotu w Londynie, był już zdecydowany. Dunbar musi być jego. Coś mu mówiło, że nie wolno przepuścić takiej okazji. Zrobi wszystko, by doprowadzić do transakcji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jack Boże Narodzenie spędził jak zwykle, czyli w podróży. Chad i Marilyn, jego młodszy brat i bratowa, oczywiście zaprosili go na święta do swojej zimowej rezydencji w Aspen, ale Jack swoim zwyczajem wykręcił się pod pierwszym lepszym pretekstem. Uwielbiał swoją bratanicę i cljrześniaczkę Mollyv wolał jednak unikać sytuacji, które zbyt boleśnie przypominały mu o tragicznej przeszłości.

Z początkiem nowego roku Peter poleciał do Bangkoku, skąd miał rozpocząć miesięczną podróż po Azji, odwiedzając należące do nich hotele, natomiast Jack wybrał się do Buenos Aires na rozmowy z Hernanem Carvajalem. Nowego wspólnika spotkał dotąd tylko raz w czasie negocjacji prowadzonych kilka miesięcy wcześniej w Londynie.

Cztery dni wystarczyły, by zapoznał się ze stanem robót w Palacio de Gres. Wszystko szło zgodnie z planem, Hernan okazał się świetnym biznesmenem i uroczym gospodarzem. Piątego popołudnia przejrzeli jeszcze raz kosztorysy i specyfikacje, przeprowadzili kilka rozmów z inżynierami i wreszcie byli wolni.

Jack przeciągnął się, rad, że za chwilę będzie mógł wrócić do hotelu Alvear Palące. Po parnym dniu miał ochotę na zimny prysznic. Stare klimatyzatory w zaimprowizowanych biurach Palacio de Gres po długiej

walce z dusznym powietrzem ostatecznie odmówiły posłuszeństwa.
Odchylił się w skórzanym fotelu i spojrzał na Hernana, który studiował jakieś plany rozłożone na wielkim stole pośrodku pokoju.
- W zasadzie omówiliśmy wszystko. - Jack jeszcze raz przerzucił swoje notatki. - Pozostaje tylko sprawa wystroju wnętrz.
- Mhm... - Hernan nie odrywał wzroku od planów. - Obawiam się, że wejście od strony parkingów zostało fatalnie pomyślane. Nie będzie . funkcjonalne. Gdybyśmy przesunęli je trochę w lewo, a może... - Machnął ręką i podniósł głowę. - Później będziemy się tym martwić. Co mówiłeś?
- Ze nie mamy jeszcze architekta wnętrz. - Jack odłożył notatki.
- Już dawno powinniśmy kogoś wynająć, ale wciąż pojawiają się nowe problemy... - Hernan bezradnie rozłożył dłonie. - Potrzebujemy kogoś, kto dobrze zna historię sztuki i wie, czym jest ebenisteria.* - Zmarszczył czoło. - Gdyby tak udało się skaptować Davida Hicksa...
Jack wyprostował się gwałtownie w fotelu. Od dawna już nosił się z tym pomysłem, teraz nadszedł odpowiedni moment, by podzielić się nim ze wspólnikiem. Od pewnego czasu jego myśli krążyły wokół Indii, aż wreszcie wczoraj uświadomił sobie, dlaczego tak się dzieje. Byłaby idealną osobą do zaprojektowania wnętrz. Przeprowadził dyskretne dochodzenie i okazało się, że jest w Buenos Aires. Widać los tak zrządził.
- Słyszałeś o La Dolce Vita? - zapytał.
*** ebenisteria - wyrób mebli artystycznych fornirowanych, inkrustowanych i intarsjowanych, dawniej zwłaszcza z hebanu (przyp. red.)**

- Coś mi się obiło o uszy.
- Urządzali jeden z hoteli Petera Kinnairda, Jeremy w Londynie.
- Oczywiście, ten na Belgravii. Świetna robota.
- Ja też tak uważam - potwierdził Jack niby to od niechcenia, bawiąc się piórem. - W czasie ostatniej wizyty w Szkocji poznałem właścicielkę firmy, Indię Moncrieff. Jej rodzinna posiadłość sąsiaduje z majątkiem Kin-nairdów.
- Tak? Peter wspominał o Szwajcarii. Widocznie coś poplątałem. - Hernan wyjął z lodówki butelkę schłodzonego quilmesa. - Masz ochotę?
- Pewnie. - Jack złapał piwcr w locie. - Ona jest tutaj, w Buenos Aires.
- Kto taki? - zapytał Hernan, marszcząc brwi.
- India Moncrieff, właścicielka La Dolce Vita - wyjaśnił Jack cierpliwie. - Zatrzymała się u swojej szkolnej przyjaciółki, Gabrielle 0'Halloran.
Tak przyjemnie mówiło mu się o Indii. Niedobrze. Chociaż, z drugiej strony, nie miał powodów do niepokoju. Wiedział już, dlaczego jej osoba zaprzątała mu myśli. Chodziło o zaprojektowanie wnętrz Palacio de Gres, to oczywiste. Widać czuł podświadomie, że nikt nie zrobi tego lepiej niż ona. Upił z zadowoleniem łyk piwa. Miło będzie znowu ją spotkać. Jeśli przyjmie zlecenie, zaczną współpracować. Będzie ją widywał codziennie i uwolni się od głupich rojeń na jej temat. Im więcej o tym myślał, tym bardziej zapalał się do tego pomysłu. Spojrzał uważnie na wspólnika, ciekaw jego opinii.
- Gabby O'Halloran? - zawołał Hernan. - To moja daleka kuzynka. Moja stryjeczna babka od strony matki wyszła za ciotecznego brata jej pra...

- Ratunku! - Jack parsknął śmiechem. - I tak nie zapamiętam.
- Wiem. - Hernan poważnie pokiwał głową. - Teraz rozumiem, dlaczego moja ciotka, a raczej cioteczna babka Dolores tak nalegała, żebym tam przyjechał. Ponoć ta India jest wysoka, piękna, utalentowana i bardzo bogata?
Nie wiedzieć czemu pytanie Hernana zirytowało Jacka.
- Owszem, jest. Jeśli pytasz, czy jest piękna. Czy bogata, tego nie wiem. Słyszałem, że z majątku jej ojca niewiele zostało, za to La Dolce Vita przynosi spore zyski. - Jack zaczął pilnie oglądać swoje pióro. - Jest bardzo dobrą projektantką.
Hernan roześmiał się. Nic nie rozumiesz. Moja matka i ciotka robią wszystko, żeby znaleźć mi tak zwaną dobrą partię. To ich życiowy cel. Najwyraźniej uznały, że twoja znajoma jest odpowiednią kandydatką. - Hernan spoważniał, usiadł naprzeciwko Jacka. -Powiedz mi, jakie masz plany?
- Cóż... - Jack upił kolejny łyk piwa, ważąc słowa. - Pomyślałem, że skoro Moncrieff jest jedną z najlepszych projektantek na rynku i akurat przebywa w pobliżu, to warto nawiązać z nią kontakt. Może przyjmie zlecenie?
Hernan energicznie skinął głową.
- Dobry pomysł. Skontaktujmy się z nią od razu. Ciotka w każdą sobotę wydaje przyjęcie w Tres Jinetes. Albo poproszę Gabby, żeby... - spojrzał na Jacka i zmienił zdanie. - Najlepiej jak sam zadzwonisz do swojej znajomej. Dam ci numer telefonu.
- Dzięki. Może rzeczywiście tak będzie najlepiej.

Jack wyrzucił pustą butelkę do kosza i zdjął nogi z biurka. - Jeśli zainteresuje ją nasze zlecenie, moglibyśmy umówić się w mieście.
- Jasne. Pojadę teraz do domu i wezmę prysznic, a potem wpadnę po ciebie do hotelu i zabiorę cię na kolację. - Hernan uśmiechnął się znacząco. - Znam dwie modelki, naprawdę świetne dziewczyny. Jedna ma dwadzieścia dwa lata, druga dwadzieścia jeden. Obie marzą, żeby cię poznać.
- Interesujące. - Jack odwzajemnił uśmiech. - Ale może innym razem. Dzisiaj jestem skonany. Chciałbym się wcześniej położyć.
- Jak sobie życzysz. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do mnie na komórkę.
- Dobrze.
Kiedy wyszli z biura, Hernan wskoczył do samochodu, a Jack ruszył spacerem w stronę hotelu, z przyjemnością chłonąc leniwą atmosferę późnego popołudnia. Uśmiechał się do swoich myśli. Chociaż byli prawie rówieśnikami, przy Hernanie czuł się czasem jak starzec, który spogląda na świat z filozoficznym dystansem. Tak różne pędzili życie. Kiedy Hernan grał w polo w Palm Beach, studiował w Europie, szusował na nartach w Gstaad, on pętał się po Salwadorze i Nikaragui, pełen wiary w słuszną sprawę. Lubił jednak Hernana, lubił jego młodzieńczy wigor i entuzjazm, tyle że dawno przestało go bawić to, co ciągle cieszyło Carvajala.
Gdy pomyślał, że niedługo ujrzy Indię, przyspieszył kroku. W hotelu kupił International Herald Tribune". Zerknął na zegarek, by sprawdzić, czy złapie jeszcze w kancelarii swojego adwokata. Quince powinien już coś wiedzieć o Dunbarze. Jack po spotkaniu z Sereną zlecił

mu załatwienie formalności związanych z planowaną transakcją. Szkoda, że nie zdążył przedyskutować swoich planów z Peterem, ale tak czy inaczej był zdecydowany kupić majątek.
Otworzył drzwi do swojego pokoju, rzucił gazetę na stolik i podszedł prosto do telefonu.
Serena czekała niecierpliwie, co powie Ramsey. Jeśli cokolwiek podejrzewał, cały plan weźmie w łeb.
- Przesłałem pannie Indii ostatnie zestawienia, ale nie dostałem na razie żadnej odpowiedzi. - Odchrząknął i pokiwał smutno głową.
- To dlatego, że jest teraz w Ameryce Południowej. Rozmawiałam z nią kilka razy przez telefon - rzuciła Serena od niechcenia.
- Ach, tak. - Ramsey był nieco zaskoczony. -W Ameryce Południowej, powiada pani? To wyjaśniałoby jej milczenie. Na tamtejsze usługi pocztowe nie można raczej liczyć.
Zaśmiał się sucho, przekonany, że właśnie powiedział dowcip. Serena zawtórowała przez grzeczność. Usadowiony za wielkim mahoniowym biurkiem, w szylkreto-wych okularach, z łysinką starannie przysłoniętą tak zwaną „pożyczką", przypominał jej napuszoną, starą sowę.
- Dlatego między innymi chciałam się z panem widzieć - powiedziała, wracając do tematu. - Z siostrą... wyjaśniłyśmy sobie pewne nieporozumienia, jeśli wie pan, co mam na myśli. - Mówiła jak ktoś, kto krępuje się opowiadać o sprawach rodzinnych. - Po otrzymaniu pana faksu India wyraziła zgodę na sprzedaż majątku. Obiecała też, że zaraz po powrocie do Szwajcarii prześle na pana ręce notarialne pełnomocnictwo. W Buenos Aires nie może tego załatwić z powodu problemów języko

wych. Najwyraźniej nikt tam nie jest w stanie sporządzić stosownego aktu prawnego w wersji angielskiej. W każdym razie mam jej słowne upoważnienie. Prosi, bym prowadziła negocjacje w imieniu nas obu. Jak pan wie, naszemu amerykańskiemu kontrahentowi zależy na czasie. Chce przy tym przeprowadzić transakcję przez pewną firmę, sam zachowując anonimowość - zakończyła, dumna z własnej przebiegłości.
Ramsey zdjął okulary, przetarł szkła.
- Zadziwiające... Doprawdy zadziwiające w świetle ostatniego... spotkania.
- Ach, o tym pan mówi! - Serena zaśmiała się. - No cóż, głupio się zachowałam, -ale wszystko już sobie wyjaśniłyśmy. Zrozumiałam, że nie ma o co się spierać. Byłam w szoku po śmierci mamusi, nie wiedziałam, co robię... Tylko tak mogę to wytłumaczyć. - Skromnie spuściła oczy.
- Miło mi słyszeć, że doszły panie do porożumienia, lady Sereno. Duch współpracy nade wszystko, inaczej człowiek nic nie zdziała.
- Otóż to - przytaknęła Serena z promiennym uśmiechem. - Niedługo skontaktują się z panem prawnicy amerykańskiego kupca.
- Czekam. Muszę powiedzieć, że oferta jest niezwykle korzystna. Drugiej takiej mogą panie nie dostać. Radzę ją przyjąć. Pani siostra na pewno się zgadza? -W głosie Ramseya nagle zabrzmiała nuta powątpiewania.
- Absolutnie. Próbowała do pana dzwonić, ale sam pan rozumie, Ameryka Południowa. Ledwie ją słyszałam, kiedy rozmawiałyśmy dzisiaj rano. Nie wiem, jak ludzie mogą żyć w takich warunkach.
- Cóż, daleko im do naszego poziomu cywilizacyj-

nego. Kolonizowali ich hiszpańscy i portugalscy bałaganiarze, i stąd to wszystko.
Ramsey był człowiekiem do przesady dumnym ze swojej wyspiarskości, a jego wyobrażenia o świecie były wielce dziwaczne. Ziemia dzieliła się według niego na Anglię i resztę, a wszystko co niebrytyjskie, nie było warte funta kłaków. Na to właśnie liczyła Serena i miała rację.
- Otóż to. Zaręczam, nie musi się pan martwić o zdanie Indii. Zgadza się na wszystko. Zresztą zanim dojdzie do sfinalizowania transakcji, będzie już na miejscu.
- Tak, tak. - Ramsey zadumah się. Miał coraz większe wątpliwości. W działaniach prawnych powinny uczestniczyć obie siostry, bowiem dzieliły własność Dunbaru. W grę mogło jeszcze wchodzić formalne pełnomocnictwo od panny Moncrieff, ale panna Hamilton go nie miała. Należało więc wstrzymać wszelkie działania do czasu przyjazdu panny Moncrieff. Z drugiej jednak strony Ramsey od ponad trzydziestu lat był doradcą właścicieli Dunbaru i zawsze wszystko było jak należy. Ten argument przeważył. Przecież panna Moncrieff i tak będzie podczas finalizowania transakcji. - Dobrze. Jak tylko skontaktują się ze mną prawnicy drugiej strony, zacznę działać.
- Doskonale. Myślę, że omówiliśmy już wszystko. A więc pożegnam się, i tak zabrałam panu aż nazbyt wiele czasu. - Podniosła się z fotela.
- Odprowadzę panią, lady Sereno.
Przy drzwiach frontowych wyciągnęła dłoń i uśmiechnęła się uroczo.
- Dziękuję, panie Ramsey. Doprawdy nie wiem, co byśmy bez pana zrobiły.

- Proszę tak nie mówić. - Zakłopotany notariusz odkaszlnął. - Bardzo się cieszę, że między paniami zapanowała zgoda. W rodzinie nie powinno być nieporozumień.
- Też tak uważamy. Do widzenia, panie Ramsey.
- Do widzenia.
Zachwycona przebiegiem spotkania Serena wyszła na ulicę. Wolfie też powinien być zadowolony. India przeciągnęła się leniwie na szezlongu. Zapadał ciepły wieczór, powietrze przesycone było zapachem gardenii, liście eukaliptusów poruszały się w lekkich powiewach wiatru nadlatującego z pampy. W ciszy zmierzchu niosło się skrzeczenie żab z parkowego stawu, muzyka świerszczy i okrzyki *gauchos* spędzających bydło z pastwisk.
Przyleciała do Buenos Aires na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, spędziła święta z 0'Hałloranami, po czym zabrała się do przeprojektowywania wystroju domu. Wspólnie z Gabby wybierała nowe obicia, meble, materiały na zasłony. Chociaż praca ją pochłaniała i dawała wiele radości, myślami często wracała do Dunbaru. Wiedziała, że po powrocie do Europy będzie musiała podjąć decyzję. Przed kilku dniami dostała faks od Johna Ram-seya, a informacje w nim zawarte nie napawały szczególnym optymizmem. Powoli godziła się ze świadomością, że będzie musiała sprzedać Dunbar. Oby posiadłość przeszła w ręce kogoś, kto doceni charakter tego miejsca.
Jeśli jednak Dunbar kupi ktoś, kto uczyni z historycznej siedziby rodowej atrakcję turystyczną? Albo zamieni ją w hotel? Natychmiast pomyślała o Jacku Buchananie. Nie po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, od tamtego spot-

kania w dżdżyste popołudnie przy bramie cmentarnej ciągle był obecny w jej myślach.
Ciekawe, co teraz robi? Jak rozwija się jego argentyński projekt? Będzie musiała się tam wybrać któregoś dnia. Wspólnik Buchanana był skoligacony z Gabby i rodzina bardzo chciała, żeby się poznali.
- India.
Głos Severiny, pokojówki 0'Halłoranów, wytrącił ją z zadumy.
- *Si, Severina, que pasał* - India gwałtownie odwróciła głowę.
Drobna dziewczyna podeszła bliżej.
- *Telefono para usted, senorita.*
- *Quien es?* - zapytała, ciekawa kto też może do niej dzwonić o tej porze. Jeśli zdarzały się telefony, to raczej w godzinach pracy, poza tym niewiele osób wiedziało, gdzie jej szukać.
- *Senor Djabugan* - odparła Severina.
India wstała, przeszła z tarasu do pokoju, podniosła słuchawkę.
- *Aló, India habłando.*
- India?
Natychmiast rozpoznała głęboki męski głos i charakterystyczny amerykański akcent.
- Mówi Jack Buchanan. Co słychać?
- Dziękuję... dobrze - wybąkała z trudem. Niesamowite. Przed chwilą właśnie o nim myślała.
- Dostałem pani numer telefonu od Hernana Carvajala, mojego wspólnika. Zdaje się, że pani przyjaciółka, Gabrielle, jest jego krewną. Wszystko u pani dobrze? - W słuchawce na moment zaległa cisza. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

- Owszem, w porządku. Zaskoczył mnie pan swoim telefonem. Jak przebiegają prace w Palacio de Gres?
- Świetnie. Właśnie w sprawie De Gres dzwonię. Szukamy firmy, która podjęłaby się aranżacji wnętrz. Pomyślałem, że może to panią zainteresować.
Zabrzmiało to bardzo oficjalnie. India poczuła zawód. A więc dzwoni w sprawach służbowych. Od śmierci matki nic nie robiła, chciała dać sobie trochę czasu, ale oferta Buchanana brzmiała ciekawie.
- Nie zamierzałam realizować żadnych projektów w najbliższym czasie, ale wystrój Palacio de Gres to nęcąca propozycja.
- Może przyjechałaby pani do miasta i obejrzała wnętrza? Mam wrażenie, że jest to zadanie w sam raz dla pani. Mówiłem Hernanowi, że była pani w pałacu jako mała dziewczynka. Twierdzi, że od tamtego czasu niewiele się zmieniło.
Miała coraz większą ochotę przyjąć zlecenie, ale co z Jackiem? Miał zamiar zostać w Buenos Aires czy przyjechał tylko na kilka dni?
Szybko rozwiał jej wątpliwości.
- Jeśli jest pani zainteresowana propozycją, powinniśmy spotkać się jeszcze w tym tygodniu. W najbliższy poniedziałek muszę wracać do Miami. Co by pani powiedziała na piątek? Może być? - Zabrzmiało to bardzo służbowo, jakby Buchanan przerzucał właśnie kartki swojego terminarza.
Nie zaszkodzi rzucić okiem, pomyślała India. Propozycja była rzeczywiście wspaniała, a do wyjazdu do Rio na otwarcie hotelu La Perlą pozostało jeszcze sporo czasu, który mogłaby z pożytkiem wykorzystać.
- Jak mogę się z panem skontaktować?

- Mieszkam w AIvear Palące, ale podam też pani numer do biura w De Gres.
Dłoń jej drżała, kiedy zapisywała cyfry dyktowane przez Jacka. Opanuj się, dziewczyno, zbeształa się w duchu.
- Zorientuję się, jak stoję z czasem, i jutro do pana zadzwonię.
- A więc jesteśmy umówieni. Czekam na wiadomość od pani.
- Odezwę się na pewno. Do usłyszenia i dziękuję za telefon. - Odłożyła słuchawkę i oparła się o chłodną ścianę. Dlaczego ten człowiek tak na nią działa? Sam dźwięk jego głosu przyprawiał ją o dreszcz.
Wróciła na werandę i spoglądając na zachodzące słońce, pomyślała o swoim byłym mężu, Christianie. Czy budził w niej podobne uczucia? Nie. Musiała to sobie powiedzieć jasno i wyraźnie. Ich stosunki były zawsze takie poprawne, wyważone. Kiedy się kochali, on przejmował inicjatywę, a ona poddawała się posłusznie, z góry zakładając, że Christian wie wszystko lepiej. Wierzyła, że łączy ich miłość. Ufała mu, a on ją zawiódł. Dlatego jego odejście było tak bolesne.
W zamyśleniu przysiadła na balustradzie. Chloe od początku powtarzała, że to małżeństwo nie ma żadnej przyszłości. Jej zdaniem bardzo dobrze się stało, że Christian odszedł. Z perspektywy czasu India musiała przyznać rację przyjaciółce.
Po rozstaniu z Christianem przysięgła sobie, że nigdy już nie pozwoli się skrzywdzić żadnemu mężczyźnie. Nie będzie cierpiała, nie da się upokorzyć... i oto na jej drodze stanął Jack. Nagle ogarnął ją lęk. A jeśli historia się powtórzy?
Może powinna nie prowokować losu i odrzucić tę pro-

pozycję? Z drugiej strony rozmawiał z nią bardzo rzeczowo, konkretnie, poza tym za kilka dni miał wyjechać z Buenos Aires. Nie zaszkodzi, jeśli przed podjęciem decyzji obejrzy Palacio de Gres i dopiero wtedy zdecyduje, czy przyjąć zlecenie.
Na tarasie pojawiła się babka Gabby.
- Tu jesteś, moja droga. - Dolores 0'Halloran uśmiechnęła się promiennie. - A ja się zastanawiałam, gdzie się podziałyście, ty i Gabby.
- Gabby wybrała się z Santiago na przejażdżkę konną. Chciała obejrzeć nowe źrebaki.
- A ty? - Dolores z zatroskaną miną podeszła do Indii i ujęła ją pod brodę. - Co mają znaczyć te smutne oczy? Ciągle opłakujesz matkę? Nie trzeba, dziecko. Lady Ełspeth odeszła tam, gdzie nie ma już cierpienia.
- Nie, nie chodzi o mamę.
- Więc co cię dręczy? Opowiedz mi. - Dolores usadowiła się wygodnie w ratanowym fotelu. Zawsze wytworna, przyjęła pełną gracji pozę.
India uśmiechnęła się z zakłopotaniem, nie bardzo wiedząc, jak zacząć.
- Chodzi o tego Amerykanina, którego poznałam w Szkocji. To długa historia. Chociaż tak naprawdę krótka... Otóż poznałam go, kiedy pojechałam do Dunbaru na pogrzeb mamy. Poszłam na spacer i zapuściłam się dość daleko, a on właśnie polował na ptactwo i mało brakowało, by mnie zastrzelił. Potem przyszedł do nas na herbatę... - Przerwała, uświadamiając sobie, że mówi od rzeczy. Podniosła wzrok i napotkała rozbawione, ale pełne zrozumienia spojrzenie Dolores.
- Ten człowiek zaczyna mi się podobać. Zamiast kuropatwy upolował pannę...

- Wcale mnie nie upolował! - żachnęła się India. -Tylem go widziała, jedna herbatka i wszystko. Jednak teraz się okazało, że wszedł do spółki z Carvajalem, twoim krewnym, właścicielem Palacio de Gres.
- Ach, Hernan to uroczy chłopiec. Koniecznie powinnaś go poznać. - Stara dama uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Kawaler, do tego bardzo przystojny. I to* warzyski. Na pewno go polubisz.
- Nie swataj mnie, Dolores - powiedziała India ze śmiechem.
- A cóż w tym złego, moja droga? No dobrze, powiedz mi coś więcej o... ?
- Nazywa się Jack Buchanan.
- Brytyjczyk?
- Nie, Amerykanin.
- Amerykanin, powiadasz? Przystojny? Od czasu kiedy zobaczyłam „W samo południe" z Garym Cooperem, mam słabość do Amerykanów. Są tacy męscy. - Dolores uniosła brew i nachyliła się ku Indii. - Wiesz, co mam na myśli, prawda? Ta ich pewność,*stanowczość. Jakby świat do nich należał.
- Dolores wykonała szeroki gest upierścienioną dłonią.
- O tak, pewności siebie mu nie brakuje. Jest strasznie irytujący. India zerwała gardenię i skruszyła jej płatki między palcami. - O mały włos mnie-nie zastrzelił, i to na naszym terenie, ale usiłował mi wmówić, że to moja wina! Na koniec przez niego zemdlałam. To tyle, jeśli chodzi o wspaniałego Amerykanina - zakończyła gniewnie, usiłując wygnać z pamięci obraz Jacka czekającego na nią przy bramie cmentarnej.
- Mów, mów, kochanie. Trzeba naprawdę być kimś, żeby sprawić, by nasza dzielna India osunęła się bez czu-

cia na łono natury. Ten człowiek coraz bardziej mnie fascynuje.
Oczy Dolores rozbłysły, czekała w napięciu na ciąg dalszy. India wiedziała, że stara dama nie da jej spokoju, dopóki nie usłyszy wszystkiego, przeszła więc do kwestii najważniejszej:
- Widział to, co zrobiłam w Jeremy Hotel, i teraz chce, żebym zaprojektowała wnętrza Palacio de Gres. Zaproponował spotkanie. Spieszy mu się, bo niedługo odlatuje do Stanów.
- Znakomity pomysł, moja droga! - zawołała Dolores. - Jesteś na miejscu, dlaczego nie miałabyś przyjąć zlecenia? W dodatku będziesz pracowała tylko z Her-nanem, gdy już ten Jack wyjedzie. Więc ruszaj do Buenos Aires i rzuć okiem na Palacio de Gres. Możesz zatrzymać się w naszym mieszkaniu, jeśli chcesz. Latem stoi puste.
- Dziękuję. Chyba rzeczywiście pojadę i obejrzę wnętrza. Taki projekt to prawdziwa gratka, ważny krok w karierze. A jednak...
- Nie znam takiego słowa! Bierz się do dzieła, tylko to się liczy - powiedziała Dolores stanowczo. - Nie bój się wyzwań, nie wahaj się. Kto nie ryzykuje, ten gorzknieje na starość. Wierz mi. Znam mnóstwo takich ludzi. Popatrz tylko na mnie. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Wiele przeszłam. Pochowałam trzech mężów, miałam swoje *łes amntures,* ale kiedy spoglądam wstecz, niczego nie żałuję. Z życia trzeba czerpać pełnymi garściami, nie można stać z boku. Mnie nigdy nie było dość. Aż żal, że nasz czas mija tak szybko. Nawet się nie obejrzysz, kiedy sama zasiądziesz w fotelu na tarasie i będziesz udzielała mądrych rad jakiejś młodej, uroczej dziewczy-

nie. - Dolores zaśmiała się. - Nie bój się, Indio. Zaproś ich obu któregoś dnia. Zrobimy wspaniałe *osado* na grillu... po waszemu pieczeń... niech twój Amerykanin zobaczy, jak tu się żyje i bawi.
- Może.
- Powiem Gabby, żeby porozmawiała z Hernanem. A teraz biegni j przebrać się do kolacji, kochanie. Będzie suflet i nie pozwolę, żeby opadł, bo nasza panna się spóźniła. Do stołu należy siadać o oznaczonym czasie.
Kiedy Jack odebrał w recepcji wiadomość, że panna Moncrieff przyjedzie do Buenos Aires w piątek rano, ogarnęło go uczucie triumfu. A więc jednak się zdecydowała. Następne dwa dni minęły mu jak w transie. Na niczym nie mógł się skupić, kilka razy zaciął się przy goleniu.
A jednak w piątek spóźnił się na spotkanie, bo przez godzinę omawiał z Quince'em przez telefon szczegóły kupna Dunbaru. Przeszedł szybko przez kilka sal, w których trwały roboty, i bezszelestnie pchnął uchylone drzwi prowadzące do biura.
India stała przy oknie i patrzyła na ogród. Poranne słońce igrało na jej kasztanowych włosach, wydobywało złotą tonację opalonej skóry i podkreślało biel płóciennej sukienki. Odwróciła się natychmiast, jakby wyczuła jego obecność.
- Dzień dobry - powiedział z oficjalnym uśmiechem. - Cieszę się, że znalazła pani dla nas chwilę czasu, i przepraszam za spóźnienie. Czy ktoś się panią zajął?
- Był tu Hernan Carvajal, ale ktoś go wywołał. India przywołała na twarz uprzejmy grymas, a Jack zaczął przekładać papiery na biurku. Potrzebował chwili,

żeby ochłonąć. Nie przypuszczał, że widok obcej niemal kobiety wywrze na nim aż takie wrażenie. Zaczął się poważnie zastanawiać, czy chodziło mu wyłącznie o projekt wnętrz dla Palacio de Gres. Czy aby na pewno tylko dlatego do niej zadzwonił? Powinien dogłębnie przeanalizować motywy własnych posunięć.
Na szczęście z matni wątpliwości wybawił go powrót Hernana i cała trójka wdała się w dyskusję na temat nowego wystroju wnętrz. Czarująca jak zwykle India zachowywała wobec Jacka dystans, każdym słowem i gestem dając do zrozumienia, w jakim celu przyjechała na spotkanie. Kiedy już zapadły wstępne ustalenia, zapytała, czy może sama, bez żadnego towarzystwa, obejrzeć pałac. Jack niemal się ucieszył, że nie będzie musiał jej towarzyszyć, bo w obecności Indii zupełnie tracił głowę.
- Jesteś zdenerwowany - powiedział Hernan, kiedy wyszła. - Myślałem; że ją lubisz, że się przyjaźnicie.
- Bo się przyjaźnimy. Cholera, sam już nie wiem. -Jack uniósł ręce w geście kapitulacji. - No dobrze, jeśli chcesz wiedzieć, prawie jej nie znam.
Hernan spojrzał ze zdumieniem na Jacka, w końcu wzruszył ramionami i poszedł szukać niejakiego Eduarda, architekja i autora projektu adaptacji De Gres. Jack usiadł na tarasie i zapatrzył się w park otaczający pałac, ale nie widział imponujących drzew, starannie przyciętych krzewów, wystrzyżonych trawników i wygracowa-nych ścieżek. Przed oczami stała mu cały czas India.
India po prostu zakochała się w Palacio de Gres. Wspomnienia, jakie zachowała z dzieciństwa, ani w części nie oddawały piękna budowli. Krążyła po historycz-

nych wnętrzach, chłonąc każdy szczegół, napawając się atmosferą tego szczególnego miejsca. Skończywszy zwiedzanie, była już pewna, że większość zabytkowych mebli powinna pozostać. Zamierzała usunąć tylko najcenniejsze, by uchronić je przed zniszczeniem. Ludzie, nawet jeśli posiadają wrażliwość artystyczną, rzadko potrafią uszanować nie swoje przedmioty. Stara to prawda, która z pewnością dotyczyła również przyszłych gości De Gres, rozmyślała India, schodząc do pałacowych ogrodów po szerokich kamiennych stopniach.

Obeszła fontannę z zabawną żabą z brązu wygrywającą na flecie jakieś sobie tylko znane melodie, minęła obrośniętą powojnikiem pergolę i ruszyła w stronę klasycystycznej altany. Była to lekka kopuła z białego kamienia wsparta na smukłych kolumnach, która z daleka przyciągała wzrok i zapraszała do odpoczynku.

Tak, jeśli miała być ze sobą szczera, musiała przyznać, że od początku zamierzała przyjąć to zlecenie. Odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na pałac, i zobaczyła Jacka. Stał na tarasie, oparty o balustradę, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami i w spranych dżinsach. Zatopiony w myślach jeszcze jej nie zauważył. Przyglądała mu się przez moment, wreszcie ruszyła w jego stronę. Przez cały ranek zachowywał się wobec niej chłodno. Jeśli zwracał się do niej, to wyłącznie w kwestiach dotyczących hotelu. Może rzeczywiście bezpieczniej będzie nie wykraczać poza sprawy czysto służbowe, rozmyślała. A jednak, co tu ukrywać, było jej trochę smutno, że tak ma wyglądać ich znajomość.

Jack na jej widok oderwał się od balustrady.

- Podjęła już pani decyzję? - zapytał z uśmiechem i znowu był tą samą osobą, którą zapamiętała ze Szkocji. Serce zabiło jej mocniej.

- Cudowne miejsce, po prostu cudowne.
- To znaczy, że przyjmuje pani zlecenie?
- Tak. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym odrzuciła taką ofertę.
- Świetnie. - Jack uścisnął jej dłoń na znak porozumienia. - Poszukamy Hernana i zapraszam na lunch. Trzeba to uczcić.

Podał jej ramię i ruszyli do pałacu. Był teraz tak ujmujący i serdeczny. India pytała samą siebie, czy nie uroiła sobie czegoś, oskarżając go o chłód. Jednak dobrze zrobiła, że przyjęła zlecenie.

W tydzień później nie była już taka tego pewna. Codziennie wiodła z Jackiem długie, jałowe spory na temat przewodów klimatyzacyjnych.

- Trzeba przebić się przez stropy.
- Czyś ty zwariował? - India spojrzała na niego ze zgrozą. - Jak możesz coś takiego w ogóle proponować?
- To najprostsze rozwiązanie. Nie wierzyła własnym uszom.
- Czy zdajesz sobie sprawę, że to jedna z najbardziej unikatowych budowli w Ameryce Południowej, klejnot architektury? A ty chcesz pruć stropy, bo tak ci wygodniej?
- Indio, to jest hotel, a nie muzeum. Nie możemy przerywać robót dla kilku stiuków - sarknął Jack.
- Owszem, wiem - odparowała z wyższością. - Nie wiem tylko, dlaczego mnie zaangażowałeś, skoro cały. twój zamysł sprowadza się do tego, żeby mieć hotel jakich tysiące. Idź do wydziału architektury i kup standardowy projekt za kilka dolarów, ale na Boga nie niszcz zabytkowych stiuków. To barbarzyństwo! - Naprawdę

była zirytowana. - Znam swój fach i nie dopuszczę do dewastacji pałacu. Jeśli zamierzasz nadal ze mną współpracować, musisz godzić się z moimi decyzjami.
Jack wysłuchał tego wybuchu z kamienną twarzą.
- Oczywiście uparłeś się i nie zmienisz zdania. - India spojrzała na Hemana. Jego też już miała dosyć.
- Nie stój tak, powiedz coś, do licha! Może ty przemówisz mu do rozumu.
Dlaczego ten człowiek po prostu nie wsiądzie do samolotu i nie wróci do Miami? Z Hernanem łatwiej do-szłaby do porozumienia
Od dnia, w którym podpisała umowę, Jack rzucał jej kłody pod nogi, spierał się zajadle o każdy głupi drobiazg. Gdyby nie to, że pałac był naprawdę wspaniały, plułaby sobie w brodę, że podpisała kontrakt. Biznesmena Buchanana nie obchodziła zabytkowa i artystyczna wartość budowli. Chciał mieć hotel i związane z tym zyski, i to wszystko.
Stał oparty o kolumnę, ubrany jak zwykle w białą koszulę i sprane dżinsy, i nad czymś głęboko się zastanawiał. Takim zobaczyła go tamtego dnia na tarasie, kiedy przyjechała na rozmowy wstępne. Wtedy był dla niej miły, sympatycznie się uśmiechał... A dzisiaj rano,.kiedy przeglądali projekt wystroju restauracji, stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.
Gdzie teraz błądzi myślami? Pewnie znowu przeprowadza w pamięci te swoje kalkulacje. Pod interesującą powierzchownością krył się niezwykle przenikliwy, chłodny, ale jeszcze bardziej uparty umysł. Dzisiaj, zaraz po przyjściu do hotelu, dostała bukiet od Hernaną. Ot, miły gest, który Jack skwitował ironicznym uśmieszkiem. Hernan znalazł się w trudnym położeniu, jako że cały

czas musiał lawirować między Jackiem i Indią, bo nie chciał się narazić żadnemu z nich. Liczby mówiły jednak same za siebie: albo zdecydują się na drastyczne działanie, albo prace w pałacu przeciągną się i wtedy dopiero zaczną się prawdziwe problemy.
- Przestań się złościć, Indio - powiedział Jack. -Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możemy tracić czasu. Jeśli nie otworzymy hotelu jesienią, stracimy mnóstwo pieniędzy.
India aż podskoczyła.
- Wiem i też nie chcę tracić czasu. Usiłuję tylko przekonać cię, że trzeba znaleźć inne rozwiązanie, zamiast rujnować oryginalną tkankę architektoniczną. Wierz mi, to wcale nie jest takie skomplikowane. Jeśli chcesz, mogę ci wytłumaczyć, na czym polega mój pomysł. - Kątem oka dojrzała, że Hernan niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, więc spróbowała innej taktyki. Uśmiechnęła się ujmująco do Jacka. - Proszę.
Wahał się przez chwilę, wreszcie kiwnął głową.
- Dobrze. Tylko nic mi nie tłumacz. Daję ci dwadzieścia cztery godziny czasu. Ani minuty dłużej. Jutro masz mi przedstawić gotowy projekt. Jasne? - Zerknął na zegarek.
- Jak słońce, panie boss - mruknęła złośliwie, lecz natychmiast, zgodnie z nową taktyką, uśmiechnęła się wprost cudownie. - Zobaczysz, nie będziesz żałować.
Świetnie wiedziała, co należy zrobić, by oszczędzić stropy.
- Mam nadzieję, że sobie poradzisz, Indio - odezwał się Hernan. - Mnie też zależy, żeby zachować jak najwięcej z oryginalnej struktury.
- Śpij spokojnie, Hernanie.

- Moim zdaniem niepotrzebnie tracisz czas, ale skoro to lubisz... - mruknął Jack. - Pamiętaj, masz dwadzieścia cztery godziny.
- Powtarzasz się - zauważyła słodko. - Nie jestem głucha i wiem, do czego służy zegarek. Aha, nie idę dziś z wami na kolację.
- Powiedziałaś, że już masz rozwiązanie. A jeść musisz.
- Owszem, ale muszę też pracować. W przeciwieństwie do pewnych osób, których nie wskażę palcem, bardziej interesuje mnie sztuka niż *osado...* czyli pieczeń, panie Buchanan. No więc wskazałam palcem... No cóż, Jack, przyznaj sam. Poza *asado* interesują cię tylko zyski.
- Tak się składa, że interesują one również naszych akcjonariuszy.
India udała, że nie słyszy ostatniej uwagi. Dziwiła się tylko, że nikt dotąd nie wpadł na to, jak rozwiązać problem klimatyzacji. Sprawa wydawała się dziecinnie prosta, ponieważ jednak wykraczała poza kompetencje projektanta wnętrz, do tej pory nie zdradzała się ze swoim pomysłem. Ale dobrze, zrobi to i Jack będzie musiał przyznać jej rację.
Jack po raz setny spojrzał na zegarek. Kolacja była kompletnie nieudana. Brakowało mu Indii. Potem długo nie mógł zasnąć, wreszcie o wpół do czwartej zadzwonił do pokoju Indii, ale nie odebrała telefonu.
Wziął prysznic, ubrał się, zadzwonił jeszcze raz. Nadal nikt nie odpowiadał. Czyżby została w pałacu? Po tej upartej kobiecie wszystkiego można było się spodziewać. Musiał jednak przyznać, że w wielu sprawach, o które się spierali, miała rację. Uśmiechnął się. Lubił ją obser-

wować podczas pracy. Pochylała głowę, włosy opadały jej wtedy na twarz, przygryzała wargę w charakterystyczny sposób i zapominała o bożym świecie. Była wprost prześliczna. Jack wzruszył ramionami. Może jednak przebywanie z nią na co dzień nie było wcale takim dobrym pomysłem, jak mu się początkowo wydawało. Pogrążony w myślach, wyszedł z hotelu.
Było jeszcze wcześnie, zaledwie siódma. O tej porze, w niedzielny ranek, miasto wyglądało jak wymarłe, tylko od czasu do czasu przemknął cicho pojedynczy samochód. Niedziele wszędzie są takie same. Skinął znajomemu sprzedawcy z trafiki na rogu i przeszedł na drugą stronę ulicy, mówiąc sobie, że nie ma powodów do zdenerwowania.
Ciągle nie mógł dociec, co takiego pociągało go w Indii. Traktowała go po koleżeńsku, ale z dystansem, rozmawiała wyłącznie o sprawach dotyczących pracy. Zdarzały się jednak momenty...
W sumie był to udany tydzień. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze. Obserwował ją cały czas. Sposób mówienia, ruchy, zmieniający się pod wpływem nastroju wyraz twarzy... I pragnął jej jak żadnej kobiety od wielu lat. Czy dlatego, że nie raczyła nawet na niego spojrzeć? Być może, ale z drugiej strony musiał przyznać, że jest nią po prostu zafascynowany.
Cóż, rozmyślał, na to jest tylko jeden sposób: pójść z nią do łóżka. A czasu miał mało. Nie mógł tkwić w Buenos Aires w nieskończoność. Quince już czynił dwuznaczne uwagi na temat jego przedłużającej się nieobecności, a Chad pokpiwał, że zapewne zatrzymuje go w Argentynie kobieta. Miał rację, kobieta, pomyślał Jack smętnie.
Boczna brama do pałacu stała otworem. Wszedł do środka i zaczął szukać Indii. Nagle przeraził się, że mogło

jej się przytrafić coś złego. Gdyby coś się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczył.
India zesztywniała od ślęczenia do późnego wieczoru nad planami, aż w końcu położyła się na starej i bardzo niewygodnej kanapie. Dziw, że udało się jej przespać kilka godzin. Rano wyszła z zaimprowizowanego biura, usiadła na kamiennej ławce w ogrodzie i wystawiła twarz na pierwsze promienie słońca.
Dzień był rześki, a cichy szum spryskiwaczy zraszających trawę działał uspokajająco. Tylko odgłosy przejeżdżających gdzieś w dali samochodów przypominały jej, gdzie się znajdowała. Odchyliła głowę, zamknęła oczy i rozkoszowała się porannym słońcem, zadowolona z wykonanej pracy. Zaprojektowała maskujące osłony, które wyglądały jak oryginalny element belkowania pod sufitem, trzeba było tylko powtórzyć dokładnie formę istniejących profilowań, ale to już należało do wykonawcy robót. Jeśli zrobi to dobrze, nikt nie dostrzeże ingerencji w oryginalną tkankę architektoniczną.
Ziewnęła. Była zmęczona, ale dumna z siebie. Ciekawe, co Jack powie, kiedy zobaczy, w jak prosty sposób można było rozwiązać problem. Dostanie nauczkę za swój upór. W czasie minionego tygodnia zdarzały się chwile, kiedy odnosiła wrażenie, że ma do czynienia z tym samym człowiekiem, z którym poczuła tajemną więź przy pierwszym spotkaniu, ale były to tylko krótkie momenty. Pojawiało się poczucie bliskości, po czym natychmiast musiało zdarzyć się coś, co ich na powrót różniło.
Może ciotka Dolores miała rację, że z życia trzeba czerpać pełnymi garściami. Od chwili rozwodu dla Indii

nie istniało nic poza pracą. Podjęła decyzję z całą świadomością, ale było warto. W ciągu pięciu lat zrobiła z La Dolce Vita dobrze osadzoną na rynku i cieszącą się uznaniem firmę. Dzięki swojemu zaangażowaniu osiągnęła to, co komuś innemu zabrałoby dwa razy tyle czasu. Wyrobiła sobie taką renomę, że od pewnego czasu przebierała w zamówieniach. Odniosła sukces, to prawda, ale połowiczny, skoro nie miała go z kim dzielić.
Podniosła się gwałtownie z ławki i ruszyła z powrotem do pałacu, jak zwykle zachwycając się jego architekturą. Zabytkowy korpus został połączony przeszklonym atrium z nowoczesnym pawilonem hotelowym, który otrzymał fronton identyczny jak pałacowy. India zatrzymała się na chwilę i ogarnęła obydwie bryły spojrzeniem. Projekt był ryzykowny, ale efekt znakomity. Stała tak, pełna podziwu dla talentu architekta, który miał tyle odwagi, by zmierzyć się ze starymi mistrzami.
- Wcześnie wstałaś.
Gwałtownie drgnęła, odwróciła się jak smagnięta biczem i omal nie zderzyła się z Jackiem.
- Ejże, spokojnie - powiedział, chwytając ją za ramiona.
- Przestraszyłeś mnie. - Spojrzała na jego ciemne, jeszcze wilgotne po kąpieli włosy, na idealnie zaprasowane płócienne spodnie, świeżą białą koszulę, i uzmysłowiła sobie, że sama musi wyglądać okropnie po nocy spędzonej na kanapie w biurze.
- Pracowałaś całą noc?
- Nie całą, ale do późna. W końcu padłam ze zmęczenia. - Jego usta były tak blisko jej twarzy... Przemknęło jej przez głowę, że mógłby ją teraz pocałować. Szybko odwróciła głowę. - To nie moja wina, że ciągle

mnie czymś zaskakujesz - powiedziała z wyrzutem. - A swoją drogą, co tu robisz o tej porze?
- Chciałem sprawdzić, co się z tobą dzieje. Nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Recepcjonistka powiedziała, że nie wróciłaś na noc do hotelu. Co się stało? - zapytał bez sensu.
- Przecież ci mówiłam. Chciałam się trochę zdrzemnąć na kanapie, no i spałam do samego rana.
Jack z dezaprobatą pokręcił głową.
- To cholernie niebezpieczne tkwić samej całą noc w takim miejscu. Dziękuj Bogu,,że to Buenos Aires, a nie Rio. Są przynajmniej jakieś efekty? - Na jego ustach pojawił się pełen powątpiewania uśmieszek.
India nie spieszyła się z odpowiedzią. Dla takiego pracoholika oczekiwanie jest torturą, więc postanowiła się trochę nad nim poznęcać. Była to zemsta za to, że wszystkiego się czepiał i musiała wykłócać się o każdy drobiazg. Zaczęła więc wykład o cywilizacyjnym znaczeniu historycznych pomników architektury. Od piramid egipskich przeszła do Babilonu, wspomniała o Świątyni Salomona, Akropolu, Forum Romanum...
- To są nasze cywilizacyjne wzorce. Czy wiesz, o ile bylibyśmy ubożsi, gdyby jakiś barbarzyńca je zniszczył? Dotyczy to zarówno samych brył, jak i wszelkich detali. Na przykład Petra, Wersal albo Katedra Westminsterska stały się inspiracją dla...
- A ten barbarzyńca to oczywiście ja? Bo chcę zniszczyć kilka marnych stiuków? - nie wytrzymał Jack.
- Kilka marnych stiuków, dobre sobie... Chcesz zniszczyć artystyczną kompozycję wnętrz, ot co! - Wskazała na niego palcem niczym na zbrodniarza.
- Dobrze więc, uratuj mnie przed tym przestęp

stwem... choć szczerze wątpię, czy ci się to uda. Co wymyśliłaś?
- Och, to naprawdę nie było trudne. Rozwiązanie nasuwało się samo, Jack. Gdybyś dał mi wczoraj trochę czasu, wytłumaczyłabym ci, na czym polega mój pomysł. Wystarczyło nanieść niewielkie poprawki i gotowe.
- A dokładniej? - Wciąż był pełen sceptycyzmu.
- Dodatkowe profile przy gzymsach pod sufitem. Proste i skuteczne, szczególnie w tak wysokich wnętrzach. Bałam się, że osłony mogą wyglądać ciężko, ale trochę się pomęczyłam i znalazłam odpowiednie proporcje. Pod osłonami pójdą przewody klimatyzacyjne. Nie rozumiem, dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł. - India wzruszyła ramionami. - Zostawiłam rysunki na biurku Eduarda z prośbą, żeby jutro przekazał je inżynierowi. Pokazałabym ci je, ale jestem wykończona.
- Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że wystarczyło dodać jeden profil do każdego belkowania, żeby rozwiązać problem? - Jack był wyraźnie zbity z tropu.
- To jasne jak słońce.
- A ja wynajmuję cały zespół ludzi, płacę im grube tysiące dolarów... Do cholery, za co? Po prostu wyrzucam pieniądze w błoto.
- Nie denerwuj się. - India posłała Jackowi promienny uśmiech. - Nie ty pierwszy i nie ostatni. Taki już los tych biednych milionerów... Nie masz może ochoty na śniadanie? - zmieniła temat.
- Owszem, mam, ale najpierw powiedz, jak wpadłaś na tak prosty pomysł?
- Nie walczę z problemami, tylko je akceptuję i staram się włączyć w projekt.
- Logiczne - przytaknął Jack.

- Problem stanowiły zabytkowe stiuki oraz przewody klimatyzacyjne. Zdawać by się mogło, że albo jedno, albo drugie, a ponieważ klimatyzacja musi być, więc trzeba rozwalić stiuki. Tak walczy się z problemem. Natomiast ja pożeniłam stiuki z przewodami i sprawa załatwiona.
- Gdy tak o tym mówisz, wydaje się to dziecinnie proste...
- Bo jest. W efekcie sztukaterie będą nieco bogatsze, niż są teraz. Jest to wprawdzie pewna ingerencja w historyczną aranżację wnętrza, ale całkowicie zgodna z pierwotnym zamysłem, a wrażenie estetyczne będzie identyczne. Teraz tylko wykonawca musi się postarać, by dodane elementy, które znajdą się na osłonach, wyglądały tak samo jak oryginalne - dokończyła z satysfakcją w głosie, wiedząc doskonale, że wygrała tę potyczkę.
- Jutro poleci kilka głów. - Jack był wyraźnie zirytowany. - Banda niekompetentnych bęcwałów. To, co zrobiłaś, należało do ich obowiązków. Przecież to nie twoja działka. Wiesz, ile płacę tym ludziom?
- Chyba wiem - powiedziała India, nie mogąc powściągnąć uśmiechu.
Jack patrzył na nią przez chwilę, w końcu też się uśmiechnął. Pogodnie, z uznaniem.
- Wspaniała robota. Od tej chwili masz wolną rękę. Nie będę podważał twoich decyzji.
- Mówisz serio?
- Słowo honoru - przysiągł Jack, a w jego roześmianych oczach poza wesołością pojawiło się coś nieuchwytnego.
India spuściła wzrok, nie wiedzieć czemu zakłopotana, i ruszyła w stronę bramy.
- Nie zawiedziesz się na mnie.

- Zawieść się na tobie, Indio? To niemożliwe. Przed wejściem do hotelu India zerknęła na swoje pomięte ubranie.
- Muszę wziąć prysznic, a potem możemy wybrać się na śniadanie na San Telmo. Przy okazji zajrzelibyśmy na targ staroci. Byłeś tam kiedyś?
- Nie.
- Żałuj. To skrzyżowanie londyńskiego Portobello Road z paryskim pchlim targiem. Zaczekasz na mnie? - rzuciła z niepewnym uśmiechem.
- Jak długo będzie trzeba.
- Daj mi kwadrans.
India wsiadła do windy, a kiedy drzwi się zamknęły, miała wrażenie, że unosi ją pod obłoki. Spędzi cały dzień z Jackiem!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jack zamówił drugie już espresso i co chwila zerkał dyskretnie w stronę wind. Cały czas miał obraz Indii przed oczami: India pod prysznicem, India w pościeli... Powinien się spakować i natychmiast wracać do Miami. Powtarzał to sobie bez przerwy, lecz z mizernym efektem. W zamyśleniu upił łyk kawy. Dzisiaj wybada grunt. Przekona się, na czym stoi i jak daleko może się posunąć.

Pojawiła się pięć minut później. Z przyjemnością patrzył, jak odświeżona India wysiada z windy. Ta kobieta ma wrodzone poczucie elegancji, pomyślał z uznaniem. Wyglądała wytwornie nawet w krótkiej białej spódniczce, prostym topie i granatowym swetrze niedbale zarzuconym na ramiona.

- Przepraszam, że czekałeś tak długo. Możemy iść? - zapytała z uśmiechem.

- Natychmiast. Umieram z głodu, a jeszcze wypiłem kawę na pusty żołądek. Na szczęście to nie kubańska.

- Kubańczycy piją aż taką mocną?

- Czysta adrenalina. Natychmiast stawia człowieka na baczność.

Gdy wsiedli do samochodu, India wytłumaczyła kierowcy, dokąd jadą, i ruszyli w drogę.

Jack zerkał na nogi Indii. Takich nóg nie wystarczy podziwiać. Powinny się oplatać wokół jego bioder. Zanim

zdążył posunąć się dalej w swoich fantazjach, India zwróciła mu uwagę na jakiś mijany kościół. Nachylił się do okna, opierając niby przypadkiem łokieć na jej kolanie. Nie zareagowała. Dobry znak, pomyślał z zadowoleniem. Bardzo dobry znak.
Mimo wczesnej pory położone w sercu starego miasta San Telmo tętniło życiem. Jacyś tancerze przygotowywali się do pokazu tanga, kawiarniane stoliki na trotuarach gęsto obsiedli pierwsi goście, zbici w grupki przechodnie z ożywieniem dyskutowali wynik meczu, który miał być tego dnia rozgrywany.
India i Jack wybrali kawiarnię przy placu, zamówili śniadanie i leniwie obserwowali mrowiących się między straganami ludzi. Niewiele mówili.
W pewnym momencie ich uwagę zwróciła potężna Angielka w dziwacznym słomkowym kapeluszu, która głośno rugała i tak już zahukanego męża.
- Nigel, na litość boską, pospiesz się. Czy za każdym razem cały autokar musi czekać tylko na ciebie?
Jack uniósł brwi w przesadnej zgrozie i oboje się uśmiechnęli.
W tej samej chwili zniknęła dotąd ich dzieląca, niewidzialna bariera. India podniosła filiżankę do ust i skrzywiła się odruchowo. Gorąca porcelana podrażniła skaleczenie na palcu.
- Co się stało? - Jackowi nic nie mogło umknąć.
- Drobiazg. Przecięłam sobie skórę jakimś odłamkiem szkła - powiedziała India, bagatelizując sprawę.
Jack ujął jej dłoń i obejrzał skaleczenie.
- Głęboka rana. Powinnaś była przemyć ją wodą utlenioną i zakleić plastrem. Może wdać się infekcja. Zaraz

zapytam, gdzie tu jest najbliższa apteka. - Rozejrzał się, wypatrzył kelnera i przywołał go gestem.
- To naprawdę nic wielkiego, Jack.
Ale jak zawsze był uparty. Kierując się wskazówkami kelnera, znaleźli aptekę w wąskiej uliczce niedaleko placu. Kupili wodę utlenioną, waciki, plaster i Jack zabrał się do opatrywania skaleczenia.
- Przesadzasz. - India była zażenowana tymi zabiegami. - To tylko drobne skaleczenie.
- Nie takie drobne. Uważaj, teraz trochę zapiecze. -Jack uniósł głowę. - Gotowa?
Kiedy przytaknęła, polał ranę wodą utlenioną, przetarł lekko wacikiem, wreszcie okleił plastrem.
Właściwie dlaczego czuję się zakłopotana? - myślała India. Miło czuć, że ktoś się troszczy o człowieka.
Mógłby się troszczyć każdego dnia, przez długie lata... Nawet nie zapiekło, a plaster przy kleił tak delikatnie, że odebrała to jak pieszczotę.
- Już po wszystkim.
Wrócili spacerem na plac. Jack obejmował ją lekko ramieniem. Christian też to robił, ale w jego gestach nie było serdeczności, tylko demonstracja faktu, że ta kobieta stanowi jego własność.
Krążyli między straganami, od czasu do czasu przystawali i oglądali przedmioty, które przyciągnęły ich spojrzenie, wymieniali uwagi. W drodze z apteki India zauważyła w oknie małego sklepu z antykami dwa wiktoriańskie świeczniki i zamierzała wrócić po nie później, teraz jednak jej wzrok przykuł handlarz starymi książkami. Był wiekowy jak woluminy, które wystawił na sprzedaż, brodaty i w okularach. Siedział za straganem zatopiony w lekturze, niepomny tego, co się dzieje wokół.

- Spójrz, Jack. - India wzięła do ręki oprawny w skórę tom z tłoczonym tytułem, z którego dawno spełzło złoto. Ostrożnie otworzyła książkę. - To chyba pierwsze wydanie *Łez Szkocji* Tobiasa Smolletta .
- W rzeczy samej, młoda damo - odezwał się po angielsku, z doskonałym oksfordzkim akcentem, starszy pan siedzący za straganem. - To rzeczywiście pierwsze wydanie Smolletta, prawdziwy biały kruk. Zamierzałem zachować je dla siebie, ale nie jestem w stanie gromadzić wszystkiego, co bym chciał. Interesują panią szkoccy poeci? Mam piękną edycję *Ogródka rymów* Roberta Louisa Stevensona i, jeśli się nie mylę, *Młodego Lochinvara* Waltera Scotta. - Wstał powoli i przeszedł w głąb budki.
India spojrzała na tomik, który trzymała w dłoni. Zy-wo stanęły jej w pamięci chwile, gdy będąc jeszcze dzieckiem, siedziała przy kominku w salonie w ich szwajcarskim domu, i słuchała tych samych wersów czytanych przez matkę. Wciąż słyszała jej melodyjny głos i komentarze do poematu o narodowej klęsce.
Łzy napłynęły jej do oczu. Zamknęła delikatnie książkę i odłożyła na bok. Nie czas teraz, oglądać się wstecz, trzeba żyć dalej, iść do przodu. A jednak świadomość, że nie ma powrotu do przeszłości, kładła sięnieznośnym ciężarem na sercu. India pomyślała o Dunbarze, o tym, jaki los czeka posiadłość i jak będzie wyglądało jej życie pozbawione korzeni. Chciała odejść szybko od straganu, uciec od smutnych wspomnień, ale Jack jakby tego nie widział. Wziął do ręki porzuconego Smolletta.
- Może przeczytałabyś mi parę wersów?
*** Tobias George Smollett, (1721-1771), pisarz angielsko-szkocki, szczególnie zasłużony dla kultury szkockiej. Poemat *Łzy Szkocji* napisał po upadku powstania 1745-1746 (przyp. red.).**

- Ja? Raczej nie... - Głos zadrżał jej niebezpiecznie.
- Ależ tak. Zrób to dla mnie, proszę.
Zamglone oczy Indii mówiły wszystko. Jack w mig pojął, co działo się w jej duszy, i wezbrała w nim gwałtowna złość. Dlaczego świat jest tak źle urządzony? Dlaczego wszystko układa się inaczej, niż powinno? Dlaczego nikt nie potrafi zrozumieć, jak wiele dla Indii znaczy Szkocja, a szczególnie jeden jej skrawek, który zwie się Dunbar? Wspomniał ostatnią rozmowę z Sereną. Chciała jak najszybciej pozbyć się posiadłości, traktowała ją jak zawadę. Zrobiło mu się serdecznie żal Indii. To oczywiste, że kochała Dunbar, chociaż ani razu o nim nie wspomniała. Może sam powinien zacząć rozmowę? Nie, nie teraz. Poczeka na stosowniejszą okazję. Kiedy India pozna dokładnie jego plany, łatwiej zaakceptuje to, co miał do powiedzenia. Kiedy tak na nią patrzył, przysiągł sobie, że kiedy Dunbar będzie już jego, zrobi wszystko, by tego nie żałowała.
Włożył jej książkę do ręki. Był pewien, że chciała zapomnieć o Dunbarze, bo te wspomnienia bolały, kojarzyły się z bezpowrotną stratą...
- Nie uciekaj od przeszłości, Indio - szepnął. - Spróbuj się z nią zmierzyć...
Mówi tylko o mnie, czy również o sobie? - zapytała w duchu. I zaczęła przerzucać strony.
- Posłuchaj, to piękny, choć bardzo smutny fragment. Kiedy zaczęła czytać, w Jacku nagle odezwała się jakaś niepojęta, daleka tęsknota.
- *Oręża twego głośna chwała Będzie jaśniała, jak jaśniała, Choć duch twój znieważony,*

Fiona Hood-Stewart
121
Kark w jarzmie pochylony. Czego miecz wrogi nie pokonał, Tego w złej wierze brat dokonał.
Skończyła niedosłyszalnym szeptem i podniosła oczy znad książki.
- Smollett napisał *Łzy* w 1746 roku, po bitwie pod Cullodenem. Potem Szkocja już nigdy nie była tą samą Szkocją.
- Jesteś bardzo związana ze swoim krajem? - raczej stwierdził, niż zapytał.
Skinęła głową i zawahała się, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się.
- Dunbar to wspaniałe miejsce. Ciężko byłoby ci się z nim rozstać?
- Wolę o tym nie myśleć, ale boję się, że nie będę miała wyboru. - Uśmiechnęła się blado. - Zostawmy ten temat. Nie psujmy sobie dnia smutkami.
- Masz rację. Poczytasz jeszcze? Podoba mi się. Chyba odzywa się moja szkocka krew.
- Racja, przecież z pochodzenia jesteś Szkotem.
- Dalecy przodkowie byli Szkotami.
- To niezwykłe, jak ważne są dla nas korzenie. Dopiero niedawno się o tym przekonałam.
Jack doskonale rozumiał, co India miała na myśli. Poczuł to samo, kiedy pierwszy raz odwiedził Kinnairdów. Miał wtedy wrażenie, że wraca do domu.
- Do śmierci matki nigdy się nad tym nie zastanawiałam, dopiero teraz... Może po prostu boję się, że przeszłość zniknie bezpowrotnie. - Ponownie zajrzała do poematu Smolletta. - Posłuchaj, to jeszcze jeden mój ulubiony fragment:

DROGA KU PRZEZNACZENIU

- *Ni kobzów granie, ni dziewczyna, W kompanii zacnej szklanka wina, Już nie rozbudza, serc zmartwiałych, Nie rozweselą dusz zbolałych. Bo zewsząd jeno smutkiem wieje, A wszędzie słyszysz zawodzenie, I zjawy blade bohatyrów Po nocy błądzą nad równiną.*

Jack zasłuchał się w melodię wiersza, a przed oczami stanął mu Dunbar, jakim go ujrzał pierwszego dnia. Poczuł dreszcz. Podobnego wrażenia doznał na widok majestatycznego dunbarskiego dębu, gdy zwrócił ku niemu wzrok w zapadającym zmierzchu.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że India przestała czytać. Ich spojrzenia spotkały się i już wiedział, że przeniosła się w myślach tam, gdzie i on.

- Chodźmy - powiedział, chcąc jak najszybciej otrząsnąć się z dziwnych emocji.

- Idź, zaraz cię dogonię. - Lidia zaczęła kartkować *Młodego Lochinvara* odnalezionego przez starego antykwariusza.

- Dobrze. Będę czekał na ciebie przy tamtym straganie. - Wskazał budkę ze starą bronią.

Obejrzał kilka mauserów z czasów I wojny światowej, potem zainteresował się remingtonem 12, aż dojrzał pudło z dwoma pistoletami pojedynkowymi inkrustowanymi masą perłową. Wyjął jeden i zważył w dłoni. Jak musi czuć się człowiek wyzywający przeciwnika na śmiertelną walkę? Chyba nie inaczej niż on sam wiele razy w przeszłości, pomyślał cierpko i odłożył pistolet.

- Jestem. - Przy straganie pojawiła się India.

- Spójrz na te pistolety.

- Piękne. Ciekawe, z jakiego czasu pochodzą.
- Początek dziewiętnastego wieku, Anglia. Tak mi się wydaje.
India zerknęła na Jacka z zainteresowaniem.
- Sporo wiesz o broni. Kolekcjonujesz?
- Trochę. Ostatnio w Azji natrafiłem na kilka ciekawych okazów.
- Masz jeszcze jakieś inne hobby?
- Owszem. Praca jest moim hobby. - Zaśmiał się. -Jeśli mam czas, gram w tenisa albo jeżdżę na nartach.
- Co za nudny facet - westchnęła India z rozbawieniem.
- Nie taki nudny, jak ci się wydaje, młoda damo. - W jego głosie zabrzmiało wyzwanie.
- Fiu, fiu, jak stroszy piórka. Ale dobrze, bo czuję się ostrzeżona. Możemy wrócić do tego sklepiku z antykami, który mijaliśmy po drodze z apteki? Zauważyłam tam coś, co chciałabym dokładniej obejrzeć. - Zawahała się, po czym wyciągnęła dłoń ukrytą za plecami. - To dla ciebie.
- Dla mnie?
- Otwórz.
Zaczął odwijać papier, ale już wiedział, co to takiego. Otworzył ostrożnie tomik Smolletta i przeczytał dedykację.
Dla Jacka,
Za to, że kocha Szkocję. India
Pod spodem miejsce i data. Szczerze ujęty tym gestem, jeszcze raz przeczytał dedykację.
- Dziękuję. To naprawdę wspaniały prezent.

- Cieszę się. Mogę go włożyć do swojej torby, jeśli chcesz. Idziemy do tego sklepu? - zapytała, chowając tomik.
Zaczęli przeciskać się w tłumie turystów i kolekcjonerów ku wyjściu z targowiska. Jack dostawał najróżniejsze prezenty, od zapalniczek Dunhilla po wysadzane brylantami spinki do mankietów, ale żaden z nich nie był tak cenny i tak drogi sercu jak tomik Smolletta. Wiedział, że ilekroć go otworzy, będzie doń wracało wspomnienie dzisiejszego dnia.
- To tutaj. - India wskazała sklepik, o który jej chodziło. - Widziałam na wystawie świeczniki, które mi się spodobały.
Kiedy weszli do ciasnego wnętrza pełnego wszelkich staroci, Jack wskazał trzyramienne świeczniki stojące na mahoniowym stoliku w oknie wystawowym.
- Te chciałaś kupić?
- Jeszcze nie wiem. Zależy, ile za nie będą chcieli. - Wzięła do ręki świecznik, obejrzała go dokładnie, ogarnęła fachowym spojrzeniem nagromadzone w sklepiku przedmioty i zwróciła się do właścicielki, czekającej cierpliwie przy stylowym biureczku.
- *Cuanto valen, senora?*
Kobieta bez zastanowienia wymieniła żądaną sumę.
- To czyste zdzierstwo - szepnęła India do Jacka. -Są warte połowę tego. Owszem, ładne, ale zdecydowanie za drogie. W Londynie dostanę podobne znacznie taniej.
- Kup je.
- Nie. Nie dam się oskubać.
- Przecież podobają ci się, prawda?
- Nie w tym rzecz. - India skinęła sprzedawczyni głową i ruszyła do drzwi.

Jack stał bez ruchu. Chyba jednak nie do końca rozumiał kobiety.
- Indio, jeśli masz ochotę na te przeklęte świeczniki, to je, u licha, bierz. Przecież już wiesz, gdzie byś je postawiła. A widzisz? - zaśmiał się, widząc jej zdumioną minę. - Zaczynam cię poznawać.
- Nie rozumiesz, Jack - powiedziała India, zdając się potwierdzać jego przypuszczenia; - Mam na nie ochotę, ale czułabym się jak dudek, gdybym zapłaciła taką cenę, a targować się nie mam ochoty. Poza tym strasznie tu duszno. Chodźmy już.
- Nie. Zaczekaj.
Jack odwrócił się do właścicielki i podał jej swoją sumę.
- *No... ne se, sehor...* - odparła, szykując się na długie negocjację.
- *Zgadza,* się pani czy kończymy rozmowę? - Spojrzał na nią twardo.
Kobieta wzruszyła ramionami, po czym z uśmiechem zdjęła świeczniki z wystawy.
- Proszę, nie rób tego... - Zanim India znalazła kartę kredytową, Jack podpisał paragon i odebrał od sklepi-karki torbę z nabytkiem.
- Są ciężkie, ja poniosę.
- Nie powinieneś był ich kupować.
- Dlaczego nie? Jak byś się czuła, gdybym przed chwilą powiedział, że nie przyjmę od ciebie książki, którą mi dałaś? - Jack otworzył drzwi i przepuścił Indię.
- To zupełnie coś innego. Zrobiłam to impulsywnie. Wiesz, że...
- Nie wiem. Za każdym razem, kiedy otworzę tomik Smolletta, będzie do mnie powracał ten dzień na San

Telmo. I ty. Dałaś mi coś znaczącego, chciałem zrobić to samo.
- Skoro tak, pozostaje mi tylko powiedzieć: dziękuję. Jack uśmiechnął się i zerknął na zegarek.
- Miło mi. Słuchaj, wrócimy teraz do hotelu. Utniesz sobie drzemkę, a wieczorem wybierzemy się na kolację. Jeśli, oczywiście, masz ochotę - dodał na wypadek, gdyby jego słowa zabrzmiały zbyt kategorycznie.
- Zgoda. Ale już żadnych zakupów, bo nigdy nie wrócimy do hotelu. Amerykański turysta, który ma furę pieniędzy i za grosz zdrowego rozsądku, to marzenie każdego kupca.
Jack roześmiał się. Po raz pierwszy mu się przytrafiło, by kobieta, miast naciągać na prezenty, powstrzymywała go przed zakupami. Zwykle tak żeglowały, by zarzucić kotwicę w sklepie Cartiera.
India przyjrzała się krytycznym wzrokiem swojemu odbiciu. Bluzka i spodnie z beżowego jedwabiu prezentowały się nieźle, ale nie była do końca zadowolona. Czegoś brakowało. Nałożyła maleńkie kolczyki z brylantami, naszyjnik z pereł i po raz ostatni zerknęła w lustro. Jeszcze tylko odrobina Joy, perfum, których zawsze używała, i byłą gotowa.
Po powrocie do hotelu usnęła prawie natychmiast, tak jak Jack przepowiedział. Obudziła się przed godziną. Spojrzała z uśmiechem na torbę ze świecznikami. Jack zrobił wszystko, by jego gest wypadł naturalnie, a jednak to nie *comme ił faut* przyjmować drogie prezenty od mężczyzny. Lady Elspeth zdecydowanie nie aprobowała podobnych sytuacji.
Ale też India zachowywała się zupełnie inaczej niż

dotąd. Gdyby jeszcze miesiąc temu ktoś jej powiedział, że na widok niemal obcego faceta będą się pod nią uginać kolana, a jego zapach będzie przyprawiał ją o przyspieszone bicie serca, powiedziałaby temu komuś, że zwariował. A to ona zwariowała, ot co.
Miniony tydzień przeżyła jak we śnie. Zamiast skupić się na pracy, wpadała w rozmarzenie. Śmieszne, a nawet dziecinne, bo przecież ciągle się sprzeczali.
Dopiero dzisiaj rano coś się zmieniło. Kiedy Jack zrozumiał, że w sprawie przewodów klimatyzacyjnych to ona ma rację, natychmiast ustąpił, z godnością przyjmując porażkę. A potem, na San Telmo, patrzył na nią tak, że czuła mrowienie na całym ciele i zasychało jej w ustach. Miała wrażenie, że doskonale wiedział, co dzieje się w jej głowie. Powinna się lepiej maskować, pomyślała smętnie, zarzucając na ramiona żakiet z jedwabnego dżerseju. Ale jak tu się maskować, kiedy dusza rwała się do raju!
Punktualnie o ósmej zeszła do holu. Jack siedział przy barze. Wyglądał zabójczo w białej koszuli w bordowe cętki i granatowym blezerze. Z uśmiechem podniósł się na widok Indii i ujął jej dłonie.
- Dobrze spałaś?
- Tak, dziękuję.
- Szampana - zwrócił się do barmana. - Ach, - truskawki do tego.
- Skąd wiedziałeś, że do szampana lubię truskawki?
- Przenikam cię na wskroś, nic się przede mną nie ukryje. - Co prawda, w Stanach był to typowy zestaw, ale z tym oczywiście się nie zdradził.
- Przenikasz mnie... hm... i to na wskroś... Lepiej zatrzymaj się na truskawkach, bo jeśli zagłębisz się w mej czarnej duszy...

- - Aż takiej czarnej? Nic z aniołka?
- Może, trochę...
- Uff, to mi ulżyło. Dokąd się wybierzemy na kolację? Do Puerto Madero czy na Recoletę?
Wybór padł na Recoletę. Poszli spacerem przez Ave-nida Alvear, potem bocznymi uliczkami dotarli do promenady pełnej restauracji z ogródkami i tarasami. Wokół panował miły spokój, jako że większość mieszkańców miasta wyjechała na wakacje.
Jack wydawał się odprężony, w o wiele lepszym nastroju, niż był przez cały minjony tydzień.
- Lubię Buenos Aires. To Londyn i Paryż połączone ze sobą w argentyńskim tangu - zauważyła India.
- Dobre określenie. Buenos jest wyjątkowe, bardziej europejskie niż południowoamerykańskie.
- Czasami myślę, że mogłabym tu zamieszkać.
- Tak? - zdziwił się Jack. - Ja poza Stanami mógłbym żyć tylko w Londynie albo w Szkocji.
- W Szkocji? - teraz z kolei zdziwiła się India. -Myślałam, że wolisz cieplejsze rejony. W końcu mieszkasz w Miami.
- Tylko ze względu na wygodę.
- Kierowałam się tym samym, osiadając w Szwajcarii
- powiedziała India, gdy przechodzili na drugą stronę ulicy.
- Lubię Chantemerle, ale nie czuję się tam u siebie. Nie wiem, jak to powiedzieć... Pewnie chodzi o korzenie.
- Wiem. Człowiek ma wrażenie, że nie przynależy do żadnego miejsca, jest tylko przechodniem.
- Otóż to.
Jakże ciężka była dla niej myśl o rozstaniu z Dunbarem. Ale cóż, jak to wcześniej powiedziała Jackowi, nie miała wyboru. Tylko cud mógł uratować posiadłość, ale

cuda się nie zdarzają. Nie pora teraz zastanawiać się nad sprzedażą majątku i psuć sobie wieczór smutnymi myślami, napomniała się ostro.
Jack zatrzymał się przed jedną z restauracji.
- Masz ochotę na włoską *pasta?* Mają świetne *fettucine*. Byłem tu kilka razy z Hernanem. Wiem, to nudne bywać ciągle w tych samych miejscach, ale strzeżonego... To jak?
- Brzmi obiecująco. Wyspałam się, a teraz jestem okropnie głodna. Zafundowałam sobie dzień leniucha. A ty co dzisiaj robiłeś?
- Trochę pracowałem.
Usiedli na tarasie w półmroku późnego zmierzchu. Jack skinął na kelnera i zamówił, jak poprzednio, szampana i truskawki.
- Chcesz zrobisz ze mnie szampańską królową truskawek? - zaoponowała India ze śmiechem.
- Przyznaj, lubisz to. Sama rozkosz patrzeć, jak się tym delektujesz. - Nachylił się ku niej, we wzroku miał dziwną tęsknotę, pragnienie.
Atmosfera zrobiła się niezwykle intymna. India poczuła się niepewnie i niezręcznie. Kiedy kelner przyniósł szampana i truskawki, delikatnie odsunęła owoce, jakby stanowiły jakieś zagrożenie. Jack zauważył ten gest. Nie powiedział słowa, ale wpatrywał się w nią tak, jakby była najpiękniejszą i najbardziej pożądaną kobietą na świecie. Zakrztusiła się z wrażenia. Jack natychmiast poklepał ją po plecach.
- Już lepiej?
- Tak. Dziękuję - sapnęła, łapiąc powietrze.
- Może gdybyś zjadła truskawkę... - zaczął z lekką kpiną w głosie.

- Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo na temat tych przeklętych...
- Dobrze, dobrze... poddaję się. Zobaczmy, co mają dzisiaj w karcie.
W parku na trawniku, tuż obok tarasu restauracji, leżała para młodych ludzi. Przytuleni do siebie słuchali radia. Kiedy rozległy się pierwsze takty tanga, chłopak poderwał się, pociągnął dziewczynę i zaczęli tańczyć. W ich ruchach było tyle zmysłowości, tyle naturalnej gracji, Że Jack nie mógł oderwać oczu. Patrzył, słuchał muzyki i nagle, pod wpływem chwili, obudziła się w nim tęsknota za czymś więcej niż przelotną przygodą. Nie, powiedział sobie stanowczo. Przed laty głęboko zraniony, panicznie bał się emocjonalnych związków. Z tym kompleksem samotnie szedł przez życie, radził sobie... i tak miało pozostać.
- To było piękne - westchnęła India z rozmarzeniem, gdy wybrzmiały ostatnie akordy i młodzi zamarli w dramatycznej figurze finałowej.
Jest taka jak to tango, pomyślał Jack. Pod wystudiowaną pozą kryje się osoba pełna namiętności, emanująca erotyzmem. Czuł to, widział. Ale India chyba nie zdawała sobie z tego sprawy, jakby nie znała samej siebie, co czyniło ją jeszcze bardziej pociągającą. Wystarczyło tylko obudzić drzemiące pod maską uczucia i pragnienia...
- Och, byłabym zapomniała... - powiedziała żywo i Jack spadł z obłoków na ziemię z głośnym hukiem. -Dolores zaprasza cię na *osado.*
- Słucham?
- Dolores, babka Gabby i cioteczna babka Hernana - wyjaśniła India. - Zaprasza cię na sobotę na grilla, ma być wspaniała pieczeń. Będą też matka i siostry Hernana.

Czuję, że mama Carvajal chętnie widziałaby w tobie zięcia - dodała najpoważniej w świecie.
- Chryste! - zawołał Jack ze zgrozą. - Skąd u niej ten pomysł?
- Nie wiem. Widocznie uznała, że nie wolno zmarnować okazji, kiedy na horyzoncie pojawia się bogaty facet w stanie wolnym, który do tego jest przystojniejszy od diabła.
- Kpij sobie, kpij, ale co ja mam robić? - Jack wyraźnie wpadał w panikę.
- Możesz powiedzieć, że jesteś żonaty albo że masz *novia,* czyli narzeczoną. Powinno poskutkować.
- Świetny pomysł! Powiem im, że jesteś moją *novia,* i po problemie. Nie opuścisz kumpla w potrzebie, prawda?
- Wybij to sobie z głowy. Mam zaprojektować wnętrza Palacio, a nie udawać narzeczoną prezesa firmy. Wyszłoby na to, że zlecenie zawdzięczam prywatnym układom, a nie moim umiejętnościom.
- Nie przesadzaj, masz mocną pozycję na rynku i nikt tak nie pomyśli. Indio, błagam, to tylko mała przysługa. Naprawdę tak trudno udać, że trochę ci na mnie zależy? Przecież sama powiedziałaś, że jestem przystojniejszy od diabła - przymilnie wodził ją na pokuszenie.
- Ale spryciarz! - Upiła łyk szampana i spontanicznie sięgnęła po truskawkę.
- Więc zgódź się, pomóż staremu Buchananowi. Tonącemu nie odmawia się pomocy.
Patrzył jak urzeczony, gdy wkładała owoc do ust.
- Ejże, tonącemu? - Roześmiała się. - Prowadzisz wielką firmę, bez pardonu strzelasz do dam, a boisz się szacownej matrony i jej dwóch córek? Nie, Jack, mówiąc

poważnie, odmawiam. Nie znoszę takich sytuacji, nie potrafię kłamać, a tu musiałabym oszukiwać bliskich mi ludzi. A poza tym... nigdy nic nie wiadomo. Może któraś z sióstr Hernana ci się spodoba i potem będziesz żałował? Starsza jest prawdziwą pięknością. Wysoka, szczupła, ciemnowłosa, o wielkich oczach. I znakomicie się ubiera. - India wyraźnie się ożywiła. - Chociaż Angeles byłaby bardziej w twoim typie. Jest słodka, śliczna, ma dziewiętnaście lat. Łatwiej byś ją sobie...
- Jest tylko jeden problem - przerwał jej Jack.
- Mianowicie?
- Nie mam najmniejszego zamiaru się żenić, a już na pewno nie z takim dzieciakiem. Gdybym się dobrze postarał, mógłbym być jej ojcem... I skąd ci przyszło do głowy, że chciałbym być ze „słodką", jak to określiłaś, kobietą?
- Takie odniosłam wrażenie. Lubisz rządzić ludźmi. Ale mogę się mylić. W każdym razie dobrze wiedzieć, że nie myślisz o małżeństwie. Przekażę to dyskretnie mamie Carvajal. Niech sobie nie robi niepotrzebnych
, nadziei.
- Wielkie dzięki - rzucił Jack z lekkim przekąsem. Był zawiedziony, że India nie zgodziła się na jego propozycję.
- Drobiazg.
Jest niesamowita, pomyślał. Piękna, seksowna, urocza, inteligentna, a kompletnie nie zdaje sobie sprawy, jak działa na facetów. Na Jacka przede wszystkim.
- *Fettucine al tuco para la seńorita* - oznajmił kelner, stawiając przed Indią talerz. - A dla pana *fettucine carbonara.*
- Dziękuję. I poproszę o butelkę mleka.

- Oczywiście, senor, służę uprzejmie. - Kelner odpłynął, zgrabnie lawirując między stolikami.
- Mam nadzieję, że wino będzie ci smakowało.
- Na pewno - powiedziała India z pewnym wahaniem. Czuła, że za dużo już wypiła. Spojrzała na talerz. - Wygląda świetnie, aż ślinka cieknie. Chyba pochłonę wszystko do ostatniego kluseczka.
- Jesteś szczupła, możesz sobie pozwolić. Nie znoszę kobiet, które skubią, zamiast jeść.
- Pewnie wydaje się im, że tak jest wytwornie. A ja jestem łakomczuchem.
- Kochanie, jesteś samą wytwornością, bo jesteś sobą. Tylko jedna ze znanych mi... - przerwał raptownie. Za nic nie chciał mówić o Lucy.
Indią spojrzała na niego pytająco, ale on tylko mruknął:
- Dobra rzecz ta *fettucine.* - Zabrał się do jedzenia. Wiedział, że India czeka na ciąg dalszy, ale Jack nigdy
z nikim nie rozmawiał o Lucy. Te wspomnienia traktował jak świętość. Miał dwadzieścia dwa łata, gdy stał nad jej grobem na małym cmentarzyku w Tennessee. Razem z Lucy pochował swoje uczucia. Po jej śmierci próbował jakoś żyć, pozbierać się, ale każdy drobiazg, każdy kwiat w ogrodzie, przypominał mu żonę. Wstąpił w końcu do wojska, służył w oddziałach specjalnych, zgłaszał się do najbardziej ryzykownych zadań. Prawdziwy *desperado,* który szuka śmierci w zakazanych zakątkach świata. Lecz przeżył.
India nachyliła się ku niemu i położyła dłoń na jego dłoni, wyrywając go z bolesnych wspomnień.
- Nie mów, jeśli nie chcesz, ale czasami trzeba zmierzyć się z tym, co minęło. Sam mi to powiedziałeś dzisiaj rano, Jack.

Poczuł bolesny ucisk w gardle i nagle uświadomił sobie, że chce mówić o przeszłości, o tym, co stracił bezpowrotnie. Zaczął z wahaniem, szukając odpowiednich słów, przełamując wewnętrzny opór.
- Tyle lat minęło, a wydaje mi się, jakby to było wczoraj. Lucy... moja żona... ona... - Jak miał to powiedzieć? - Nikogo tak nie kochałem. Znałem ją od dziecka. Chyba od początku wiedzieliśmy, że będziemy razem. Rodzice nie godzili się na ślub. Kiedy Lucy skończyła osiemnaście lat, poinformowaliśmy ich, że się pobieramy. - Uśmiechnął się do swoich wspomnień. -Przeżyliśmy ze sobą dwa cudowne, radosne lata. Byliśmy dzieciakami, być może z czasem wszystko by się zmieniło... ale nie sądzę. Stworzyliśmy coś niepowtarzalnego, co nigdy nie powinno się kończyć. Lucy była w ciąży, kiedy zginęła. Dzień przed jej śmiercią zrobiliśmy pierwszy ultrasonograf. Zachowałem go. Czasami oglądam go i zastanawiam się, jaki nasz syn byłby dzisiaj. - Przerwał na chwilę. - No cóż, człowiek myśli, że nigdy się nie podniesie, a jednak w końcu wstaje i żyje dalej. Musi. Ale ból i żal pozostają.
- Straszne - powiedziała India. - Nigdy nie spotkała mnie podobna tragedia, więc trudno mi sobie wyobrazić, co przeżywałeś. - Uścisnęła dłoń Jacka i natychmiast się wycofała. Nie chciał przecież współczucia. - Jak sobie poradziłeś? - zapytała cicho.
- Zaciągnąłem się do armii, robiłem różne szalone rzeczy. Pomogło. Nie do końca, ale nie czułem już takiej pretensji do losu jak wcześniej, mogłem jaśniej widzieć. W końcu założyłem firmę. - Zdał sobie nagle sprawę, że India nie wie nic o służbie w wojsku, o straceńczych akcjach, igraniu ze śmiercią, o ciężarze odpowiedzial-

ności za podległych sobie ludzi. - Poznałem cię w rocznicę śmierci Lucy, mówiłem ci już. Dlatego byłem taki rozbity. To dla mnie zawsze trudny dzień, ale trzeba żyć dalej. Mam pracę, to moje życie... sposób na to, by zapomnieć. Tobie też musi być niełatwo. Straciłaś oboje rodziców...
- Nie da się tego porównać. Matka zmarła 'śmiercią naturalną, mogę tylko dziękować Bogu, że nie chorowała. Brak mi jej bardzo, ale taka jest kolej rzeczy. Jestem dorosła, mama miała już swoje lata...
- India upiła łyk wina. - Nasi bliscy odchodzą, trzeba być na to przygotowanym. Teraz muszę radzić sobie sama.
- Masz przecież siostrę.
- Nigdy nie byłyśmy sobie bliskie. Serena ma swoje problemy, chyba nie bardzo wie, czego chce od życia. Szkoda tylko, że tak mnie lekceważy.
- Może nie jesteś tak zupełnie sama, jak ci się wydaje. - Jack zaczął bawić się widelcem. - Los potrafi płatać dziwne figle. Nieoczekiwanie wynagradza nam to, co straciliśmy.
- Bardzo filozoficzne spojrzenie. Tobie wynagrodził?
- Nie, chyba nie.
- I pomimo to wierzysz, że jest w stanie wynagrodzić? Dziwne.
- Pomimo to wierzę.
- Jeśli mamy zaznać dobra, musimy się na nie otworzyć.
- Co masz na myśli? - Jack nagle stał się czujny. Rozmowa zaczynała zmierzać w niebezpieczną stronę. Przywołał kelnera, zamówił wodę i z uśmiechem zmienił temat: - Jednak zjadłaś truskawki.
- Nawet nie zauważyłam kiedy. Ach, byłabym zapo-

mniala. - Skoro Jack uciekł od osobistych tematów, musiała to uszanować. - Dzwonili z magistratu. Zostawiłam Hernanowi wiadomość, żeby się z nimi skontaktował.
- Dobrze, niech się tym zajmie.
Dalej rozmowa potoczyła się swobodnie. Dokończyli wino, wypili po filiżance espresso, wreszcie Jack spojrzał na zegarek.
- Robi się późno. Idziemy?
- Idziemy. Dziękuję za kolację.
Sięgnął po jedwabny żakiet Indii, zarzucił go jej na ramiona, po czym spacerem ruszyli w stronę hotelu.
- To był bardzo udany dzień, Jack. Tak się cieszę, że mogliśmy wreszcie swobodnie porozmawiać. Nigdy nie mamy po temu okazji.
Przyspieszył kroku, serce zabiło mu żywiej, ale już następne słowa Indii rozwiały jego nadzieje.
- Lubię zaprzyjaźniać się z ludźmi, z którymi pracuję. Dzięki temu wszystko idzie sprawniej.
- Twoim zdaniem łączą nas tylko układy zawodowe?
- Nie tylko, ale...
Jack zatrzymał się, położył Indii dłonie na ramionach i obrócił ją ku sobie.
- Myślę, że... - bąkała.
- Przestań.myśleć, Indy. Bądź ze sobą szczera. Wiesz doskonale, że oboje chcemy tego samego. - Zanim zrozumiał, co robi, jego wargi dotykały już jej ust. India zesztywniała, ale nie cofnęła się. Czuł, jak się waha, jak powoli się rozluźnia, zaczyna reagować, wreszcie zarzuca mu dłonie na szyję. Teraz pragnął tylko jednego: przytulić ją mocno, dotykać jej nagiej, jedwabistej skóry. Co w tej kobiecie było takiego, że zupełnie go zaczarowała? Od lat nie czuł nic

podobnego. Lękał się, a zarazem ogarniało go uniesienie. Lecz kiedy spróbował przygarnąć ją do siebie, odsunęła się gwałtownie.
- Co się stało? - zapytał, patrząc w jej twarz oświetloną mdłym blaskiem staroświeckiej latarni. Widział w jej oczach niepewność, pytanie, pożądanie, ale i coś jeszcze, czego nie umiał nazwać.
- Wracajmy do hotelu - powiedziała, odwracając wzrok.
- Dlaczego? Nie psuj pięknej chwili, Indy. Przecież oboje na to czekaliśmy.
- Nie sądzę, że powinniśmy... Nasze relacje zawodowe. .. Nie chcę się angażować, Jack.
- Nie oszukuj się, Indy. Czujemy cały czas swoją obecność, myślimy o sobie. Tak jest od chwili, kiedy pojawiłaś się w pałacu. Cholera, nie. Od kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem. A poza wszystkim, czy ktoś tu mówi o angażowaniu?
- A o czym? - zapytała ostrym tonem. - O przyjemnym, szybkim seksie?
- Czemu nie? Jesteśmy dorośli. Skoro dobrze się czujemy w swoim towarzystwie, dlaczego nie mielibyśmy pójść do łóżka? Seks, jeśli cieszy obie strony, jest bardzo przyjemny.
- Dzięki za tak szczere wyjaśnienia, ale muszę cię zmartwić. Mam inne zdanie w tej sprawie. To że jesteś bogatym, przystojnym Amerykaninem, który na kiwnięcie palca ma wszystko, co zechce, nie znaczy jeszcze, że mam się z tobą przespać. Wybacz, ale znam inne sposoby na odprężenie i nie muszę wskakiwać do łóżka z pierwszym z brzegu facetem. - India strząsnęła dłoń Jacka z ramienia.

- Po co ta złość? Zachowujesz się, jakbyś miała czternaście lat.
- I bardzo dobrze - sarknęła, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę hotelu.
- Ten twój były maż to jakaś fujara. Gdybym ja miał w łóżku taką jak ty kobietę, potrafiłbym dać jej rozkosz.
- Nie będę cię fatygować - wycedziła lodowato. -Panie Buchanan, pomyliłeś się z adresem. Jeżeli szukasz panienki na szybki numerek, to zastukaj do właściwych drzwi.
Cholera, fatalnie to rozegra}. Jack wcisnął dłonie do kieszeni i ruszył za Indią. Czyżby aż tak bardzo różniła się od tych kobiet, z którymi się stykał?
Bronił się przed tą myślą. Bo gdyby ją zaakceptował, oznaczałoby to, że bardzo zależy mu na Indii. Bo i zależało... Choć wiedział, jak wiele bólu może przynieść takie uczucie, nie potrafił go ignorować. Kolejna przygoda? Nie z Indią, bo była inna. Cudowna jak... po prostu cudownie inna. Głupiec z niego, że wcześniej tego nie dostrzegł. Był wściekły na siebie, że zachował się wobec niej tak beznadziejnie.
Dogonił ją, ale tylko przyspieszyła kroku.
- Nie pędź tak, wrócimy razem do hotelu.
- Nie wracam do Alvearu. Idę do mieszkania Dolores, mam klucze.
- Nie weźmiesz nawet swoich rzeczy z hotelu? India nie odpowiedziała i przez chwilę maszerowali w milczeniu.
- Przepraszam, Indy. Nie chciałem cię obrazić. Wróć ze mną do hotelu, proszę.
Zawahała się, zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.
- Dobrze - przystała w końcu.

Była taka piękna, pełna godności, a on postąpił wobec niej jak szczeniak. Dałby wszystko, żeby cofnąć wypowiedziane wcześniej słowa. Z ponurą miną wszedł za nią do holu hotelowego.
- Jeszcze raz cię przepraszam - powiedział, gdy zamknęły się za nimi drzwi windy.
- Nic się nie stało.
- Owszem, stało się.
Uniosła głowę i Jack wykorzystał ten moment. Chwycił ją w ramiona, przygarnął do siebie i spojrzał prosto w oczy.
- Powiedz mi, że mnie nie pragniesz, a dam ci spokój
- szepnął. - Powiedz prawdę, nie- igraj ze mną, Indy. Bądź szczera wobec samej siebie.
- Jack, proszę...
- Nie chcę cię skrzywdzić. Nie chcę się narzucać ani... Boże, jaka ty jesteś piękna. Też mnie pragniesz, tak samo jak ja ciebie. Przyznaj. Nie okłamuj mnie, siebie nie okłamuj. - India nie odpowiadała, mierzyła tylko Jacka lodowatym spojrzeniem. - W porządku, nie będę nalegał. - Puścił ją zły, urażony.
- Udawaj, jeśli tak wolisz..
Drzwi windy otworzyły się bezszelestnie.
- Dobranoc. - Jack skinął sztywno głową. - Do zobaczenia jutro. I nie martw się, nie będę ci się już narzucał
- dodał z gorzkim uśmiechem, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył do swojego pokoju.
Czuł się jak skończony głupiec.
India patrzyła za nim przez chwilę, po czym poszła do siebie. Odstręczający facet, zadufany, pewny siebie. O seksie mówił tak, jakby to była forma terapii, coś w ro-

dzaju masażu shiatsu. Równie dobrze mógłby zapytać, czy napije się jeszcze jednego drinka...
Weszła do pokoju i padła na łóżko, nie zapalając światła. Tak, okropny, wstrętny jankes... Tylko dlaczego wciąż czuła na sobie jego dotyk i wcale jej to nie mierziło? No cóż, dotykał jej co chwila, przez cały dzień, i było to bardzo miłe.
Usiadła gwałtownie. Może te drobne i, jak sądziła, przyjacielskie gesty miały oznaczać coś więcej? To niesłychane, jak ją potraktował, zupełnie jakby miał do czynienia z Sereną. Uznał, że jest równie łatwa jak siostra. Taka cecha rodzinna.
Uderzyła pięścią w puchową poduszkę i zacisnęła powieki. Dlaczego ten człowiek jest taki niemożliwy? I taki seksowny?
Oblała się rumieńcem. To absurd, że zgodziła się zostać w Alvearze, kiedy mogła przenieść się do mieszkania Dolores.
Z niesmakiem musiała stwierdzić, że uczyniła tak, by być bliżej niego. Nigdy w życiu tak się nie zachowywała, nie ulegała prymitywnym popędom i nie zamierzała nic w tej materii zmieniać. Skończy, co ma do zrobienia w pałacu, i wróci jak najszybciej do Gabby. Jack też dobrze by zrobił, gdyby się spakował i wyjechał z Buenos Aires.
Energicznie pomaszerowała do łazienki, przebrała się, wyczyściła zęby. Miała serdecznie dość Jacka Buchanana z jego zmiennymi nastrojami i humorami. Po co podpisała ten przeklęty kontrakt? Niestety było za późno, żeby się wycofać. Umowa to umowa. Nie da się ponieść emocjom i nie będzie sobie psuła opinii zawodowej.
Leżąc już w łóżku, przypomniała sobie wyraz twarzy

Jacka, kiedy prosił ją, żeby spojrzała prawdzie w oczy. Czy rzeczywiście okłamywała się? A jeśli nawet, to co? Nie miał prawa proponować jej seksu, jakby chodziło
o wypalenie cygara.
To właśnie najbardziej ją ubodło.
Ukryła twarz w poduszce i cicho jęknęła. Dlaczego ten przeklęty człowiek nie może po prostu zniknąć z jej życia? Zamknęła oczy z mocnym postanowieniem, że nie pozwoli, by Jack Buchanan zakłócał jej spokój, choćby
i nachodził ją w snach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kilka następnych dni upłynęło w sztywnej, napiętej atmosferze. India była uprzejma, Jack wręcz przesadzał z manierami.

Gdy zdarzyło się im wpaść na siebie na zakręcie korytarza, przepraszali się bez końca, po czym odchodzili w swoje strony.

Na dłuższą metę stało się to nie do zniesienia i India z utęsknieniem czekała końca tygodnia. Pracowała wieczorami, starając się skończyć projekty najszybciej, jak to możliwe. W czwartek, pod koniec dnia, wszystko było gotowe, mogła więc wracać do Gabby.

Usiłowała nie myśleć o Jacku, ale nie całkiem jej się to udało. To unosiła się oburzeniem, to znowu wykpiwała własne zachowanie, nie do końca pewna, czy rzeczywiście się nie oszukuje. Ale bo też nigdy nie przeżywała czegoś podobnego. Postanowiła jednak zachować nieugiętą postawę. Za nic w świecie nie mogła przecież dać mu poznać, że tó on miał rację.

No cóż, pragnęła go jak jeszcze żadnego mężczyzny. Zdała sobie z tego sprawę z całą wyrazistością w czwartek po południu. Kiedy weszła do biura, Jack, który rozmawiał właśnie z architektem, odwrócił się, jakby wyczuł jej obecność. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. To wystarczyło, by ze zdwojoną siłą wybuchły uczucia, które usiłowała w sobie stłumić. Podeszła szybko do lo-

dówki i nalała sobie wody. Dlaczego, do diabła, tak mocno reagowała na faceta, którego interesowały jedynie krótkie przygody? Który nie uznawał prawdziwej czułości, a słowo ‚jniłość" wykreślił ze swojego słownika? Ot, folgował pożądaniu, i wszystko.
Upokorzona i wściekła, odstawiła wodę i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Biuro zdawało się za małe, by pomieścić ich oboje.
Do Gabby pędziła jak szalona, dociskając gaz do deski i biorąc wiraże z wizgiem opon. Jeśli Jack widział w niej drugą Serenę, czekało go niemiłe zaskoczenie. Na miejsce dotarła szczęśliwa, że czekają kilka spokojnych dni. Wyciszy się, wszystko jeszcze raz przemyśli. Już sam widok otaczającego dom parku, zapach eukaliptusów przesycający powietrze i lekki przedwieczorny wietrzyk działały kojąco na stargane nerwy. Nie dziwiła się, że jezuici założyli przed wiekami w tym miejscu klasztor.
Ledwie podjechała pod główne wejście, na dziedzińcu pojawił się Juan, stary sługa 0'Halloranów.
- Panienka pozwoli, wezmę bagaże.
- Dziękuję, Juan. - India uśmiechnęła się ciepło. Niezręcznie się czuła, gdy dźwigał jej walizki, ale wiedziała aż nazbyt dobrze, że protesty na nic się nie zdadzą. Juan prędzej wymówiłby służbę u senory Dolores, niźli pozwolił, by goście sami nosili bagaże. India ruszyła za nim po stopniach, wypytując o jego żonę, Severinę, i córkę, Lucię, która właśnie urodziła kolejne dziecko. Zanim dotarli do jej pokoju, wiedziała wszystko o przebiegu porodu oraz stanie zdrowia położnicy i niemowlęcia.
Kiedy zamknęła drzwi za Juanem, omiotła wzrokiem przestronne wnętrze, spojrzała na zachodzące słońce za oknem i podjęła stanowczą decyzję: koniec, nie będzie

więcej myślała o Jacku. Wieszając swoje rzeczy w wielkiej osiemnastowiecznej szafie, dokonała przy okazji odkrycia, że cały sekret tkwi w tym, by zachować samokontrolę.
A jednak przed oczami miała cały czas obraz Jacka.
- Dość! - zawołała, krzywiąc się gniewnie do własnego odbicia. Gdyby miała coś pod ręką, chętnie cisnęłaby w lustro. Jeszcze chętniej rozbiłaby to coś na głowie Jacka. Wzięła głęboki oddech i postanowiła przed kolacją trochę popływać w basenie, a w ogóle zachowywać się tak, jakby Buchanan nigdy nie istniął.
Przebrała się w kostium i wyszła z pokoju. Była pewna, że zdoła zapanować nad sytuacją. Ależ tak. Musi tylko być stanowcza, narzucić sobie trochę samodyscypliny. Poza tym miała ważniejsze problemy na głowie niż Buchanan. Chociażby Dunbar.
- Och, do licha, znowu ktoś dzwoni - wykrzyknęła Kathleen, wbiegając do biblioteki. - Dunbar House, pani na rezydencji przy telefonie - oznajmiła pompatycznym tonem.
- To ty, Kathleen? - Na dźwięk głosu Indii „pani na rezydencji" nerwowo przełknęła ślinę.
- Tak, kochanie, to ja. Muszę się tak przedstawiać, bo ciągle odbieram telefony od jakichś pomyleńców zadających najdziwniejsze pytania. Niech wiedzą, że nie rozmawiają z byle kim.
- Rozumiem. Co słychać, Kath?
- Wszystko w porządku, skarbie. Urządziliśmy doroczny festyn dla dzierżawców, bardzo udany, naprawdę. Poza tym nic się nie dzieje. W niedzielę była Serena z tym swoim koszmarnym absztyfikantem, ale na szczęście dłu-

go nie zabawili. Straszny bufon! - zawyrokowała, spoglądając za okno, ciekawa, kto przyjechał, bo na podjeździe pojawił się jakiś samochód.
- Zostanę w Buenos Aires trochę dłużej, niż początkowo planowałam - mówiła India. - Przyjęłam zlecenie i mój pobyt może się przeciągnąć, ale zaraz po powrocie skontaktuję się z panem Ramseyem.
- Nie ma pośpiechu, moja droga. Dzwonił niedawno i mówił, że ma nad wszystkim pieczę.
Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Serena. Kathleen położyła palec na ustach i zasłoniła słuchawkę dłonią.
- To India - powiedziała teatralnym szeptem: Serena padła na kanapę.
- A niech ją szlag trafi.
- Na litość boską, ciszej, Sereno - przeraziła się Kathleen.
- Halo, jesteś tam?
- Tak, tak. Przepraszam, ale pani Walker coś ode mnie chciała. Przesyła ci pozdrowienia.
- Pozdrów ją ode mnie. Dziękuję ci za wszystko, co dla nas robisz, Kath. Mogę spać spokojnie, wiedząc, że jesteś na miejscu. Gdyby coś się działo, dzwoń natychmiast. Masz moje numery telefonów.
- Oczywiście, kochanie. O nic się nie martw. Wyjaśniłam panu Ramseyowi, że jesteś w Ameryce Południowej. Będzie spokojnie czekał na twój powrót.
- Dziękuję, że o tym pomyślałaś.
- Drobnostka. Dbaj o siebie, kochanie. Nie złap tylko jakiegoś paskudztwa, tam tak łatwo się zarazić nie wiadomo czym.
- Przeżyję. Do usłyszenia, Kath, i jeszcze raz dziękuję za wszystko. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Do usłyszenia, skarbie. *A bientót.*
- Co takiego siostrzyczka miała do zakomunikowania? - zapytała Serena z krzywym uśmiechem, kiedy Kathleen odłożyła słuchawkę.
- Ze jednak musi zostać w Argentynie trochę dłużej, niż początkowo planowała. Mówiłam już Ramseyowi, że tak może się stać.
- Świetnie. Mamy gwarancję, że nie będzie do niego pisała.
- Słucham? - zainteresowała się Kathleen.
- Nic, nic. Tak mruczę do siebie - zbyła ją Serena. - Wiesz może, czy Peter Kinnaird już wrócił?
- Nie, jeszcze nie. Wczoraj spotkałam Dianę u piekarza. Mówiła, że nie wróci wcześniej jak za miesiąc. Masz coś do niego? - Kathleen niby od niechcenia zaczęła przerzucać egzemplarz ‚JEdinburgh Tader".
- Nic takiego, co nie mogłoby poczekać do jego powrotu.
- W „Tatlerze" jest zdjęcie Indii, na dziesiątej stronie. Ślicznie wyszła. Widziałaś?
- Zdjęcie Indii w „Tatlerze"? - Serena niemal wyrwała Kathleen pismo z ręki. - Co za bezczelność! Posłuchaj tylko, co piszą. „India Moncrieff odziedziczyła Dunbar. Posiadłość współdziedziczy jej przyrodnia siostra". Zadzwonię do redakcji i powiem im, co myślę na ten temat. Nawet nie wymienili mojego nazwiska. „Przyrodnia siostra"! Wszystko im się pomieszało.
- To skandal - przytaknęła Kathleen z ledwie wyczuwalną ironią, zbyt subtelną, by Serena była zdolna ją dosłyszeć.
Przyrodnia siostra opadła z powrotem na poduszki kanapy i omiotła pokój niechętnym spojrzeniem.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie sprzedam ten przeklęty lamus.
- Wiem, wiem. Na twoim miejscu też bym nie mogła.
- Kathleen nachyliła się, podniosła z podłogi „Tatlera", po czym wyszła z pokoju, zostawiając Serenę samą z jej snami na jawie.
Jack i Hernan wczesnym rankiem jechali przez pampę w kierunku Lujanu.
- Okolice Buenos Aires śWietnie się nadają do hodowli bydła, jest też dużo stadnin - mówił Hernan.
- U wuja Candida zobaczysz piękne angusy i szetlandy.
- Od jak dawna twoja rodzina ma tę posiadłość? -zapytał Jack.
- Od kilku pokoleń. Pierwszy 0'Halloran osiadł tam w 1852 roku i od tego czasu Lujan przechodzi z ojca na syna. 0'Halłoranowie zawsze byli bardzo rozważni, nie wdawali się w polityczne zamieszki i dzięki temu estancja dotąd jest w ich rękach.
- Estancja? Nie znam tego słowa..
- To majątek ziemski, który ma więcej niż czterysta hektarów. Pierwsze estancje powstały z nadania Korony hiszpańskiej. Później oczywiście wszystko się zmieniło. W czasach 0'Halloranów osadnicy po prostu kupowali ziemię.
- 0'Halłoran? To irlandzkie nazwisko. - Nie wiadomo dlaczego Jack wyobrażał sobie, że argentyńscy osadnicy mogą pochodzić jedynie z Hiszpanii.
- W okolicy jest wielu właścicieli ziemskich o irlandzkich i szkockich korzeniach. Gibsonowie, Maguire'owie i wiełu, wielu innych.
Jack przymknął oczy i zamyślił się. Nie widział Indii

od czwartku. Na pewno wiedziała o jego przyjeździe, przecież to ona pierwsza przekazała mu zaproszenie na *asado*. Jak zareaguje na jego widok? Gniewem czy jeszcze gorzej, zimną obojętnością?
- Co się dzieje między tobą i Indią? - zapytał Her-nan, jakby czytał w myślach Jacka. - Przepraszam, że o tym mówię, ale tak wrogo się do siebie odnosicie, że nie sposób tego nie zauważyć. W dodatku wcześniej wyjechała na weekend. Pokłóciliście się?
- Jak by to powiedzieć... Chodzi o poważną różnicę zdań.
- O co wam poszło? O pałac? - Hernan rzucił wspólnikowi rozbawione spojrzenie. - Nie uwierzę. Może jestem tępy, ale mam oczy i widzę. India pracuje bez zarzutu, więcej, objawia niezwykły talent i pomysłowość, więc nie chodzi o sprawy zawodowe, tylko o tak zwane męsko-damskie.
- Nie chcę się w nic angażować, dlatego wolę unikać Indii. Nie szukam kłopotów.
Hernan nic nie powiedział, więc w samochodzie zapadło milczenie. Przejechali przez wioskę i skręcili w boczną drogę prowadzącą do estancji.
- Jesteśmy na miejscu - powiedział Hernan, zatrzymując się przed bramą z kutego żelaza. - Możesz otworzyć?
- Jasne.
Jack wysiadł i natychmiast uderzył go panujący wokół spokój. Głęboko wciągnął powietrze przesycone zapachem eukaliptusów. Gdy zbliżyli się do domu, jego oczom ukazał się kamienny, obrośnięty bluszczem fronton i wieżyczka nad głównym korpusem rezydencji, zupełnie niepasująca do całości. Wysiadając z samochodu, podzielił się swoimi wrażeniami z Hernanem.

- Któryś z 0'Halloranów musiał mieć dość ekstrawaganckie gusta - zaśmiał się Hernan. - Dziwnie tó wygląda, prawda?
Pociągnął za uchwyt staroświeckiego dzwonka i po chwili drzwi się otworzyły, a w progu stanęła drobna, leciwa, siwowłosa pokojówka o ciemnej, zasuszonej twarzy. Ubrana była w czarną suknię i biały, mocno wykro-chmalony fartuszek. Na widok gości uśmiechnęła się szeroko, ukazując mocno przerzedzone uzębienie.
- *Senor Hernarń* - zawołała, unosząc dłonie. - *Que bueno verlo che*\ Kiedy *doha* Dolores powiedziała, że pan przyjeżdża, to od razu sobie policzyliśmy z Juanem, że będzie dobre siedem miesięcy, jak pan do nas nie zaglądał. Proszę, proszę do środka - ponaglała, chwytając Hernana za ręce.
- *Donde estd mi tial* - zapytał Hernan i uśmiechnął się do Jacka. - To Severina, świadek moich .wybryków od chwili, kiedy skończyłem dwa lata. Wie o mnie wszystko i nic się przed nią nie ukryje.
- Staruszka musiała być przygłucha, bo Hernan nachylił się do niej, przedstawiając Jacka:
- To mój amerykański wspólnik, *el senor* Buchanan. Severina skinęła głową i poprowadziła gości przez
sień z marmurową posadzką, potem długim korytarzem zawieszonym porożem jeleni, bronią z różnych czasów i pociemniałymi ze starości portretami, do części recepcyjnej.
Jack wszedł i znieruchomiał w podziwie, bowiem wywoskowana podłoga pokryta wschodnimi dywanami, ogromny, sięgający niemal sufitu kominek, antyki i belkowany strop tworzyły niepowtarzalne wnętrze.
W kącie na wielkiej kanapie siedziała stara dama

o majestatycznej posturze, zapewne cioteczna babka Hernana, jak się domyślał.
- *Tia* Dolores. - Hernan ruszył żywo w jej kierunku.
- Ż każdym dniem młodsza i piękniejsza. - Przywołał gestem Jacka. - *Tia,* chciałbym ci przedstawić Jacka Buchanana, mojego wspólnika.
- Witam, panie Buchanan - odezwała się Dolores po angielsku z doskonałym brytyjskim akcentem. - Miło pana gościć w Tres Jinetes.
Jack z galanterią ucałował dłoń damy.
- Dziękuję, madame. To dla mnie prawdziwa przyjemność.
- Wiele o panu słyszałam - oznajmiła z tajemniczym uśmiechem Mony Lisy. - Proszę siadać. Napijemy się kawy.
Jack jeszcze raz ogarnął wnętrze ciekawym spojrzeniem. Wielka, nowa kanapa wyraźnie odstawała od reszty wystroju.
- Jak pan widzi, zmieniamy urządzenie domu. Moja wnuczka Gabby i jej przyjaciółka India, którą pan zna, uważają, że ten dom wygląda jak mauzoleum. - Dolores westchnęła i uniosła upierścienioną dłoń. - India wymogła na mnie kupno tej kanapy i kazała wyrzucić starą, twierdząc, że jest, cytuję, .koszmarna". Ale cóż, ten dom to zbieranina wszelkich różności. Może moje dziewczyny mają rację. Trzeba się uwalniać od tego, co stare, i czynić miejsce rzeczom nowym, jak w życiu. Nie sądzi pan? - uśmiechnęła się i uniosła doskonałe wydepilowane brwi.
- Chyba tak - przyznał Jack, zafascynowany starą damą.
- Jak długo zamierza pan zabawić w Buenos Aires?
- zagadnęła Dolores.

- Nie wiem, to zależy, jak będą przebiegały prace, ale wszystko posuwa się zgodnie z planem i zapewne wkrótce wyjadę. - Jack pomyślał, że nigdy jeszcze nie miał do czynienia z osobą tak wyrafinowaną i wytworną. Dolores była zaiste tym, kogo określa się mianem *la grandę dame.* Natychmiast przed oczami pojawił mu się obraz Indii. Może jednak spotkał już damę równie wielką jak Dolores?
- Zapewne prowadzi pan niezwykle ciekawe życie, panie Buchanan. Jest pan człowiek mającym... wiele zobowiązań. - Tu Dolores uśmiechnęła się nieznacznie. Jack miał wrażenie, że ta kobieta wie już o nim wszystko.
- Cóż... dużo podróżuję - odparł uprzejmie. - Niestety, czas spędzam głównie w samolocie i przy biurku, ale w wolnych chwilach, jeśli takie się zdarzą, oddaję się też innym zajęciom.
- Ekscytujące! Oto człowiek czynu - zawołała Dolores i podziękowała skinieniem głowy Severinie, która postawiła tacę z kawą na stoliku. - Jest pan czarującym człowiekiem i zapewne wielkim szelmą.
- Dolores nalała kawę i podała Jackowi filiżankę z delikatnej porcelany.
- Gdybym była parę lat młodsza, pewnie bym z panem poflirtowała, ale cóż, zostawiam to młodszym.
- Zaśmiała się wesoło. - Przedstawiłeś go już komuś, Hernanie? Taka, na przykład, Alejandra Fierro de Lima, cóż to za miła dziewczyna, no i z dobrego domu. Moja wnuczka Gabby też będzie zachwycona, że może pana poznać.
- *Tia...* - Hernan żartobliwie pogroził ciotce palcem.
- Żadnego swatania. Jack sam potrafi zadbać o swoje sprawy. Poza tym nie szuka żony. A może? - Spojrzał na przyjaciela, robiąc przy tym komiczną minę.
- Ma się rozumieć, *querido* - przytaknęła Dolores po-

jednawczym tonem. - Nie sugerowałam nic podobnego. Chciałam tylko powiedzieć, że pan Buchanan mógłby poznać kilka miłych dziewcząt. Nie możemy pozwolić, żeby nasz gość, bawiąc w Buenos Aires, był pozbawiony towarzystwa.
- Proszę się o mnie nie martwić, madame, nie skarżę się.
- O tak, *ja*. - Hernan nie dał dokończyć przyjacielowi zdania. - Jack nie skarży się na brak towarzystwa. Co prawda nie wiem, czy zaaprobowałabyś niektóre jego znajome...
- Nie gadaj tyle, głuptasie, i py swoją kawę. - Dolores uderzyła lekko Hernana wachlarzem po dłoni. - Nie o tym mówiłam. - Rozwinęła wachlarz i zaczęła się wachlować. - Nieznośny upał. Gabby i India są nad basenem. Może pan do nich dołączyć, jeśli ma pan ochotę, panie Buchanan.
- Proszę mi mówić po imieniu.
- Pod warunkiem, że i ty będziesz do mnie mówił Dolores. Darujmy sobie ten oficjalny ton. Za moich czasów ludzie byli niewolnikami konwenansów. Teraz wszystko jest znacznie bardziej *decontracte*. Swobodniej żyć, więcej przeżyć, ot co.
Jackowi coraz bardziej podobała się ta kobieta, która sama wyznaczała reguły, nie podporządkowując się żadnym dyktatom.
- Wiesz, masz na imię tak samo jak stryj mojego męża. Przypominasz mi go - powiedziała w zamyśleniu. -Jack 0'Halloran był bardzo przystojny. I taki sam szelma jak ty - dokończyła z uśmiechem. - Niestety, zjadły biedaka krokodyle w Amazonii. Wielka szkoda. - Dolores podniosła się raptownie i zamknęła wachlarz. - Zosta-

wiam was, dzieci. Muszę trochę popracować nad swoim ostatnim płótnem. Eksperymentuję z formą nowoczesną. Twój stryj, Hernanie, twierdzi, że obraz jest straszny, ale mam już dosyć impresjonistycznych kwiatów - oznajmiła ze wzruszeniem ramion. - Dziewczęta się wami zajmą. Zobaczymy się później, na *osado.* Hernan, kochanie, przypomnij Severinie, żeby przyniosła z piwniczki mal-bec centenario, dobrze?
- Oczywiście, *Ua.* - Panowie wstali, gdy wychodziła.
- Oto wielka dama - zauważył Jack. - I dom godny jej wielkości. - Jeszcze raz omiótł wnętrze spojrzeniem, po czym podszedł do francuskiego okna i spojrzał na ogród, na otwierającą się za nim pampę.
- Swego czasu babka i Evita Peron były zawziętymi rywalkami. Powinieneś zobaczyć jej zdjęcia z młodych lat. Przy tym zawsze umiała trzeźwo myśleć. Nosiła kopie swoich klejnotów, a prawdziwe trzymała w sejfie bankowym, bo Evita miała wyjątkową słabość dó cudzej biżuterii. Oczekiwała, że dość, by pochwaliła u kogoś jakieś precjoza, a właścicielka natychmiast ofiaruje jej kolejną błyskotkę.
- Ha! Dolores postąpiła bardzo roztropnie. Naprawdę jest rówieśnicą Evity?
- Surowo zabroniła wnikać, ile ma lat, ale jest znacznie starsza, niż można by wnosić z jej wyglądu. Ale chodźmy przywitać się z dziewczętami. Zresztą idź pierwszy, zaraz do was dołączę. Muszę zająć się winem, bo potem będzie piekło, jeśli zostanie niefachowo otwarte. - Hernan z namysłem spojrzał na przyjaciela, w końcu uśmiechnął się kpiąco. - Skoro nie jesteś zainteresowany Indią, to nie będziesz miał nic przeciwko temu, że ja...

Po raz pierwszy od wielu lat Jackowi zdarzyło się nie znaleźć riposty. Zdołał tylko zapytać, gdzie jest basen.
- Przejdziesz przez taras i już go będzie widać.
- Do zobaczenia za chwilę.
Jack bez trudu trafił nad otoczony pergołami z hibiskusem i bugenwillą basen. Już z daleka dojrzał samotną postać wyciągniętą na leżaku. Nie mógł to być nikt inny, tylko India. Ruszył w jej stronę, niepewny, jak go przywita. Czy powinien zachować się, jakby nic się nie wydarzyło? Przepraszać jeszcze raz nie zamierzał.
Podszedł cicho. India spała$_v$-Leżała na brzuchu, stanik od bikini miała rozpięty, kasztanowe włosy rozsypały się miękko na białym welurowym ręczniku. Przyglądał się jej przez chwilę w niemym podziwie, wahał się, czy ją budzić, lecz kiedy zobaczył obok leżaka tubkę z kremem do opalania, pożądanie wzięło górę nad względami dla śpiącej. Wycisnął trochę kremu na dłoń. Czy powinien? Cóż, i tak nic już nie mogło pogorszyć jego położenia. Poza tym India nie powinna spać na słońcu, więc w razie czego będzie się zapierał w żywy kamień, że chodziło mu tylko o jej dobro.
Zadowolony, że znalazł samarytańskie-usprawiedliwienie dla swych niecnych zamiarów, przykucnął obok niej i zaczął delikatnie wcierać krem w nagie plecy, przesuwając dłonią od karku w dół i z powrotem. Poruszyła się nieznacznie i mruknęła tak rozkosznie, że zakręciło mu się w głowie. Poczuł suchość w ustach.
Po diabła tu przychodził? Powinien natychmiast wstać i odejść stąd, zanim będzie za późno. Ale jak odejść, kiedy tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona? Zamknął oczy, zdając się na opatrzność boską.

Fiona Hood-Stewart

155

India poczuła czyjeś dłonie na ciele. Cudowny dotyk, delikatny, pomyślała sennie i powoli otworzyła oczy. Nie, nie śniła. Ktoś naprawdę masował jej plecy. Przerażona odwróciła się gwałtownie, zapominając o rozpiętej górze od bikini.

- Co, u licha... Chryste! - zawołała, jedną ręką zasłaniając piersi, drugą na oślep starając się odnaleźć stanik.

- Chciałem tylko natrzeć ci plecy kremem. Nie powinnaś spać na słońcu - powiedział Jack z przyganą w głosie. - Mogłaś się poparzyć. Proszę - podał jej górę od bikini, a potem pomógł zapiąć. India nie protestowała, bo była tak roztrzęsiona, że sama pewnie nie podołałaby tej prostej czynności. Dlaczego, na Boga, serce wali jej jak oszalałe? Rozpaczliwie usiłowała przywołać na myśl wszystko to, co mówiła sobie o samodyscyplinie, dystansie i opanowaniu.

- Skąd się tu wziąłeś? -- zapytała niby to obojętnie, zapominając, że sama przekazywała mu zaproszenie Dolores.

- Przyjechałem na *asado*. Nie pamiętasz, że zostałem zaproszony?

- Ale nie potwierdziłeś zaproszenia, więc sądziłam, że się nie zjawisz. Ale się zjawiłeś, co mnie dziwi - rzuciła poirytowanym tonem i wstała z leżaka. - Nie siedź tak, powiedz coś, na litość boską. Po co przyjechałeś? To niezbyt taktowne, zważywszy, co się stało. - Była zła na niego, że pojawił się na estancji, by zakłócać jej spokój, zła na siebie, że zapomniała o dzisiejszym *asado,* zupełnie jakby chciała się oszukać.

- Uspokój się, Indy - powiedział, podnosząc koszyk z czasopismami. - Nie złość się na mnie i nie kłóćmy

się. Chcę zawrzee pokój. Wiem, zachowałem się głupio, jeszcze raz cię przepraszam. Nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem - kajał się Jack i rzeczywiście sprawiał wrażenie skruszonego. - Proszę może o zbyt wiele, ale czy mogłabyś zapomnieć o tym, co się stało? Obiecuję, że się poprawię.
India nie wiedziała, co odpowiedzieć, aby więc ukryć zmieszanie, schyliła się po ręcznik.
- Proszę, Indy.
- Jack, ja...
- Daj mi szansę.
Widząc jego błagalne spojrzenie, nie mogła się nie uśmiechnąć. Może Jack, którego pamiętała ze Szkocji, jednak istniał, choć głęboko ukryty pod maską? Przez chwilę przyglądała mu się z niedowierzaniem, wreszcie, zupełnie rozbrojona, wyciągnęła rękę.
- Dziękuję - powiedział cicho, unosząc jej dłoń do ust. - Przyrzekam, nie będziesz żałowała. Jeszcze raz przepraszam, że zachowałem się jak skończony głupiec.
- Wybaczam.
Jack na dźwięk tego jednego słowa wziął Indię w ramiona i przygarnął do piersi, a kiedy z westchnieniem oparła mu głowę na ramieniu, pocałował ją delikatnie w usta.
- Chodźmy już - szepnął. - Niedługo zacznie się *asadó,* poza tym lada chwila może pojawić się Hernan.
Uśmiechnięci ruszyli w stronę domu. India wiedziała, że przystając na pozostanie Jacka w Tres Jinetes, faktycznie ogłosiła kapitulację. Ale cóż biedna miała robić? Musiała zaakceptować prawdę i poddać się temu, czego naprawdę pragnęła.

Pogoda była piękna, a Dolores okazała się uroczą i znakomitą gospodynią. Jack nie odstępował Indii na krok. Nie wdawał się w rozmowy z gośćmi, mimo że na *asado* pojawiło się około dwudziestu osób. Na chwilę tylko poszedł z dziadkiem stryjecznym Hernana do stajni, by obejrzeć kuce, lecz kiedy wrócił, natychmiast dołączył do Indii.
- Może wrócimy dzisiaj razem do miasta i wybierzemy się gdzieś na kolację? - zaproponował w pewnym momencie.
- Dobrze. I tak zamierzałam nocować dziś w mieście, bo z samego rana muszę być w biurze. Eduardo naniósł moje poprawki w projektach łazienek i chcę je obejrzeć, zanim wejdą robotnicy.
- Zatem jedź ze mną i z Hernanem. Zatrzymasz się w mieszkaniu Dolores?
- Nie, bo są tam teraz jej przyjaciele z Montevideo. Zatrzymam się w Alvearze.
- Oczywiście na koszt firmy - powiedział Jack stanowczo.
- Naprawdę, nie...
- Żadnych dyskusji. Tak ma być i już. Zapytam Hernana, na którą planuje powrót.
Jack pragnął tylko jednego: być sam na sam z Indią, z dala od tego tłumu. Ochłoń, człowieku, napomniał się w duchu... i tyle, bo wcale nie ochłonął.
Kiedy znalazł Hernana, zaczęli zbierać się do wyjazdu. Zauważył, jak Dolores szepcze coś Indii do ucha na pożegnanie, przyprawiając ją o rumieniec. Ucałowały się i stara dama posłała Jackowi wielce tajemniczy uśmiech.
Droga powrotna upłynęła w miłej atmosferze, wśród żartów i wybuchów śmiechu.

- Macie już plany na wieczór? Może wybralibyśmy się gdzieś razem? - zapytał w pewnym momencie Hernan.
- Pasuję. Jutro czeka mnie ciężki dzień - powiedział Jack i mrugnął porozumiewawczo do Indii.
Pochyliła głowę, ukrywając uśmiech.
- Dzięki, Hernan, ale też muszę wcześnie wstać. Poza tym tak się najadłam na *osado,* że już na nic nie mam ochoty.
Jack triumfował. Tym razem musi się udać. Tym razem nie już popełni błędu.
Jack uznał, że najlepsza będzie Africa, nocny klub w pobliżu Alvear Pałace. India była wprost wniebowzięta. Kiedy nad basenem panna Moncrieff dogadała się z panną Indią, że Jack to wymarzony facet, przestała się hamować. No i wreszcie przyznała bez żadnych oporów, że mister Buchanan jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną oraz że działa na nią wprost niesamowicie. Christian wydawał się przy nim mdłą kalkomanią mężczyzny, a inni...
No cóż, nie było innych i jej doświadczenia były mizerne. Jack chętnie by to odmienił, pomyślała z rozbawieniem. Upajała się nim, wszystko ją zachwycało. Przysunęła się bliżej i pozwoliła, by głaskał ją po odsłoniętych plecach. Rozkosznie było czuć tę delikatną pieszczotę. Zjedli znakomitą kolację, Jack był uprzedzająco miły, kiedy więc zaproponował, żeby wybrali się do klubu, przystała bez wahania.
- To mi się podoba. Zatańczymy? - zapytał, kiedy skończyła się salsa i zabrzmiały pierwsze takty romantycznego bolera.

India poczuła się cudownie, gdy otoczył ją ramionami i zaczęli się kołysać w rytm muzyki. O tym marzyła od ich pierwszego wspólnego wieczoru w Recoleta, który tak fatalnie się zakończył. Pragnęła, by ten taniec trwał wiecznie. Była bliska tego, by zapomnieć o wszelkiej ostrożności, ale nagle uświadomiła sobie coś bardzo ważnego. Od Jacka pragnęła znacznie więcej, niż on gotów był jej ofiarować. A to zmieniało wszystko. Nie pozwoli po raz kolejny się skrzywdzić.
Od momentu gdy zaczęła pracować z Jackiem, targały nią sprzeczne emocje. Fascynacja, pożądanie, złość, wyrzuty sumienia, wreszcie tęsknota. Nie znała siebie od tej strony, nie podejrzewała, że jest zdolna do takiej karuzeli doznań. Bała się, że przez to odsłania się na ewentualne ciosy i traci kontrolę nad sytuacją.
Kiedy uniosła głowę i spojrzała Jackowi pytająco w oczy, zamknął jej usta pocałunkiem. Tańczyli dalej i żadne z nich nie chciało, by magiczny moment przeminął.
Bolero jednak się skończyło i India stała przez moment na parkiecie zupełnie oszołomiona. Nie wyobrażała sobie dotąd, jakie to wspaniałe uczucie znaleźć się w ramionach upragnionego mężczyzny, całować się z nim... Zatraciłaby się w uniesieniu, zapomniała w rozczuleniu, gdyby w porę sobie nie przypomniała, że przecież wszystko, czego chce Jack, to dobra zabawa i seks na deser. Nic więcej.
- Coś się stało? - zapytał, gdy wracali do stolika.
- Nie, nic - odparła z mocnym postanowieniem, że będzie twarda.
- Odpręż się - poprosił, dotykając jej dłoni. Nagle wróciły do Indii bolesne wspomnienia cierpień

i upokorzeń, które przeżywała z powodu Christiana. Zesztywniała.
- Co się dzieje, Indy?
- Nic, wszystko w porządku - skłamała.
- Ten dureń, twój mąż, musiał sprawić ci wiele bólu. - Jack ujął ją pod brodę i spojrzał w twarz.
- Było, minęło. Nie warto do tego wracać - szepnęła i łzy napłynęły jej do oczu.
- Zatem nie wracajmy. - Przytulił ją do siebie, przez chwilę głaskał po włosach, wreszcie spytał: - Powiedz, czego się boisz?
India wzruszyła ramionami, uwolniła się z objęć Jacka i upiła łyk wina.
- Wszystkiego i niczego. Wiem, że to głupie. Chloe zawsze mi powtarza, żebym przestała się zamartwiać i zaczęła cieszyć życiem. Próbuję, ale seks to nie wszystko, prawda? - Zerknęła przelotnie na Jacka, chcąc sprawdzić jego reakcję.
- Oczywiście, że nie. - Zapalił cygaro, nie spuszczając wzroku z Indii. - Jest jednak ważną częścią każdego związku. I bywa bardzo przyjemny, choć ty, zdaje się, nie podzielasz tej opinii - powiedział z czułym uśmiechem.
- Co masz na myśli? - zapytała zażenowana. - Może to cię zdziwi, ale nie jestem zakonnicą i wiem, że seks może być przyjemny.
Jack wypuścił kłąb dymu z cygara i uśmiechnął się prowokująco.
- Może powinniśmy się o tym przekonać.
- Jesteś nieznośny, Jack. - India wybuchnęła śmiechem. - Niczego, co mówię, nie bierzesz serio. Musi być w tobie mnóstwo buty, skoro uważasz, że możesz zmie-

nić mój sposób myślenia. Nie zmienisz. Jestem inna i nie pozostaje ci nic innego, jak pogodzić się z tym faktem. Dla ciebie seks jest miłym sposobem spędzania wolnego czasu, dla mnie nie istnieje bez uczucia.
- Naprawdę uważasz, że pójście z tobą do łóżka traktuję jak zwykły relaks? - Jack nachylił się i spojrzał Indii głęboko w oczy.
- Coś takiego raczyłeś stwierdzić w ubiegłą niedzielę.
- Nie wracajmy do tego. Popełniłem błąd i bardzo tego żałuję. Chciałem oszukać samego siebie, nie dopuścić do głosu uczuć.
- Chodźmy już - szybko powiedziała India, bo rozmowa zmierzała w niebezpieczne rejony.
- Pragnę cię, Indy. Pragnę od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Nie chodzi tylko o seks, to coś więcej, coś, czego jeszcze nie potrafię nazwać. - Jack podniósł rękę i poprosił o rachunek, potem nachylił się i pocałował Indię. - Nie musimy się spieszyć. Na wszystko przyjdzie czas. Przekonasz się. Wyszli z klubu i ruszyli spacerem w Stronę hotelu. Kiedy stanęli przed drzwiami pokoju Indii, wyraźnie się spłoszyła. Jack uśmiechnął się i objął ją czule.
- Pójdę już - szepnął. Bez słowa kiwnęła głową.
- Zamknij drzwi na klucz. Wprawdzie skuję się kajdankami, zwiążę powrozem i owinę taśmą klejącą, ale i tak może mnie kusić, by złożyć ci wizytę.
- Lepiej weź przykład ze średniowiecznych mnichów. Gdy nachodziły ich bezecne myśli, biczowali się aż do omdlenia.
- Spróbuję i tego w razie potrzeby. Dobranoc, Indio. Spotkamy się o ósmej na śniadaniu.

- Tak jest, szefie. - Wyprężyła się w postawie na baczność, pierś podała do przodu, łysnęła przewrotnie oczkiem...
- Do diabła, Indio, znikaj, i to już, bo nawet najsroższe biczowanie mnie nie powstrzyma.
Roześmiana umknęła do pokoju... i natychmiast ogarnęła ją pustka. Ledwie się rozstali, a już brakowało jej Jacka. Nic dodać, nic ująć. Wreszcie pojęła wyrażenie „unosić się nad ziemią". Jack był zdecydowanie zbyt atrakcyjny. Pragnęła go równie mocno jak on jej. I, o dziwo, zaczynała mu ufać. Rozebrała się i po chwili była już w łóżku. Zapatrzyła się w sufit. Zrozumiała absurd tej sytuacji. Leży sama, a kilka pokoi dalej równie samotnie spędza noc mężczyzna, którego pragnie. Może powinna wreszcie się odważyć, a nie uciekać wciąż przed cieniami przeszłości? Lub też obsesyjnie zastanawiać się nad konsekwencjami tego kroku? Dolores szepnęła jej na pożegnanie: „Daj sobie szansę, kochanie, on jest tego wart, nawet jeśli później miałabyś żałować". Takich słów można się było spodziewać po Dolores... ale czyżby miała rację?
Szkoda, że Chloe poleciała do Sydney, bo chętnie by z nią porozmawiała. Może udałoby się jej dodzwonić do przyjaciółki? .
Jak na zamówienie odezwał się dzwonek telefonu. Zdziwiona India podniosła słuchawkę.
- Słucham?
- Te ja. Chciałem tylko powiedzieć ci dobranoc i upewnić się, czy wszystko w porządku.
India roześmiała się.
- Upiory przepędziłam magicznym zaklęciem, włamywaczy wyrzuciłam za okno, a kidnapera wzruszyłam

do łez opowieścią o moim smutnym życiu i poszedł sobie, więc wszystko w porządku. Dzięki za troskę, Jack.
- W razie czego pamiętaj, że jestem obok i też znam różne zaklęcia...
- A ty wciąż o tym samym.
- Bez pośpiechu, obiecałem. Śpij dobrze. Jutro czeka nas dużo pracy.
- Wiem. Ojej, Jack, właśnie sobie przypomniałam, że pod koniec tygodnia muszę być w Rio na otwarciu hotelu. Nie wiem, jak mogło mi to wylecieć z głowy.
W słuchawce na moment zaległa cisza.
- Może pojadę z tobą? To cholernie niebezpieczne miasto.
- Nie wygłupiaj się. Nie pierwszy raz będę w Rio i nigdy nie przytrafiło mi się nic złego.
- Moglibyśmy polecieć moim samolotem - kusił Jack. - Obejrzałbym przy okazji hotel Cardosa, nawet mam gdzieś zaproszenie. Być może niektóre pomysły warto wprowadzić u nas.
- Może... ale... - India nie mogła podjąć decyzji. Wszystko działo się zbyt szybko, a nie zapomniała jeszcze o nieudanym wieczorze, który poróżnił ją z Jackiem. Oczywiście byłoby dobrze, gdyby zobaczył hotel. W La Perli rzeczywiście zastosowała kilka ciekawych rozwiązań wartych obejrzenia.
- To jak, lecimy razem? Postanowiła zaryzykować.
- Zgoda. Masz rację, powinieneś zobaczyć ten hotel. Wymyśliłam tam kilka innowacji. Ciekawe, jak je ocenisz.
- Zatem postanowione. Śpij dobrze, księżniczko -powiedział Jack ciepłym głosem i rozłączył się.

„Księżniczka". To mile, tym bardziej że nikt jej tak jeszcze nie nazwał. Ujęło ją również to, że Jack zadzwonił na dobranoc. Jak takie drobiazgi potrafią cieszyć, szczególnie kiedy kobieta jest zakocha... zadurzo... no, po prostu zauroczona.
Natomiast wspólna wyprawa do Rio w żadnym razie nie była drobiazgiem, tylko niezwykłym wydarzeniem w życiu tak dotąd stonowanej i z wyboru samotnej Indii. Czuła się niezwykle podekscytowana. Czyżby dojrzała do tego, by -wreszcie przestać się bronić przed tym, co niesie życie?
Kiedy usnęła, natychmiast nawiedziły ją sny. Gdyby Jack je poznał, najpierw zaparłoby mu dech w piersi, a potem zacząłby dociekać, jakich sposobów imały się średniowieczne mniszki, by odegnać bezecne marzenia...
Czy kiedyś mu się przytrafiło, by odprowadził kobietę pod drzwi, a potem grzecznie poszedł sobie? Nie$_T$ takiej sensacji tajna kronika życia Jacka Buchanana dotąd nie odnotowała.
Jack uśmiechnął się i podszedł do okna wychodzącego na rzęsiście oświetloną Avenida Alvear. Co też ta India z nim wyprawia? Owszem, wiedział, co to samokontrola i dyscyplina, ale \v pracy, natomiast w życiu prywatnym folgował sobie bez ograniczeń. A tu nagłe szlaban...
Znów się uśmiechnął. India, mimo nieszczęsnego incydentu sprzed kilku dni, ufała mu, a to było coś niezwykle cennego i nowego. Kobiety, z którymi dotąd się stykał, istniały poza tym wymiarem. Krótki romans, najlepsze lokale, dziki seks, obowiązkowe wyprawy do sklepów, i wreszcie adieu. Ot, atrakcję milionera. Gdzie tu miejsce na zaufanie, prawdziwą serdeczność, ciepło?

Tak, India była zupełnie inna. No i jej wielki problem... Kiedyś została boleśnie zraniona i ten bagaż dźwigała do dzisiaj. Powinien był zrozumieć to od razu, lecz on nie patrzył na nią, tylko na jej ciało. Tamtego feralnego wieczoru okazał się kompletnym osłem. Uznał Indię za łowczynię przygód. Na Boga, czy był wtedy ślepy? Tak, był ślepy.
India odnosiła się do życia poważnie, była głęboko uczciwa i miała wrodzoną dumę. Ten żałosny kretyn, jej były mąż, potraktował ją ohydnie i boleśnie zranił. Nie chodzi o to, że odszedł, bo to się zdarza, lecz o to, że uznał ją za przedmiot. Uderzył więc w to, co dla Indii było najważniejsze: uczciwość, wzajemne zaufanie, poszanowanie cudzych uczuć. I z tym problemem India boryka się do dzisiaj.
Jack zacisnął dłonie i pełen gniewu odwrócił się od okna. Taki sukinsyn wart jest tylko jednego: ciężkiego mordobicia.
Poleci z nią do Rio, a stamtąd prosto do Miami. Nie było sensu dłużej się torturować. Gdyby poszedł z Indią do łóżka, a potem zniknął, okazałby się jeszcze większym łajdakiem niż jej mąż.
Jack westchnął ciężko i podszedł do laptopa. Nie chciało mu się jeszcze spać, więc musiał się czymś zająć, by nie zwariować od natłoku myśli.
Wśród e-maili był jeden od Quince'a. Chodziło o Dunbar. Oferta została przyjęta. Był też list od Chada, w którym uderzyło Jacka jedno zdanie: „Znalazłem stare rodzinne dokumenty. Fascynująca historia!". Chad zawsze interesował się przeszłością rodziny. Powinien był zostać historykiem, a nie biznesmenem, pomyślał Jack i zabrał się do pracy. Chwilami szło mu nawet

nieźle, bo zdarzały się momenty, w których nie myślał o Indii.
Serena przyglądała się Kathleen podejrzliwie. Dlaczego stara ciotka tak bardzo nalegała, żeby przyjechali na herbatę do Dunbaru? Ciotka... jaka tam ciotka. Serena skrzywiła się z pogardą. Dziesiąta woda po kisielu, którą matka przygarnęła z poczucia obowiązku. Sentymentalne bzdury. Dobrze, że Jack Buchanan zdecydował się na kupno Dunbaru. Dawał doskonałą cenę i Serena z radością podpisała umowę. Już widziała oczami wyobraźni pieniądze na swoim koncie. Mogła być dumna, że tak się jej udało podejść Ramseya. Pomyśleć, jak łatwo połknął historyjkę o zgodzie między siostrami. Stary tetryk. To naturalne, że taka posiadłość jak Dunbar przyciąga uwagę potencjalnych kupców, zanim jeszcze została wystawiona na sprzedaż, tłumaczył jej z namaszczeniem. Nawet nie zapytał, czy Serena ma upoważnienie Indii na przeprowadzenie transakcji. Głupiec. Dał sobie wmówić, że kontakt telefoniczny z Buenos Aires jest bardzo utrudniony, jakby to była jakaś wiocha w afrykańskim buszu, a nie jedno z najnowocześniejszych miast na świecie.
Bardzo dobrze. Teraz tylko musi uważać, żeby nie popełnić jakiegoś głupstwa. Sprzeda Dunbar, zanim India o czymkolwiek się dowie. Kiedy droga siostrzyczka wróci z Argentyny, nic już nie będzie mogła zmienić.
- Jeszcze herbaty, Sereno? - zapytała Kathleen.
Jezu drogi, jak ona nie znosiła tego nadskakującego tonu i czułostkowego matkowania. No cóż, najpierw pozbędzie się Dunbaru, a potem tej idiotki. Całe szczęście, że Ramsey stanowczo stwierdził, iż do czasu uprawo-

mocnienia transakcji nikt nie ma prawa dowiedzieć się
o sprzedaży posiadłości. Takie były reguły biznesu. Rzeczywiście, już się spieszyła trąbić naokoło o swoich planach!
- Nie, dziękuję, Kath, ale zjem jeszcze kawałek ciasta. Jest pyszne. To według twojego przepisu?
- Tak. Ciotka Honoria na krótko przed swoją śmiercią mi go zdradziła. Straszna to była dziwaczka. Pamiętasz ją jeszcze?
- Jak przez mgłę. Pachniała naftaliną i rzeczywiście była dziwna.
Wolfie zaśmiał się głośno.
- Miałem też taką ciotkę. Mieszkała w Hamburgu
i każdego lata składaliśmy jej obowiązkową wizytę, straszna piła, ale to się zdarza w starych arystokratycznych rodach - oznajmił, unosząc lekko górną wargę. -Na szczęście umarła.
Kathleen ukroiła dwa kawałki ciasta.
- Czy Jack Buchanan kontaktował się z tobą, Sereno? Kiedy tu był, odniosłam wrażenie, że jest bardzo zainteresowany domem, jakby zamierzał go kupić.
- Niestety, nie odezwał się - powiedziała Serena ze wzruszeniem ramion. - Szkoda.
- Może tak miało być, kochanie. Nic nie dzieje się bez powodu - zauważyła Kathleen sentencjonalnie.
Serena nie odpowiedziała, zadowolona, że udało się jej zwieść ciotkę. Ta gaduła przy najbliższej okazji wypaplałaby wszystko Indii.
- Dostałam bardzo miłą kartkę od Indii z Buenos Aires, ale od tego czasu już się nie odzywała.
- Pewnie nie może się dodzwonić - powiedziała Serena. Nawet nie podejrzewała, że stać ją na tyle cierpli-

wości. Ogarnęła taksującym spojrzeniem wnętrze. Wkrótce ten lamus zamieni się w żywą gotówkę. Jak tylko dostanie pieniądze od Buchanana, natychmiast ulokuje całą sume w dochodowych akcjach. - Naprawdę pyszne ciasto, Kathleen - powiedziała ze słodkim uśmiechem. -Musimy częściej przyjeżdżać do Dunbaru. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili. Doskonale zarządzasz domem.
Kathleen aż pokraśniała z zadowolenia. Oto co może zdziałać jedno małe pochlebstwo. Głupia stara. Niedobrze, że była tutaj, kiedy Buchanan przyjechał obejrzeć Dunbar, ale nie dało się tego uniknąć. Trudno. A swoją drogą, warto było zmarnować popołudnie, żeby uśpić podejrzenia Kathleen, jeśli oczywiście miała takowe.
Serena włożyła do ust ostatni kawałek obrzydliwego ciasta. W marzeniach wygrzewała się na słonecznej plaży, pływała jachtem na Karaibach...
Już niedługo jej marzenia powinny się spełnić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lot do Rio był wyjątkowo przyjemny. Jack robił wszystko, co w jego mocy, by India się odprężyła. Znakomicie wyczuwał jej nastrój. Była w podobnej sytuacji jak aktorka przed uroczystą premierą filmową. Niedługo mnóstwo ludzi będzie oceniać efekty jej pracy, czyli wystrój wnętrz luksusowego hotelu. Nic już nie można zmienić, nic poprawić, pozostaje jedynie wsłuchać się w głos opinii publicznej. Sam przeżywał podobne emocje, kiedy zbliżał się moment otwarcia kolejnego hotelu wybudowanego przez jego firmę. Stawał się wtedy nerwowy i drażliwy. Pomny własnych doświadczeń, po przylocie usunął się na bok, by India mogła w spokoju przyjrzeć się wykonanym pracom i przygotować się psychicznie do wielkiej inauguracji.

Kiedy pojawił się na otwarciu, oniemiał z podziwu. Z natury był człowiekiem krytycznym, ale to, co zobaczył, ogromnie mu zaimponowało. Wnętrza miały klasę. Tchnęły subtelną elegancją, a przy tym były niezwykle funkcjonalne.

Wziął z tacy kolejną szklaneczkę whisky i w tej samej chwili dostrzegł zbliżającego się Nelsona Cardosa, gospodarza przyjęcia i właściciela La Perli.

- Jack, przyjacielu! Kopę lat! *Que saudades.* Cały wieczór szukałem okazji, żeby zamienić z tobą słowo,

ale sam wiesz, jak to jest. Absolutne szaleństwo. - Nelson zaśmiał się kordialnie.
- Wspaniały hotel, mój stary. Jestem pełen podziwu - powiedział Jack.
- W twoich ustach to prawdziwy komplement. Wiem, jaki jesteś wymagający.
- Muszę, inaczej na każdym kroku płaciłbym frycowe.
- Dlatego tak bardzo się starałem, żeby w La Perli wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Wielka w tym zasługa Indii i jej pomysłów. Ale gdzie ona? Widziałem ją jakieś pół godziny temu. Rozmawiała z senatorem An-toniem Magalheasem. - Nelson zniżył głos. - Senator przyszedł specjalnie, żeby jej pogratulować projektu. Wyobrażasz sobie? Jeden z najpotężniejszych polityków. południowoamerykańskich. Zresztą wszyscy obsypują ją komplementami. Odniosła wielki i ze wszech miar zasłużony sukces.
- Wiem. Dlatego trzymam się z boku, nie chcę jej przeszkadzać.
Nelson uśmiechnął się domyślnie.
- Chodź, poszukamy naszej bohaterki. A ty, przyjacielu, uważaj - powiedział, kiwając ostrzegawczo palcem. - Rio to magiczne miasto. Dziwnie działa na ludzi.
Jack zbył przyjacielską uwagę milczeniem. Nie przypuszczał, że jego zainteresowanie Indią aż tak rzuca się w oczy. Zaczęli z Nelsonem torować sobie drogę wśród wytwornego tłumu. Zewsząd dochodziły ich zachwyty wypowiadane we wszystkich możliwych językach: *beł-lissimo, fabulewc, fablehaft, wonderful.* Jack puszył się w duchu, bowiem sukces hotelu w dużej części był zasługą Indii.
- Jest tam.

Fiona Hood-Stewart

171

Jack poszedł za spojrzeniem Nelsona i dojrzał Indię. Stała w głębi sali, przy francuskim oknie, odwrócona plecami do rozbawionych gości, sztywno wyprostowana. Musiało stać się coś złego. Zostawił Nelsona, który wdał się z kimś w rozmowę, i po chwili był już przy niej.

- Wszystko w porządku? - zapytał, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Tak - odpowiedziała z nieobecnym wyrazem twarzy, nie odrywając oczu od okna. Teraz i on zobaczył. Za jasno oświetlonym stołem z zimnym bufetem, wśród krzewów, przekradały się cztery skulone postacie. Dłoń Jacka instynktownie powędrowała do biodra, ale, oczywiście, nie miał broni. Że też o tym nie pomyślał. To przecież Rio. Zrobił krok do przodu, ale India go powstrzymała.

- Daj spokój. To tylko dzieci. Obserwuję je od dłuższej chwili. Chcą zdobyć trochę jedzenia. Są głodne, a tu stoły aż się uginają.

- Indio, przecież to kradzież - powiedział Jack szeptem.

- One nie kradną. Chcą po prostu coś zjeść. Zrobiłbyś to samo, gdybyś był na ich miejscu.

- Może, ale to żaden argument. Kradzież jest kradzieżą, w każdych okolicznościach. Zawołam ochronę, niech się zajmą tymi dzieciakami.

- Nie zawołasz. - India chwyciła Jacka za rękę. -Porozmawiam z nimi. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, w jakiej biedzie żyją tu ludzie. Rozmawiałam dzisiaj z pokojową. Ma piątkę małych dzieci. Mąż ją zostawił, sama musi utrzymać rodzinę. Najstarszy syn ma czternaście lat i już pracuje. Zarabia siedemdziesiąt dolarów

miesięcznie. Nie wiem, jak oni sobie radzą. A właściwie wiem. Ta kobieta haruje na dwie zmiany i jeszcze łapie dorywcze prace, żeby nie stracić swojej nędznej chałupki.
- Indy, wiem, że to straszne - zgodził się Jack - ale nie można pozwolić, żeby te dzieciaki zakradały się na przyjęcie i ściągały jedzenie ze stołów. Teraz kradną z półmisków, za chwilę okradną nas. Porządek musi być, inaczej na świecie zapanują chaos i bezprawie.
Do Indii i Jacka podszedł rozpromieniony Nelson.
- Nelsonie, jakieś dzieciaki zakradły się do hotelowego ogrodu. - Jack wskazał na rzęsiście oświetlony bufet i krzewy.
Nelson natychmiast wyjął telefon komórkowy i rzucił do aparatu kilka zdań po portugalsku.
- Świetnie - prychnęła India na widok dwóch ochroniarzy, którzy natychmiast pojawili się w ogrodzie.
-Nelsonie, to tylko głodne dzieci, nie pozwól, żeby twoi ludzie je skrzywdzili.
- Ochrona wezwie policję - powiedział Nelson, jakby nie dotarła do niego prośba Indii. - Przepraszam was za ten incydent, ale już po kłopocie.
- Nie. - India położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie rób tego. Dobrze wiesz, jak policja-się z nimi obejdzie. Chyba nie rozumiesz, o co chodzi. Te dzieci są głodne. Nie chcą kraść, nikomu nie zagrażają, po prostu szukają jedzenia.
Jack i Nelson wymienili spojrzenia nad głową Indii. Czekała ich trudna przeprawa.
- Wszystko rozumiem, *querida,* ale nie mogę pozwolić, żeby w moim hotelu grasowali złodzieje. Co mam zrobić? Zażądać od gości, żeby oddali tym dzieciakom swoje jedzenie? Ludzie przyjeżdżają do Rio po to, by

zabawić się, a nie rozwiązywać problemy społeczne. Od tego jest rząd.
- Ale rząd sobie nie radzi, prawda? - rzuciła India ze złością. - Problemy społeczne, jak je nazywasz, was przerastają.
- Brązy ha to przeludniony kraj, sto czterdzieści milionów mieszkańców, z czego większość żyje w biedzie.
- Nelson uniósł ręce w geście bezradności. - Rząd nie jest w stanie temu przeciwdziałać.
- Otóż to - przytaknęła India energicznie. - Dlatego prywatne firmy powinny być bardziej aktywne. Wiem, że nie zbawimy świata, ale możemy przynajmniej pomóc tym dzieciakom.
- Ich już się nie zresocjalizuje, moja droga - mruknął Jack, zły, że incydent w ogrodzie urósł do takich rozmiarów.
- Jak śmiesz tak mówić? Jak śmiesz wydawać sądy?
- huknęła India. - Przyjrzałeś się im? Mają po kilka lat. Naprawdę wierzysz, że takie dzieci nie mogą się zmienić, jeśli tylko da się im szansę?
- Nie wiem. Statystycznie rzecz biorąc...
- Statystyki to bardzo wygodny sposób ukrywania tego, co dzieje się pod naszym nosem. - Nie czekając na odpowiedź, India wyszła na taras, gdzie stali ochroniarze z dziećmi i czekali na dalsze polecenia.
- Pan pozwoli? - zwróciła się do jednego z nich. Przykucnęła przy dwóch najmłodszych chłopcach i zaczęła z nimi rozmawiać. Jack spojrzał na Nelsona, ale ten tylko podniósł ręce na znak, że kapituluje.
- Pewnie wciskają jej teraz swoje rzewne opowieści
- mruknął. - Kobiety, *meu Deus*. Ckliwe, sentymentalne.
- Masz rację - przytaknął Jack, zarazem jednak pa-

trzył z podziwem, jak India sobie radzi. Chłopcy nie przypominali już małych szkodników, ale normalne dzieci. Z ich buź zniknął strach, oczy ożyły.
- To dzieci Marilene - oznajmiła, podchodząc z chłopcami do Nelsona.
- A kto to jest Marilene, na litość boską?
- Pokojowa, która sprząta mój pokój. Przed otwarciem hotelu miała mnóstwo pracy i dzieci zostały bez opieki. Przyszły szukać mamy. Od wczoraj nic nie jadły, bo nie zapłaciłeś Marilene i nie mogła kupić im jedzenia.
Nelson przestąpił z nogi na nogę. Był wyraźnie zakłopotany.
- Wasza mama nie dostała wypłaty? - zapytał chłopców, po czym podniósł wzrok na Indię. - Prawdopodobnie szef działu gospodarczego schował pieniądze do kieszeni i przesunął termin wypłaty dla pracowników fizycznych. Pewnie miał jakiś interes na oku i chciał obrócić gotówką... To przez takich ludzi ten kraj schodzi na psy. Człowiek stara się być uczciwy, ale czy tego chce, czy nie, i tak tonie w morzu cwaniactwa i korupcji.
- Może w kuchni daliby dzieciakom coś do jedzenia? - podsunął Jack.
- Właśnie - powiedziała India i przykucnąwszy koło chłopców, wytłumaczyła im, dokąd pójdą. Malcy żywo przytaknęli i Nelson wydał ochroniarzowi odpowiednie polecenie.
- Na pewno się nimi zajmą? - zapytała jeszcze India.
- Na pewno, moja droga - zaręczył Nelson.
Dzieci odeszły pod opieką uśmiechniętych ochroniarzy. Młodzi mężczyźni poczuli się dużo lepiej w roli dobrych wujaszków. Mierziło ich traktowanie dzieci jak zbrodniarzy. Malcy byli głodni, bowiem bogaty praco-

dawca poskąpił ich matce należnych pieniędzy, a stoły wprost uginały się od wykwintnych potraw...
Nelson zaczął przechadzać się nerwowo po tarasie.
- Wiesz co, Jack? India ma absolutną rację. Powinniśmy znacznie więcej robić dla innych.
India uśmiechnęła się.
- Cieszę się, że doszedłeś do takiego wniosku. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy pomóc tym dzieciom. Matki pracują, zostawiają je bez opieki. Może dałoby się stworzyć przedszkole przy hotelu? Nauka początkowa, zabawa, posiłki...
- Niby tak, ale to naprawdę duży koszt, a my nie jesteśmy organizacją dobroczynną.
- Nelson ma rację - wtrącił Jack. - Działalność dobroczynną warto prowadzić dopiero na poziomie korporacji, bo wtedy można odpisać od podatku sumy wydane na te cele.
Ledwie wypowiedział te słowa, już ich pożałował.
- To tak widzisz działalność dobroczynną? - żachnęła się India. - Jako ulgi podatkowe? Czegoś chyba nie widzisz. Tak najwygodniej, zamknąć oczy i uszy na to, co dzieje się wokół, i tylko raz w roku odpisać od zysków brutto określoną sumę w rubryce „Dobroczynność". To świetnie koi sumienie... - Spojrzała na Nelsona. -Nie chodzi o to, że tak pozyskane sumy nie są potrzebne, wręcz przeciwnie, bo nawet bardzo. Z tych pieniędzy najczęściej wspomaga się różne fundacje i inne organizacje pozarządowe, które robią mnóstwo pożytecznych rzeczy. Ale jest jeszcze coś. Działalność charytatywna wymaga również osobistego zaangażowania, reagowania na konkretne sytuacje.
Nelson bezradnie wzruszył ramionami.

- Jak to sobie wyobrażasz?
- Otwórz przedszkole dla dzieci twoich pracowników. Przedszkole, świetlicę, wszystko jedno jak to nazwiesz. Mógłbyś bardzo pomóc tym ludziom.
- Czy wiesz, ile by to kosztowało? - zawołał Nelson. - A hotel jeszcze nie zaczął zarabiać na siebie. Miną przynajmniej trzy lata, zanim nakłady się zamortyzują. Wtedy zobaczymy...
- Wiem. - India spojrzała na obu biznesmenów. Przemawiało przez nich nie obrzydliwe skąpstwo czy klasowy egoizm, lecz trzeźwa kalkulacja. - Można przecież założyć fundację, zachęcić innych, by się przyłączyli.
- Ależ to cała organizacja, mnóstwo pracy - bronił się Nelson. - Ale dobrze, pomyślę o tym - obiecał. -Wracamy do środka?
- Chwileczkę. - India zmrużyła oczy, zastanawiała się nad czymś przez chwilę. - Czy gdybym zdobyła pieniądze, przyrzekniesz, że założysz przedszkole? - zapytała z uśmiechem.
- Jeśli będę miał pieniądze, to oczywiście. Problem w tym, że ich nie mam. Cały mój kapitał poszedł na hotel.
Jack słuchał Indii coraz bardziej zaintrygowany. Było dla niego oczywiste, że znalazła już rozwiązanie.
- A więc przyrzekasz? - upewniła się jeszcze.
- Tak, moja droga. Dla ciebie wszystko. Jak mógłbym odmówić prośbie tak pięknej kobiety? - odparł Nelson z galanterią. - Znajdź pieniądze, a ja zorganizuję przedszkole.
- Świetnie. Zatem możesz już brać się do dzieła. Proszę. - Wyjęła z torebki złożony na pół pasek papieru i wręczyła Nelsonowi.

- Indio, nie szalej. Przecież to czek, który ci dzisiaj dałem, ostatnia część twojego honorarium.
- Nalegam - oznajmiła stanowczym tonem. - Przykro mi, że tylko tyle, ale mam dużo prywatnych wydatków.
- Nie przyjmę tych pieniędzy. *Ay meu Deus do ceu*
- jęknął Nelson, machając czekiem. - To absurd. - Spojrzał na Jacka, szukając u niego męskiego wsparcia. -*Caramba,* naprawdę nie mogę.
Również Indią wpatrywała się w Jacka, oczekując jakiejś reakcji. Uświadomił sobie, że jest jej potrzebny, i było to bardzo miłe uczucie.
- Na ile opiewa czek?
- Dwadzieścia tysięcy dolarów - powiedział Nelson z taką miną, jakby za chwilę miał się rozpłakać.
- Dodam jeszcze jedno zero na swoim czeku, jeśli spełnisz prośbę damy - oświadczył z mocą, stając za Indią i kładąc dłoń na jej ramieniu. Jeśli była gotowa oddać ciężko zarobione pieniądze na coś, w czego potrzebę głęboko wierzyła, to mógł dołożyć coś od siebie. Przynajmniej tyle. Remont jachtu może poczekać.
- *Nossa, Santa Mae* - zawołał Nelson. - Obydwoje zwariowaliście. Wytłumacz Indii, proszę, że to są ciężkie tysiące. Sam też się opanuj. - Otarł czoło.
- Jutro rano prześlę ci czek do biura - oznajmił Jack nieustępliwym tonem.
- Nie zapomnij o tym. - India podniosła swój czek, który upadł na podłogę.
- Nie mogę, Indio. - Nelson uparcie kręcił głową.
- To twoje pieniądze. Masz problemy finansowe. Sama mówiłeś o spłacie hipoteki.
- Wszystko w porządku. To, co wypłaciłeś mi wcześ-

niej, pokryło prawie całe zadłużenie. Proszę, Nelsonie. Musimy pomagać tym, którzy tak bardzo potrzebują naszej pomocy, bo inaczej co byłoby warte życie?
Nelson wreszcie skapitulował. Był głęboko poruszony.
- Dobrze. Przyjmę te pieniądze i chcę wam powiedzieć, moi przyjaciele, że traktuję tę sprawę bardzo poważnie. Sam dołożę pewną kwotę. Dziękuję wam. Masz rację, Indio. Pędzimy do przodu, gonimy za zyskiem, mamy pieniądze i władzę, ale często nie widzimy, co dzieje się wokół nas... - Głos mu się załamał.
Uściskała serdecznie Nelsona.
- Jesteś wspaniały. Dziękuję ci. Tobie też - zwróciła się do Jacka.
- Cała przyjemność po mojej stronie, księżniczko. Co powiecie na drinka? - zapytał, ujmując Indię pod ramię.
- Muszę zostawić was samych i zająć się gośćmi -wymówił się Nelson. - Uważaj na nią, Jack. I koniec z problemami społecznymi. Starczy jak na jeden wieczór. - Uniósł ręce w geście żartobliwej desperacji i już go nie było.
India podniosła wzrok na Jacka, po czym, ku jego zaskoczeniu, pocałowała go w usta. Zrozumiał ją, poparł, wspólnie czegoś dokonali.
Była niezwykła, zachwycająca, zmysłowa. I była, przynajmniej w tej chwili, jego.
- Napijmy się - powiedział, obejmując ją w pasie i prowadząc w głąb sali. Zupełnie zaschło mu w gardle od nadmiaru emocji.
- Mam nadzieję, że nie masz mi za złego tego, co się stało? - India zerknęła na niego pytająco.
- Zachowałaś się wspaniale. Jesteś twarda, panno Moncrieff. Nie chciałbym mieć w tobie przeciwnika.

A zmieniając temat, zrobiłaś z La Perli prawdziwy klejnot godny swojej nazwy - powiedział Jack. Utalentowana, wrażliwa na ludzką krzywdę, hojna i wielkoduszna. India nie przestawała go zaskakiwać. Czuł, jak ta kobieta kruszy skorupę, którą się otaczał. Był bliski tego, by zapomnieć o ostrożności, otworzyć przed nią ramiona i serce. Może przy Indii przypomni sobie, że życie nie sprowadza się do robienia pieniędzy?
- Ale Nelson ma rację, na dziś wystarczy dobrych uczynków - ostrzegł żartobliwie, zatrzymując się koło kolumny. - Poczekaj tu na mnie, przyniosę drinki. Nigdzie się nie ruszaj.
- Rozkaz, szefie. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Jeśli się pospieszysz, może mnie jeszcze tu zastaniesz.
Może ją zastanie. Może uda mu się wreszcie przełamać dystans, obudzić drzemiącą w niej namiętność?
Wziął szklanki napełnione przez barmana i już miał ruszyć z powrotem, gdy powietrze przeszył rozdzierający krzyk, w sekundę później drugi, w tłumie gości zakotłowało się. Jakaś kobieta wpadła na niego i omal nie przewróciła.
Rozejrzał się zdezorientowany, szukając przyczyn nagłej histerii.
I wtedy ich dojrzał. Trzech zamaskowanych mężczyzn w smokingach, z automatami w dłoniach.
- *Ninguem meche, tudo mundo caladol* - zawołał jeden z napastników.
Jack zaklął pod nosem, wściekły, że nie rozumie ani słowa.
- Co on wykrzykuje? - zapytał szeptem stojącego obok człowieka.
- Mamy się nie ruszać i być cicho.

W Jacku odezwał się dawny komandos. Szybko ocenił sytuację. Trzech uzbrojonych mężczyzn. Kilku innych zapewne pilnuje wejścia. Poszukał wzrokiem Indii, Stała przy kolumnie wśród ściśniętych gości i rozglądała się za nim. Nie mógł ruszyć jej na pomoc.
- Co krzyczy teraz? - zapytał ponownie swojego sąsiada, kiedy jeden z napastników znów wyszczekał kilka słów po portugalsku.
- Wszyscy mają oddać portfele i biżuterię.
Jack raz jeszcze ogarnął spojrzeniem salę, zły, że nie wziął ze sobą broni. Dwóch bandytów stanęło przy drzwiach, trzeci puścił w tłum wielką papierową torbę.
„Nigdy nie pozwólcie ponieść się emocjom", zadźwięczały mu w uszach słowa dawnego dowódcy i znowu poczuł się jak przed laty, kiedy igrał ze śmiercią w dżunglach Ameryki Środkowej. Już wiedział, co-ma robić. Nelson miał znakomicie wyszkolonych ochroniarzy, na pewno została też zawiadomiona brygada antyterrorystyczna, ale żeby akcja się udała, trzeba dać jej wsparcie od wewnątrz.
Jack zerknął w bok. Jedno z okien francuskich było uchylone. Gdyby udało mu się wyskoczyć na taras i obezwładnić stojącego tam napastnika, antyterroryści mieliby dostęp do sal recepcyjnych hotelu. Musi spróbować. Sytuacja robiła się coraz bardziej niebezpieczna.
Jeszcze raz poszukał wzrokiem Indii, błagając, by spojrzała w jego stronę, zanim on zacznie swoje zadanie. W końcu ich oczy spotkały się i Jack w niemym przesłaniu zawarł wszystko, co do niej czuł, po czym szybko odwrócił wzrok. Teraz musiał się skoncentrować na akcji.
Pociągnął za rękaw swojego sąsiada i wskazał spojrzeniem otwarte drzwi na taras. Mężczyzna skinął nie-

znacznie głową i obaj powoli zaczęli się przesuwać pod ścianą w tamtą stronę. Od bandytów oddzielał ich gęsty tłum. Jack już miał wymknąć się na taras, gdy w lustrze kątem oka dostrzegł jakiś ruch i do sali z ogrodu wpadł jeszcze jeden bandyta ubrany w mundur ochrony.
- *Estao chegandol* - zawołał rabuś.
- Co on mówi? - zapytał Jack swojego towarzysza.
- Mówi, że przyjechała policja.
Na potwierdzenie tych słów na zewnątrz rozległy się strzały. Jack rzucił się na podłogę i pośród ogólnego zamieszania zaczął się czołgać w stronę baru.
Po chwili znalazł się za wysokim kontuarem. W drugim końcu przycupnął na podłodze barman. Jack pokazał na migi, że potrzebny mu pistolet, a przerażony chłopak wskazał głową, gdzie jest broń. Jack zgodnie ze wskazówką barmana przesunął ręką po marmurowej półce i wyczuł pod palcami chłodny metal. Niestety była to łyżka. Szukał więc dalej. Chłopak kiwał cały czas głową na znak, że broń na pewno tam jest. Wreszcie Jack wyczuł pod palcami znajomy kształt beretty. Odetchnął z ulgą, odbezpieczył pistolet i wysunął ostrożnie głowę zza baru, by ocenić sytuację.
Bandyci tracili kontrolę nad zdarzeniami, wyraźnie wpadali w panikę. Z jednej strony było to korzystne, przestali być bowiem zdyscyplinowaną grupą, z drugiej jednak groziło nieprzemyślanymi posunięciami. Rabusie na ogół starają się unikać przelewu krwi, bowiem w razie wpadki otrzymują niższy wyrok, teraz jednak w każdej chwili pod wpływem emocji mogli otworzyć ogień do sterroryzowanego tłumu.
Komandos Jack Buchanan dokonał chłodnej kalkulacji. Był w stanie oddać cztery błyskawiczne strzały

i unieszkodliwić bandytów. Odległość była niewielka, więc nie powinien chybić, będzie też działał z zaskoczenia. Jeśli jednak któryś z napastników przeżyje, natychmiast puści serię z broni automatycznej, a wtedy zginie mnóstwo ludzi. Innymi słowy, jatka.
Policja popełniła błąd, otwierając ogień na zewnątrz hotelu. Powinna zjawić się po cichu i czekać. Bandyci zadowoliliby się biżuterią i portfelami, wzięliby jednego, może dwóch zakładników i opuściliby hotel. Wtedy antyterroryści powinni przystąpić do akcji. Atak sytuacja była naprawdę dramatyczna.
Jack rozejrzał się jeszcze raz... i przestał się wahać. Napastnicy mieli w oczach mord. Wiedzieli, że przegrali i byli gotowi na wszystko. Złaknieni krwi *desperados*. Mogły powstrzymać ich tylko kule. Jack starannie odmierzył w myślach dystans dzielący go od poszczególnych napastników, ustalił kolejność strzałów, wymierzył... i zamarł z przerażenia. Jeden z bandytów chwycił Indię i przystawił jej broń do skroni. A więc rabusie zaczęli realizować wariant z zakładnikami, lecz byli tak podnieceni, że w każdej chwili mogło przemienić się to w krwawą łaźnię.
Dlaczego musiało paść na Indię?
Jack stłumił w sobie to pytanie, odegnał paniczny lęk, W ten sposób nic nie zdziała.
Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć histerycznie i jeden z bandytów uderzył ją z całej siły kolbą w skroń. Ten cios mógł być śmiertelny - i Jack już nie czekał. Jedna zbrodnia pociąga następną i następną, tak to po prostu działa. Musiał ich powstrzymać.
W jednej sekundzie zmienił się w zimny, precyzyjny mechanizm do zabijania. Pociągnął za spust i bandyta

terroryzujący Indię wypuścił broń z przestrzelonej ręki. Drugi strzał - o następnego przeciwnika mniej... i do sali wpadli chłopcy z brygady specjalnej, obezwładniając pozostałych dwóch napastników.
Jack wypadł zza baru, przyskoczył do unieruchomionej Indii i zrzucił z niej rannego bandytę.
- Już dobrze, maleńka - szepnął. - Już wszystko dobrze. - Wziął ją w ramiona i upewnił się, że nic się jej nie stało. Odgarnął jej włosy z czoła i zaśmiał się, zdjęty ogromną ulgą, gdy zobaczył, że unosi powieki. Była przeraźliwie blada, ale składał to na karb wstrząsu, którego musiała doznać.
Goście zaczęli bić brawo, kiedy podekscytowany barman, machając rękami, zrelacjonował wszem i wobec brawurową akcję Jacka.
W sekundę później pojawił się obok Jacka roztrzęsiony Nelson.
- Chryste, Jack! Nic jej nie jest?
- Wszystko w porządku. To tylko szok.
- Są już karetki. Jedna kobieta nieprzytomna, ma rozbitą głowę, jeden bandyta ranny, drugi zabity... Ale to już twoja zasługa... Nie wiem, co się stało na zewnątrz... Trzeba zabrać Indię w jakieś spokojne miejsce. Boże, tak niewiele brakowało...
Jack wstał i wziął Indię na ręce.
Gdyby działo się to gdzie indziej, ludzie pewnie rozeszliby się do domów, ale to była Ameryka Południowa. Orkiestra zaczęła grać, panika minęła, w sali zapanowało podniecenie. Ludzie mówili jeden przez drugiego, komentowali wypadki, które przed chwilą były ich udziałem. Latynosi najlepiej swoje emocje wyrażają w tańcu i pierwsze pary zaczęły tańczyć gorącą sambę. Strzelały

korki od szampana. Towarzyszyły temu okrzyki, śmiechy, histeryczne szlochy.
Jack szedł przez tłum z Indią w ramionach, nie widział łez wdzięczności w oczach kobiet, nie czuł przyjacielskich, pełnych uznania poklepywań, którymi obdarzali go mężczyźni. Chciał jak najszybciej zanieść Indię gdzieś, gdzie miałaby spokój i gdzie nikt by im nie przeszkadzał.
India ocknęła się w chłodnej, pachnącej pościeli. Powoli zaczęła sobie przypominać, co się stało. Wrzaski, zamieszanie, lufa przystawiona do skroni, ręka bandyty na jej gardle... Usiadła na łóżku z krzykiem.
- Już po wszystkim, kochanie. - Jack przypadł do niej i objął ją ramieniem. - Jesteś w szoku, ale nic ci się nie stało.
- Ja... prawie nic nie pamiętam... Byłam pewna, że coś zrobisz... zobaczyłam, jak mierzysz z pistoletu. Myślałam, że umieram - szeptała w oszołomieniu.
Jack podłożył jej jeszcze jedną poduszkę pod głowę.
- Już po wszystkim - powtórzył. - Jesteś bezpieczna - zapewnił i pocałował ją delikatnie w usta. - Nie pozwoliłbym, żeby stała ci się krzywda.
India rozejrzała się wokół. Była w swoim apartamencie hotelowym, w swoim łóżku, naga. Jack musiał ją rozebrać. Powinna poczuć się zażenowana, lecz ogarnęły ją zupełnie inne emocje... i nagle przypomniała sobie krew, ciało przygniatające ją do posadzki i dopiero teraz zrozumiała, że Jack uratował jej życie.
Przysiadł na brzegu łóżka. Miał przecięty policzek, podarty gors koszuli, był poplamiony krwią, a rozwiązana muszka zwisała spod kołnierzyka.

Delikatnie dotknęła skaleczonego policzka.
- Musisz to opatrzyć - szepnęła.
- Nie przejmuj się mną, nic mi nie będzie. Wypij trochę wody. - Podał jej kubek i uśmiechnął się tak czule, że serce zabiło jej żywiej.
Kochała go. Dłużej nie mogła się oszukiwać. Oparła głowę na poduszkach i patrzyła na niego zafascynowana.
- Jack? - zagadnęła cicho. - Czy tam, za barem, przeszło ci przez myśl, że możesz trafić mnie zamiast bandytę?
- Co takiego? - zapytał z rozbawieniem w oczach.
- Mogłeś mnie trafić.
- Z tak małej odległości, strzelając z beretty 9 milimetrów, nie sposób spudłować.
- Mówisz to z taką pewnością. - India uśmiechnęła się, chyba jednak nie była do końca przekonana.
- Bo miałem pewność. W takiej sytuacji strzela się tylko wtedy, kiedy ma się absolutną pewność, że trafi się w cel. Byłem komandosem i wiedziałem, co robię, maleńka. Wierz mi. Nie igrałbym z twoim życiem. -Przesunął palcem po wargach Indii i uśmiechnął się. -Straszna z ciebie jędza. Już drugi raz robisz mi awanturę, że strzelam do ciebie, lecz zapominasz pochwalić mój refleks. Czy to sprawiedliwe?
- Raz pochwalić chłopa, to urośnie pod sam sufit -droczyła [x]się.
- Uff, widać, że dochodzisz do siebie, bo języczek wrócił do formy. - Nagle spoważniał. - Gdybym nie był wyszkolonym komandosem, kompletnie nie wiedziałbym, co robić. Ale za nic nie chciałbym jeszcze raz przeżywać czegoś takiego. - Głos mu zadrżał. - Gdy pomyślę, że byłaś o krok od śmierci...
To byli *desperados,*

mieli w oczach ów szczególny wyraz. Wiedzieli, że przegrali, i łaknęli krwi. W innym wypadku nic bym nie robił. Oddałbym portfel i tyle. Ale kiedy ten drań przystawił ci lufę do głowy, a inny uderzył tamtą kobietę, musiałem działać, bo oni już zaczęli egzekucję. Byłaś pierwsza w kolejce... - Spojrzał na nią. W jego oczach tliło się jeszcze przerażenie, lecz ustępowało ono zupełnie innemu uczuciu. - Tak bardzo cię pragnę, Indy. Chcę ci pokazać świat, którego nie znasz, którego istnienia nawet się nie domyślasz. Między nami nie ma miejsca na udawanie, ale za nic nie chciałbym, żebyś zrobiła teraz coś, czego później byś żałowała.

Jej oczy powiedziały wszystko. Wyciągnęła ręce ku Jackowi i szepnęła coś cicho...

India przesunęła dłonią po gęstej czuprynie Jacka i uśmiechnęła się. Leżąc obok niego, czuła się tak swobodnie, tak naturalnie. Była wyczerpana i absolutnie zaspokojona. Tak, wracała z dalekiej, niezwykłej podróży i poznała nieznane dotąd lądy, jak to obiecał Jack.

Przygarnął ją do' siebie.

- Zmęczona? - szepnął, kładąc dłoń na jej piersi takim gestem, jakby czynił to od lat.
- Mhm. Czyżbym przebiegła maraton?
- No cóż, trzeba cię reanimować... Roześmiała się.
- To inne zmęczenie, Jack. Całkiem miłe.
- Tylko miłe?
- No dobrze, rozkoszne.
- Wiedziałem - mruknął z samczą dumą. - Nie ma to jak Jack Buchanan.
- Hola, hola, a ja to co? Wszystko zrobiłeś sam?

- Wiedziałem, nie ma to jak India Moncrieff.
- No, już lepiej.
Przesunęła palcami po plecach Jacka, zafascynowana jego natychmiastową reakcją.
- Indy, jeśli będziesz tak się zachowywać, to ja...
- Tak? - zapytała z błyskiem w oku.
- Nie dożyję czterdziestki.
- Dożyjesz, dożyjesz...
Droczyła się z nim i czuła się z tym wspaniale, ale gdzieś tam tliły się w niej najważniejsze słowa, te o miłości i przeznaczeniu. Sentymentalne, ckliwe słowa, gdy padają z ekranu lub widnieją na kartach książki, lecz wypowiedziane w życiu dotyczą samej jego esencji. Powstrzymała się jednak. Jeszcze nie nadszedł właściwy moment.
- Więc niech skonam - mruknął Jack i przygarnął Indię. - Wiesz, można również tak... - szepnął.
Okazała się pojętną studentką.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Samolot wzniósł się w górę. Jeszcze przez chwilę widać było Rio i górującą nad miastem figurę Chrystusa - Cristo Redemtor.

Z ulgą uciekali od upału, kierując się na południe, ku granicy argentyńskiej. India spoglądała w dół, rozpamiętując ostatnie dni z Jackiem. Leniwe, cudowne dni spędzone w łóżku i nad basenem. Rozmawiali, kochali się. Tylko tyle - i aż tyle.

Obserwowała Jacka, który właśnie przeglądał jakieś papiery.

Kochała go. Po prostu, najzwyczajniej w świecie kochała. Nic sobie nie przyrzekali, nie padły między nimi słowa miłości. Wystarczała jej czułość i namiętność. Nigdy jeszcze nie czuła się tak szczęśliwa, tak spełniona.

- Przepraszam - powiedział Jack z uśmiechem. - Za chwilę kończę.

Pocałował ją w usta i wrócił do swoich notatek. Po kilku minutach odłożył je i ujął dłoń Indii. Łączyła ich serdeczna zażyłość, wspólne myśli, wspólne odczucia, to wystarczało. Jack zaczął całować jej dłoń, każdy palec po kolei.

- Przestań - zaprotestowała.

- Dlaczego? Jestem przecież w swoim samolocie. W czym problem?

- A Jonathan i załoga?

- O co ci chodzi? - zapytał Jack, nie przerywając pieszczoty.
- Czuję się zakłopotana. - India zmieniła temat: -Kiedy lecisz do Miami?
- Chcesz się mnie pozbyć?
- Wiesz przecież, że nie.
- Cóż, niedługo rzeczywiście muszę wracać na Florydę - przyznał z żalem. - Zaniedbałem swoje sprawy. Chad i Quince zaczynają się już irytować. Wszystko przez ciebie - dodał z uśmiechem.
- Czyżby? - zapytała niewinnym tonem.
- Przy tobie zapominam o pracy.
- Najłatwiej wszystko zwalić na biedną kobiecinę. A przecież to ty zapominasz, więc to twoja wina. - Roześmiała się.
- Jezu, co za przewrotność. A prawda jest taka, że działasz na mnie jak narkotyk. Boję się, że się od ciebie całkowicie uzależnię.
Znów ją pocałował. Na moment zapomniała o całym świecie, po czym odsunęła się tak szybko, że zdumiony Jack uniósł brew.
- To nie czas ani miejsce - wyjaśniła.
Jack nacisnął klawisz na tablicy kontrolnej z napisem „Nie wchodzić". Załoga wiedziała teraz, że nie należy niepokoić szefa i India już nie protestowała. Potem musiała przyznać, że było to jedno z najbardziej ekscytujących doświadczeń w jej życiu.
Jack z niejakim rozbawieniem obserwował wysiłki Indii. Chciała za wszelką cenę sprawiać wrażenie osoby opanowanej. I ta jej niewinna mina, jak gdyby nic nie zaszło, jakby przed chwilą nie kochała się z nim zapamiętale.

- Jesteś głodna, księżniczko?
- Trochę.
- Tylko trochę? Po takich szaleństwach? Mogę już wezwać Jonathana?
Skinęła głową i Jack zadzwonił na stewarda. Wierny Jonathan pojawił się w ułamku sekundy. Jack zażyczył sobie ogromny stek, India wybrała wędzonego łososia z tostem, do tego kieliszek wytrawnego szampana.
- Pyszne... A tak zmieniając temat, obiecałeś mi opowiedzieć o Chadzie i Quinsie - powiedziała India między kęsami łososia.
Jack odłożył sztućce i zamyślił się.
- Chada traktuję bardziej jak syna niż brata. Jest sześć lat młodszy ode mnie i ma zupełnie inne usposobienie niż ja. Ustatkowany, bezpośredni, niezwykle uczciwy. Od ośmiu lat jest żonaty z tą samą dziewczyną.
- Dlaczego mówisz, że ma zupełnie inne usposobienie? - zdziwiła się India. - Tak jakbyś nie był bezpośredni i uczciwy. Gdyby życie potoczyło się inaczej, na pewno wciąż byłbyś mężem Lucy.
- Może jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż mi się wydaje. Chad ma cudowną córeczkę, Molly. To moja chrześniaczka - dodał z dumą. - Poznasz ich, kiedy odwiedzisz mnie w Miami. - Bardzo pragnął, by przyjechała do niego. - Quince to mój stary przyjaciel. Nasze drogi rozeszły się przed laty, ale niedawno odnowiliśmy kontakt. Znamy się od dziecka, razem dorastaliśmy w Tennessee. Szukałem prawnika, który zna się na hotelarstwie i chciałby pracować dla Astry. Zgłosił się Quince. Nie mogłem uwierzyć, kiedy Zobaczyłem jego nazwisko na formularzu.
- Nie powiedział ci nic wcześniej?

- Nie. Po prostu przysłał swoje podanie i CV, jak wszyscy inni. Wybrałem jego, bo zdawał się najlepszym kandydatem, i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, kto to zacz.
- Niesamowite.
- Owszem. Quince pochodzi z biednej rodziny i wszystko zawdzięcza własnej pracy. W czasach naszej młodości niełatwo było być Czarnym na Południu. Nadal nie jest, choć na szczęście powoli to się zmienia.
- Słyszałam coś o tym. Tyle lat minęło od wojny secesyjnej, a dyskryminacja ma się w najlepsze.
- Trochę przesadzasz, ale wciąż daje o sobie znać. Jednak wierzę, że Południe jest na dobrej drodze. Quince nie miał łatwego życia. Jego. ojciec wcześnie umarł, a on musiał opiekować się matką i młodszym rodzeństwem. Straciłem z nim kontakt po śmierci Lucy. Skończył college dzięki stypendium sportowemu, potem zaczął pracować, prawo studiował zaocznie. Ten facet jest niesamowity. Wykształcił siostrę i brata. Chłopak teraz studiuje medycynę na Harvardzie, chce się specjalizować w psychiatrii. Nie wiem, jak firma poradziłaby sobie bez Quince'a. - Jack zerknął na zegarek. - Za jakieś piętnaście minut lądujemy w Buenos.
- Chad mieszka gdzieś blisko ciebie?
- Tak, mają dom w Coconut Grove. To bardzo ekskluzywna dzielnica, mnóstwo zieleni. Marilyn kocha kwiaty, ma wspaniały ogród. Polubią cię. - Jack do tej pory nie przedstawiał swoich przyjaciółek rodzinie, ale z Indią było inaczej.
- Muszą być fantastyczni.
- Są fantastyczni.
India bardzo ujęła Jacka tym, że z takim entuzjazmem

odnosiła się do najbliższych mu ludzi. Jeszcze ich nie poznała, a już polubiła. Takie pozytywne nastawienie to wspaniała cecha, pomyślał.
- Opowiedz mi o swoich stosunkach z Sereną - poprosił. Chciał wysłuchać, co ma do powiedzenia, był przy tym ciekaw, czy wspomni o Dunbarze.
- Niewiele jest do opowiadania. Serena ciągle nie może pogodzić się z "faktem, że matka wyszła za mojego ojca. To musiało być dla niej trudne. Wyobraź sobie, ciągle wysłuchiwać od Hamiltonów, że lady Elspeth poślubiła parweniusza, jak nazywali Duncana. - India uśmiechnęła się cierpko. - Nigdy nie chciała go bliżej poznać, nigdy nie zrozumiała, jak wspaniałym był człowiekiem.
- Bardzo bolejesz nad tym, w jakim stanie matka zostawiła majątek? - zapytał Jack, ściskając lekko dłoń Indii.
- No cóż, musiałam się z tym pogodzić. Trzeba będzie sprzedać Dunbar, żeby pospłacać długi.
Jackowi ścisnęło się serce, ale pocieszał się tym, że India poczuje się lepiej, kiedy zaproponuje jej nadzór nad pracami w rezydencji. Już chciał jej powiedzieć o swoich planach, ale powstrzymał się. To miała być niespodzianka.
- Jesteśmy na miejscu - powiedział, spoglądając za okno. - Ależ szybko minął ten lot. - Uśmiechnął się szelmowsko.
- Kto by pomyślał, prawda?
Jack zaśmiał się i przygarnął ją do siebie.
- Chodź tu, moja kusiciełko.
Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania na lotnisku Ezeiza, posadził sobie Indię na kolanach i zapiął oboje jednym pasem.

- Jest Hernan! - zawołała India, gdy wysiedli. - Jak to miło z jego strony, że po nas przyjechał.
Jack przyjrzał się bacznie przyjacielowi.
- Strasznie wyglądasz. Hulałeś całą noc? - zagadnął, ale Hernan nie uśmiechnął się. Miał ściągniętą twarz i zatroskane oczy. Jacka przeszedł zimny dreszcz. Taki sam wyraz twarzy widział u policjanta, który zapukał do jego drzwi tamtej strasznej nocy przed dwunastu laty.
- Co się stało? - zapytał głucho.
- Jack... Nie wiem, jak ci to powiedzieć... Ja... -Hernan nie był w stanie dokończyć zdania.
- Mówże, człowieku! - zawołał Jack z paniką w głosie. - Mów, na litość boską! -
- Chodzi o twojego brata...
- Co z Chadem? Co się stało?!
- Miał wypadek.
- Chryste - szepnęła India, chwytając Jacka za rękę.
- Kiedy?
- Dzisiaj rano. Wracali z Marilyn z Key West, samolot wpadł w wir powietrzny i... - Hernan podniósł bezradnie dłonie, łzy napłynęły mu do oczu.
Na moment zaległa martwa cisza.
- Marilyn? - łamiącym się głosem zapytał wreszcie Jack.
- Też zginęła - odparł Hernan. - Nie mogłem uwierzyć, myślałem, że to jakaś pomyłka, że to nie mogło się stać. Dzwonił Quince. Cały ranek usiłował skontaktować się z tobą.
- Daj mi telefon - poprosił Jack i ruszył jak automat w stronę samochodu, a India i Hernan za nim.
- Nie wiem, czy się. dodzwonisz. Próbowałem, ale wszystkie linie są zajęte. Może uda się później, z miasta.

- Lecę natychmiast do Miami.
- Jedźmy najpierw do Alvearu albo do mojego mieszkania. Stamtąd zadzwonisz i zdecydujesz, co robić -poprosił Hernan.
- Nie, lecę. - Jack odwrócił się i ruszył z powrotem do samolotu.
- Startujemy za pół godziny - rzucił do Jonathana.
- Za pół godziny, sir?
- Tak. - Jack wspiął się po stopniach do kokpitu. -Zatankuj paliwo, Bob. Musimy zaraz wracać do Miami.
Pilot odwrócił się i spochmurniał, widząc zmienioną twarz szefa.
- Dobrze się czujesz, Jack?
- Przygotuj samolot. Wracamy do domu. Siwowłosy pilot podniósł się z fotela.
- To może potrwać dłużej niż pół godziny. Zaraz się dowiem, ile trzeba czekać na zatankowanie.
Jack odwrócił się i zobaczył, że India stoi tuż za nim. Był tak wstrząśnięty, że nie wiedział, co dzieje się wokół niego.
- Jedź do miasta z Hernanem, Indy. Ja muszę lecieć do domu.
- Tak mi przykro, Jack - szepnęła, a on skinął machinalnie głową.
Bob rozmawiał przez chwilę z wieżą, po czym wyłonił się z kokpitu.
- Niestety, Jack, mam złą wiadomość. Możemy lecieć dopiero pod wieczór. Muszę zrobić przegląd silników, inaczej nie dostanę pozwolenia na start. Coś się stało?
Jack skinął głową. Bob od dawna pracował dla niego i rozumieli się bez słów.

- Chad. Wracał z Key West. Jego samolot wpadł w wir powietrzny.
- Chryste... - Bob pobladł. Był pilotem i wiedział, co te słowa oznaczają. Spojrzał pytająco na Jacka, a ten tylko przytaknął.
- Bądź gotów do startu tak szybko, jak to możliwe.
- Nie wcześniej niż za trzy godziny.
- Dobrze. Pojadę po swoje rzeczy - powiedział Jack, po czym jak lunatyk zszedł po stopniach.
W samochodzie pędzącym do Rio nie odzywał się wcale. India też milczała. Tak bardzo pragnęła go pocieszyć, ale wiedziała, że żadne słowa nie są w stanie przynieść ulgi. Nic nie mogło złagodzić bólu Jacka po stracie najbliższych.
Usiłowała powstrzymać łzy. Chad i Marilyn... ledwie
0 nich usłyszała i zapragnęła poznać... Jednak ze względu na Jacka nie powinna się rozklejać. Musi być silna, bo on tego potrzebuje. Położyła delikatnie dłoń na jego dłoni, pragnąc dać mu do zrozumienia, że jest przy nim, że dzieli jego cierpienie.
Jack wyjął telefon komórkowy i ponownie usiłował połączyć się z Miami. Musi znaleźć Quince'a. Dlaczego ten przeklęty telefon nie działa? Zaklął pod nosem, chwytając się płonnej nadziei, że to tylko jakaś koszmarna pomyłka. Może chodziło o inny samolot, może Marilyn
1 Chad są już w domu cali i zdrowi? W głębi duszy wiedział jednak, że nie może być mowy o pomyłce.
Widział jej przerażone oczy, widział Chada, który rozpaczliwie usiłuje wyrwać się ze spirali śmiercią widział samolot spadający do oceanu... I koniec. Nie, to niemożliwe. Dlaczego właśnie Chad i Marilyn? Czy nad Bu-

chananami zawisła jakaś klątwa? Najpierw Lucy, teraz oni...
Napłynęły wspomnienia. Chad na czereśni próbuje zdjąć z drzewa przerażonego kota. Chad rozgrywa swój pierwszy baseballowy mecz. Braterskie sprzeczki, wspólne zabawy. Rozmarzone oczy Marilyn i jej słodki uśmiech. Był drużbą na ich ślubie, dotąd słyszał jej cichutkie, pełne przejęcia i wzruszenia „tak".
A potem ta piękna noc, kiedy urodziła się Molly. Chad wiele godzin miotał się po szpitalnym korytarzu, włos rozwiany, płonące oczy... Och, jak bardzo chciał zostać ojcem. Jack był przy nim cały czas. Oczywiście też był przejęty, ale i rozbawiony, bo braciszek wyglądał naprawdę komicznie. „Musisz wyhodować brzuszek, jak na zacnego tatuśka przystało", podkpiwał. Aż wreszcie pielęgniarka podała Chadowi małe, wrzeszczące zawiniątko...
Jack szarpnął się gwałtownie. Molly! Biedna, mała Molly. W szoku zupełnie o niej zapomniał. Myślał tylko o bracie i bratowej, o ich przeciętym nagle życiu.
Kiedy dotarli do hotelu, jak automat usiadł za biurkiem, usiłując zrozumieć, zmierzyć się z tragiczną prawdą.
- Kochanie? - India stanęła obok.
- Molly - wykrztusił z trudem. - Albo też zginęła, albo została zupełnie sama.
- Boże drogi. - W oczach Indii zalśniły łzy. - To straszne. - Uklękła koło Jacka. - Polecę z tobą, jeśli chcesz.
Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tych słów. Przez tyle lat był zdany wyłącznie na siebie i teraz nie wiedział, jak potraktować tę propozycję. A jednak ta

kobieta, dzięki której odrodził się z dwunastoletniego emocjonalnego letargu, była gotowa z nim lecieć, dzielić nie tylko dobre chwile, ale i ból. Wahał się przez moment, nie wiedząc, czy może prosić aż o tak wiele. Z drugiej strony wiedział, że India samą swą obecnością pomoże mu przetrwać najgorsze chwile. Da mu ukojenie, którego tak bardzo potrzebował.
- Naprawdę byłabyś gotowa polecieć?
- Oczywiście, Jack.
- Jesteś pewna?
- Tak, kochanie. Poczekaj na mnie, pójdę się spakować. - Uścisnęła jego dłoń i ruszyła ku drzwiom, a Jacka ogarnęła nieopisana wdzięczność. Wrócił myślami do Molly. Czy żyje? A jeśli tak, czy już wie? Czy ktoś już jej powiedział? Czy może beztrosko spędza czas w domu przyjaciółki, pewna, że mama i tata lada chwila po nią przyjadą?
Jęknął zdjęty rozpaczą. Dlaczego to musiało spotkać właśnie ich? Uderzył gniewnie pięścią w oparcie fotela, zerwał się i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Dlaczego za miłość do naszych bliskich musimy płacić tak straszliwą cenę?
Jack siedział w gabinecie dyrektorki szkoły episko-palnej Świętego Marka i po raz setny zadawał sobie pytanie, jak ma przekazać siedmioletniemu dziecku wiadomość, że nigdy już nie zobaczy swoich rodziców. Przechodził różne koleje losu, ale na tę sytuację zupełnie nie był przygotowany. Nie widząp znikąd ratunku, ukrył twarz w dłoniach i zaczaj się modlić, czego nie czynił od lat.
Gdzie ją zabierze? Do opustoszałego domu, do któ-

rego Chad i Marilyn nigdy już nie mieli wrócić? Do swojego mieszkania? Wywieźć ją gdzieś na kilka dni i z pomocą Indii próbować oderwać jej myśli od tragedii? Przecież to niemożliwe. Jedyne co Molly może zrobić, to nauczyć się żyć z tym cierpieniem.

Może zanim tu przyszedł, powinien był zasięgnąć rady psychologa, kogoś, kto zna dzieci, zna ich reakcje. Może popełnił błąd? Co zrobi,.jeśli jego słowa naznaczą Molly na całe życie? Był teraz jej opiekunem. Jedyną osobą, na którą mogła liczyć. Jack uczyni wszystko, by małej nie zabrakło miłości. Będzie o.nią dbał najlepiej, jak tylko potrafi.

Poczuł się trochę lepiej na myśl o Indii, która czekała w hotelu. Od przylotu do Miami prawie jej nie widział, ale sama świadomość, że jest tak blisko, działała kojąco. India była mu opoką w tych trudnych chwilach.

A teraz on musi stać się opoką dla Molly. Przez wzgląd na małą musi znaleźć w sobie siły. Chad i Marilyn odeszli, lecz pozostał wujek Jack.

Spojrzał przez okno na wirydarz i nagle spłynęło na niego niezwykłe doznanie. Nie wierzył w siły nadprzyrodzone, ale mógłby przysiąc, że Chad i Marylin są teraz w tym pokoju, że próbują mu powiedzieć, by się nie martwił. Wszystko będzie dobrze, niech tylko Jack zda się na własny instynkt. Kiedy drzwi się wreszcie otworzyły, był gotów.

Jack siedział w fotelu w salonie swojego mieszkania; znużony, bez sił. Koszmar ostatnich kilku dni mieli wreszcie za sobą. Spojrzał na Indię i znów pomyślał, jak wiele zaczęła znaczyć w jego życiu. Kiedy Rosa, Nikaraguanka, która opiekowała się Molly od jej urodzenia,

spakowała rzeczy małej, przewieźli je do mieszkania Jacka. Przeprowadzili też Barta, rozpieszczonego do granic możliwości bernardyna, i Jeminę, małą, czarną kotkę, którą Molly dostała kilka miesięcy wcześniej od kolegi z obozu baseballowego.
Mała spała teraz w byłym pokoju gościnnym, który India w rekordowym czasie zdołała zamienić w przytulne, dziecięce gniazdko. Miała przy sobie ukochaną lalkę i misia. India przeczytała jej bajkę na dobranoc, a Jack gładził po jasnych włoskach, aż wreszcie Molly zasnęła.
Nie wyobrażał sobie, jak przetrwałby ostatnie dni bez wsparcia Indii. Była przy nim na każdym kroku. Nie narzucała się, ale zawsze, gdy była taka potrzeba, służyła pomocą. Odchylił głowę i westchnął ciężko, dręczony wspomnieniami koszmaru, przez który przeszedł, kiedy musiał powiedzieć Molly, co stało' się z jej rodzicami.
Poczuł szturchnięcie wilgotnego nosa i spojrzał w dół. Koło jego stóp ułożył się Bart i patrzył na niego żałośnie.
- Tęsknisz za panem - powiedział, klepiąc psa po grzbiecie, po czym uśmiechnął się do Indii.
Był zbyt zmęczony, by wdawać się w rozmowę. Całe ciało go bolało jak po długim, wyczerpującym biegu. Przez ostatnie dwie noce Molly budziła się z krzykiem i wzywała rodziców. Czuwał przy niej, pomagał przebrnąć przez mroczną dolinę, do której los ją rzucił.
- Powinieneś odpocząć, Jack - powiedziała India. -Zrobię ci drinka. - Stanęła za nim i zaczęła masować sztywne mięśnie karku.
- Jak dobrze - westchnął z ulgą.
- Molly jest taka dzielna. Na pogrzebie robiła wszystko, żeby nie płakać.

- Tak, to prawda. Boże, Indy, jak się teraz to wszystko ułoży? Nie wiem, czy zdołam jej dać tyle miłości, ile potrzebuje.
- Na pewno, Jack - zapewniła z głębokim przekonaniem. - Nawet nie podejrzewasz, jak wiele potrafisz jej ofiarować. Będziesz wspaniałym ojcem. Już jesteś. Popatrz, jak ona garnie się do ciebie, jak szuka u ciebie rady i pociechy.
- Nie , wiem. — Jack pokręcił głową. — Mam wrażenie, że bardziej lgnie do ciebie. Tak świetnie umiesz do niej trafić. Wychowywanie dziecka to ogromna odpowiedzialność. Cholera, przecież nie mam" o tym pojęcia. W dodatku to dziewczynka.
- Nie zamartwiaj się. Ostatniej nocy udało ci się ją uśpić, kiedy obudziły ją koszmary. Ma do ciebie absolutne zaufanie.
- Tak myślisz? - zapytał z otuchą.
Może rzeczywiście da sobie radę? Nie jest przecież głupcem, liczył też, że pomoże mu instynkt. Gdy się kogoś kocha, a przecież bardzo kochał Molly, instynkt bywa niezastąpionym doradcą.
India skończyła masaż i pocałowała go w głowę. Jej obecność stała się dla Jacka czymś tak naturalnym, że niemal zapomniał o zbliżającym się rozstaniu. Wstał powoli i objął ją. Miał wrażenie, że spędzili razem całe lata, a nie kilka dni. Jak sobie poradzi bez niej? Będzie się czuł bardzo samotny, to pewne.
- Zjedzmy coś.
- Dobry pomysł. Ty zrób drinki, a ja przygotuję kanapki. Masz ochotę na tuńczyka?
- Co tylko ty zechcesz, księżniczko.
Idąc do kuchni, zajrzeli do Molly. India otuliła ją koł-

drą i pozwoliła Jeminie wskoczyć na łóżko, po czym na palcach wyszli z pokoju. Jack w kuchni włączył płytę z muzyką celtycką, usiadł przy barze i zajął się drinkami, a India zabrała się do przygotowywania kanapek.
- Piękna muzyka, taka spokojna - powiedziała, rzucając na Jacka zatroskane spojrzenie.
Mieszkanie zmieniło się, kiedy India się tu pojawiła, pomyślał. Nabrało życia.
Mimo woli wracał myślami do wydarzeń minionych dni, nie mógł uwolnić się od wspomnień. Czuł jeszcze, jak mała rączka Molly zaciska się na jego dłoni, kiedy z kościoła wynoszono trumny. A potem, kiedy sami mieli wyjść, małe nóżki" tak zaczęły drżeć, że musiał wziąć ją na ręce. Wtuliła mu głowę w ramię i tak ją zaniósł na miejsce ostatniego spoczynku Marilyn i Chada.
Ocknął się ze smutnych rozmyślań, zerknął na zegar i rozprostował zesztywniałe od niewyspania mięśnie.
- Proszę. - India postawiła przed nim talerz i usiadła naprzeciwko. - Musisz jeść, kochanie, bo zupełnie opadniesz z sił. Ze względu na Molly. I na nas.
Jack ścisnął jej dłoń.
- Nie mówiłem dotąd, jak bardzo jestem ci wdzięczny, Indy. Przykro mi, że to wszystko spadło na ciebie. - Prawie nie rozmawiali w ostatnich dniach, ale jej obecność była dla Jacka nieoceniona. - Dziękuję za wszystko, co zrobiłaś.
- Nie musisz mi dziękować, Jack. Jestem tutaj, bo chciałam być. Byłabym niepocieszona, gdyby było inaczej.
- Jesteś wspaniałą kobietą, Indy. - Jack pogładził ją serdecznym gestem po policzku. - Dopóki cię nie po-

znałem, nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś będzie mi na kimś tak zależeć. Wiem, że nie poświęcałem ci dość uwagi, ale...
- Mną się nie przejmuj. Nie po to tu przyjechałam - przerwała mu i pocałowała w usta. - Jedz teraz, potem zamówię taksówkę i wrócę do hotelu.
- Mowy nie ma. Odwiozę cię.
India mu pomagała, spędzała długie godziny z Molly, robiła wszystko, by jego życie z małą potoczyło się możliwie gładko. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, miał kogoś, z kim mógł dzielić żal do losu i ból, kogoś, kto wszystko rozumiał.
- Powinieneś zostać z Molly. Wezmę taksówkę, to żaden problem - powiedziała India, zbierając talerze i wkładając je do zlewozmywaka.
- Odwiozę cię. Gdyby Molly się obudziła, Rosa się nią zajmie.
Przed wyjściem jeszcze raz zajrzeli do małej. Pokój pogrążony był w ciepłym półmroku, paliła się tylko lampka nocna na komodzie. Zamknęli cicho drzwi, szczęśliwi, że dziewczynka śpi spokojnie. India przebrała się w koszulę nocną i wyszła na taras. W oddali migotały światła Dinner Key Marina, przez Bay Shore Drive w kierunku Coconut Grove sunęły spóźnione samochody.
Była zbyt spięta, żeby kłaść się spać. W ostatnich dniach zapomniała o własnych problemach i robiła co w jej mocy, by pomóc Jackowi i Molly, ale teraz pomknęła myślami do Dunbaru. Musiała wrócić do domu i zająć się majątkiem. Może to egoistyczne martwić się o kawałek ziemi, kiedy Molly i Jack cierpieli taką tragedię,

ale ciążyła na niej odpowiedzialność, której nie mogła lekceważyć ani zdać na kogoś innego.
Jack. Jakże okrutnie los się z nim obszedł i jak bliscy stali się sobie w ostatnich dniach. Cierpiał straszliwie, a jednak potrafił jej powiedzieć, że jest mu bliska. Słowa, które dzisiaj od niego usłyszała, wiele dla niej znaczyły. Otworzył się przed nią, dzielił z nią swój ból, przezwyciężył lęk przed miłością, mimo że tak bardzo bał się jej utraty.
Pragnęła z nim zostać. Rozłąka zapowiadała się tym bardziej bolesna, że tych kilka dni wystarczyło, by serdecznie przywiązała się do Molly, ale wiedziała, że im dłużej będzie zwlekać, tym trudniejsze będzie rozstanie. Cóż, każde z nich musiało zająć się swoim życiem.
Może w przyszłości sprawy ułożą się inaczej, pomyślała, wracając do pokoju, jednak teraz trzeba pogodzić się z rzeczywistością.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Chantemerle powitało Indię znajomym zapachem lawendy i sosny. Lubiła podróże, ale zawsze z rozkoszą wracała do swojego domu nad Jeziorem Genewskim. Podeszła do okna i spojrzała na ogród, na taflę jeziora. Słońce ledwie wzeszło nad ośnieżonymi szczytami Alp, pierwsze promienie ozłacały powierzchnię wody. Wspaniały widok, który mogłaby chłonąć w nieskończoność, moment spokoju pośród zamętu życia. Z westchnieniem Oparła czoło o szybę, wspominając pożegnanie z Jackiem. Tulił ją długo do siebie, a potem powiedział cicho:

- Nie mogę uwierzyć, że wyjeżdżasz, księżniczko. Będzie mi ciebie strasznie brakowało. Wrócisz, prawda? - zapytał z niepokojem, oczekując potwierdzenia.

- Wrócę.

Tak bardzo go kochała. Pragnęła w tamtej chwili zarzucić mu ręce na szyję, zrobić coś, pocieszyć, scałować troskę i ból, które w ostatnich dniach naznaczyły jego twarz.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, tak bardzo chciałbym cię zatrzymać. Czuję... - Pokręcił głową. - Tyle się ostatnio wydarzyło, Indy. Mam wrażenie, że i tobie coś złego może się przydarzyć.

- Nie martw się, kochany. Cóż takiego może mi się przytrafić? Przecież wracam do domu.

- Nie wiem, po prostu najchętniej pojechałbym z tobą. - W głosie Jacka zabrzmiał niepokój.
- Proszę, Jack, nie mów tak, nic złego mi się nie stanie. Wszystko będzie dobrze. Ze mną, z nami.
- Nie zniósłbym, gdybym miał cię stracić, Indy. Ja... Chciała usłyszeć. Chciała, żeby wypowiedział głośno,
co czuje, żeby dokończył to zdanie dwoma krótkimi słowami, które i jej cisnęły się na usta. Ale to on powinien być pierwszy.
- Musimy porozmawiać, księżniczko. Nie teraz, nie tutaj, ale wkrótce. Wyjedziemy gdzieś na kilka dni tylko we dwoje, zgoda?
Ledwie to powiedział, pojawiła się Molly, z nią Rosa i Bart.
- Zgoda, Jack. A teraz obiecaj mi, że będziesz dbał
o siebie, dobrze?
- Zadzwonię do ciebie jutro.
India pochyliła się, uściskała i ucałowała małą, potarmosiła Barta za uszy, na koniec przypomniała Rosie, żeby podawała dziewczynce lekarstwo na alergię. Wciąż miała w oczach obraz złotowłosej Molly, która machała jej na pożegnanie, i wywijającego ogonem Barta. Pies wywalił jęzor, jakby i on czuł, że India wyjeżdża, i chciał się z nią pożegnać.
Zostawiła na Florydzie kawałek serca. Nawet pies
i kotka, dwa stworzenia, które znała zaledwie kilka dni, stały się jej bliskie.
Pomyślała o Dunbarze i posmutniała. Nie było sensu x dłużej zwlekać. Im szybciej załatwi tę sprawę, tym lepiej. Chociaż żal, bo tylko tam czuła się naprawdę sobą, była u siebie.
Chantemerle... Cóż, to tylko dom, taki jak inne. Rezy-

dencja, która zmienia właścicieli, przechodzi z rąk do rak. Chantemerle riie dawało poczucia kontynuacji, trwania. Bardzo je lubiła, ale nie czuła się z nim związana. To Dunbar był jej kolebką, rodzinnym gniazdem, jej historią.
Musi się z nim rozstać i nie ma na to żadnej rady. Nie może dłużej odkładać decyzji, choćby ze względu na dzierżawców,'służbę, no i Serenę. Im szybciej majątek zostanie sprzedany, tym lepiej. Po co przedłużać agonię? Dzięki Bogu za pieniądze zarobione w La Perli udało się jej spłacić pozostałe obciążenia hipoteczne Chantemerle. Przynajmniej tego zmartwienia się pozbyła. Otworzyła okno francuskie i wyszła do zalanego porannym, zimowym słońcem ogrodu, podniosła jakiś liść, przez chwilę obserwowała dwa majestatyczne łabędzie przy brzegu jeziora.
Z zamyślenia wyrwał ją dochodzący z głębi domu przytłumiony odgłos telefonu. Szybko wróciła do środka, ciekawa, kto też może dzwonić tak wcześnie. Jack? Na tę myśl serce zabiło jej szybciej. Podniosła słuchawkę.
- Tak?
Chwila ciszy, a potem kobiecy głos, którego w pierwszym momencie nie rozpoznała.
- Indio, to ty?
- Och, Serena. - Poczuła się podwójnie zawiedziona.
- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Próbowałam się z tobą skontaktować...
India słuchała siostry coraz bardziej zirytowana. Akurat na rozmowę z Sereną nie miała najmniejszej ochoty.
- Może później oddzwonię do ciebie? Dosłownie przed chwilą weszłam do domu - powiedziała zimno.
- Bardzo cię przepraszam, ale to zajmie tylko chwilę.
- Dobrze. - India z rezygnacją usiadła w fotelu.

Fiona Hood-Stewart
207
- Znalazł się kupiec na Dunbar - wyrzuciła Serena jednym tchem.
Szybko. Ledwie sama pomyślała, że trzeba zająć się sprzedażą, a już siostra dzwoni z wiadomością, że zabrała się do rzeczy.
- Kto?
- Prezes pewnej międzynarodowej firmy.
- A skąd ktoś taki mógł się dowiedzieć, że chcemy sprzedać majątek?
- No właśnie. Też mnie to zaskoczyło - przyznała Serena - ale pewnie usłyszał coś od kogoś. W końcu sporo osób wie, że musimy pozbyć się Dunbaru.
No tak, pomyślała India. Pewnie już pół Edynburga plotkuje na temat przyszłości majątku.
- Proponuje naprawdę dobrą kwotę. Chce tu mieszkać z rodziną, oczywiście nie przez cały rok, bo na stałe, o ile dobrze wiem, rezyduje w Londynie, ale część roku zamierza spędzać w Szkocji. Od dawna szuka zacisznego miejsca. To korzystna oferta - mówiła dalej Serena. -Zdajesz sobie sprawę, że nie mamy wyjścia, prawda? Podczas twojej nieobecności wiele się zmieniło. Kilku dzierżawców uciekło, kiedy zorientowali się, jaka jest nasza sytuacja finansowa. Musimy podjąć decyzję, nie mamy wyjścia.
Indii najróżniejsze myśli przelatywały przez głowę. Wszystko działo się tak szybko. Za szybko.
- Muszę się zastanowić, oswoić z nowiną. Zadzwonię do ciebie za kilka dni - powiedziała. - Tymczasem nikomu nic nie mów. Pamiętasz rady Ramseya? Rzecz należy załatwić dyskretnie.
- Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo, kochanie, bo doskonała oferta przejdzie nam koło nosa. Ten człowiek

zgadza się zapłacić tyle, na ile mama oceniała wartość Dunbaru. Zgodził się bez dyskusji. Nawet ten stary nudziarz Ramsey przyklasnął.
- Jak już powiedziałam, zadzwonię do ciebie za kilka dni.
Serena zamilkła na chwilę, jakby się wahała.
- Dobrze, będę czekała. A poza tym co u ciebie?
- Dziękuję, dobrze - odparła machinalnie, zaskoczona, że siostra okazała zainteresowanie jej osobą. - A u ciebie?
- Dziękuję. Ostatnio sporo o tobie myślałam. Brakowało mi twojej obecności. Teraz, kiedy mama odeszła, mamy już tylko siebie;
India była coraz bardziej zdumiona. Takiej Sereny nigdy jeszcze nie słyszała. Siostra z zasady nie miała dla niej dobrego słowa i nagle taki wybuch wylewności. Bo podobna deklaracja to już była w jej ustach prawdziwa wylewność.
- Powinnyśmy częściej się spotykać - ciągnęła Serena. - To na razie, będę już kończyła. Do usłyszenia za kilka dni.
- Do usłyszenia.
India odłożyła słuchawkę i pokręciła głową. Wciąż zdumiona przeszła do kuchni, otworzyła lodówkę, sprawdziła jej zawartość, wreszcie nalała sobie soku pomarańczowego, po czym usiadła przy barku, patrząc na wróble na tarasie. Przypomniała sobie, co kiedyś matka mówiła o Serenie: „W głębi duszy ona wcale nie jest zła, nosi tylko w sercu różne urazy, z którymi musi sobie poradzić i kiedyś sobie poradzi, wierzę w to". Czyżby śmierć matki w jakiś sposób wpłynęła na siostrę, zmieniła jej spojrzenie na świat, jej stosunek do ludzi, obudziła cieplejsze uczucia?

Fiona Hood-Stewart
209
India otworzyła drzwi na taras i rzuciła ptakom trochę chleba, który zawsze dla nich trzymała w papierowej torbie koło zlewu. Zanim wróble zdążyły zabrać się do uczty, pojawiła się nie wiedzieć kiedy tłusta wrona, wystraszyła maluchy i chwyciła w dziób największy kawałek chleba. Wróble próbowały jeszcze zdobyć dla siebie choćby okruszki, ale Gruba, jak ją India nazwała, nie dopuszczała ich, łażąc po tarasie z wypiętą piersią, wyraźnie bardzo zadowolona z siebie. Nawet w zwierzęcym świecie zdarzają się dranie, którzy żerują na tym, że ktoś jest słabszy, pomyślała India, dopijając sok, po czym spłoszyła wronę, by wróble w końcu dobrały się do swojego jedzenia. Wszędzie ta sama walka o przeżycie.
Pomyślała znowu o Serenie. Jeśli siostra naprawdę chce poprawy stosunków, ona ze swej strony uczyni wszystko, by tak się stało, choćby przez wzgląd na pamięć matki, jeśli nie dla innych powodów. Lady Elspeth zawsze bolała, że jej dziewczynki nie potrafią się porozumieć. India świetnie zdawała sobie z tego sprawę i była gotowa zapomnieć o nieprzyjemnych zdarzeniach, przykrościach, nieporozumieniach. Najpierw musi jednak porozmawiać z Ramseyem i dowiedzieć się czegoś więcej o ofercie, upewnić się, czy rzeczywiście jest tak korzystna, jak to opisywała Serena.
Z bagażami ruszyła do sypialni, zatrzymując się w małym saloniku na piętrze. Wyobraziła sobie Jacka, jak leży na kanapie przed kominkiem, i uśmiechnęła się. Ciekawe, co by powiedział o urządzeniu jej domu?
W sypialni rzuciła walizkę na łóżko, otworzyła ją i wyjęła oprawione w ramkę zdjęcie Jacka z Molly, które zrobiła w dzień meczu baseballowego. Rozejrzała się, gdzie by je postawić, i ostatecznie uznała, że najlepiej na osiemnasto-

wiecznej, baurenowskiej komodzie, którą kiedyś kupiła w Monachium. Leżąc w łóżku, będzie je widziała.
W sypialni było więcej zdjęć: Dolores, Gabby, a także Indii. Były ustawione na stoliku pełnym pism wnętrzar-skich i na półce z książkami.
Zerknęła na zegarek. Za wcześnie, żeby dzwonić do Miami, o tej porze Jack i Molly śpią w najlepsze. Ponownie się uśmiechnęła na myśl o, złotowłosej Molly zwiniętej w swoim białym łóżeczku i Jacku wyciągniętym na czymś ogromnym jak tratwa, co nazywał łóżkiem.
Jeśli się pospieszy, zdąży wyjść na krótki spacer, zanim pojawi się Michelle, jej "sekretarka, oraz Philippe, architekt wnętrz. Przebrała się w dres i kurtkę, nałożyła adidasy i przez ogród dotarła do wąskiej ścieżki nad jeziorem. Szła szybko, mijając kolejne wille. Wiele z nich stało zamkniętych na głucho, miały ożyć dopiero wiosną, gdy wrócą ich właściciele.
Ranek był zimny, rześki, powietrze orzeźwiające, woda idealnie gładka. India cały czas miała przed oczami twarz Jacka. Tak strasznie tęskniła za jego obecnością, za jego dotknięciem. Jak tyle lat mogła żyć bez niego? Jak by to było wspaniale, znaleźć go po powrocie do domu w swoim łóżku...
Dość,typh marzeń, powiedziała sobie stanowczo. Powinna wziąć się do roboty, zająć firmą, sprawami, które należy załatwić.
Przede wszystkim musiała sprawdzić, jak przedstawia się oferta dotycząca Dunbaru.
Rzuciła kamyk do wody i zawróciła do domu, gdzie wspięła się po wąskich schodach do swojego studia na ogromnym poddaszu i z uznaniem obejrzała rysunki Philippe^. Były to projekty wystroju salonu pewnej willi

w Gstaad. Potem usiadła za wielkim biurkiem, zastanawiając się, od czego zacząć. Piętrzyła się przed nią ogromna sterta poczty z pięciu tygodni. To wydawało się najpilniejsze.
Kiedy już uporała się z dużą częścią korespondencji, wystukała numer do Johna Ramseya, przeglądając przy tym jakieś zaproszenia.
- Dzień dobry, India Moncrieff, mogę mówić z panem Ramseyem? - Dwa zaproszenia powędrowały do kosza, w tym czasie sekretarka notariusza połączyła ją z szefem.
- Panna India. Jak miło panią słyszeć.
- Dzień dobry, panie Ramsey. Dziękuję za faks.
- Miała pani udany wyjazd?
- Owszem, bardzo - odparła i dodała już zupełnie innym, chmurnym tonem: - A więc nie ma wyjścia, musimy sprzedać Dunbar, prawda?
- Obawiam się, że tak.
India niemal widziała, jak notariusz kręci głową.
- Trudno. Słyszałam od Sereny, że podobno jest już chętny. Prezes jakiejś dużej międzynarodowej firmy. Mówiła panu, prawda?
- Tak, oczywiście. Cóż, to najlepsze rozwiązanie, na jakie w tej sytuacji możemy liczyć. Naprawdę świetna oferta, bardzo korzystna. Przykro coś takiego mówić, ale doradzam paniom, żebyście ją przyjęły. Prawnicy kontrahenta mają się ze mną skontaktować. Reprezentuje go kancelaria... Zaraz, niech sprawdzę.
- To nie ma znaczenia - powiedziała szybko. Jeśli ma sprzedać Dunbar, to sprzeda, ale nie chciała zbytnio wchodzić w szczegóły. - Ufam w pana kompetencje i pańską skuteczność. Na pewno przeprowadzi pan trans-

akcję doskonale. Serena mówiła mi, że kupiec chce zapłacić pełną wartość majątku. To zaskakujące. Kto to jest? - O ile nazwa kancelarii nie była jej do niczego potrzebna, to tego akurat była ciekawa.
- Nie znam jego nazwiska, panno Indio. - Głos Ram-seya zabrzmiał niemal przepraszająco. - Wie pani, jacy są wielcy potentaci, lubią załatwiać wszystko przez pośredników, wolą się nie afiszować. Wybierają jakąś małą zagraniczną firmę, przez którą załatwiają transakcję, w ten sposób obchodząc podatki. Teraz też tak pewnie będzie. Nazwisko prawdziwego nabywcy poznamy w ostatniej chwili, jeśli w ogóle.
Z rozmowy z Sereną India odniosła wrażenie, że siostra poznała tajemniczego kupca.
- Nie chciał obejrzeć domu, posiadłości?
- Przysłał swojego przedstawiciela.
- Niezwykłe. Kupuje tak ogromny majątek, lecz nie zamierza obejrzeć go osobiście? A zresztą, to już jego sprawa, nie nasza. - Pożegnała się i odłożyła słuchawkę.
Może to przeznaczenie, że Dunbar tak szybko przejdzie w obce ręce? Może tak miało być? Cóż, trzeba się z tym pogodzić i żyć dalej, nie poddawać się nostalgii. Odchyliła się na krześle i zerknęła na zegarek. Za kwadrans dziesiąta. Później spróbuje zadzwonić do Chloe, o ile uda się jej złapać przyjaciółkę. Praca nosiła Chloe po całym świecie, od Nowego Jorku po Sydney. Tak, do Chloe zadzwoni później, a teraz... do Jacka. Trudno, najwyżej obudzi go ze snu. Nie mogła się powstrzymać. Kiedy usłyszała jego ciężko zaspany głos, zapomniała o wszystkich problemach. O Serenie, o sprzedaży Dunbaru. Miała Jacka, to było najważniejsze.

Fiona Hood-Stewart
213
Po południu Jack wystukał numer Indii. O tej porze pewnie przygotowywała się już do snu. Wyobraził sobie ją w nocnym stroju. Nigdy nie widział jej w koszuli nocnej, co wydało mu się zabawne. Czuł jeszcze jej nagie ciało, cudowną, jedwabistą skórę. India leży w jego ramionach...
- Słucham?
- Co u ciebie słychać? Ocknął się raptownie z rozmarzenia.
- Od naszej ostatniej rozmowy niewiele się zmieniło - powiedziała ze śmiechem. - Aż boję się pomyśleć, jak będą wyglądały nasze rachunki telefoniczne.
- To już problem Astry, nie nasz. Muszę być przecież w stałym kontakcie z projektantką, która pracuje nad urządzeniem mojego największego hotelu. Największy hotel, najpoważniejsze przedsięwzięcie... Osobiste konsultacje są rzeczą absolutnie konieczną.
- To coś nowego... osobiste konsultacje na odległość.
- Wystarczy wsiąść do samolotu. Dobry miałaś dzień, księżniczko? - zapytał i okręcił się w fotelu. Za oknami biura rozciągał się widok na Atlantyk, ale Jack miał przed oczami Indię.
- Nie najgorszy. Nadrobiłam trochę zaległości...
- Na pewno nic się nie stało? - zaniepokoił się, usłyszawszy wahanie w jej głosie.
- Nie. Choć prawdę powiedziawszy, musiałam się zmierzyć z dość trudną kwestią. Ale nieważne* na razie nie chcę o tym mówić ani myśleć. Powiem ci kiedy indziej.
- Jeśli uważasz, to zgoda, ale wiesz, że w każdej chwili możesz na mnie liczyć.
Nie chciał nalegać, nie chciał jej do niczego zmuszać, wiedział bowiem doskonale, że to nic nie da. Sama mu

się zwierzy, kiedy uzna, że jest to jej potrzebne, a wtedy coś spróbuje jej doradzić.
- Nie chcę cię zanudzać swoimi problemami, Jack. Lepiej powiedz mi, jak tobie minął dzień.
- Nigdy mnie nie zanudzasz - zapewnił, po czym opowiedział, jak Molly wybierała się do szkoły i jak go przy okazji rozbawiła, potem zrelacjonował rozmowę z Eduardem dotyczącą Palacio de Gres. Tak bardzo pragnął, żeby była blisko, a nie tysiące kilometrów nad jeziorem w Szwajcarii. Chciał ją czuć przy sobie, dotykać, cieszyć się nią. Zatrważające, |ak szybko stała się częścią jego życia. Kiedy odleciała, poczuł taką pustkę jak nigdy dotąd. I już zawsze tak miało być, przy każdej rozłące, choćby najkrótszej. Nie wiedział, czy kiedykolwiek zdoła odpłacić jej za to, jak wiele dla niego znaczyła, zapełniła pustkę w jego duszy. Czy zdoła jej uzmysłowić, jak bardzo jest dla niego ważna?
Jak dobrze, że niedługo będzie mógł ofiarować jej niespodziankę, którą dla niej przygotował. Już kilka razy był bliski wyjawienia, co to takiego, ale zawsze zdążył ugryźć się w język. Niespodzianka to niespodzianka, zdradza się ją w ostatniej chwili. Warto było jeszcze trochę poczekać, żeby zobaczyć to pełne szczęścia niedowierzanie, rozświetlone radością oczy.
Minęło pięć dni, kiedy o szóstej rano obudził Indię wdzierający się w uszy, uporczywy dzwonek telefonu. Nieprzytomna podniosła słuchawkę.
- Cześć, śpiochu. To ja.
- Rany boskie, Chloe. Która godzina?
- Około szóstej. Zgadnij, gdzie jestem?
- Skoro dzwonisz o tej porze, pewnie na drugim koń-

cu świata - powiedziała India i ziewnęła szeroko, po czym się uśmiechnęła.
- Nie zgadłaś. Wstań i nastaw ekspres do kawy. Jestem na lotnisku w Genewie i jadę do ciebie. Cześć.
Rozłączyła się. India przeciągnęła się i ze śmiechem wyskoczyła z łóżka. Powinna była się tego spodziewać. Nawykła już do nieoczekiwanych wizyt przyjaciółki.
Trzy kwadranse później, gdy ekspres już pyrkotał, usłyszała podjeżdżający samochód i w chwilę później Chloe rzuciła bagaże w holu, uściskała Indię i ruszyła do kuchni.
- O Boże, tak się cieszę, że tu jestem. Uwielbiam przyjeżdżać do ciebie.
- Ja też się cieszę, że jesteś. - India nalała kawy. -Mam ci tyle do opowiedzenia.
Chloe zamknęła oczy.
- Jaki cudowny zapach. A, nie powiedziałam ci, wracam właśnie z Bangkoku. Jak Jack?
- Pewnie już poszedł spać. W Miami o tej porze właśnie wybiła pierwsza, kochanie.
- Wiesz, o co pytam, nie rżnij głupa. Było wspaniale? Jesteś zakochana na zabój? Nie mówiłam, że jest fantastyczny?
- Odpowiem hurtem: tak - zaśmiała się India. Chloe nagle ziewnęła.
- Jestem wykończona. Pogniewasz się, jeżeli walnę się do łóżka, a pogadamy potem?
- Ani trochę. Przygotowałam ci pokój obok mojego. Zaniesiemy bagaże na górę i możesz spać, ile chcesz.
Po chwili Chloe już smacznie spała zwinięta w kłębek. Typowe dla niej, pomyślała India, przyglądając się przyjaciółce z ciepłym uśmiechem. Chloe, ten wolny

ptak, wiecznie w drodze, była zawsze blisko, kiedy czuła, że India może jej potrzebować.
Okryła przyjaciółkę miękkim, wełnianym kocem, zaciągnęła zasłony i po cichu wyszła z pokoju.
Kilka godzin później Michelle położyła na jej biurku przesyłkę ekspresową. India doskonale wiedziała, co zawiera. Papiery ze Szkocji. Niechętnie sięgnęła po przecinacz do papieru, zamknęła dłoń na rączce z masy perłowej i z ciężkim westchnieniem otworzyła kopertę. Kiedy podpisze dokumenty, klamka zapadnie, nie będzie już odwrotu.
Wyciągnęła gruby plik, położyła go przed sobą, przerzuciła kartki, nie przywiązując wielkiej wagi do szczegółów umowy, i odłożyła papiery, po czym chwyciła je znowu i uważnie zaczęła wpatrywać się w pierwszy punkt dotyczący kupującego. Firma Tenn Holdings z Curaęao. Zmarszczyła czoło. Kiedyś już zetknęła się z tą nazwą, ale zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.
Przez chwilę siedziała pogrążona w zadumie, bębniąc palcami o blat biurka, aż przerwała jej Michelle, która chciała z nią omówić kilka bieżących spraw. Na razie zapomniała o Tenn Holdings.
W godzinę później, kiedy miała zejść na pierwsze piętro, żeby zajrzeć do Chloe, zatrzymała się gwałtownie, jakby w nią piorun strzelił. Trwała bez ruchu dobrą chwilę, zdjęta strasznym podejrzeniem, wreszcie podeszła do segregatora i otworzyła odpowiednią szufladę. Musiała się upewnić. Trochę szperania i wyciągnęła plastikową teczkę z napisem „Argentyna", wydobyła swój kontrakt na prace w Palacio de Gres i zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wpatrywała się zdumiona w wybite tłustym drukiem litery u góry obu umów: tej ze Szkocji i tej z Argentyny, brała je do ręki. Jeszcze nie wierzyła, ale nie, nie było żadnych wątpliwości. W obu to samo: Tenn Holdings. Teraz sobie przypominała, że rozbawiła ją ta nazwa, kiedy podpisywała kontrakt.

- Dlaczego Tenn? - zapytała Jacka.

- Skrót od Tennessee - mruknął niechętnie. - Uciekłem z firmą ze Stanów, wszyscy tak robią , to chociaż nazwę zostawiłem.

Nie, to zwykła zbieżność nazw, przypadek. To muszą być dwie różne firmy. Takie rzeczy przecież się zdarzają, powtarzała sobie.

- Popatrz, Chloe, jaki dziwny zbieg okoliczności.

- Tak? O co chodzi? - Chloe, która niedawno się obudziła, leżała na kozetce i przerzucała „Hello".

- Firma, która kupuje Dunbar, nazywa się tak samo jak firma Jacka. Nawet obie ulokowane są w Curaęao. - Zaśmiała się nerwowo.

- Słyszałaś, że Fergie ma swój talk show? Wygląda

*** Jack przeniósł Tenn Holdings do Curaęao ze względu na niskie podatki. Jest to rozpowszechniona praktyka w obrocie handlowym i bankowym (przyp. tłum.).**

teraz super. Niedawno spotkałam ją w Nowym Jorku. Całkiem niezła dziewczyna.
- Chloe, skup się na chwilę, to ważne.
- Przepraszam. - Chloe odłożyła magazyn. - Więc co się dzieje? Wyglądasz jak upiór. Jesteś dosłownie szara na twarzy. - Otworzyła usta szeroko. - O Jezu! Nie myślisz chyba, że Jack... ? - Pytanie zawisło w powietrzu. - Nie - pokręciła stanowczo głową. - Daj spokój, Indy. Jack taki nie jest. To najuczciwszy człowiek pod słońcem. Peter dałby sobie za niego rękę uciąć.
- Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że w tym samym miejscu nie mogą działać'dwie firmy o tej samej nazwie. To prawo działa wszędzie, nawet na najbardziej egzotycznych wysepkach, tych różnych rajach podatkowych... Inaczej dochodziłoby do kłopotliwych nieporozumień.
- Poczekaj, nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Uspokój się, zadzwoń do Jacka i wszystko wyjaśnij.
Ale India jakby jej nie słyszała. Miała przed oczami obraz Jacka i Sereny w bibliotece. A ta rozmowa, zaraz po powrocie do Szwajcarii? Nagła serdeczność Sereny. To jakaś farsa. Nie mogła się połapać, o co w tym wszystkim chodzi. Skoro Jack cały czas nosił się z zamiarem kupienia Dunbaru, dlaczego jej o tym nie powiedział, tylko po cichu układał się z siostrą? Czyżby oboje przypuszczali, że nie będzie chciała sprzedać majątku, tylko go ratować? Dlatego ten spisek? Serena, Wolfie... Co knuli? Krótki, niedokończony liścik od matki, który znalazła w jej sypialni, ostatnia z nią rozmowa telefoniczna przed śmiercią, lęk przed podsłuchiwaniem, i ta prośba, żeby córka koniecznie przyjechała do Dunbaru. India nie wiedziała, co się wokół niej dzieje, nikomu już nie mog-

ła ufać. W głowie się jej kręciło, ledwie podniosła się z fotela.
- Chloe, chodź ze mną na górę - poprosiła słabo. -Musimy to wyjaśnić.
Wyjaśnianie sprawy zajęło Michelle raptem pół godziny. W końcu odłożyła słuchawkę i spojrzała na Indię. Nie musiała nic mówić. Tak, w obu przypadkach chodziło o tę samą firmę. Firmę Jacka. Po następnej półgodzinie przyszły pierwsze faksy potwierdzające.
Chloe zaczęła nerwowo chodzić po studiu.
- Nadal nie mogę uwierzyć - burzyła się. - Jack taki nie jest. To jakieś koszmarne nieporozumienie, koszmarne nieporozumienie!
- Poproszę moją przyjaciółkę w banku, żeby swoimi kanałami sprawdziła, co i jak. Takie dyskretne prywatne śledztwo - zaofiarowała się Michelle, poważnie zaniepokojona stanem szefowej. Takiej jeszcze nigdy jej nie widziała.
- To sukinsyn - wykrztusiła India. Pierwszy wstrząs minął, teraz narastał ból, żal i wściekłość. - Musiał podjąć decyzję o kupieniu majątku już wtedy, kiedy pokazałam mu dom, a ja, idiotka, niczego się nie domyślałam. - Zaśmiała się głucho. - Dogadał się z Sereną, kiedy odwoziła go do Dalkirku - monologowała India na wpół do siebie. - Przecież powiedziałam mu jasno i wyraźnie, że nie wyobrażam sobie, by ktoś przerobił Dunbar na hotel. Trzeba powiedzieć, że potrafi szybko działać. Zobaczył Serenę i zwietrzył okazję. Ślepa imbecyłka. Nic nie wyczułam. Żadnej intuicji, zero mózgu.
- Zerknęła na Chloe. -1 pomyśleć, że z nim pracowałam, kochałam się, przejmowałam się jego cholernymi problemami, pocieszałam w nieszczęściu... - Ukryła twarz w dłoniach.

- Za to wszystko zostałam oszukana, już drugi raz. Dwa razy zaufałam mężczyznom, i ot...
Westchnęła ciężko i podniosła wzrok na Chloe.
- Nie. On musiał cię pragnąć, jestem tego pewna. Wszystko, co zdarzyło się między wami, to nie mogła być gra, podstęp, udawanie - przekonywała Chloe tyleż siebie, co załamaną przyjaciółkę. - Jestem pewna, że to robota Sereny. To ona uknuła spisek i w jakiś sposób zwiodła Jacka.
India zaśmiała się gorzko.
- Serena jest na coś takiego,-za głupia. Potrafi być okrutna, nawet na swój sposób wyrachowana, ale ma kurzy móżdżek. Nie - pokręciła głową - plan ułożył Jack Buchanan.
Zmięła gniewnym gestem faks w kulę i cisnęła o ścianę. Zaufała mu, wpuściła go do swojego świata. Jak widać, małżeństwo z Christianem niczego jej nie nauczyło. Kłamstwo, cały łańcuch kłamstw. Do diabła z Jackiem Buchananem. Przejrzała w końcu na oczy. Może wreszcie obudzi się w niej instynkt samozachowawczy? Potrafi zemścić się na tym cynicznym łajdaku. Jeszcze pożałuje, że się w ogóle urodził. Pora zacząć działać. Teraz jej kolej.
Energicznie wstała zza biurka i podniosła z podłogi zmięty faks.
- Muszę napisać kilka listów, a potem przejdę do planu B.
- Nie podoba mi się ta zajadłość w twoim głosie, Indy - powiedziała Chloe i spojrzała na Michelle, która szybko wyszła, zostawiając przyjaciółki same.
India nawet nie zauważyła wyjścia sekretarki, tylko wyciągnęła kartkę papieru i zaczęła przygotowywać brudnopis listu do Johna Ramseya. Nad jeziorem gro-

madziły się ciężkie, burzowe chmury, dobrze korespondujące z jej nastrojem. Po chwili list był gotowy. Poprawiła jeszcze kilka błędów, przepisała na komputerze, wydrukowała i wsunęła do faksu. Następnym krokiem był telefon do Hernana Carvajala, do Buenos Aires, potem do Gabby. Działała metodycznie, z zimną furią. Nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo skrzywdzona. Odejście Christiana było niczym w porównaniu z tym, co spotkało ją teraz. Tylko że tym razem nie będzie spokojnie przyjmowała ciosów. Chciała, żeby Jack też poczuł, co to znaczy zostać głęboko zranionym, a ona będzie patrzyła, jak zwija się z bólu.

Trzy dni później poprosiła, by Michelle do niego zadzwoniła. India przysłuchiwała się rozmowie, wyobrażając sobie z mściwym uśmiechem, jak musi być zaskoczony, gdy usłyszy, że go zdradziła. A może wcale nie. Może będzie tylko wściekły, że tak starannie przygotowany interes jednak nie wypalił.

- I co powiedział? - zapytała, kiedy sekretarka skończyła rozmowę.
- Że to niemożliwe. Że Hernan jest w Buenos Aires, a ty nic nie wspominałaś o żadnym wyjeździe na narty.
- Ha, ha. Hernan siedzi w Zermatt, na deskach, o czym Buchanan nic nie wie.

Michelle tylko pokiwała głową z niejakim powątpiewaniem.

- Nie wiem, czy to był dobry pomysł mówić mu o Carvajalu - wtrąciła Chloe. - Możesz żałować, kiedy okaże się, że to wszystko jakaś okropna pomyłka, a całą winę ponosi Serena. Powinnaś porozmawiać z Jackiem, dać biedakowi szansę.

- Żadnych szans dla tego gangstera. - India zacięła się na dobre. - Nie martw się, nie będę żałować - mruknęła. - Dziękuję, Michelle, byłaś znakomita. Jestem pewna, że uwierzył w każde słowo. Dobrze, byłam dla niego zabawką, ale teraz to ja się bawię.
- Był naprawdę wściekły. - Michelle wzruszyła ramionami i wróciła do komputera. - Nie chcesz z nim rozmawiać, trudno, ale mogłabyś przynajmniej wybadać Serenę, sprawdzić, czy ma coś do powiedzenia.
Dwa dni później zdarzyła-się ku temu okazja, kiedy zapaliło się czerwone światełko w aparacie na biurku Indii.
- To Serena - szepnęła Michelle. - Porozmawiasz z nią?
- Mówiłam ci już, żadnych telefonów od niej.
- Naprawdę powinnaś ją wybadać, co wie w tej sprawie - nalegała Michelle. - Nie bój się... *Allez, courage!*
India, która już chciała wychodzić, opadła na fotel.
- Dobrze, odbiorę. Przepraszam, że **Się** na ciebie wściekam.
- *Pas de probleme.* Przełączę ją.
- India, nareszcie - odetchnęła Serena z ulgą. - To okropne, naprawdę okropne - oznajmiła dramatycznym tonem.
- Z tego wnoszę, że Ramsey już ci wszystko powiedział. Tak, to prawda. Ani myślę sprzedawać Dunbar Jackowi Buchananowi.
India położyła nogi na blacie biurka, jak to Jack miał w zwyczaju. Ciekawe, jak Serena wybrnie z kłopotu, pomyślała z satysfakcją.
- Tak mi przykro, Indio... Przyznaję, to moja wina.

Nie powinnam była zaczynać z nim negocjacji. Postawiłam się w idiotycznej sytuacji.
- Sama tego chciałaś. Okłamałaś mnie w ostatniej rozmowie. Wymyśliłaś historyjkę o kupcu z Londynu, żebym tylko zgodziła się sprzedać Dunbar, tymczasem dawno ustaliliście z Buchananem, że majątek pójdzie w jego ręce. Bardzo zgrabnie zaplanowane, choć nie do końca. Wiedziałaś, że nie chcę pozbywać się Dunbaru, więc opowiedziałaś mi o znakomitej ofercie, bym uległa twojej presji. Uległam, ale ty w dalszym ciągu kłamałaś. Nie przyznałaś się, kto jest kupcem, bo bałaś się, że wasza intryga się wyda.
- Nie, to nie tak. Nie rozumiesz, Indio - desperowała Serena.
- Och, nie doceniasz mnie - syknęła. - Rozumiem, i to bardzo dobrze. Nie chciałam sprzedawać Dunbaru, a jeśli już, to prywatnej osobie, ale na pewno nie wielkiej korporacji hotelowej. Nie wyobrażam sobie, żeby nasz dom stał się atrakcją turystyczną, jakąś idiotyczną makietą z Disneylandu. Powiedziałam to Buchananowi na samym wstępie, więc postanowiliście załatwić wszystko za moimi plecami. Gdybym podpisała kontrakt z inną firmą, a nie z Tenn Holdings, sprawa by się nie wydała. Na szczęście mam zwyczaj dokładnie czytać swoje kontrakty. A na marginesie, czyj to był pomysł, twój czy jego?
- Wiem, że to wszystko wygląda strasznie - jęknęła Serena - ale zrobiłam to z desperacji. Jestem bez grosza. Naprawdę nie chciałam cię zranić. Wiesz, że tak czy inaczej musimy pozbyć się Dunbaru, tylko nie chcesz tego dostrzec. Jack mi przyrzekał, że nie przerobi go na hotel. Majątek chciał kupić dla swojego brata, nie miałam powodu mu nie wierzyć. Powiedział, że zobaczy się z to-

bą w Buenos Aires, obiecał, że sam wszystko ci powie, że przekona cię do sprzedaży. Mam nikomu nic nie mówić i czekać. Och, Boże, wszystko tak strasznie się zagmatwało.
- Stało się, ale nie rozpaczaj za bardzo, droga siostrzyczko. Już moja w tym głowa, żeby to odgmatwać.
- Indio, drugiej takiej oferty już nie dostaniemy.
- Mówił ci, że chce kupić dom dla brata?
- Tak. Jego brat marzył o takim domu, chciał w nim zamieszkać i prowadzić mały, cichy pensjonat. Jack uznał, że Dunbar jest do tego celu wprost idealny. Prosił, żebym milczała, i zapewniał, ze zrozumiesz.
- A więc jednak zamierzał zamienić Dunbar w hotel. Wiedziałaś, i dlatego milczałaś. Wiedziałaś, że nigdy na to się nie zgodzę. Nie oczekujesz chyba, że uwierzę w to, co mi opowiadasz. Na Boga, przecież Chad nie żyje, a Jack nadał chce kupić posiadłość!
- Indio, przysięgam, była mowa o domu dla brata. Pensjonat miał być tylko dodatkiem. Myślę, że kiedyś przekaże Dunbar bratanicy... Uwierz mi, to co mówił Buchanan, brzmiało bardzo przekonująco.
O tak, Jack Buchanan potrafił być bardzo przekonujący. Przynajmniej to jedno było prawdą...
- Cóż, siostrzyczko, szpetnie się zaplątałaś. Ty i Jack. Prowadziliście negocjacje za plecami współwłaścicielki. Handlowaliście czymś, czego ani ty nie miałaś prawa sprzedawać, ani on kupować. Bardzo interesujące.
- Boże, Indio... - Serena była naprawdę przerażona. - Kiedy Jack dał mi do podpisania umowę przedwstępną, powiedziałam mu, że ty też musisz podpisać, ale on stwierdził, że to czysta formalność, że na razie wystarczy tylko jeden podpis. Więc podpisałam. Bardzo mi zależało

na tej sprzedaży. Jestem w zupełnie innej sytuacji niż ty. Poza moją częścią posiadłości i zabagnionym funduszem powierniczym Hamiltona nie mam nic. - Serena zaczęła płakać w słuchawkę. - Buchanan już o wszystkim wie. Wpadł we wściekłość, groził, że sądownie będzie dochodził swoich praw, nie zrezygnuje z kupna. Uważam, że powinnyśmy mu sprzedać i skończyć tę sprawę - szlochała.
- Och, jestem pewna, że wpadł we wściekłość. No to spotkamy się w sądzie. Ciekawe, jak wytłumaczy fakt, że negocjował tylko z tobą, a o mnie" co, zapomniał?
India nie wiedziała już, w co ma wierzyć. Czyżby Serena była aż tak głupia? A może niezwykle przebiegła? Nie mając xlo tego prawa, sama podpisała umowę przedwstępną... by wywrzeć presję na siostrę, stworzyć fakty dokonane. Taki psychologiczny chwyt. Dlaczego jednak Jack, wytrawny biznesmen, zgodził się na taką formę załatwienia sprawy, a teraz nie chce się wycofać? Nic już nie rozumiała.
- Masz tę umowę?
- Tak, oczywiście. - Nastąpiło kolejne głośne chlipnięcie.
- Natychmiast mi ją przefaksuj.
- To nic nie da. Jack powiedział Ramseyowi, że nie zrezygnuje z Dunbaru.
- Do diabła, nie obchodzi mnie, co on mówi. Po prostu prześlij mi umowę. Sama porozmawiam z Ramseyem. Jezu, ale namotałaś, Sereno. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona z własnego dzieła.
- Przepraszam - wykrztusiła Serena. - Źle postąpiłam, ale byłam pewna, że nie zrozumiesz, jeśli zacznę ci opowiadać o swoich kłopotach.

- Mogę przelać trochę pieniędzy na twoje konto, skoro nie masz z czego żyć. Zadzwonię do Ramseya i dowiem się, jak rzecz wygląda z jego punktu widzenia, potem oddzwonię do ciebie.
- Dobrze. Naprawdę bardzo przepraszam, Indio. Nie sądziłam, że to tak wyjdzie. Nie chciałam.
- Później o tym porozmawiamy. Przefaksuj mi dokument.

Serena odłożyła słuchawkę i wsparła brodę na łokciach.
- Ona się uparła, że nie sprzeda Buchananowi. Jesteśmy ugotowani.
- Może wcale nie jesteśmy - uspokoił ją Wolfie. -Może zmieni zdanie.
- Bez niej wszystko byłoby takie proste...
- Otóż właśnie. Trafiłaś w sedno. Bardzo słuszna uwaga - przytaknął Wolfie.

Serena spojrzała na niego uważnie.
- Niezupełnie. Spieprzyliśmy sprawę i teraz będzie podwójnie ostrożna. O Boże, co my zrobimy, jeśli nie dojdzie do sprzedaży? Co zrobić z Indią?
- Coś się wymyśli. Przyjdzie czas, to o tym porozmawiamy.

Wolfie bez wątpienia posiadł sekret cierpliwości, sekret zupełnie obcy Serenie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wiele razy usiłował się z nią skontaktować. Bez skutku. Wreszcie zadzwoniła jej sekretarka.

To niemożliwe, żeby go zdradziła. Po tym wszystkim, co zdarzyło się między nimi? I to akurat z Hernanem? Nie mieściło mu się to w głowie".

Jack wstał i przez chwilę wpatrywał się w fotografię Molly i Indii. Miał w głowie absolutny chaos. Tu musi chodzić o coś innego.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł Quince ze stropioną miną.

- Nic z tego nie rozumiem, Jack - powiedział, wskazując na trzymany w dłoni faks.

- Czego nie rozumiesz? - Jack wrócił za biurko i usiadł w fotelu.

- Dostałem przed chwilą ze Szkocji list od Ramseya, prawnika reprezentującego interesy Dunbaru. Pisze, że wycofują się z transakcji.

- Co takiego? - Jack pochylił się do przodu gwałtownie.

- To jakieś wariactwo. Posłuchaj: „Z wagi na pewne nieprzewidziane okoliczności jedna ze stron nie wyraża zgody na sprzedaż". Jaka ‚jedna ze stron"? Ile jest tych stron? Mówiłeś przecież, że lady Serena jest jedyną właścicielką majątku, prawda?

- Pokaż mi to. - Jack sięgnął po faks i zaczął go uważnie czytać, słowo po słowie. To, co z nich wynikało, napełniło go czystą zgrozą. Dłoń z faksem opadła ciężko na biurko.
- Łącz się z Ramseyem. Jest wcześnie, powinien być jeszcze w biurze. - Głos miał spokojny, ale serce biło mu gwałtownie. - Zapytaj go, kto tak naprawdę jest właścicielem Dunbaru i dlaczego wycofują się ze sprzedaży. Powiedz, że mam umowę przedwstępną podpisaną przez lady Serenę.
- Dobrze. - Quince ruszył ku drzwiom.
- Dzwoń stąd.
Quince spojrzał uważnie na Jacka.
- Dobrze się czujesz?
- Dobrze. Musimy wyjaśnić tę sprawę. - Głos miał spokojny, ale w głowie rodziły się straszne podejrzenia.
Czyżby Serena go okłamała? Czyżby India była współwłaścicielką Dunbaru? Nie, to niemożliwe, przecież prawie nie wspominała o posiadłości, najwyraźniej był to dla niej zbyt bolesny temat. Matka musiała zapisać posiadłość Serenie, a ją pominęła.
Poczuł zimny dreszcz. Przetarł oczy. To jakiś ponury koszmar. Zaraz się obudzi i rzeczywistość odzyska swój porządek. Wyjął cygaro. Musi się opanować i przytomnie śledzić rozmowę Quince'a.
- Nie rozumiemy, dlaczego się wycofujecie - mówił przyjaciel. - Jak pan wie, mamy pisemne zobowiązanie strony sprzedającej.
Jack długo zapałał cygaro, nerwy miał napięte do ostateczności.
- Jak to dwóch właścicieli? Lady Serena zapewniła nas, że posiadłość w całości należy do niej.

Kolejna chwila milczenia, Quince nerwowo przełożył słuchawkę z ręki do ręki.
- A więc obie siostry odziedziczyły prawa do posiadłości w równych częściach?
Jack zamknął oczy. Głos Quince'a docierał do niego gdzieś z bardzo daleka.
- Nic o tym nie wiedzieliśmy - mówił przyjaciel. -Otrzymaliśmy inne zapewnienia. Mój klient został wprowadzony w błąd. Lady Serena podpisała zobowiązanie, w którym stwierdza... Co to znaczy, że pan też był zaskoczony? Rozumiem. Oddzwonię do pana, jak tylko omówię sprawę z moim klientem. Poczynił już pewne kroki na podstawie zapewnień lady Sereny.
Kiedy Quince odwiesił słuchawkę, Jack nie zadał żadnego pytania, tylko zacisnął pięść na oparciu fotela i czekał.
- Mamy problem. Wygląda na to, że Serena wszystkich wprowadziła w błąd. Powiedziała ci, że jest jedyną właścicielką, prawda? Tymczasem okazuje się, że jej siostra dziedziczy połowę posiadłości.
Ramsey był bardzo zdenerwowany. Serena zapewniała go, że India zgadza się na sprzedaż, że prosiła Serenę, by w imieniu ich obu załatwiał formalności, gdy sama przebywała w Argentynie. Kiedy dostał ode mnie papiery, sporządził umowę na obie siostry.
Jack milczał. Teraz rozumiał wszystko. Oczywiście India dowiedziała się, że to on ma kupić Dunbar i że przez cały czas to przed nią ukrywał. Gorzej, był w zmowie z Sereną. Ale przecież na tyle zdążyła go poznać, by wiedzieć, że czegoś takiego nigdy by nie zrobił. To prawda, nic jej nie powiedział, ale przecież miał najlepsze intencje.
- Co jeszcze mówił Ramsey? - zapytał głuchym głosem.

- Coś bardzo dziwnego. - Quince pokręcił głową. -Otóż India zgodziła się na sprzedaż, ale w momencie kiedy otrzymała umowę do podpisania, nagle się wycofała. Stwierdziła przy tym, że w ogóle nie zamierza sprzedawać posiadłości. Wariactwo, Jack. O co w tym wszystkim chodzi? Nie wiedziała, że to ty chcesz kupić Dunbar? Chryste, tyle czasu spędziliście razem, więc musieliście o tym rozmawiać? Nie, co ja mówię. Inaczej wiedziałbyś, że jest współwłaścicielką.
- Wycofała się, bo uważa, że ją oszukałem. Ale jak się dowiedziała? - Dopiero teraz o tym pomyślał. - Przecież moje nazwisko nigdy nie padło. Fatalnie, naprawdę fatalnie.
- Żebyś wiedział - przyznał Quince cierpko. -Wczoraj podpisaliśmy zobowiązanie kredytowe na zakup tej cholernej rezydencji, a jest jeszcze umowa na pole golfowe, warta...
- Wiem, ile jest warta - warknął Jack. No cóż, popełnił elementarny błąd, choć Quince wielokrotnie nalegał, żeby się ze wszystkim wstrzymać, dopóki transakcja nie zostanie sfinalizowana. - Najgorsze jest to, że India ma mnie za łgarza i oszusta. Ta suka Serena prowadziła własną grę. Cholerna kombinatorka. - Jack wstał i przeczesał włosy palcami. - Dlaczego nic nie powiedziałem Indy? Do diabła, milczałem jak głupiec, bo chciałem jej zrobić niespodziankę.
Quince osłupiał.
- Jaką niespodziankę? Przepraszam, Jack, ale nic nie rozumiem.
- Dalej nic nie rozumiesz? Byłem przekonany, że India nic nie mówi o Dunbarze, bo nie ma do niego żadnych praw, do tego Serena twierdziła, że jest jedyną wła-

ścicielką. To, co usłyszałem od innych osób, zdawało się to potwierdzać. Nie miałem powodów jej nie ufać. Za każdym razem, kiedy próbowałem o tym rozmawiać z Indią, zaskorupiała się, jakby ten temat sprawiał jej zbyt wielki ból. Raz tylko powiedziała: „Żałuję, że Dunbar będzie musiał być sprzedany", ale miała prawo czuć żal na myśl, że jej rodzinny dom pójdzie w obce ręce. I wtedy zrodził się pomysł.
- Na Boga, jaki pomysł? - Zdesperowany Quince czekał na złe wieści, dobrych się nie spodziewał.
- Zamierzałem po sfinalizowaniu transakcji zaproponować Indii prace nad restauracją wnętrz domu. To w końcu jej dziedzictwo, spuścizna całych pokoleń Dun-barów.
- A India jest przekonana, że od początku ją oszukiwałeś...
Jack skinął głową.
- Od kilku dni nie odbiera moich telefonów. Zadzwoniła do mnie jej sekretarka, powiedziała, że India pojechała na narty z Hernanem Carvajalemr Zabrzmiało to niemal tak, jakby się wybrali w podróż poślubną.
Quince gwizdnął.
- Cholera. Wierzysz w to?
- India bardzo mu się spodobała. - Jack gniewnym gestem odrzucił cygaro.
- Zadzwoń do Buenos i sprawdź, czy rzeczywiście wyjechał. Myślę, że to wygląda inaczej. India odkryła, że kupujesz Dunbar, wściekła się na ciebie i chce się odegrać. Dlatego zmontowała tę historię o nartach z Hernanem.
- Naprawdę tak myślisz? - Jack chwycił się tych słów jak ostatniej nadziei. Szybko podniósł słuchawkę i wystukał numer biura w Buenos.

- Nie, panie Buchanan, szef wyjechał na narty do Szwajcarii - poinformowała go sekretarka takim tonem, jakby donosiła o najwspanialszym wydarzeniu. - Chce pan zostawić wiadomość?
- Owszem, proszę mu przekazać, żeby poszedł do...
- Nie kończąc zdania, trzasnął słuchawką.
- I?
- Są na nartach.
- Rozumiem - powiedział Quince niepewnie. - Ale naprawdę wyglądało, że jej na tobie zależy. Tyle dla ciebie zrobiła. Dlaczego po prostu nie zadzwoni, żeby wyjaśnić sprawę?
- Nie pytaj mnie o to. - Jack przytknął palce do skroni.
- To, co było między nami, zbyt wiele znaczyło. Nie zrywa się tak po prostu. Chryste, Quince, nie czułem się tak od... śmierci Lucy. - Nie mógł wyobrazić sobie Indii w ramionach innego. Nagle uderzył pięścią w blat. - Nie pozwolę, żeby ten sukinsyn mi ją zabrał! Jest moja, cholera jasna.
- Nie możesz nic zrobić. - Quince wstał. - Nie żyjemy w średniowieczu, ona nie należy do ciebie, Jack. Może jechać na narty, z kim się jej żywnie podoba.
- Do diabła, ona... - Przerwał. Rzeczywiście zachowywał się absurdalnie, teraz to sobie uświadomił. A jednak myśl, że India nie zaufała mu na tyle, by przynajmniej wysłuchać jego wersji, napełniła go goryczą. Napotkawszy pierwszy problem, rzuca się ramiona innego. Jest teraz z nim... Ponownie uderzył pięścią w blat. - Nie zostawię tego tak. Będę egzekwował zobowiązania wynikające z tej pieprzonej umowy przedwstępnej choćby na drodze prawnej, słyszysz, Quince?. Nie zrezygnuję z Dunbaru. India przekona się, że zawsze dostaję to, co chcę.
Quince z politowaniem pokiwał głową.

- Osioł z ciebie, Jack. Urażony osioł. India o niczym nie musi się przekonywać, a zobowiązania Sereny nie mają żadnej mocy prawnej. To najzwyklejsze w świecie oszustwo, głupie, prymitywne, prostackie. Tylko Serenę możesz podać do sądu, choć nie radziłbym, bo wyjdziesz na idiotę. Jesteś znanym biznesmenem, podpisujesz dziesiątki kontraktów i każdy sędzia spyta, dlaczego przed podpisaniem umowy nie zażądałeś od Sereny, by ci udowodniła, że jest jedyną właścicielką posiadłości. Bo tego nie zrobiłeś, prawda? Gdybym brał udział w takiej sprawie, nie uwierzyłbym, że nie wiedziałeś, do kogo naprawdę należy Dunbar, i uznałbym, że działałeś w zmowie z tą cholerną naciągaczką, by w ostatniej chwili wywrzeć presję na Indię. Taki głupi, prymitywny szwindel...
Początkowo Molly bez przerwy mówiła o Indii, aż któregoś wieczoru Jack pękł i powiedział, że więcej ma nie wymieniać jej imienia. Pożałował natychmiast swojego wybuchu, bo w oczach dziewczynki pojawiły się łzy, a kiedy już ją położył, odwróciła się do ściany, odmawiając buziaka na dobranoc.
Z każdym dniem czuł się coraz bardziej samotny, opuszczony, zawiedziony. Odeszła ot tak, po prostu, jakby to, co ich łączyło, nie miało żadnego znaczenia. To bolało najgorzej.
Próbował nie myśleć o Indii, wyrzucał sobie słabość, lecz nie zdało się to na nic. Psychicznie i nerwowo był wykończony.
Uśmiechnięty Quince stał w progu. Miał na sobie białe spodnie i białe polo, a czerwony sweter luźno zarzucił na plecy.

- Nowa dziewczyna? - przywitał go Jack.
- Nie, kolacja na jachcie „Andromeda". To cudo technologii zacumowano na Bayside. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Powinieneś ją sobie obejrzeć, Jack. - Quince usadowił się na wysokim stołku przy barku w salonie.
- Mam inne zmartwienia - mruknął, nalewając bour-bona. - Jest coś nowego?
- Ze Szkocji?
- Nie, z południowego Kazachstanu. Zaczynasz być inteligentny inaczej, przyjacielu.
Quince ze śmiechem uniósł szklaneczkę i zakręcił płynem. Znacząco milczał, widomy znak, że coś ma w zanadrzu.
- No, dawaj.
- India chce wytoczyć sprawę przeciwko tobie i Se-renie. Działanie w zmowie, próba podstępnego wywłaszczenia, takie sprawy - powiedział powoli.
- Co takiego?! - Szklanka Jacka uderzyła głośno
o blat barku.
- Owszem. Wygląda na to, że będzie was pozywać. Nie ustąpi. Ramsey jest zupełnie wytrącony z równowagi, powtarza, że sprawę trzeba załatwić polubownie. Jeśli chcesz znać moje skromne zdanie, zgadzam się z nim.
- O czym ty do diabła mówisz? Co polubownie? -warknął Jack. - Jakie India ma podstawy prawne? Żadnych. Sąd...
- Jack - przerwał mu Quince. - Nie upieraj się. Naprawdę nie warto. Odpuść sobie walkę ó Dunbar. Tak będzie lepiej dla ciebie. Pod każdym względem - dodał cicho.
- Odpuścić? Żartujesz? Mowy nie ma. Nie odpuszczę
i nie popuszczę. Zawsze wygrywam.

- Mieszasz uczucia z interesami, ponosi cię fałszywa ambicja. Opanuj się - poradził Quince sucho. - Masz inne problemy. Musisz opiekować się małą, uporządkować spuściznę po Chadzie, to o wiele ważniejsze. Szczególnie Molly, bo ona jest najważniejsza. Proszę, nie zachowuj się jak ślepy kogut. Chwilami nie mogę ciebie słuchać. Jestem za tym, żeby w poniedziałek zadzwonić do Ramseya i powiedzieć, że wycofujemy się z wszelkich roszczeń.
- Wykluczone. A India gdzie? - zagadnął nieoczekiwanie. - Pewnie dalej na nartach z Hernanem?
- O ile wiem, w Dunbarze.
- Jak to? - Jack rozpromienił się, lecz zaraz zmarkot-niał. Cóż, zabawiali się krótko, lecz pewnie treściwie...
- Tyle powiedział mi Ramsey. Słuchaj, zmieńmy temat, dobrze? - W głosie Quince'a zabrzmiała nuta irytacji. - Musisz zająć się czymś innym. Trzeba uporządkować biuro Chada, będziemy potrzebowali tych pomieszczeń już w przyszłym tygodniu. Nie wpuszczałem tam nikogo, bo pewnie sam będziesz chciał przejrzeć wszystkie papiery, zabrać prywatne drobiazgi.
- Owszem - westchnął Jack. - Muszę to zrobić, ale ciągle odkładam. Zrobię to jutro albo pojutrze. W poniedziałek będzie można zacząć sprzątać.
- Jak będziesz potrzebował pomocy, zadzwoń.
- Dzięki. Sam się z tym muszę uporać.
Jack nie mógł sobie znaleźć miejsca. W telewizji nie było nic godnego uwagi, próbował czytać, ale po kilku minutach odłożył książkę. Było jeszcze na tyle wcześnie, że mógł pojechać do biura i zacząć porządkować rzeczy Chada.

Chwycił sweter i zapukał do Rosy.
- Wychodzę i nie wiem, kiedy wrócę. Nie czekaj na mnie.
- *Si, seńor, estd bien.*
Wieczór był przyjemny, stosunkowo chłodny. Ocean srebrzył się refleksami księżycowej poświaty i rozświetlonego miasta. Jack skręcił w St. Jude's Church i przyspieszył kroku. W kilka minut dotarł do uśpionego wieżowca, gdzie mieściły się biura i jego, i Chada.
Po chwili wahania otworzył drzwi gabinetu brata, zapalił światło i mrużąc oczy, rozejrzał się po wnętrzu. Wszystko było tak, jak Chad zostawił, znieruchomiałe, trochę upiorne w białym blasku lamp pod sufitem. Przez chwilę miał wrażenie, że Chad zaraz zmaterializuje się za biurkiem.
Otrząsnął się. To wyobraźnia płata figle. Zabrał się do przekopywania stert papierów na biurku Chada. Same niedokończone sprawy, pomyślał ze smutkiem. Posegregował je starannie. Tylko nie zastanawiać się, nie myśleć o tym, co by było, gdyby brat żył.
Kiedy uporał się z zadaniem, otworzył szafę gabinetową. Były tu prywatne papiery Chada, wiele starej, z różnych powodów przechowywanej korespondencji, dużo prywatnych drobiazgów, których widok sprawiał ból. Wśród nich dostrzegł coś, czego nie znał: zniszczone pudełko z napisem „Dokumenty rodzinne". Usiadł na podłodze i ogarnięty dziwnym, niezrozumiałym przeczuciem, zdjął wieko.
Na samym wierzchu leżał sygnet. Jack odruchowo spojrzał na inny, który miał na palcu. Dawno temu dziadek przekazał go Chadowi, mimo że po starszeństwie należał się Jackowi. Jednak dziadek słusznie uznał, że

powinien nosić go Chad, bo tylko on interesował się historią rodziny. Po śmierci brata sygnet przeszedł na Jacka.
Zatopiony we wspomnieniach, wziął do ręki znaleziony w pudełku pierścień i zaczął mu się uważnie przyglądać. Herbowy sygnet, identyczny jak dziadka.
Od momentu, gdy go nałożył na palec po śmierci Chada, miał wrażenie, że zna ten herb, gdzieś go już widział. Wcześniej, gay nosił go brat, Jack nie potrafiłby powiedzieć, jak właściwie wygląda.
Przypomniał sobie teraz e-mail Chada. Brat pisał, że znalazł coś interesującego na temat rodzinnej historii.
Podniecony zaczaj wyjmować wszystkie koperty, aż jego uwagę przykuła jedna, wyjątkowo stara.
Ostrożnie zaczął dobywać z niej pożółkłe jak suche liście papiery, na których atrament dawno zdążył wyblaknąć.
Jack oparł się o ścianę i zaczaj czytać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

List pisany był w Karolinie w styczniu 1747 roku. Wyblakłe litery z trudem dało się odcyfrować, ale podpis był wystarczająco czytelny: Mhairie Dunbar.
list umierającej kobiety do syna.-Jack ślęczał nad nim długo, połowy się domyślał, ale w końcu dobrnął do końca.
Mhairie Dunbar, to samo nazwisko. Nagłe uświadomił sobie, gdzie widział herb wyryty na sygnecie. Oczywiście: na zworniku arkady w korytarzu Dunbaru. Tak, widział go tego wieczoru, kiedy po raz pierwszy wszedł z Indią do rezydencji.
Porażony tą rewelacją, zaczął przeglądać kolejne papiery.
Testament Mhairie, w którym przekazuje wszystko swojemu synowi Robertowi Dunbarowi urodzonemu w grudniu 1746 roku. Odpis z ksiąg parafialnych. I świadectwo z marca 1746 roku poświadczające zawarcie małżeństwa między Mhairie Stewart i sir Robertem Dunbarem of Dunbar.
Jack powoli, jeszcze na oślep, rekonstruował bieg przeszłych wydarzeń.
Zaczął szukać nerwowo w pudełku jeszcze jakichś dokumentów, które wypełniłyby luki, wskazały na brakujące ogniwa.
Pamiętał ciepłe, letnie wieczory, kiedy dziadek siedział na werandzie w bujanym fotelu i snuł rodzinne opowieści. W przeciwieństwie do zasłuchanego Chada

nigdy nie miał do nich cierpliwości. Gdyby wtedy wiedział, jak gorzko będzie tego kiedyś żałować! W głowie kołatała mu jedna, uporczywie wracająca myśl: jakimś zrządzeniem losu w jego żyłach płynie krew Dunbarów.
Chad wiedział więcej, dziadek musiał wiedzieć wszystko, lecz on poruszał się po omacku. Jedyne, czym dysponował, to strzępy dalekiej przeszłości.
Jak we mgle pozbierał papiery, schował do pudełka i zaniósł jc Jo swojego gabinetu. Czuł, że czym prędzej musi wyjść z biura i znaleźć się na świeżym powietrzu.
Po powrocie do domu zajrzał do Molly. Dziewczynka smacznie spała w towarzystwie pochrapującego Barta i Jeminy. Nalał sobie brandy i przeszedł do salonu. Długo siedział w zamyśleniu, wreszcie coś go tknęło.
Był trop, możliwość dopełnienia historii. Miał przecież w domu stare listy, do których nigdy nie zaglądał. Nawet nie potrafił powiedzieć, dlaczego znalazły się u niego, a nie u Chada.
Odszukał je i zanurzył się w innym świecie.
Godzinę później mógł je odłożyć.
Odległa korespondencja z dziewiętnastego wieku, imiona kilku pokoleń babek, ciotek, dziadków. Jego praprzodkowie.
W postscriptum jednego z listów przeczytał, że Robert Dunbar, syn Mhairie, został wychowany przez rodzinę Buchananów i przyjął ich nazwisko.
Jack zobaczył przed oczami samotny dąb Dunbarów, Mhairie wspomniała o jakimś dębie w swoim przesłaniu do syna. Zawarła w nim też dość dziwaczne wskazówki.
Zdezorientowany Jack nie wiedział, czy ma do czynienia z rodzinną legendą, ze zwykłym zbiegiem okolicz-

ności, czy z własną historią. Wśród dokumentów odnalezionych przez Chada - jak i gdzie Chad na nie natrafił? - było świadectwo ślubu Mhairie z sir Robertem Dunbarem of Dunbar. Czy Robert Dunbar, syn Mhairie wzięty na wychowanie przez Buchananów, był synem tej samej Mhairie, żony Roberta Dunbara of Dunbar?

Był tylko jeden sposób dojścia prawdy. Przejrzy pozostałe papiery, a od poniedziałku zacznie działać.

Dziesięć dni później, pełen wątpliwości co do własnej poczytalności, stał pod rozłożystymi gałęziami starego dębu na szarozielonej łące. Co na Boga go podkusiło, żeby szukać skarbu, który prawdopodobnie w ogóle nie ; istniał? Chyba rzeczywiście zwariował...

Piąta rano, teren cudzej posiadłości, w pamięci kilka wskazówek, które wyczytał w liście sprzed dwustu pięćdziesięciu lat. Nigdy nie zrobił nic bardziej obłąkanego. Rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma nikogo.

Wymknął się z Dalkirku przed świtem, kiedy cały dom pogrążony był we śnie. Przez łąkę i wąwóz dotarł tutaj, na wzgórze. Sylweta starego dębu była ledwie widoczna w szarej mgle. Uśmiechnął się szeroko, wielce ciekaw, co powiedziałaby India, gdyby go teraz zobaczyła. Dobrze pamiętał, jak zareagowała, kiedy pierwszy raz naruszył teren Dunbaru.

Zgodnie z poleceniami Mhairie, stanął pod drzewem, za pomocą kompasu znalazł zachód, po czym odmierzył trzysta kroków i rozejrzał się uważnie w poszukiwaniu kamienia o spiczastym zwieńczeniu. Trwało dłuższą chwilę, zanim natrafił na niezbyt duży głaz o takim właśnie kształcie, i czując się jak skończony idiota, rozłożył trzonek składanej saperki i zaczął kopać.

Przynajmniej jedno było dobre, a mianowicie fakt, że kamień znajdował się już na terenie Dalkirku. Diana i Peter, w przeciwieństwie do Indii, na pewno nie będą mieli do niego pretensji, że w przypływie szaleństwa trochę rozkopał ich ziemię...
(Po jakimś jednak czasie poczucie absurdu gdzieś się ulotniło, a górę wzięła ciekawość.
Gęsta szarość przedświtu powoli się rozpraszała, przebijały przez nią pierwsze odblaski wschodu słońca, ale powietrze nadal niosło ze sobą przenikliwy chłód. Najpewniej się wygłupił i nic nie znajdzie. Jeszcze tylko kilka łopat i wraca do Dalkirku.
Jak to zwykle bywa, właśnie w tym momencie natrafił na coś twardego. Przeszedł go dreszcz podniecenia. Jeszcze nie wierzył w to, co się stało. Powoli, ostrożnie zaczął wygarniać ziemię wokół wiekowej szkatuły. Z trudem wydobył ją z dołu, była bowiem nadspodziewanie ciężka. Przerdzewiały rygielek był niedomknięty, jakby ten, kto go zasuwał, w pośpiechu wrzucił szkatułę do dołu. Drewno miejscami zmurszało, ale w zasadzie oparło się działaniu czasu i nieźle przetrwało w ziemi. Jack z nabożnym podziwem wpatrywał się w skrzynkę sprzed dwustu pięćdziesięciu lat. Wyjął chusteczkę i ostrożnie usunął resztki ziemi, po czym zaczął odsuwać mały, oporny skobel, sprzeciwiający się odkryciu tajemnic, których strzegł tak długo.
Przez chwilę się wahał. Miał wrażenie, że narusza prywatność swoich przodków, o ile byli jego przodkami - jakby otwierał czyjś dziennik. Lecz z drugiej strony czyż nie liczyli na to, że pewnego dnia ich legat zostanie odkryty? Młody Rob po niego nie wrócił, nie

wrócili też jego potomkowie, dopiero zrządzenie losu uczyniło z Jacka depozytariusza sekretów strzeżonych tak długo.
Żaden szmer, najlżejszy choćby dźwięk nie zakłócał absolutnej ciszy, przerwało ją dopiero zgrzytliwe skrzypnięcie. Jack powoli uniósł wieko i wpatrywał się przez chwilę w kremowy atłas. Wyjął go ostrożnie.
Wewnątrz były jakieś papiery i wytarty skórzany mieszek. Kiedy ujął go w dłoń, zrozumiał, dlaczego skrzynka była taka ciężka: zadźwięczały monety. Kiedy je obejrzał, okazało się, że prawie wszystkie były bite w 1715 roku, roku pierwszej rebelii jakobickiej.
Zafascynowany patrzył, jak przesypują mu się przez palce, wreszcie zamknął mieszek i rozejrzał się, potem zerknął na zegarek. Była najwyższa pora, by wracać do Dalkirku. Już miał zatrzasnął wieko, kiedy na samym dnie zauważył coś jeszcze.
Maleńkie pudełeczko.
Otworzył je i głośno gwizdnął. Taki sam sygnet jak ten, który miał na palcu i jaki znalazł w pudełku Chada. Obok leżał pierścionek z ametystami i brylantami. Dla większej pewności wyjął sygnet. Wzrok go nie mylił, był identyczny.
Włożył pudełeczko na powrót do skrzynki.
Teraz pozostawało tylko zakopać dół i zasypać poruszoną ziemię darnią i liśćmi.
Ruszył do Dalkirku. Szybko przeszedł koło miejsca, gdzie zemdlała India. Nie miał czasu na wspomnienia, na oglądanie się za' siebie. Musiał patrzeć do przodu. Przyszedł czas działania. Nie przez przypadek przewrotny los zetknął go z Dunbarem.

- To zupełnie absurdalne. - John Ramsey pokiwał siwą głową. - Ten „dżentelmen", pan Buchanan, rości sobie pretensje do posiadłości. Powiada, że może dowieść, iż jest potomkiem Roba Dunbara, który zginął pod Cullodenem. Twierdzi, że posiada na to stosowne dokumenty.
- Co to oznacza? - India nie mogła jeszcze zrozumieć, co usłyszała.
- Włości Dunbar zostały objęte prawem wyłącznego dziedziczenia, to jest wyłącznie w linii prostej przez najstarszego męskiego potomka rodu. To prawo w 1302 roku ustanowił William Dunbar na krótko przed swoją śmiercią. Wiadomo o tym z zapisów historycznych. Przeglądałem dokładnie archiwa rodzinne. Wszyscy jego potomkowie powołują się na wolę Williama z wyjątkiem Fergusa Dunbara, zmarłego w 1783 roku. On jeden nic nie wspomina o dziedziczeniu wyłącznym, jednak majątek w sposób oczywisty przechodzi na jego syna Davida, którego ostatnim potomkiem był pani wuj Thomas. Przeszedłby na młodszego brata pani matki, ojca lady Kathleen, ale ten zmarł na trzy dni przed sir Thomasem. Ponieważ nie było żadnych męskich dziedziców, Dunbar przypadł lady Elspeth, córce najstarszego męskiego potomka rodu. - Stary prawnik pokiwał głową. - Otóż pan Buchanan, powołując się na prawo wyłącznego dziedziczenia, twierdzi, że jest jedynym żyjącym męskim potomkiem amerykańskiego Roba Dunbara. Utrzymuje, że Mhairie Dunbar, matka amerykańskiego Roba, była żoną Roba Dunbara, który zginął pod Cullodenem.
- Ależ to absurdalne. Przyjeżdża jakiś zwariowany Amerykanin i usiłuje zagarnąć naszą ziemię.
- W rzeczy samej, lady Sereno, absurdalne to wła-

ściwe określenie i tej absurdalności dowiedziemy. -Ramsey uśmiechnął się wyniośle.
- Jak? - zapytała India.
- Prawo wieczyste nie uznaje żadnych roszczeń majątkowych wnoszonych po upływie dwudziestu jeden lat od śmierci ostatniego posiadacza stanowiącej przedmiot sporu własności.
- Niech pan mówi jaśniej, Ramsey - zirytowała się Serena.
- To znaczy, że roszczenia do Dunbaru należało wnieść za życia Roberta Dunbara albo w przeciągu dwudziestu jeden lat po jego śmierci.
- Nawet jeśli Buchanan jest potomkiem Roberta, nie ma żadnych praw do Dunbaru, tak?
- Tak jest, łady Sereno.
- To o co się martwimy?
- Otóż nie ma żadnych powodów do zmartwienia. Jestem umówiony na spotkanie z prawnikami pana Buchanana. Wyjaśnimy sprawę w ciągu pół godziny. Sądzę, że pan Buchanan po tej rozmowie odstąpi od swoich pretensji do Dunbaru. - Ramsey. uśmiechnął się, usatysfakcjonowany.
- Nie wiem - powiedziała India z powątpiewaniem. Notariusz był taki pewny siebie i nadęty. - Pan Buchanan nie podejmuje działań, nie zasięgnąwszy wcześniej rady najlepszych prawników.
- Tu ma pani rację - zgodził się. - Reprezentują go Henderson, Stewart & Mackay, jedna z najświetniejszych, najstarszych kancelarii prawniczych w Szkocji. Obawiam się jednak, że nawet sam Henderson nie zdoła zmienić dla pana Buchanana obowiązującego prawa. -John Ramsey zaśmiał się z własnego dowcipu.

- Widzisz, Indio? Buchanan nie ma tu czego szukać. Żadnego punktu oparcia, ale wielkie zachcianki. Pretensjonalny bubek. Wydawało mu się, że zdobędzie Dunbar za friko.
- Proponował bardzo dobrą cenę i według tego, co mówi pan Ramsey, nadal nie wycofał się ze swojej propozycji.
- Której ty nie chciałaś przyjąć. Gdybyś się zgodziła, nie byłoby tego całego zamieszania - powiedziała Serena z pretensją w głosie.
- Nie w tym rzecz, Sereno. Buchanan musi mieć mocne podstawy, jeśli wysuwa roszczenia.
- Nawet jeśli jest potomkiem Roba, to co z tego? Słyszałaś, co mówił przed chwilą pan Ramsey? Nie ma żadnych praw do Dunbaru.
- Tak jest, lady Sereno.
India zamyśliła się, a Serena nerwowo paliła papierosa.
- Zdajecie sobie sprawę, że on może okazać się naszym dalekim krewnym? Naszym kuzynem? Może powinniśmy wziąć to pod uwagę. Jeśli tak, to nie byłoby w porządku... Nie wiem, jak to określić, w każdym razie jako Dunbar ma pewne prawa.
- O czym ty u licha mówisz? Prawa, rzeczywiście! Obawiam się, że nie, moja droga. Nie ma nic gorszego niż niechciani krewni.
- Zauważyłam - przytaknęła cierpko India.
- Chryste, nie bierz tego do siebie. Po prostu akurat teraz nie możemy pozwolić, żeby w nasze sprawy ingerował ktoś z zewnątrz.
- Tym bardziej cudzoziemiec - dodał Ramsey i po tej błyskotliwej uwadze zaczął się żegnać. - Do końca tygodnia sprawa powinna się rozwiązać. Będę panie in-

formował na bieżąco. A co do pani obecnych zajęć, panno Indio, jeśli tylko będzie pani potrzebowała mojej pomocy, proszę się ze mną skontaktować. Zarządzanie Dunbarem w obecnej sytuacji musi być naprawdę trudne. Kondycja majątku...
- Czy kontaktował się już pan z agencją nieruchomości Knight, Frank & Rutley?
- Uważam, że to byłby nierozważny krok. Zakończmy najpierw sprawę pana Buchanana. Niestety mamy jeszcze do rozwiązania problem umowy przedwstępnej.
Twarz Sereny przybrała kolor piwonii, ale odrzuciła włosy takim gestem, jakby chciała powiedzieć, że absolutnie nie czuje się winna.
- Pan Buchanan w dalszym ciągu nie wycofał swojej oferty - dodał Ramsey od drzwi. - Nie zmienił też warunków finansowych, panno Indio. Uważam, że powinna pani jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję.
- Już ją przemyślałam i nie przyjmuję - oświadczyła India kategorycznie.
- Tylko dlatego, że się z nim przespałaś, tak? - Serena miała talent do formułowania trafnych pytań.
Teraz przyszła kolej na Indię, żeby zaprezentować na policzkach ciekawy odcień czerwieni. Ramsey wpatrywał się w nią niczym w nierządnicę babilońską, kiedy odprowadzała go do wyjścia.
- Dziękujemy za wszystko, panie Ramsey. Jest pan całkowicie pewien, że Buchanan nie ma żadnych szans?
- Nie ma.
India wróciła do biblioteki i stanęła przy oknie. Potrzebowała chwili czasu, by ochłonąć.
Na trawniku pojawiły się już pierwsze przebiśniegi, lecz nie kwiaty, ale Jacka, który mierzy z beretty do ter-

rorysty, miała przed oczami. Tacy nie zaczynają walki bez starannego przekalkulowania swoich szans. Czy wiedział coś, o czym one nie wiedziały? Twierdził, że może poprzeć swoje roszczenia dowodami, ale Ramsey przed chwilą wytłumaczył im, jak działa prawo wieczyste.
- O czym myślisz? - zawołała Serena z kanapy.
- Nie wiem. Jack musi mieć jakieś podstawy, inaczej nie zaczynałby tej awantury.
- Cóż, znasz go lepiej. Zrobiłam tylko krótkie rozpoznanie, ty gruntownie przebadałaś teren.
- Serena, do licha, moja znajomość z Jackiem nie ma z tym nic wspólnego. Poza tym to skończone.
- I bardzo dobrze. Uprzedzałam cię, co to za typek. A jego roszczenia to bzdura. Sfrustrowany Amerykanin, który chce zamienić się w szkockiego pana. Ich to ciągnie. Nie mają własnej szlachty, arystokracji, tytułów. Biedne sierotki. - Parsknęła śmiechem. - Okaże się, że ten jego Rob Dunbar to pastuch z Galshiels. Takich Ro-bów Dunbarów jest na tony, łącznie z potomkami bękartów Williama. I co z tego wynika?
India miała swoje wątpliwości.
Serena sfrunęła z kanapy, jakby miała piętnaście lat.
- Chodźmy na lunch. Chciałabym ci pokazać srebra, które znalazłam w piwnicy. Ty się na tym tak dobrze znasz, kochanie - przypochlebiła się.
Każdy jej gest, każde słowo były w swoich intencjach tak oczywiste, że stawała się żałosna. Wiadomość, że Jack przebywa w Dalkirku, była dla Indii wstrząsem. Dziwne uczucie - wiedzieć, że jest tak blisko. Ale kto wie, czy nie większym jeszcze szokiem były jego roszczenia i świadomość, że może okazać się

jej kuzynem. O ile to prawda, będzie musiała ustąpić wobec jego praw. Osobiste uczucia nie miały tu nic do rzeczy. Należy mu się sprawiedliwość.
Ale to nie znaczy, że pozwoli mu zrobić z Dunbaru hotel. Od trzech tygodni zarządzała majątkiem i to tym bardziej umacniało ją w determinacji. Nie będzie żadnego hotelu.
- To okropne, Wolfie.
- Co takiego? - Wolfie wylegiwał się na kanapie przed telewizorem w mieszkaniu Sęreny.
- Ta idiotka gotowa jest posunąć się do tego, że uzna go za kuzyna. Musimy coś zrobić. Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli, czuję to.
- Chyba czas poważnie się zastanowić. Można wiele zyskać, jeśli się dobrze rozegra karty.
- Nie rozumiem - powiedziała Serena. Wolfie był taki mądry. - Ty coś kombinujesz. - Pogroziła mu palcem i usiadła obok niego na kanapie. - Jesteś wtedy bardzo pociągający.
Wolfie uczyni ją szczęśliwą, czuła to. Jak nikt potrafił usuwać przeszkody. Był w tym mistrzem.
- I jak spotkanie? - Jack wychylił się z wnęki, gdzie chroniąc się przed deszczem, czekał na Quince'a.
- Dobrze. Jezu, co za cholerna pogoda. Może kup sobie następny hotel na Karaibach, co? - Quince otworzył parasol.
- Czemu nie. W Tennessee też ciągle lało, pamiętasz?
- Pamiętam, ale się odzwyczaiłem. Czemu nie pogodzisz się z Indią, Jack? Kompletnie ci odbiło. Przecież o to chodzi w tej całej awanturze.

Jack zjeżył się. Quince miał rację. Może w części, ale miał.
- Mniejsza o powody. Nie zamierzam się wycofywać - oznajmił z uporem.
- A niech cię... - Quince pokręcił głową.
- Która godzina?
- Wpół do pierwszej. Gdzie się umówiłeś z Peterem?
- W Cafe Royal.
- Bardzo dobrze. Jestem głodny i muszę wykonać kilka telefonów do Stanów.
Przez chwilę szli w milczeniu przez zalaną deszczem St. Andrew Street, wreszcie skręcili na St. Andrew Square, gdzie mieściła się Cafe Royal. W środku od razu zobaczyli czekającego już Petera Kinnairda.
- I jak poszło?
- Świetnie - zapewnił Jack z przekonaniem, które niekoniecznie zgadzało się z prawdą. .
Peter spojrzał pytająco na Quince'a, któremu udało się właśnie wydobyć z płaszcza przeciwdeszczowego.
- Jackowi kompletnie odbiło, ale jak go znam, dopnie swego i w końcu uznają w nim pociotka. Nie wiem tylko, po co to wszystko. Może nawet wygra w sądzie. Od dziecka był taki. Zawsze musiał postawić na swoim.
Jack wzruszył ramionami i przywołał kelnera, natomiast Quince wstał od stolika, żeby wykonać swoje telefony.
- On tak zawsze. - Jack uśmiechnął się szeroko.
- Nie wiem, jak wy tam żyjecie. Nie potraficie nawet usiąść i zjeść. - Peter pokręcił głową. - Jakby to nie mogło zaczekać.
- Nie może. Rozumiesz, trzeba załatwiać sprawy. Wiesz przecież doskonale.

- Prawda - przyznał Peter. - Dzisiaj rano dostałem wreszcie plany z Dżakarty.
- Przepraszam, ale muszę iść. - Quince zamknął telefon.
- Nie zjesz? - zdumiał się Peter.
- Dzięki, ale nie. Jeśli się pospieszę, złapię nocny lot z Londynu do Miami. Nawalił interes z Chicago, Jack. Daj mi kluczyki, pojadę do Dalkirku po rzeczy.
- Szkoda, że wyjeżdżasz w takim pośpiechu. - Peter podniósł się od stolika i uścisnął dłoń Quince'a. - Moglibyśmy wybrać się na ryby w weekend.
- Następnym razem - powiedział Quince z uśmiechem. - Zadzwonię do ciebie z Heathrow, Jack.
- Trzymaj się.
Quince wyszedł szybkim krokiem, a Jack wyjął paczkę papierosów i odruchowo poczęstował Pete'a.
- Mówiłem ci, że przestałem. Ty też powinieneś.
- Powinienem.
- Mam czterdzieści sześć lat. Czas, żebym zrobił coś dla siebie i dla rodziny.
Jack w zamyśleniu popijał piwo.
- Musiałeś rzucić. Ja też bym to zrobił na twoim miejscu.
- I ty znalazłbyś ze sto powodów, gdybyś się postarał.
- Na przykład?
- Molly. Astra. Co firma zrobiłaby bez ciebie?
- Miałaby się znacznie lepiej - powiedział Jack ze śmiechem.
- Dobry motyw, żeby zejść z tego świata.
- A ty co tak nagle zacząłeś się o mnie martwić? -Jack odchylił się w fotelu.
- Mam zwyczaj martwić się o przyjaciół.

- Czy wyglądam na takiego, który wymaga wsparcia i pociechy?
- Tak, skoro pytasz. Di i ja z jakichś niezrozumiałych powodów cholernie się do ciebie przywiązaliśmy. Wiesz, Diana ma instynkt macierzyński.
- Twoja żona to wspaniała dama.
- India też.
Jack upił długi łyk.
- Interesujące, że o niej wspomniałeś. Też tak początkowo myślałem, ale szybko się przekonałem, że kłamie i oszukuje. Fatalna pomyłka. - Jack zgasił papierosa, który nabrał nagle gorzkiego smaku.
Zapadła krótka chwila milczenia.
- Przepraszam, że pytam, ale czy ód czasu śmierci Lucy był w twoim życiu ktoś ważny?
Nastał więc dzień zwierzeń.
- Nie. Mam wrażenie, że cała para poszła w pracę.
- Aha. Jesteś uosobieniem sukcesu.
- Tak myślisz? - W głosie Jacka zabrzmiało powątpiewanie.
- Nie cieszy cię to, co osiągnąłeś?
- Owszem, tylko czasami zadaję sobie pytanie, po co. Dotąd myślałem, że jeśli coś mi się stanie, Chad przejmie wszystko. Teraz straciłem motywację. Oczywiście jest Molly...
Kiedy po lunchu wrócili do Dalkirku, Jack poczuł, pierwszy raz chyba aż tak wyraźnie, jak bardzo to miejsce stanowi zamknięty, bezpieczny kosmos. Tęsknił za czymś takim. I to też uświadomił sobie po raz pierwszy aż tak wyraźnie, kiedy stanął w drzwiach salonu rezydencji.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Miał przed sobą obrazek ociekający domową słodyczą. Przy fortepianie India, przy niej rozpromieniona Molly, dziewczynki Kinnairdów na dywanie zajęte zabawą w kocią kołyskę, Diana na kanapie wyszywała coś na tamborku.

Już chciał się wycofać, żeby nie mącić tego obrazka, kiedy Diana podniosła głowę.

- Jack! Myślałam, że wrócicie znacznie później. -Spojrzała niespokojnie na Indię, po czym uśmiechnęła się. - Napij się z nami herbaty.

Muzyka umilkła, ledwie Diana wymówiła imię Jacka. India wpatrywała się w niego nieruchomo, a Molly już biegła ku niemu z otwartymi ramionami. Jack uniósł ją i ucałował.

- Byłaś grzeczna, brzdącu?

- Popatrz, wujku, Indy przyszła. - Mała, ledwie postawił ją na ziemi, pociągnęła go w.stronę fortepianu.

Diana podniosła się z kanapy.

- Gdzie Peter?

- Na dziedzińcu, rozmawia z rządcą.

India podniosła się z taboretu. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, w końcu wyciągnęła dłoń.

- Witaj. Nie spodziewałyśmy się ciebie.

- Tak się złożyło, że wróciliśmy wcześniej. Miło cię widzieć. Graj dalej, proszę. To było bardzo piękne. - Usi-

łował cokolwiek wyczytać z jej twarzy. Sam czuł się tak jak człowiek, któremu pokazano źródło, ale zabroniono z niego pić.
Uśmiechnęła się uprzejmie i wyszła z pokoju, a Jack sklął się w duchu, że pozwolił sobie na moment słabości.
- India zostanie tu bardzo, bardzo długo. Czy my też moglibyśmy zostać, wujku? Ona tak blisko mieszka, mogłabym się z nią ciągle spotykać. - Molly podskakiwała podniecona.
- Uspokój się, brzdącu. - Jack przykucnął przy Molly. Jeszcze nie otrząsnął się z szoku. Dotyk Indii, jej zapach... A jak ona zareagowała na jego widok? Wiele by dał, żeby się dowiedzieć, co się dzieje pod tą dumną maską.
Właśnie wróciła do pokoju z dodatkowymi filiżankami w dłoni.
- India, jak miło, że wpadłaś. Strasznie się cieszę, zresztą jak zawsze na twój widok. - W salonie pojawił się Peter. Ucałował Indię w policzek i usiadł obok żony na kanapie. Jack zawsze patrzył na nich z zazdrością. Byli dla niego wzorem doskonałej pary, o jakim sam marzył. Stanowili dwie dopełniające się połówki psychicznej całości.
Młodsza córka Kinnairdów podała mu filiżankę herbaty.
- Dziękuję bardzo, Henny.
- Bardzo proszę.
Wszyscy parsknęli śmiechem, bo powiedziała to z amerykańskim akcentem podchwyconym od Molly.
- Wygląda na to, że Henny ma zdolności do języków, skoro tak szybko złapała akcent - zauważyła India.
- Tak myślisz? - zapytała Diana. - Na pewno nie po mnie, już raczej po Peterze. Jego francuski jest świetny.

- Jakoś sobie radze - zbył pochwałę żony. - A ty, Jack?
- Właśnie uczę się angielskiego. - Dalej był rozpaczliwie spięty. Miał nadzieję, że India nie zauważyła, jak bardzo poruszył go jej widok. W końcu to ona odwróciła się od niego. Hernan. Na myśl o tym, że kochała się z tym facetem, miał ochotę trzasnąć filiżanką o podłogę. Krew się w nim gotowała.
Popołudniowa herbatka ciągnęła się w nieskończoność. Zastanawiał się, ile jeszcze otrzyma dolewek i kawałków ciasta owocowego.
Peter i Di przezornie omijali temat Dunbaru. Raz tylko Peter wspomniał coś o konieczności naprawy płotu między posiadłościami.
Jack najchętniej cofnąłby czas, gdyby mógł, ale teraz było już za późno. Pozostawało walczyć.
India robiła wszystko, żeby zachować spokój. Kiedy zobaczyła Jacka, myślała, że to omamy wzrokowe. Przez ułamek sekundy miała ochotę rzucić mu się na szyję, poczuć ciepło jego ciała.
A teraz? Teraz najchętniej wróciłaby do domu, ale była na łasce Diany i Petera, bo do Dalkirku podrzucił ją pan Maclnnes.
- Indy, zostań na kolacji, Peter cię odwiezie - zaproponowała Diana.
- Dziękuję, ale nie. Mam jeszcze trochę korespondencji do załatwienia. Ciągłe zaległości. Muszę też wysłać faksy do Buenos Aires.
- Szef da ci wolne - wtrącił Peter. - Co powiesz, India może Zostać?
- Dobry pomysł - mruknął obojętnie Jack.

India podniosła się.
- Bardzo chciałabym z wami zostać, ale naprawdę muszę wracać. Dziękuję. Zostań, Peter. Zamówię taksówkę. Masz na pewno mnóstwo roboty, a Diana musi doglądać tarty.
- No właśnie, mogłabyś zostać i spróbować, jak się udała.
- Nie, nie i nie. Dziękuję wam serdecznie.
- Jack, a może ty odwieziesz Indię do domu? - zaproponował Peter. - Muszę czekać na Mackintosha, a Diana ma tę swoją tartę.
- Z przyjemnością.
India rzuciła Peterowi mordercze spojrzenie, lecz nie pozostawało jej nic innego jak zgodzić się na jego propozycję.
Molly objęła ją mocno i wymogła obietnicę, że niedługo się zobaczą. Indy strasznie brakowało małej, bardzo za nią tęskniła, ale bała się, że nie dotrzyma danej obietnicy.
Jack wyprowadził z garażu srebmoszare, nowiutkie cacko.
- Nie wiedziałam, że Peter kupił porsche.
- Ja kupiłem. - Jack zamknął drzwiczki od strony pasażera.
A więc planował dłuższy pobyt. No cóż, skoro zamierzał walczyć o Dunbar, musiał się z tym liczyć.
- Chcesz zaimponować miejscowym swoim bogactwem?
- Nie. Szybko się przemieszczać.
Słowo za słowo. India chętnie wdałaby się z nim w ostrą kłótnię, lecz siedziała sztywno, tylko serce biło jej znacznie szybciej, niż powinno.

Jack zamiast skręcić do Dunbaru, pojechał w przeciwną stronę.
- Jedziesz w złym kierunku - zauważyła zimno.
- Uhu.
- Co to znaczy „uhu"? Zawracaj do Dunbaru. Nie mam ochoty nigdzie z tobą jechać. - Gdy nie odpowiedział, dodała ze złością: - Jack, tak się nie postępuje. To przemoc.
- Musimy porozmawiać. India w pasji zacisnęła dłonie.
- Nie będziemy rozmawiać. Tó, co mam ci do powiedzenia, usłyszysz od moich prawników. Tylko to, ani słowa więcej.
- Chcę tylko, żebyśmy w imię starych dobrych czasów zjedli razem kolację. Czy to takie straszne? Musimy porozmawiać. Rozwikłać nieporozumienia, zrozumieć, co naprawdę się stało.
- Tu nie ma nic do zrozumienia. Jeśli natomiast myślisz o małym bzykanku w imię starych dobrych czasów, to zapomnij o tym.
Jack zjechał z drogi w przecinkę i zatrzymał samochód. Milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się:
- Posłuchasz przez minutę, co mam do powiedzenia?
- Wydaje ci się, że każdego możesz wziąć na lep, łącznie z Kinnairdami. Owinąłeś ich sobie wokół palca, ale mnie nie nabierzesz, Jack. Mam dość twoich kłamstw, oszustw i nędznych przekrętów.
- Kłamstwa, oszustwa, przekręty... Na Boga, nigdy nie kłamałem. Nie ja udawałem, że jestem gotów się z kimś związać, i nie ja zabrałem się potem z kimś innym na narty.
Usłyszała w tym wyrzucie ton urażonej dumy i to jej wystarczyło.

- A więc o to chodzi? Ucierpiało twoje męskie ego, tak? Powiem ci coś. Było wspaniale. Gdybym mogła, jutro wyjechałabym gdziekolwiek z Hernanem, poza tym...
Zanim skończyła, już trzymał ją w ramionach.
- Odświeżę ci pamięć, zanim wyjedziesz.
India nie opierała się. Wystarczyło, by poczuła dotyk jego ust, i wszelki opór stopniał, jęknęła tylko cichutko. Z zapomnienia obudził ją błysk reflektorów. Jack natychmiast usiadł prosto.
- Cholera!
India błyskawicznie obciągnęła sweter i poprawiła włosy. Była wściekła, że dopuściła do tego, do czego dopuściła. Po kabinie przesunął się snop światła latarki. Obowiązkowe pukanie w szybę.
- Wszystko w porządku? Jack odsunął szybę.
- Dobry wieczór, sierżancie.
- A, pan Buchanan. - Sierżant dziarsko zasalutował. - Nic się nie stało? - Snop światła przemknął raz jeszcze po kabinie. - Dobry wieczór, panno Moncrieff. W czymś mogę pomóc? - Inny w jego sytuacji już by sobie poszedł.
- Odwożę pannę Moncrieff do domu.
Sierżant uśmiechnął się, pokiwał głową i zaraz podrapał się po brodzie. Był jeszcze gorszy od tych z kawałów.
- Ale Dunbar jest w drugą stronę.
- Właśnie. Pomyliłem drogę i chciałem zawrócić. Nie znam jeszcze zbyt dobrze tych stron.
Sierżant ponownie pokiwał głową ze zrozumieniem.
- Łatwo zmylić drogę na tych bocznych szosach, szczególnie po ciemnicy. To prawda, że zrobi pan hotel w Dunbarze?

No proszę, wszyscy już wiedzieli. Zanim sierżant wreszcie sobie poszedł, India zdążyła całkowicie ochłonąć.
- Fiuu. Mało brakowało. - To był cały komentarz Jacka..
Rzeczywiście, mało.
Jack zapalił silnik i ruszył.
Niech wreszcie odwiezie ją do domu.
Przemknęli koło Dalkirku już teraz na pewno w kierunku Dunbaru.
Kiedy się zatrzymał, wysiadła bez słowa, wściekła, że pozwoliła sobie na chwilę słabości wobec tego parszywego hotelarza, i ruszyła w stronę domu.
- Poczekaj.
- Po co?
- Ja...
- Jeśli chcesz wejść, to zapomnij o tym. Praw do Dunbaru na razie nie masz, a ja cię nie zapraszam. Za kilka dni przyjeżdża Hernan.
- W co ty grasz, Indio? O co tu chodzi? Przed chwilą pragnęłaś mnie równie mocno jak ja ciebie.
- Wybacz. Pomyliłam się. Błąd w ocenie - oznajmiła chłodno.
- Indio, nie wciskaj mi ciemnoty, proszę. Znam cię jak siebie samego.
- Wydaje ci się, że mnie znasz - rzuciła, otwierając drzwi. - Nie pozwolę zrobić z Dunbaru historycznej makiety dla turystów^ A pocałunek w lesie był bardzo miły, interesujący materiał do badań porównawczych. Ciekawi mnie różnorodność. - Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem, zadowolona, że zraniła go w tym samym stopniu co on ją. - Dobranoc, Jack. Na twoim miejscu za

bierałabym się za ocean razem z tymi idiotycznymi roszczeniami. Z Sereną ci nie wyszło, to szykujesz następne łajdactwo? Ale się przeliczysz.
Zatrzasnęła drzwi, ciężko się o nie oparła i wybuch-nęła płaczem. Co najlepszego zrobiła? Po co te głupie kłamstwa o Hernanie? Powoli osunęła się na kamienną posadzkę, objęła kolana ramionami. Gdyby tylko mogła nienawidzić Jacka tak bardzo, jak tego chciała...
Usłyszała gniewny ryk silnika porsche.
Kiedyś już myślała, że ktoś złamał jej serce, ale wtedy chodziło tylko o zranioną dumę.
Teraz dopiero się dowiedziała, co znaczy mieć złamane serce. .
W Jacku wszystko się gotowało, bulgotał, ział ogniem, dyszał wściekłością. Jeszcze przez chwilę patrzył na zatrzaśnięte drzwi, potem przekręcił gwałtownie kluczyk.
- Będziesz tego żałowała, Indio - mruknął. Od tej chwili zaczęła się prawdziwa wojna.
Jak śmiała? Zrobiła z niego idiotę. Zagrała na jego uczuciach, zatem pośrednio także na uczuciach Molly.
Dojechał do Dalkirku we wściekłym tempie. Wstawił wóz do garażu, w holu domu natknął się na Petera, który żegnał się właśnie z Mackintoshem.
- Dobrze się czujesz? - Peter zamknął drzwi za gościem i dopiero teraz przyjrzał się uważniej Jackowi.
- Nie, kurwa.
Peter dał mu znak, żeby mówił ciszej.
- Di się wścieka, kiedy klniemy przy dzieciach. Chodź do gabinetu, napijemy się.

Jack usiadł w fotelu koło kominka i puścił całą wiązankę.
- India?
- Nie, Peter, Królewna Śnieżka. Byłem gotów pogodzić się z nią, być razem, a ona mi mówi, że woli różnorodność. W kilka dni po odlocie z Miami już spała z Hernanem, a teraz znów grzeje dla niego wyrko.
- O co właściwie wam chodzi? Wiem, że jest spór o Dunbar, ale nie znam szczegółów.
Jack chwilę się wahał, lecz dwadzieścia minut później miał poczucie, że zrzucił część"'ciężaru z piersi. Wtedy właśnie do gabinetu zajrzała Diana.
- Mogę? Mam ochotę na szklaneczkę sherry. -Uśmiechnęła się domyślnie na widok Jacka. - Czekałam, kiedy wreszcie zaczniesz mówić. - Była serdeczna, a zarazem nieco rozbawiona.
Peter pobłażliwie pokręcił głową.
- Kochanie, przeoczyłaś dziesięć pierwszych odcinków. Rozmawiamy o koincydencjach, które przywiodły tu Jacka. To niezwykłe. Rob Dunbar i Jamie, mój jakiś prapra... nie pamiętam. Doprawdy niezwykłe koincydencje. Jack, mówię ci, listy i dziennik Mhairie to bardzo poruszająca lektura.
- Bardzo - przytaknęła Diana. - Płakałam nad nimi. Biedna Mhairie, tak mi jej było żal. Roba też, ma się rozumieć... ale kiedy wyobraziłam sobie, że ta biedna kobieta znalazła się sama w obcym kraju, spodziewając się dziecka... Nie miała pojęcia, co dzieje się z Robem, czy jej mąż żyje, czy też została wdową... Straszne. -Diana wzdrygnęła się. - Ale wiecie, ja nie wierzę w koincydencje. Od początku byłam pewna, że Rob maczał w tym palce.

- Chcesz powiedzieć, że duchy wpływają na nasze losy? Nie wygłupiaj się, Di. - Jack zaśmiał się i nerwowo przeczesał włosy palcami.
- Nie w sensie dosłownym. Są jednak dusze, które nie zaznają spokoju, dopóki na ziemi nie zostaną uporządkowane pewne sprawy.
- Naprawdę w to wierzysz?!
Jack nawet nie starał się ukryć, jak bardzo jest poruszony, miewał już bowiem podobne odczucia, które ze szczególną mocą nawiedziły go po śmierci Chada i Marilyn. Zastanawiał się, czy w jakiś sposób z zaświatów czuwają nad swoją córeczką. Oczywiście nie było na to żadnych racjonalnych dowodów, ale ogrom rodzicielskiej miłości jest wprost niezmierzony, więc... Pewnej bezsennej nocy Jack długo o tym myślał i nagle uświadomił sobie, że w głębi duszy czuje wdzięczność brata i bratowej za to, że stał się ojcem dla Molly. Być może więc dzieje się tak, że w szczególnych sytuacjach dusze zmarłych nawiązują z nami kontakt, przekazując swoją aprobatę lub wzbudzając niepokój czy wyrzuty sumienia, jeśli nasze postępowanie jest niewłaściwe.
- Diana wierzy w reinkarnację, ciała astralne, magnetyzm zwierzęcy i tym podobne dziwactwa - powiedział Peter ze sceptycznym uśmiechem.
- Tak, dziwactwa. . . Cóż, na twoim miejscu nie mówiłabym o tych sprawach tak lekkim tonem. Pamiętasz, jak Jamie zaalarmował cię, że na północnej farmie stanie się coś złego? Nie stało się, bo zdążyłeś zapobiec nieszczęściu, a mogłeś to zrobić tylko dlatego, bo zostałeś ostrzeżony podczas snu.
Peter zrobił się czerwony jak burak.
- Cóż, przyznaję, że bardzo mnie to wówczas... zain-

trygowało. Może jednak była to po prostu gra wyobraźni? Podświadomość? Imaginacja?
- Imaginacja, masz tobie! Doskonale wiesz, że to był Jamie. Nie ma się czego wstydzić tylko dlatego, że Jack nie wierzy w duchy... Jeszcze nie wierzy.
- Nie powiedziałem, że nie wierzę.
- Przyjmijcie, wreszcie do wiadomości, że Rob miał w tym swój udział. Chce, żeby Dunbar wrócił w prawowite ręce. Jeszcze nie wiem, co to znaczy, ale ty i India macie do odegrania jakieś role. Coś się zdarzy. Coś nieoczekiwanego. - Diana mówiła ja*k wieszczka, która widzi rzeczy przyszłe, nawet jej głos zdawał się płynąć gdzieś z daleka.
- Nic wielkiego się nie wydarzy, kochanie - powiedział Peter trzeźwo. - Sąd orzeknie,, co orzeknie, i tyle jeśli chodzi o nadprzyrodzone zjawiska.
- Nie umiem tego wytłumaczyć, ale czuję, że nie w rękach prawników leży los Dunbaru - cicho powiedziała Diana.
- Uważasz, że nie powinienem zakładać sprawy, tylko czekać, co się stanie z roszczeniem? Jutro zamierzam wszcząć postępowanie - rzucił twardo Jack.
- Zastanowiłeś się, dlaczego chcesz tak postąpić? -Diana spojrzała mu prosto w oczy.
Jack odwrócił wzrok.
- Zakładam sprawę, bo muszę.
- Nieprawda. Jesteś rozjuszony, bo India nie tańczy wokół ciebie, dlatego chcesz iść do sądu.
- No nie, Di, to już przesada - wtrącił szybko Peter, spojrzeniem przepraszając Jacka za żonę.
- Nie nazywaj mnie Di, Peterze Kinnairdzie. - W głosie Diany zabrzmiała niekłamana uraza. - Przyjaźń

jest po to, żeby wygarniać prawdę, kiedy jest taka potrzeba.
- Masz rację, Di, od tego są przyjaciele, by szczerze mówili, co myślą. Musisz jednak zrozumieć, że sprawy wymknęły się spod kontroli i nie mogę się już wycofać.
- Mężczyźni... - parsknęła Diana. - Gdyby nie ta wasza cholerna duma, świat byłby dużo znośniejszy. Czy naprawdę nie możesz dojść z Indią do porozumienia, zamiast ciągać ją po sądach? Przynajmniej spróbuj, przecież India potrafi myśleć rozsądnie. Natomiast Serenę, o czym wszyscy wiedzą, można kupić. To tylko kwestia ceny.
- Nie. - Jack twardo trwał przy swoim. - Już za późno. Dzisiaj wieczorem przekroczyliśmy ostateczną granicę. Nie ma odwrotu.
Diana westchnęła i uniosła dłonie.
- Cóż, róbcie więc swoje... a resztę zostawmy przeznaczeniu. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - A teraz chodźcie na kolację, bo pani MacClean się rozgniewa. - Ujęła Jacka pod ramię i poklepała po dłoni. - Nie martw się, bo niezbadane są wyroki losu. Wiem, naprawdę wiem, że nim się spostrzeżesz, co i jak, sprawy same się ułożą. A teraz rozchmurz się i czekaj nowego dnia. Zobaczysz, rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ale dni mijały i nic nie wyglądało lepiej.

Jack chodził ponury i mroczny niczym ciężkie chmury, co nieustannie zaciemniały niebo, lejąc strugami deszczu, który wytłukiwał pierwsze ambitne pędy przebijające się na powierzchnię zieni. Dziewczynki dokazywały, Mary krzątała się po kuchni, kręciła głową, komentowała pod nosem bieżące wydarzenia i zapewniała serwis informacyjny Dianie, która i bez tego miała dość na głowie. Cała okolica żyła bitwą o Dunbar. Czyniono zakłady, kto wygra, a cowieczorne dysputy Pod Knurem - często poparte wiedzą historyczną - stały się ulubionym zajęciem bywalców. Niektórzy bronili potomków Fergusa, twierdząc że nabrali praw do Dunbaru przez zasiedzenie, ale pan Hunter, miejscowy rzeźnik i domorosły historyk, wyrażał przekonanie większości, gdy twierdził, że prawowitym panem na Dunbarze jest wywodzący się od Roba Amerykanin, nieważne, że cudzoziemiec. Jack westchnął ciężko i oparł czoło o szybę. Dianę irytowało całe to zamieszanie, a jeszcze bardziej fakt, że Molly nie chodziła do szkoły, i wciąż powtarzała, że powinien coś postanowić w tej sprawie. Oczywiście miała rację, co jeszcze bardziej pogłębiało jego wyrzuty sumienia.

Na dodatek stanowczo nie pochwalała tego, że Jack zdecydował się na postępowanie sądowe. Nic nie mówiła,

ale pełne nagany spojrzenia były wystarczająco wymowne. Zwykle skory do wyrażania opinii Peter w tym wypadku również zachowywał milczenie, co Jack odbierał jako wyraz dezaprobaty. Czuł się głęboko osamotniony. Dunbar, zamiast zbliżyć go do przyjaciół, tylko go od nich oddalił.
Czy Rob zaaprobowałby jego projekty przeistoczenia rezydencji w hotel? Prawdopodobnie nie, ale czasy się zmieniają. *Business is business,* i tyle.
Jutrzejsze przesłuchanie powinno wreszcie coś rozstrzygnąć lub przynajmniej zbliżyć do rozstrzygnięcia. Niewielka to rekompensata za świadomość, że India jest tak blisko, zaledwie kilka kilometrów stąd. Czy rzeczywiście spodziewała się przyjazdu Hernana? Jack podszedł do biurka i zaczął nerwowo bawić się przecinaczem do papieru. Na myśl o Hernanie od nowa poczuł dziką furię. Wiedział, że to dziecinne, ale postępowanie sądowe przynajmniej uprzykrzy Indii życie.
Spojrzał na zegarek. Tego popołudnia miał spotkanie z niejaką panną Finlay, kandydatką na nauczycielkę Molly. Dziewczynce wcale się to nie podobało, wolała bowiem chodzić do normalnej szkoły, a nie tkwić w domu i odbywać lekcje z prywatną nauczycielką. Molly wyraziła swoją opinię naburmuszonym, a prawdę powiedziawszy, niegrzecznym tonem...
Jack westchnął. Wszystkie kobiety odwróciły się od niego, począwszy od Indii, a skończywszy na Mary MacClean. Cóż, niewiele rund ostatnio wygrał. Niewiele? Żadnej...
Wymacał w tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów i w tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież rzucił palenie. Przy Dianie, dziewczynkach, Molly i Peterze nie

miał najmniejszych szans. W głębi duszy był z siebie dumny, że od dwóch tygodni nie miał w ręku papierosa, dumny i trochę zaskoczony, bo okazało się to łatwiejsze, niż sądził.
Zadzwonił telefon. Jack czekał, że ktoś z domowników odbierze, ale w końcu sam musiał podnieść słuchawkę.
- Dalkirk.
- Halo, mogę mówić z Jackiem Buchananem? Natychmiast rozpoznał głos po drugiej strome i cały się zjeżył.
- Tak, Hernan, to ja. O co chodzi? - zapytał niezbyt przyjacielskim tortem.
- Cześć. Co ja się ciebie naszukałem!
- O co chodzi? - powtórzył Jack. Chwila wahania.
- O Palacio. Chciałbym omówić z tobą kilka spraw.
- Dalej, omawiaj, ale najpierw powiedz, jak się udał wypad na narty? - Głos Jacka ociekał jadem.
- Wspaniale. Warunki idealne, świetny śnieg, a wieczory jeszcze lepsze. - Hernan zaśmiał się dość, trzeba przyznać, zbereźnie.
- Słyszałem.
- Sam wiesz, jak jest. Chyba się starzeję. Dawniej lubiłem zarwać coś na miejscu, to mnie kręciło, teraz wolę bardziej stateczny układ. Jakie ona ma ciało! Powinieneś widzieć ją na nartach. Mówię ci, tak samo dobrze rusza się na stoku jak w łóżku. Ledwie wyrabiam.
Jack z całych sił zaciskał palce na słuchawce. To sukinsyn, jak on ma czelność?! - ryczał w duchu.
- Z czym dzwonisz? - zapytał lodowato.
- Najlepiej będzie, jeśli wyślę ci faks. Chciałem cię usłyszeć. Dawno nie rozmawialiśmy.

- Dawno.
- No to... wyślę ci faks. Jak India?
- Chyba wiesz lepiej niż ja. - Jack trzepnął słuchawką o ścianę. Co za niebywała bezczelność! Dobrze, że dzieliło go od Hernana tyle tysięcy kilometrów.
- Jack? - Hernan był wyraźnie skonsternowany.
- Czego do diabła chcesz?
- O co ci chodzi, Jack?
- O co mi chodzi? Powiem ci, o mi chodzi. Sypiasz za moimi plecami z moją dziewczyną, jedziesz z nią na narty, a potem mi o tym opowiadasz. Szkoda, że nie ma cię tutaj. Pogadalibyśmy jak mężczyzna z mężczyzną. W słuchawce zapadła długa cisza. Jack oddychał ciężko. Skoro już zaczął, musiał doprowadzić sprawę do końca.
- Mógłbyś mi wyjaśnić, o co chodzi? - Głos Hernana był równie lodowaty jak arktyczne wody Tierra del Fuego.
- Ja mam wyjaśniać? Paradne. Co ty sobie właściwie wyobrażasz! Spodobała ci się, wiedziałem o tym, ale myślałem, że uszanujesz to, co nas połączyło. Hernan, masz kompleks na moim punkcie, tak? Skorzystałeś z okazji i jak szczur wdarłeś się między nas... bo co, chciałeś mi udowodnić, że jesteś lepszy?
- Jack, nie miałem pojęcia, że interesujesz się Brigitte. Nic mi nie mówiła. Ja... Tego wieczoru, kiedy chciałem, żebyś poszedł z nami na kolację, podziękowałeś. Ja...
- Brigitte? Kto to jest Brigitte? Nie rób ze mnie durnia, Hernan. Wiesz, że mówię o Indii. - Jack zorientował się, że krzyczy, więc zniżył głos.
Kolejna długa chwila ciszy.
- To jakaś pomyłka, Jack. Nie widziałem Indii od jej

wyjazdu z Buenos Aires. Zadzwoniłem do niej raz z Zermatt, to wszystko. Nie rozumiem, o co chodzi.
Jackowi zakręciło się w głowie. Usiadł ciężko w fotelu.
- Nie rób ze mnie durnia, Hernan.
- Wierz mi. Wiem tyle, że India jest w Szkocji. Jej sekretarka mi powiedziała. Nie widujecie się?
- Chcesz mi powiedzieć, że nie byłeś na nartach z Indią? - Jack nastawił czujnie ucha, starając się wychwycić fałszywą nutę w głosie Hernana.
- Oczywiście, że nie. Zabrałem do Zermatt Brigitte, pamiętasz, tę szwedzką modelkę, która przyjechała do Brazylii na zdjęcia.
- Tak, teraz pamiętam. Ja... - Jackowi zrobiło się głupio. - Cholera, stary, przepraszam. Idiotyczne nieporozumienie. Wybacz. Zadzwonię do ciebie.
Odwiesił słuchawkę i zapatrzył się w okno. Kłamała.
A on dał się nabrać. Wybuchnął śmiechem. Od dawna już nie było mu tak lekko na duszy. Nie zdradziła go.
Po chwili wstał i ruszył ku drzwiom, pogwizdując „Dixie", widomy znak, że sprawy idą ku lepszemu.
W czwartek ód rana siąpiła z nieba słynna wiosenna szkocka mżawka. India, w beżowym kostiumie i na wysokich obcasach, nagle doszła do wniosku, że jest nieodpowiednio ubrana. Serena wybrała stosowniejszy strój, czyli kostium z tweedu.
- Powinnam była włożyć coś innego - powiedziała, wsiadając do samochodu.
- Wyglądasz wspaniale, jak zwykle. Sędzia zwariuje na twój widok - zapewniła ją Serena. W ciągu ostatnich

tygodni była rozkosznie miła dla siostry. - Denerwujesz się? - zapytała, kiedy ruszyły.
- Trochę. Nie wiem, czym Jack nas zaskoczy.
- Niczym. Trudno sfałszować dowody sprzed dwustu pięćdziesięciu lat.
- Chyba trudno.
Indię bardziej zajmowało to, jak zareaguje na widok Jacka po ostatnim fatalnym spotkaniu. To próbowała o nim zapomnieć, to znów myśleć jak o wrogu, zimnokrwistym rekinie, który dąży do tego, by odrzeć ją z dziedzictwa... lecz i tak nieustannie wracały wspomnienia z Buenos Aires, z Miami...
W sali na Indię, Serenę i Kathleen czekał już John Ramsey w towarzystwie adwokata, Kennetha Duncana.
- To nie potrwa długo - zapewnił z durnym uśmiechem.
Kiedy India usłyszała, że wchodzi Jack, nie podniosła głowy, tylko utkwiła wzrok w papierach, ale wiedziała, że na nią patrzył.
Czy też jest tak zdenerwowany jak ona? Pewnie nie. Wszystko, na czym mu zależy, to ten przeklęty hotel.
Rozprawa za chwilę miała się zacząć i już na nic nie mieli wpływu. O losie Dunbaru miał zadecydować sąd.
Jack przywitał się ze swoimi prawnikami, zamienił kilka słów z McLaughlanem, adwokatem, który miał go reprezentować, usiadł między Hendersonem i Mackayem, i kątem oka zerknął na Indię. Mój Boże, jaka ona piękna i dystyngowana, pomyślał.
I ta oto kobieta drżała pod jego dotykiem...
Prawie zapomniał, po co się tu zjawili. Pragnął jej, głowę miał pełną wspomnień. Nie zdradziła go. Chciał

wycofać się ze sprawy, zrezygnować, naprawić wszystko. Tak go zabsorbowała ta myśl, że nie zauważył wejścia sędziego. Dopiero Mackay lekkim kuksańcem przywrócił go do rzeczywistości i Jack pospiesznie wstał. Dunbar wydawał się teraz taki odległy. Prawdę powiedziawszy, zupełnie nieważny.

Sędzia, przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, przeszedł energicznym krokiem do stołu i zasiadł w fotelu.

- Wysoki Sądzie, oto dowody w sprawie, które chce przedstawić mój klient - zaczął pan McLaughlan, prezentując zamknięte w celofanowych kopertach wiekowe dokumenty.

Jack znowu zaczął błądzić gdzieś myślami, bo procedura prezentowania dowodów i wciągania ich do protokołu trwała długo. Spoglądał co chwila na Indię, ale siedziała wyprostowana i nieporuszona, ani razu nie spojrzała w jego stronę. Jakie to dziwne, pomyślał, że co prawda daleko, ale jednak są ze sobą spokrewnieni. Co nie zmieniało faktu, że należała do niego. Miał ochotę podejść do niej i wziąć ją w ramiona. Z trudem przywrócił się do rzeczywistości, bo McLaughlan skończył już przedstawianie dowodów i zaczął swoją eksplikację. W pierwszych słowach wywiódł czarno na białym, że Jack Buchanan w rzeczywistości powinien nazywać się Dunbar i w prostej linii wywodzi się od Roberta Dunbara, a potem rzekł:

- Wysoki Sądzie, fakty są proste. Robert Dunbar, prawowity dziedzic dóbr Dunbaru, został okrutnie zamordowany. Nie pod Cullodenem, jak sądzono, o nie. Robert Dunbar poniósł śmierć z bratniej ręki.

- McLaughlan zrobił efektowną pauzę. - Zanim jednak objaśnię tę dra-

matyczną historię, proszę mi pozwolić odczytać list, który Robert wręczył swej żonie przed jej wyjazdem do amerykańskich kolonii, a ściślej mówiąc do Karoliny, co miało miejsce na miesiąc przed tragicznym wydarzeniem, które całkowicie odmieniło bieg historii tego kraju. -Znowu przerwał i uniósł list, by wszyscy mogli go widzieć.
- Proszę czytać.
- Ależ Wysoki Sądzie, to absurd... - Duncan wstał z ławki, Ramsey odchrząknął. - Co tu ma do rzeczy list albo bitwa pod Cullodenem? *Res ipsa loquitur*. Fakty mówią za siebie. Sprzeciw. Podważam autentyczność dowodów.
- Panie McLaughlan, czy ma pan potwierdzenie autentyczności dowodów? - zapytał sędzia.
- Tak, Wysoki Sądzie. Oto ekspertyza profesora Mac-kintosha z Uniwersytetu Edynburskiego, wyniki badań laboratoryjnych przeprowadzonych w Departamencie Policji w Miami, ekspertyza grafologa policyjnego, który zapoznał się z kilkoma dokumentami podpisanymi przez Roberta i przechowywanymi w Edynburskim Archiwum Akt Dawnych. - McLaughlan położył na stole sędziego stosowne orzeczenia.
- Sprzeciw odrzucony - zawyrokował sędzia. - Proszę czytać.
McLaughlan odchrząknął i wyszedł na środek sali.
- List, który przeczytam, pochodzi z 1746 roku, krótko przed klęską pod Cullodenem. Sądząc z treści, Robert Dunbar, gdy go pisał, nie wiedział jeszcze, że Mhairie jest w ciąży. Z następnych dowodów wynika, że musiała mu o tym powiedzieć dopiero w chwili pożegnania.

Najdroższa Mhairie,
Pełen niepokoju co do losów moich i Szkocji umiłowanej, pragną Cię upewnić o mej miłości do Ciebie. Jesteś Szkotką i w Szkocji Twoje miejsce, lecz teraz przebywać musisz za morzem dalekim. Wkrótce ruszam do boju, by ta wielka niesprawiedliwość odwróciła się, by wrogi sczezły, byśmy mogli wrócić do naszego dziedzictwa.
Gdyby jednak srogie burze mię pochłonęły, a dobra moje we wraże ręce się dostały, uczynię wszystko, by przekazać Tobie glejt na nowe, szczęśliwe czasy, które z Bożą pomocą za Twego życia nadejdą, 'w co niezłomnie ufam.
Kiedy wrócisz do ojczyzny miłej, do Szkocji wolnej, obcego jarzma wyzbytej, udaj się pod Świętą Zieloną Kopułę i rusz na zachód, odmierzając po trzykroć tyle kroków, ile pocałunków od ciebie pragnąłem w chwili bolesnego pożegnania, i szukaj tam, gdzie pobrzmiewały bojowe okrzyki dziecięcia.
Lecz jeśli nie znajdziesz nic, zmów pacierz za duszę męża, którego kości zbielały na polu bitwy i który tylko z nieba czuwać nad Tobą jest zdolen.
Robert
Twój kochający mąż
McLaughlan odczekał chwilę, a potem zaczął mówić z mocą:
- Mhairie list ten dowiozła do Ameryki, a przed śmiercią otworzyła go, zrozumiała tajemnicze wskazówki męża, które dla przypadkowych osób miały być niepojęte, i przekazała je potomności. Odnalazł je w rodzinnych papierach pan Jack Buchanan. „Święta Zielona Kopuła" oznacza stary dąb Dunbarów, a miejsce, „gdzie po-

brzmiewały bojowe okrzyki dziecięcia" to kamień, w którego pobliżu mały Robert Dunbar uczył się wojennego rzemiosła. Znajduje się on mniej więcej trzysta kroków na zachód od owego dębu. Widać z tego, że o sto pocałunków prosił swą żonę Robert w tragicznej chwili pożegnania... - McLaughlan zadumał się chwilę, jakby rozpamiętując smutny los młodych małżonków. - Mój klient odszukał owo miejsce i wykopał to, co przed śmiercią Robert Dunbar przekazał swojej ukochanej żonie i synowi...
- Wysoki Sądzie! - Duncan zerwał się z ławki. -Zgodnie z tym, czego przed chwilą dowiedziałem się od lady Sereny, dąb znajduje się w posiadłości Dunbar, tak więc pan Buchanan wtargnął na cudzy teren i dokonał grabieży mienia...
- Nic podobnego, Wysoki Sądzie. - McLaughlan uśmiechnął się z wyższością. - To znaczy dąb jest na terenie Dunbaru, jednak kamień, pod którym Robert zakopał swój ostatni dar dla najbliższych, znajduje się na terenie Dalkirku, którego właściciele, sir Peter i lady Diana Kinnairdowie, przekazali prawa do całego znaleziska mojemu klientowi, na co mam stosowny dokument. -Zapadła cisza. McLaughlan przez chwilę napawał się drobnym triumfem, a potem rzekł: - Wysoki Sądzie, pragnę teraz odczytać list napisany przez Roberta Dun-bara do jego żony po bitwie pod Cullodenem. List ten przeleżał w ziemi ponad dwieście pięćdziesiąt lat.
- Proszę, niech pan przystępuje do rzeczy.
Kochanie moje,
Raz jeszcze słońce zaszło nad Stuartów koroną, teraz po wsze czasy. Oddziały, co miały nadciągnąć z Francji,

nie nadciągnęły, sam Książę dawno za wodą. Z tej klęski już się nie podźwigniemy.
Tylu zginęło pod Cullodenem, że mężniejsze serca niż moje krają się z boleści okrutnej. Własnymi rękoma pogrzeźliśmy Twojego Ojca i Brata nad Ballehoy House. Cud prawdziwy, żeśmy ich zdołali do dom przywieźć, alem nie mógł Twych bliskich zostawić pomiędzy duszami, które nawiedzać będą skrwawioną równinę od dziś dnia.
Luba moja Mhairie, jeśli czytać będziesz te słowa, zrozumiesz, że nic już nigdy nie będzie takie samo. Szkocja zmieniła się na zawsze. Złamany lud z broni odarty, bydło będziemy hodować dla sprośnych Angielczyków i zdrajców między nami.
Mój czas się dopełnia, moja słodka Mhairie. Odchodzę w pokoju, pogodzony z Bogiem i ze sobą. Ciebie mi jeno żal, moja miłości, i dzieciątka, co je nosisz w łonie. Synka naszego, wiem o tym, bo we śnie mi się ukazał.
Ucz go, jak dawniej było, moja Mhairie. Niech pamięta, że Dunbarowie, które moje miejsce wezmą, to zdrajcy, zaś ojciec jego do końca był wierny królowi Szkocji.
Czytasz te słowa, bo usłuchałaś mnie i poszłaś pod dunbarski dąb, do świętego kamienia, jak ci przykazałem. Ta ziemia należy się naszemu synowi. Z urodzenia jest mu należna. Niech mu danym będzie kiedyś ją odzyskać, gdy to wszystko przeminie i mądrzejsi rządy wezmą.
Słabym bardzo, najdroższa moja. Zabiorę z sobą słodycz Twoich ust, miłość Twoją, wiarę, że się kiedyś w nie-biesiech spotkamy. Ze teraz krew ze mnie uchodzi, to zdrajców robota, ale wiem w swoim sercu, przyjdzie dzień, kiedy ktoś krzywdę naprawi. Tak jak przyjdzie dzień dla suwerennej Szkocji.

Dbaj o naszą drobinę, moja Mhairie, a ja będę spoglądał na Was z góry. Twój miłujący mąż Robert
McLaughlan skończył czytać pośród absolutnej ciszy, oceniając efekt, jaki list wywarł na słuchaczach.
India podniosła dłoń do gardła, tak żywa, tak wyrazista wydała się jej scena, którą widziała oczami wyobraźni. Młodzi małżonkowie rozdzieleni przez okrutne wydarzenia, nad którymi nie mieli kontroli...
Głos McLaughlana przypomniał wszystkim, że rozprawa jeszcze się nie skończyła.
- Drugi list jest od Roberta do jego syna, Wysoki Sądzie.
- Słucham z najwyższą uwagą, panie McLaughlan. Proszę czytać.
Ukochany synu,
Nigdy nie ujrzę Twojej drobnej twarzyczki umorusanej w zabawie, nie zobaczę Cię, jak w kilcie na wojnę dumnie wychodzisz Ale zabieram Cię ze sobą w swoim sercu.
Moja godzina nadeszła. Bóg mnie wzywa, odchodzę. Dbaj o swoją matkę, niech jej nigdy na niczym nie zbywa.
Modlę się tylko, że nadejdzie dzień, kiedy ktoś, Ty to będziesz czy synowie Twoi, przeczyta te słowa, pozna prawdę i odzyska, co Ci się z urodzenia należy.
Zachowaj certyfikat małżeński, który matka przechowuje. Jesteś moim jedynym prawowitym potomkiem i Tobie spuściznę moją przekazuję.
Niech wie mój syn, że nie z ran bitewnych opuszczam

ten świat, liczyłem się bowiem między tych szczęśliwców, którzy uszli spod Cullodenu, szwanku nie odniósłszy. To zdradziecki sztylet mojego kuzyna Fergusa przyczyną mojej śmierci.
Ten list i list do Twojej matki, jakoż i złoto, powierzam pieczy mojego wiernego druha Jamiego Kinnairda, z jego pomocą, u kresu żywota stojąc, zakopię je nieopodal dunbarskiego dębu, przy kamieniu, gdziem pierwsze wojenne nauki pobierał. Dopóki dunbarski dąb stoi i póki kamień trwa, zawsze ta ziemia będzie należała do Dunbarów. Tak poprzysięgał sobie nasz przodek William, kiedy tu pierwszy osiadł.
Odchodzę w pokoju, mój synu, bo jestem pewny, że przyjdzie dzień, w którym zdrada pomsty doczeka, i Ty albo Twoje syny znowu po tej ziemi stąpać będziecie. Dopiero wtedy mój duch zazna spokoju.
Twój miłujący Cię ojciec
Robert
India z trudem powstrzymywała łzy. Mowa była o jej rodzinie, o jej przodkach. Śluby Roberta przywodziły jej na myśl koszmary, o których czytała w książkach historycznych. Teraz minione dzieje nabierały realnego wymiaru, wydarzenia sprzed wieków stawały się namacalnie obecne.
Gdyby Mhairie nie uciekła do Ameryki... Lekko odwróciła głowę i napotkała spojrzenie Jacka. I już wiedziała, że czy to jakaś boska siła, czy przeznaczenie przysłały go tutaj, by naprawił okrutną krzywdę. Czy Rob mocą swego ducha pchnął go, by upomniał się o to, co z urodzenia było mu należne? Jego umiłowanie Szkocji, jego przyjaźń z Peterem Kinnairdem, potomkiem Jamie-

go, wszystko to układało się w jedną całość. Tylko co z tym hotelem?
Przeszedł ją zimny dreszcz. Czyżby Jack był na tyle cyniczny, by wykorzystać tragiczne dzieje swoich przodków do osiągnięcia tak pospolitego celu?
McLaughlan wrócił na swoje miejsce.
- Wysoki Sądzie, te dokumenty oraz już przedłożone stanowią podstawę roszczeń mojego klienta. - Podał sędziemu fotokopie listów.
- Czy dysponuje pan jeszcze jakimiś materiałem dowodowym, z którym sąd powinien się zapoznać? - zapytał sędzia.
- Nie, Wysoki Sądzie.
- Panie Duncan, sąd chce usłyszeć, co pan ma do powiedzenia w sprawie.
- Wysoki Sądzie, jestem oczywiście poruszony, jak, nie wątpię wszyscy na tej sali, tragicznymi zdarzeniami sprzed wieków, nie możemy jednak pozwolić, by emocje przesłoniły nam prawdziwy powód dzisiejszej rozprawy. Czuję się zakłopotany, iż zajmujemy cenny czas szacownego Sądu, odpierając zupełnie nieuzasadnione roszczenie, czynione są bowiem wbrew prawu wieczystemu. Prawo wieczyste, jak wiadomo, stanowi, iż wszelkie roszczenia majątkowe wygasają po dwudziestu jeden latach od śmierci posiadacza spornej własności. Mamy rok pański 2000, natomiast dokumenty, na których opiera się roszczenie, pochodzą z roku 1746. Jeśli dobrze liczę, minęło ponad dwieście pięćdziesiąt lat. Sąd nie ma innej możliwości, jak odrzucić roszczenie, chyba że udowodnimy, iż bezsporny posiadacz majątku, sir Rober Dunbar, zmarł mniej niż dwadzieścia jeden lat temu. - Kenneth Duncan wrócił na swoje miejsce.

- Dobrze powiedziane - szepnął Ramsey.
- Wysoki Sądzie. - McLaughlan przystąpił do ataku.
- Roszczenia mojego klienta mają mocne uzasadnienie w powszechnie obowiązujących normach moralnych, w ich odwiecznej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie elementarnej czystości. Coś jest moralne bądź nie jest, *tertium non datur*. Tak, trzeciego wyjścia nie ma. Zbrodnia nie przestaje być zbrodnią, mimo że minęło dwieście pięćdziesiąt lat, a skoro nie możemy ukarać zabójcy, to zlikwidowanie jej skutków stanowi naszą powinność, jeżeli na gruncie moralności pozostać chcemy.
- McLaughlan uczynił znaczącą pauzę. - Jaka jest więc prawda, owa nieodrodna siostra moralności? Mój uczony kolega twierdzi, że prawo wieczyste wygasa po dwudziestu jeden latach, lecz zapomniał dodać, iż powstało ono, jak każde prawo, by regulować zwyczajny porządek rzeczy. Natomiast tu mamy sytuację niecodzienną, na imię jej bowiem bratobójstwo i jego skutki trwające ponad dwieście pięćdziesiąt lat. Wysoki Sądzie, legalny i jedyny dziedzic Roberta Dunbara - a także jego potomkowie -nie miał najmniejszych szans na dochodzenie swych roszczeń, co spowodował „zdradziecki sztylet Fergusa". Zabójca dobrze wiedział, kiedy uderzyć. Nie uczynił tego przed bitwą pod Cullodenem, lecz po mej, kiedy jako zdrajca swego narodu i poplecznik najeźdźców mógł liczyć na ich opiekę, a przede wszystkim na uznanie niesłusznych praw do Dunbaru. Była to pozbawiona jakichkolwiek skrupułów cyniczna kalkulacja. Gdyby Fergus nie zabił swego kuzyna, lady Mhairie powróciłaby z dzieckiem do ojczyzny i zamieszkała u boku męża w Dunbarze, ponieważ jednak zabił, mógł bezkarnie zagarnąć wdowi grosz i dziedzictwo prawowitego następcy

Roberta... - Głos McLaughlana załamał się lekko, a jego oczy dziwnie się zaszkliły. Zaraz jednak rzekł z mocą: - Wysoki Sądzie, gdyby nie haniebny czyn bratobójstwa, pan Jack Buchanan urodziłby się w Szkocji jako dziedzic Dunbaru. Moralnym jest więc, by ci, którzy czerpią korzyści ze zbrodni, wreszcie przestali je czerpać, moralnym jest, by przywrócone zostało święte prawo własności temu, komu się ono należy, czyli panu Jackowi Buchananowi. - McLaughlan przerwał na chwilę, by jego słowa zapadły w pamięć obecnych. - Wysoki Sądzie, przychodzimy tutaj z czystymi rękami. Chcemy naprawić zło wyrządzone dwieście pięćdziesiąt lat temu. Dowody przedłożone Wysokiemu Sądowi z całą mocą wykazują, iż mój klient, pan Buchanan, jest prawowitym dziedzicem dóbr Dunbar.
India patrzyła, jak sędzia Mackenzie zsuwa w zamyśleniu okulary na koniec nosa. Zacisnęła dłonie, przygryzła wargę.
Czy Jack byłby zdolny zadać sobie tyle trudu wyłącznie z wyrachowania?
Kiedy na niego spojrzała, podniósł dłoń i dotknął ust nadgarstkiem w dobrze znanym geście. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczyło, by stanęły jej przed oczami obrazy z Rio. Opuściła szybko głowę.
- Prosimy, by Wysoki Sąd wysłuchał słów płynących zza grobu - mówił dalej McLaughlan. - Czyż nie powinniśmy respektować woli umierającego człowieka i jego przechodzących na potomków praw? Nadmieniam przy tym, że chodzi o człowieka, który przelewał krew za prawowitego króla Szkocji i który powrócił do domu, by zginąć z rąk najbliższych krewnych. Rob Dunbar napisał, że jego dusza nie zazna spokoju, póki zło nie zo-

stanie naprawione. Przeznaczenie mu dopomogło. Czyż to nie zdumiewające, że pan Buchanan, za sprawą całej serii zbiegów okoliczności, zaprzyjaźnił się z obecnym na tej sali sir Peterem Kinnairdem of Dalkirk, którego przodek, Jamie Kinnaird, był najserdeczniejszym druhem Roba Dunbara? Co więcej, to ów druh serdeczny, na prośbę umierającego przyjaciela, zakopał listy, które dziś przedłożyliśmy Wysokiemu Sądowi i które przeleżały w ziemi ponad dwieście pięćdziesiąt lat, czekając, by wreszcie sprawiedliwość ujawniła swoje jasne oblicze. -McLaughlan zbliżył się do sędziego. - Godzi się, Wysoki Sądzie, abyśmy naprawili zdradzieckie zło. Pozwólmy duchowi Roba Dunbara odejść w spokoju, niech już nie błąka się po tym padole, mąk więcej nie cierpi, szukając sprawiedliwości dla tych, w których żyłach płynie jego krew. Jak już powiedzieliśmy w eksplikacji, dopraszamy się nie zemsty, lecz zadośćuczynienia, co nakazują nam powszechnie obowiązujące normy moralne. Ani upływ czasu, ani nasze przepisy prawne, artykuły i paragrafy nie mogą przekreślić nieprzenośnego prawa do ziemi. Dlatego też upraszamy Wysoki Sąd, by odwołując się do norm powszechnych, uznał prawo mojego klienta do jego ziemi.

Pan McLaughlan zakończył dramatyczną nutą i powrócił na swoje miejsce. Jack wymienił długie spojrzenie z Peterem. Indii na ten widok łzy napłynęły do oczu: oto więź serdeczna, co przed wiekami łączyła ich przodków, teraz z nich czyni braci.

Kenneth Duncan wstał tak energicznie, że omal nie zawadził togą o róg stołu.

- Wysoki Sądzie - zaczął ze śmiechem. - Nie mogę uwierzyć, że mój uczony kolega podtrzymuje tak niedo-

rzeczne roszczenie. Niewiele więcej da się powiedzieć, Wysoki Sądzie. Mogę tylko dodać, że orzeczenie inne niż na korzyść moich klientek zamieni obowiązujące od wieków prawo w kpinę.
Z nieprzeniknionego wyrazu twarzy sędziego Mackenziego nic się nie dało wyczytać.
- Ogłaszam przerwę do poniedziałku, godzina dziesiąta. Wtedy wydam orzeczenie. - Co rzekłszy, wstał, skinął głową i opuścił salę bocznym wyjściem.
India wyobraziła sobie Jacka pod dunbarskim dębem, jak odmierza kroki w kierunku kamienia, i uśmiechnęła się. Niemal widziała, jak kierując się wskazówkami Mhairie, kopie w mrokach nocy, szukając skarbu. I jak klnie przy tym. Westchnęła. Dunbar powinien ich połączyć, zamiast rozdzielać.
Schowała zmoczoną łzami chusteczkę i ruszyła ku wyjściu, Serena i Kathleen za nią. Co prawda nie spojrzała nawet w stronę Jacka, ale przechodząc koło jego ławki, usłyszała fragment rozmowy.
- Jaki będzie werdykt, panowie? - pytał.
- Trudno powiedzieć, panie Buchanan. Nie wiem, jak sędzia odniesie się do przedstawionych dzisiaj faktów. Miał pan jednak rację. To zagorzały szkocki separatysta i fanatyk historii.
- Prawie cały klan Mackenzie został wybity pod Cullodenem, jeśli ma to jakieś znaczenie - włączył się inny głos.
- Żadnego - stwierdził Henderson. - Mackenzie nigdy nie dopuści, by jego osobiste odczucia miały zaważyć na orzeczeniu.
- Pozostaje nam tylko czekać. - Jack podniósł się z ławki. - Miłego weekendu, panowie, i do zobaczenia w poniedziałek.

Po wszystkim, co India dzisiaj usłyszała, mogła zrozumieć, dlaczego tak strasznie zależało mu na Dunbarze. Jeżeli fakty były prawdziwe, miał takie samo prawo do dunbarskich dóbr jak ona i Serena. Nie była jednak pewna, jakimi motywami się kierował. Czy chodziło mu tylko o dziedzictwo? Powodowało nim wyłącznie przywiązanie do tej ziemi? Nie potrafiła odpowiedzieć. Być może nic gp nie obchodziła przeszłość, tragiczny los przodków, ich smutne koleje losu... Może myślał wyłącznie o własnej korzyści? Ale Rob był też jej przodkiem, więc musiała wypełnić zobowiązania, jakie miała wobec niego.

- Jak pan myśli, Ramsey? - zagadnęła Serena już na korytarzu. - Mają jakieś szanse?

- Proszę się nie martwić, lady Sereno. Argumenty zostały wyłożone bardzo zgrabnie, to trzeba przyznać, bo też z McLaughlana wytrawny adwokat, ale prawo jest prawem, nie sposób go obejść.

- Nie boi się pan, że sędzia może być stronniczy? - zapytała India.

- Tego nigdy nie da się powiedzieć, panno Indio, ale nie wierzę. Jak już wcześniej powiedziałem, orzeczenie na korzyść pana Buchanana byłoby rzeczą w najwyższym stopniu zadziwiającą. - Wbrew tym słowom, dotychczasowa pewność siebie Johna Ramseya gdzieś jednak się ulotniła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

India miała nadzieję na spokojny, relaksujący weekend, tymczasem rozchorowała się okropnie i niemal całą sobotę i niedzielę spędziła w łóżku.

Kathleen chodziła koło niej jak kwoka, karmiła rosołkami i poiła herbatkami ziołowymi.

- Co takiego mogłaś zjeść, kochanie? - pytała chyba piętnasty raz. - Myślę, że to curry w indyjskiej restauracji. Bo cóż by innego.

India przytakiwała dla świętego spokoju. Wszystko jedno co było przyczyną, byle nudności wreszcie ustały. Za każdym razem, kiedy podnosiła się z łóżka, świat zaczynał wirować, żołądek wywracał się na drugą stronę, a żadne leki Kathleen nie pomagały.

W poniedziałek rano jakoś zwlekła się z łóżka i skrzywiła na widok swego bladego odbicia, aż końcu zeszła na dół, wypiła kubek herbaty i była gotowa jechać na rozprawę.

- Serena powinna być lada chwila. Jest taka miła dla ciebie... Ciekawam, czego chce. - Kathleen podeszła do okna wychodzącego na podjazd.

- Może zamierza odpokutować wszystkie przykrości, które mi wyrządzała w dzieciństwie - próbowała zażartować India.

- Uważaj na nią. Nie wiem, o co jej chodzi, ale zna-

jąc Serenę, łatwo zgadnąć, że coś knuje. - Kathleen pokręciła głową.
- Ona nie jest taka zła, Kath.
- To się jeszcze okaże. Ale dajmy temu pokój, dzisiaj mamy inne zmartwienia. Ciekawe, co też powie sędzia. Moim zdaniem Buchanan już przegrał. - Kathleen wróciła do stołu i dolała sobie herbaty.
- Nie wiem. Czuję się tak strasznie, że jest mi wszystko jedno.
- Biedactwo. Nie martw się, na pewno wkrótce ci przejdzie. - Kathleen uśmiechnęła się z troską. - Przykro mi, że nie jadę z tobą, ale wynik jest oczywisty, a ktoś powinien „zostać na włościach", jak się to mówi. Poza tym muszę dzisiaj spisać pranie. Oho, jest Serena.
Rzeczywiście pojawiła się punktualnie piętnaście po dziewiątej. India zmobilizowała wszystkie siły i jakoś udało jej się dotrzeć do starego volvo siostry.
- Tak mi przykro, że się źle czujesz - przywitała ją Serena. - Nie jesteś chyba w ciąży?
- Nie. To jedyna rzecz, której jestem w tej chwili całkowicie pewna, dziękować Bogu.
- Żeby to tylko nie był jakiś paskudny wirus.
- Może, ale nie mam temperatury, nie jestem przeziębiona. Nie, chyba mi zaszkodziło curry u Hindusa. - India zapatrzyła się w deszczowy pejzaż.
- Czy ten idiota nie widzi, że jestem za nim! - Wlokąca się za traktorem Serena kilka razy nacisnęła na klakson, a mężczyzna w tweedowej czapce dał jej znak, żeby go wyprzedziła. Po kilku minutach wjechały do miasta.
Sala sądowa była wypełniona po brzegi dziennikarzami i tłumem ciekawskich. Indii nic już nie obchodziło,

marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do Dun-baru i położyć się do łóżka. Siedziała z zamkniętymi oczami, ale świat pomimo to wirował dalej. Nie była nawet w stanie poszukać wzrokiem Jacka.
Do sali wszedł sędzia Mackenzie, zasiadł na swoim miejscu, chwilę przekładał papiery, wreszcie zaczął:
- Z jednej strony mam roszczyciela, który przedstawił sądowi przekonujące argumenty, z drugiej obecne właścicielki, które nie ponoszą żadnej winy za czyny popełnione dwieście pięćdziesiąt lat temu. Żeby podjąć decyzję, musiałem sięgnąć do annałów historycznych. Brałem pod uwagę prawa kiedyś obowiązujące, jak też wolę Williama Dunbara, który obwarował swoje dobra wyłącznością, wreszcie wolę jego potomka Roberta, który zginął z ręki zdradzieckiego kuzyna. - Przerwał, by po chwili przystąpić do dalszej części wywodu. - Musimy pamiętać, że gdyby rebelia jakobicka skończyła się zwycięstwem, Roberta Dunbara nie spotkałaby tak okrutna śmierć, a Szkocja byłaby dzisiaj innym krajem, niepodległym i dumnym, nie zaś podporządkowanym Anglii i zepchniętym na drugorzędną pozycję. Ludzie tacy jak Fergus Dunbar godni są pogardy, bo nie honorem się kierowali, nie interesem kraju, lecz zwykłą chciwością.
- W głosie sędziego zabrzmiało nieskrywane potępienie.
- Jak na ironię wczoraj, szesnastego kwietnia, przypadała znacząca dla naszego kraju rocznica. Tego dnia, dwieście pięćdziesiąt cztery lata temu, w sobotę, została stoczona najbardziej krwawa bitwa w naszej historii. Wystarczy odwiedzić pola pod Cullodenem, by przekonać się o prawdziwości słów Roba Dunbara Tak, umęczone dusze po dziś dzień nawiedzają równinę. - Sędzia Mackenzie przerwał na moment i w absolutnej ciszy poprawił okulary.

- To smutne, kiedy człowiek nad powinności wobec kraju, nad patriotyzm i lojalność przedkłada pieniądze, kiedy nad honor i prawdę stawia korzyści majątkowe. Wiemy jednak zarazem, że haniebny czyn Fergusa tylko jego skazuje na wieczyste potępienie, a skutki zabójstwa po dwudziestu jeden latach nabrały mocy prawnej i w żaden sposób nie obciążają następnych pokoleń. Pamiętajmy jednak, że objawił się prawowity spadkobierca Roberta Dunbara, za którego roszczeniami przemawia nie litera prawa, lecz historia tej ziemi. - Przez salę przeszedł szmer podniecenia, bowiem dylemat przedstawiony przez sędziego zdawał się nie mieć sprawiedliwego rozwiązania. - W moim najgłębszym przekonaniu roszczenia wszystkich stron są równej mocy, choć z innych źródeł się biorą. Dlatego orzeczenie brzmi: dobra dunbarskie zostaną podzielone na trzy równe części.
Serena jęknęła cicho, lecz zaraz umilkła, bo sędzia Mackenzie posłał jej karcące spojrzenie.
- Jeśli któryś ze współwłaścicieli będzie chciał sprzedać swoją część, może ją sprzedać tylko jednemu z pozostałych współwłaścicieli, a dobra dunbarskie mają pozostać niepodzielne. Wszystkie koszty związane z zarządzaniem dobrami pokrywane są przez wszystkich współwłaścicieli w trzech równych częściach.
- Co? - Tego już było Serenie za dużo.
Jack słuchał werdyktu w kompletnym osłupieniu. Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego. Takiego rozwiązania w ogóle nie brał pod uwagę.
Henderson też mocno się zadziwił, lecz zarazem ucieszył, McLaughlan wyglądał na kompletnie zaskoczonego, natomiast Ramsey był najzwyczajniej zły.
- Wynik może nie do końca satysfakcjonujący, panie

Buchanan, niemniej pozytywny - zauważył pan Henderson z jowialnym uśmiechem. - Lady Serena i panna Moncrieff będą się oczywiście odwoływać, na co się przygotujemy, chociaż jeszcze nie słyszałem, żeby jakiś wyrok Mackenziego został zmieniony. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby zdarzyło się to teraz. Jeśli pan chce, może pan objąć swoją część dóbr.
- Muszę to przemyśleć, Henderson. Takiego rozwiązania nie przewidywaliśmy.
- Jeśli mam być szczery, dla mnie też to była niespodzianka. Po zastanowieniu przychodzę jednak do wniosku, że to sprawiedliwe orzeczenie - wtrącił pan McLaughlan.
- Chyba tak - przyznał Jack.
Cała trójka wstała i skierowała się do wyjścia. India stała dwa kroki przed Jackiem, czekając, aż tłum wysypie się na korytarz. Była tak blisko, że mógł dotknąć ręką jej ramienia. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Znowu wezbrał w nim znajomy gniew, znajoma złość. Dlaczego uparła się odrzucić wszystko, co ich łączyło?
Kiedy wydostali się na korytarz, natychmiast opadli ich dziennikarze:
- Co pan sądzi o werdykcie, panie Buchanan? Czy obejmie pan swoją część majątku?
- Lady Sereno, będzie się pani starała pozbyć jankesa? Jack nie zwracał uwagi na dziennikarzy. Widział tylko
Indię, która starała się jakoś przetrwać atak medialnej sfory. Niewiele myśląc, przecisnął się do niej, objął za ramię i wymanewrował z tłumu.
- Bez komentarzy - warknął do jakiegoś natręta, który podsuwał mu mikrofon pod same usta.
- Czy to prawda, że łączy pana coś z panną Moncrieff?

Jack błyskawicznie wyprowadził Indię z budynku sądu i natychmiast skręcił za róg.
- Dobrze się czujesz? - zapytał, kiedy upewnił się, że są sami.
- Dobrze, wszystko w porządku. - Wbrew zapewnieniom wcale nie wyglądała najlepiej.
- Co się z tobą dzieje? - Dotknął delikatnie jej policzka. - Jeśli ta sprawa tak cię wykańcza, to ja...
- Jack, proszę. - India odsunęła się o krok. Przez moment myślał, że zemdleje, była taka blada i wycieńczona.
- Nie chcę z tobą walczyć. Mam tego dość. Niech Ramsey przygotuje dokumenty, podpiszemy je i koniec. Obiecaj mi tylko, że nie wyrzucisz dzierżawców, że otoczysz ludzi opieką i że nikomu nic nie powiesz, dopóki nie wyjadę do Szwajcarii.
Jack słuchał z przerażeniem Indii, która po prostu się poddawała, rezygnowała, oddawała mu pole.
- Nie możesz kapitulować, Indy. Znajdziemy jakiś sposób, żeby wspólnie zarządzać majątkiem. Możemy...
- W jego głosie odezwała się desperacja.
- Nie chcę patrzeć, jak zamieniasz Dunbar w hotel, wiesz o tym doskonale. A walki mam już dość, powiedziałam ci przed chwilą. Przyrzeknij mi tylko... Proszę.
A więc to naprawdę koniec.
- Oczywiście, przyrzekam, ale zanim podejmiesz decyzję, musisz mnie wysłuchać...
- Nie. Chcę wrócić do domu i zarx>mnieć o wszystkim. - Oparła dłonie na udach i zaczerpnęła głęboko powietrza, po czym wyprostowała się ze smutnym uśmiechem. - Pozostaje mi tylko życzyć ci powodzenia.
Kiedy wyciągnęła dłoń, Jack podniósł ją do ust i długo trzymał. Nie chciał jej puścić. India wymykała mu

się, a on nic nie mógł na to poradzić. Dunbar, zamiast ich połączyć, rozdzielał.
- Nie rób tego, Indy. Możemy wspólnie zarządzać Dunbarem - powtórzył. - Znajdziemy rozwiązanie.
Pokręciła głową.
- To nie ma sensu, Jack. Każde z nas chce czegoś innego. Osiągnąłeś swój cel. Wygrałeś. Ciesz się i nie próbuj niczego forsować. Już za późno.
- Ale...
- Proszę.
Nie miał odwagi spierać się z nią. Nie teraz i nie tak.
- Gdzie twój samochód?
- Przyjechałam z Sereną. Muszę jej poszukać.
Była przerażająco apatyczna, obojętna, zupełnie niepodobna do siebie. Kiedy wziął ją pod ramię, ruszyła jak automat. Nigdy jej takiej nie widział, jakby uszła z niej cała energia. India zrezygnowana, pokonana...
Serena pierwsza ich dostrzegła i podeszła szybkim krokiem.
- Indio, musimy jechać do kancelarii Ramseya. Zaraz.
- Ona nie powinna nigdzie jechać w takim stanie -próbował protestować Jack.
- To nie twoja sprawa - prychnęła Serena.
- W porządku, Jack. Pojadę - powiedziała India zmęczonym głosem. - Dziękuję. - Uśmiechnęła się blado. - Ramsey się z tobą skontaktuje, a ja wytłumaczę wszystko Serenie. - Raz jeszcze podała mu rękę. - Do widzenia, Jack.
- Do widzenia.
Stał na chodniku, nie zważając na siąpiący deszcz, na zdziwione spojrzenia przechodniów. Patrzył, jak India

odchodziła razem z Sereną, i wiedział, że tym razem stracił ją ostatecznie.
- Doprawdy, sędzia posłużył się niezwykłym sposobem rozumowania. - Wyraźnie zakłopotany John Ramsey przekładał nerwowo papiery na biurku.
- Co do diabła ma znaczyć „niezwykły sposób rozumowania"? - napadła na niego rozwścieczona Serena.
- To dosyć skomplikowane, lady Sereno, ale mówiąc najogólniej, zamiast literą prawa pokierował się własną opinią.
- To niemożliwe!
- Niestety możliwe. Nasz system prawny dopuszcza podobne sytuacje, ale proszę się nie martwić, złożymy odwołanie i werdykt zostanie zmieniony.
- Ale dopóki nie zostanie, Buchanan jest współwłaścicielem Dunbaru.
- W sensie technicznym tak, ale proszę zauważyć, że nie może sprzedać swojej części! Sędzia wyraźnie zaznaczył, że dobra dunbarskie są niepodzielne.
- To znaczy, że ja, gdybym chciała, też nie mogę sprzedać swoich udziałów?
- W rzeczy samej, lady Sereno, chyba że za zgodą jednego ze współwłaścicieli odsprzeda pani swoją część drugiemu z nich.
- To niebywałe. Zapewniał nas pan, że coś takiego w ogóle nie wchodzi w grę.
- Nie, lady Sereno. Powiedziałem tylko pannie Indii, że jeśli coś podobnego się zdarzy, będzie to czysta aberracja.
- Powinnyśmy były wziąć innego prawnika - sarknęła Serena. - Widzisz, Indio, to on nas tak urządził przez

swój brak kompetencji. Musimy natychmiast znaleźć innego doradcę. Nie mogę uwierzyć, że pan do tego dopuścił, Ramsey. Powinien się pan wstydzić.
- Pan Ramsey nie ponosi żadnej winy za to, że sędzia Mackenzie podjął akurat taką decyzję, Sereno.
- W takim razie nasz system prawny jest do niczego. Coś trzeba zrobić. Nikt nie może zabrać mi mojej własności i oddać jej jakiemuś cholernemu Amerykaninowi. Kiedy możemy się odwoływać?
Ramsey zawahał się.
- To zależy od panny Indii. To ona pokrywa wszystkie koszty. Jak pani wie, majątek nie przynosi żadnych dochodów.
- Indio, musimy działać. - Serena podniosła się i stanęła nad siostrą, jakby chciała przymusić ją do natychmiastowej akcji.
- Nie będę się odwoływać, Sereno. Mam tego dość.
- Jak to? - W oczach Sereny pojawiło się przerażenie. - Co to znaczy, nie będziesz się odwoływać? Chyba zwariowałaś.
- Nie, po prostu-jestem już zmęczona tą szarpaniną.
- Nie wierzę własnym uszom. Nie pozwolę, żebyś zmarnowała to, co mi się słusznie należy. Jeśli nie chcesz dochodzić naszych praw, oddaj mi swoją część.
- To niemożliwe, lady Sereno - oznajmił Ramsey z wyraźną satysfakcją. - Żeby tak się mogło stać, potrzebne jest porozumienie wszystkich trzech współwłaścicieli.
Serena rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie i z zaciśniętymi dłońmi zaczęła chodzić po gabinecie.
- Pomyśleć tylko, że miałam wszystkie karty w ręku. Sprzedałabym Jackowi i nikt by o niczym... - Przera-

żona przerwała w pół słowa, że się wygadała. Spojrzała na Indię.
India już wiedziała. A więc Jack nie kłamał.
Dlaczego dopiero teraz dowiadywała się, jak było naprawdę? Właśnie teraz, kiedy postanowiła definitywnie zamknąć ten rozdział swojego życia? Nie uwierzyła mu, nie dała mu szansy. Powinna jak najszybciej wyjechać, uciec od koszmaru, uciec od Sereny, od Dunbaru, wynieść się z tego nieszczęsnego miejsca, w którym nie zaznała niczego dobrego.
Znowu poczuła się słabo, omal nie zemdlała. Czuła' straszny żal, że tak okrutnie obeszła się z Jackiem.
- Przepraszam, panie Ramsey, ale nie czuję się zbyt dobrze. Porozmawiamy o mojej decyzji innym razem, teraz muszę wracać do Dunbaru. - Podniosła się niepewnie.
- Chryste, Indio, co z tobą? - Serena przyskoczyła do niej i wzięła pod ramię. - Odwiozę ją do domu -powiedziała do Ramseya. - Wolfie czeka na dole w samochodzie, zawieziemy cię do Dunbaru.
- Dziękuję - szepnęła India.
- Tak mi przykro, panno Indio. Może napije się pani wody...
- W porządku, Ramsey, ja się nią zajmę. - Serena stanowczym gestem odsunęła go na bok.
Zjechały na parter staroświecką windą.
- Biedna Indy fatalnie się czuje, Wolfie. Musimy odwieźć ją do domu.
- Naturalnie. - W głosie Wolfiego, o dziwo, zabrzmiała troska.
Do Dunbaru dotarli po południu. India pozwoliła Serenie zaprowadzić się do salonu i opadła bez sił na kanapę, szczęśliwa, że wreszcie może odpocząć.

- Tak, wyciągnij się, kochanie. Przyniosę ci filiżankę herbaty. Odpoczywaj, powiem Kath, że już jesteśmy. Oprzyj stopy na poduszce, okryję cię pledem. Wolfie, chodź ze mną, pomożesz mi w kuchni. Zaraz wracamy, Indy. Możemy cię zostawić na moment?
- Nie przejmujcie się. Przepraszam, że narobiłam wam kłopotu. Dzięki. - India uśmiechnęła się słabo. Zamknęła oczy, rada, że wreszcie jest sama Wtuliła głowę w poduszkę i rozpłakała się. Dręczyły ją żal i poczucie winy.
Inna kobieta pozwoliłaby mu przynajmniej wytłumaczyć się, lecz ją stać było tylko na kłamstwa o Herna-nie... Nawet nie pomyślała, że może zniszczyć przyjaźń Jacka i Hemana. Na myśl o tym, że nic już nie da się zrobić, bo czasu nie cofnie, zaniosła się niepowstrzymanym szlochem.
Serena chwyciła Wolfiego za ramię i wepchnęła go do biblioteki.
- Nie będzie się odwoływała. Wszystko stracę.
- Ale dlaczego...
- Nie wiem. Wracaj do niej. Nie, idź do kuchni i powiedz Kathleen, żeby przygotowała herbatę. Muszę iść do toalety. - Serena była zupełnie rozkojarzona.
Dziesięć minut później wkroczyła do salonu z zastawioną tacą.
- Gotowe - oznajmiła radośnie. - Zaraz poczujesz się lepiej. - Zmierzyła uważnym spojrzeniem Indię, która miała zaczerwienione oczy i posępną minę. - Wyglądasz okropnie, ale herbata powinna postawić cię na nogi. Mama zawsze tak mówiła, pamiętasz?
India uśmiechnęła się blado i z wysiłkiem podniosła filiżankę do ust.

- Pij, pij, zobaczysz, to ci pomoże. Wolfie, herbaty?
- Nie, dziękuję, wolę perriera.
India nie bez trudu wypiła gorący płyn.
- Najchętniej zostałabym z tobą, ale Wolfie o szóstej musi być na lotnisku. Nie będziesz miała żalu? W razie czego masz pod ręką Kathleen.
- Jedźcie, dam sobie radę. " India była zielona na twarzy.
- W takim razie będziemy się zbierać. Potrzebujesz jeszcze czegoś? - Serena poprawiła poduszkę pod głową siostry. - Zadzwoń do mnie wieczorem, jeśli będę ci potrzebna, dobrze?
- Nie przejmuj się mną. Odpocznę i wszystko będzie dobrze.
- Wynośmy się stąd - powiedział Wolfie, ledwie znaleźli się na zewnątrz.
Serena wskoczyła do samochodu i zatrzasnęła pośpiesznie drzwiczki.
- Nie wiem, co robić, Wolfie. Jeśli ona nie...
- Nie martw się i zaufaj mi. Ty nie wiesz, ale ja wiem, co robię.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W drodze powrotnej do Dalkirku Jacka stać było zaledwie na urywaną, bezładną rozmowę z Peterem. Od śmierci Chada nie był tak przygnębiony.

- No i jak? - W holu przywitały obu panów Diana i Chloe. - Mam nadzieję, że sędzia kazał ci się wynosić. - Chloe dała Jackowi sójkę w bok.

- Ty chyba nigdy nie dorośniesz. - Diana posłała siostrze karcące spojrzenie. - Jesteś jeszcze gorsza niż dziewczynki. Mów, Jack, proszę. Nie trzymaj nas w napięciu.

- Najbardziej zaskakujące orzeczenie, jakie można sobie wyobrazić. - Peter pokręcił głową. - Nigdy jeszcze z czymś takim się nie zetknąłem.

- Mówcie wreszcie - niecierpliwiła się Chloe.

- Każde z nas dostało swój kawałek. Dunbar został podzielony na trzy części - oznajmił Jack apatycznym głosem. Chciał teraz być sam. Zamknąć się w pokoju i przemyśleć to, co się stało.

- Co? - Chloe przechyliła głowę. - Nie jesteś zadowolony? Przecież do tego dążyłeś. Biedna Indy. Teraz będziesz mógł uprzykrzać jej życie do końca świata i jeden dzień dłużej. Ten sędzia to jakiś koszmarny facet.

Jack spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem.

- To koniec.

- Co znaczy: koniec? - zapytała Diana niespokojnie. Jack marzył tylko o tym, żeby dali mu święty spokój
i zostawili samego... z jego myślami, wspomnieniami, z jego smutkiem.
- Mów - nalegała Chloe.
Jack przetarł oczy i pokręcił głową.
- Nie wiem, co myśleć o tym wszystkim.
Peter spojrzeniem dał Dianie i Chloe znak, żeby zostawiły ich samych.
- Chodź do biblioteki, stary. Zasłużyliśmy sobie na drinka.
- Jack, nie zapomnij, że po południu przyjeżdża twój przyjaciel - powiedziała Diana, odchodząc.
- Ach tak, zupełnie zapomniałem. - Zerknął na zegarek. - Na pewno jest już w drodze, za późno, żeby odwołać wizytę.
Wzruszywszy ramionami, Jack poszedł za Peterem i w bibliotece opadł ciężko na skórzaną kanapę. Wszystko straciło sens. Nie chciał kolejnego hotelu, nic już nie chciał - zależało mu tylko na Indii. Przyjął od Petera szklaneczkę. Co zrobić, żeby odwrócić bieg zdarzeń? Wypił whisky jednym haustem. Miała gorzki smak.
- Przepraszam, nie jestem dzisiaj najlepszym kompanem. - Uśmiechnął się z wysiłkiem.
- Daj spokój. Zostawiam cię samego. Nie wpadaj w przygnębienie. Wszystko się ułoży, zobaczysz. Pojadę na lotnisko po Westmorelanda. Zobaczymy, czy rzeczywiście będzie z nami budował ten hotel w Sydney. Wydawał się bardzo zainteresowany.
- Owszem. - Jack kiwnął głową, ale myślami był gdzie indziej. Po co tak się wysilał? Tyle energii na nic. Dunbar bez Indii nie miał dla niego żadnej wartości. Teraz

to zrozumiał. Czuł się strasznie samotny i zagubiony, jak chyba jeszcze nigdy. Długo siedział bez ruchu, wpatrując się w ogień na kominku.
Pół godziny później do biblioteki zajrzała Chloe.
- Jadę do Indii, Jack. - Zawahała się. - Jesteś pewien, że między wami wszystko skończone?
- Tak. Widocznie tak miało być.
- Hm, ciekawe... Patrzcie no, ludziska, Jack Buchanan kapituluje. To się nazywa prawdziwa miłość - zauważyła cierpko.
- Zamknij się, Chloe, i wynoś się - warknął. Nie był w nastroju do rozmowy, a tym bardziej do sprzeczki.
Chloe wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi; zostawiając Jacka sam na sam z ponurymi myślami.
- Hej! - Głos Chloe odbił się echem w wielkim, pustym holu. Weszła kuchennym drzwiami i zaczęła szukać Indii. - Gdzie jesteś?
Dzień był tak pochmurny, że w salonie panował niemal całkowity mrok.
- Indy? - Chloe weszła niepewnie do pokoju i wtedy usłyszała jakiś odgłos z podłogi. Po omacku znalazła kontakt. - Chryste, co się stało?
India leżała na podłodze zwinięta w kłębek. Wyglądała strasznie: szara jak popiół twarz, fioletowe usta. Chloe doskoczyła do niej, przeciągnęła na pół przytomną po dywanie i oparła plecami o kanapę.
- Co się dzieje, Indy?
India nie była w stanie dobyć z siebie słowa, nie otworzyła nawet oczu. Oddychała z trudem, krople potu wystąpiły jej na czoło.
- Jezu drogi! - Chloe podniosła się i wybiegła do ho-

lu, szukać pomocy. - Pani Walker, Kathleen! - zaczęła krzyczeć. - Chodźcie tu szybko.
W korytarzu natychmiast pojawiła się Sue Walker.
- Co się stało, panno Chloe?
- India... - zdołała wykrztusić.
- O Boże, ostatnio nie najlepiej się czuła. - Sue Walker wytarła nerwowo dłonie o fartuch.
- Niech pani dzwoni po karetkę. Musimy ją zawieźć do szpitala.
Z piętra zbiegła Kathleen.
- Co się stało? India?! Już wzywam karetkę. Moje biedne dziecko.
- Lepiej wezwać helikopter. Lady Serena przed wyjściem mówiła mi, że panna India nie czuje się dobrze i żeby jej nie przeszkadzać. Przez głowę mi nie przeszło, że jest aż tak źle - desperowała Sue.
Kathleen chwyciła słuchawkę telefonu i pospiesznie wystukała numer.
- Do diabła, zajęte. Chloe, idź do niej, będę próbowała się dodzwonić.
Dwadzieścia minut później na trawniku przed domem wylądował helikopter. India w mgnieniu oka znalazła się na noszach, zaraz potem w maszynie.
- Wyjdzie z tego? - zawołała Chloe do lekarza.
- W tej chwili nic nie mogę powiedzieć. Dzieje się coś niedobrego.
- Polecę z nią - zadeklarowała się roztrzęsiona Kathleen.
Chloe ścisnęła jej ramię.
- Nie, ja polecę. Chcę być przy niej. Muszę.
- Ale ja powinnam...
- Kath, błagam, ja polecę. Zadzwoń do Dalkirku, ale

rozmawiaj z Peterem, bo Di zaraz wpadnie w panikę. Powiedz mu, co się stało. - Chloe uściskała Kathleen i pomachała Sue na pożegnanie.
- Chloe, kochanie, byłoby naprawdę lepiej, gdybym to ja poleciała - upierała się Kathleen.
- Proszę się nie martwić, lady Kathleen - odezwała się Sue Walker. - Panna Chloe się nią zajmie. Wszystko będzie dobrze - uspokajała.
Kathleen patrzyła, jak Chloe wsiada do helikoptera.
- Ci młodzi są tacy roztrzepani. Wolałabym sama polecieć z Indią, ale trudno. Pójdę zadzwonić do Dalkirku. Za dużo się ostatnio działo, za szybko. Najpierw orzeczenie, teraz India. Cóż, trzeba żyć dalej i nie tracić nadziei. - Pokręciła głową i z westchnieniem weszła do domu.
- Jack?
Głos przyjaciela obudził go z zamyślenia. Nawet nie zauważył, kiedy się ściemniło. Peter zapalił lampę.
- Tak...
- Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale przed chwilą odebrałem dziwny telefon.
- Tak?
- Prawdę powiedziawszy, niepokojący.
- O co chodzi?
- Zadzwonił markiz Ambrognelli. Jest w Edynburgu, zatrzymał się w hotelu Balmoral. - Peter zawahał się. -Dzwonił wczoraj do Dunbaru, chciał rozmawiać z Indią, ale gospodyni powiedziała mu, że nie może podejść do telefonu, bo jest chora.
- Chora? — Jack poderwał się z kanapy. Czuł, że coś jest nie w porządku, i teraz miał potwierdzenie. - Sprawdziłeś, co z nią, jak się czuje?

- Uspokój się, już wszystko dobrze. Zabrali ją do szpitala. Chloe jest przy niej.
- Do szpitala? - przeraził się Jack. - Natychmiast tam jedziemy.
Peter położył mu dłoń na ramieniu.
- Nie, stary, nigdzie nie pojedziemy. Najpierw musisz mnie wysłuchać. - W głosie Petera było coś, co zmusiło Jacka do skupienia uwagi.
- O co chodzi?
- Mówiłem już, dzwonił markiz. To stary przyjaciel domu Dunbarów, wielbiciel lądy El. Właśnie jedzie do nas. Ma jakieś informacje, które chce mi przekazać, ale przez telefon nic więcej nie zdradził. Bardzo się zmartwił na wiadomość o chorobie Indii. Podejrzewa, że jej choroba może łączyć się z tym, co ma mi do powiedzenia.
- Peter pokręcił głową. - Nic nie rozumiem, ale chcę, żebyś był przy tej rozmowie. Markiz powinien pojawić się mniej więcej za kwadrans.
- Markiz? - powtórzył Jack nieufnie.
- Tak, stara wenecka arystokracja...
- Co to ma wspólnego z Indy?
- Nie mam pojęcia, ale coś mi mówi, że nie usłyszymy nic dobrego. A, prawda, zapomniałbym. Samolot Westmorelanda ląduje o siódmej. Pojadę po niego, ale najpierw musimy przyjąć Ambrognellego.
- Cholera jasna! Muszę jechać do szpitala, muszę zobaczyć, co się dzieje z Indią.
- Nie chcę cię deprymować, ale po tym, co się stało, nie sądzę, żeby twoja wizyta dobrze na nią wpłynęła.
- Zakłopotany Peter odwrócił wzrok.
Miał rację. India nie będzie chciała go widzieć. Usłyszeli podjeżdżający pod dom samochód i szybko

wyszli do holu. Peter otworzył drzwi frontowe akurat w momencie, kiedy szofer pomagał markizowi wysiąść ze starego rollsa.
- Tak się cieszę, że przyjechałeś, markizie. Proszę do środka. A pan - tu zwrócił się z uśmiechem do szofera - niech zajrzy do kuchni. Pani MacClean zaopiekuje się panem, poczęstuje gorącą herbatą.
- Dziękuję, sir.
- I ja się cieszę, drogi chłopcze, że cię widzę. - Markiz uścisnął serdecznie dłoń Petera. - Wstrząsająca historia. Niezwykle wstrząsająca.
- To Jack Buchanan, mój. amerykański przyjaciel i wspólnik w interesach.
Markiz zmierzył Jacka uważnym spojrzeniem.
- A więc to ty jesteś tym młodym człowiekiem, przez którego moja India jest taka nieszczęśliwa. Mam do ciebie słowo, chłopcze, ale to później. Najpierw, moi panowie, porozmawiamy o tym, co najpilniejsze.
W holu pojawiła się Diana.
- Giordano. - Uściskała serdecznie starszego pana. -Wspaniale cię widzieć. Prawdziwa niespodzianka. Dlaczego nas nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz?
Trzej panowie wymienili szybkie spojrzenia.
- Rzeczywiście, to uchybienie z mojej strony. Powinienem był was uprzedzić; Na starość zapominam o dobrych manierach. - Markiz uśmiechnął się przepraszająco. - Zamierzałem odwiedzić was jutro, ale uznałem, że jak najszybciej powinienem porozmawiać z Peterem, i oto zjawiam się nieoczekiwanie. Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam?
- Ależ skąd. - Diana odpowiedziała uśmiechem i zerknęła pytająco na męża, zbyt dobrze była jednak wy-

chowana, by zadawać jakieś pytania. - Wchodź, proszę. Mam nadzieję, że zostaniesz na kolacji.
- Dziękuję, *cara*, z przyjemnością. - Markiz z galanterią ucałował dłoń Diany.
- Usiądziemy w bibliotece, Di.
- Dobrze. Aha, chciałam ci powiedzieć, że przygotowałam dla Westmorelanda zielony pokój. Nie wiem, jak się będzie czuł. Pewnie jest przyzwyczajony do większych luksusów.
- Nie przejmuj się, Di. Lance na pewno nie będzie kaprysił. To normalny facet. 'Znam go jeszcze z wojska i zapewniam cię, że tam nie mieliśmy żadnych „zielonych pokoi". - Jack mrugnął i poklepał Dianę po ramieniu.
- Dzięki, panowie. - Peter z westchnieniem ulgi zamknął drzwi biblioteki. - Nie chcę jej niepotrzebnie denerwować. Gdyby wiedziała, że India jest w szpitalu, oszalałaby z niepokoju. Giordano, siadaj. Napijesz się czegoś?
Markiz usadowił się wygodnie w głębokim fotelu i oparł dłonie na gałce laseczki. Przez chwilę wpatrywał się w ogień. Jack miał okazję przyjrzeć mu się lepiej. Ciemnoszary garnitur, biała nakrochmalona koszula, jedwabny, krawat w kolorze burgunda. Pan w podeszłym wieku, ale bez śladu zniedołężnienia. Co wiedział o nim i o Indii, że pozwolił sobie na wcześniejszą uwagę?
- Kropelkę sherry, Peter, jak zwykle. Dziękuję. -Markiz zmarszczył czoło, zastanawiając się, od czego zacząć. - Żeby opowiedzieć wam dokładnie, z czym przyjeżdżam, muszę się cofnąć do czasu, kiedy umarła moja droga Elspeth - powiedział wreszcie z ociąganiem.
Jack wolałby, żeby markiz oszczędził im wstępów i od

razu przeszedł do sedna sprawy, ale starszy pan nie spieszył się. Upił łyk sherry, strzepnął z rękawa nieistniejący pyłek, znów się zadumał...
- Dzień przed śmiercią Elspeth rozmawiałem z nią. wieczorem przez telefon. Czuła się dobrze, skarżyła się tylko na mdłości. Powiedziała, że po kolacji zrobiło się jej niedobrze, ale zbagatelizowała sprawę, więc też się tym nie przejąłem. My, ludzie starsi, zwykle cierpimy na rozmaite drobne dolegliwości. Poradziłem jej, żeby zażyła jakiś środek na trawienie i położyła się do łóżka. Dopiero kiedy spotkałem się z Indią po jej powrocie z Argentyny i usłyszałem o niedokończonym liście, który znalazła na biurku matki, zacząłem się zastanawiać. Ten list, który był do niej skierowany, nie dawał Indii spokoju. Elspeth pisała, że boi się rozmawiać z nią przez telefon, bo rozmowa może zostać podsłuchana, oraz nalegała, żeby India jak najszybciej przyjechała do Dunbaru. Niestety ani India, ani ja, nie potrafiliśmy ustalić, kogo lub czego obawiała się moja El. W Dunbarze przebywała Serena, jej narzeczony Wolfie von Loewendorf, i oczywiście Kathleen. - Z tonu głosu markiza wynikało, że tej ostatniej nie bierze pod uwagę. - Zastanawiałem się, India oczywiście też, o co mogło chodzić. Wiedziałem, że stosunki Indii z Sereną nigdy nie układały się dobrze, bo Elspeth bardzo bolała nad tym, że jej córki nie mogą się porozumieć. Smutne, ale tak często bywa w rodzinie. W każdym razie w pewnym momencie coś mnie uderzyło. Coś dziwnego.
- Proszę mówić. - Dla Jacka było jasne, że ma do czynienia nie ze zgrzybiałym starcem, lecz z człowiekiem o sprawnym, przenikliwym umyśle.
- Poprosiłem Indię, żeby dała mi kserokopię niedo-

kończonego listu. Wtedy nie chciałem jej niepokoić swoimi domniemaniami, które mogły okazać się zupełnie chybione. - Markiz spojrzał na Petera, potem na Jacka. -Zacząłem swoje prywatne dochodzenie. Rodzinę Wolfie-go znam dobrze od wielu lat. Przed wojną, kiedy mieszkałem w Paryżu, często spotykałem się z jego dziadkiem. Przypomniałem też sobie pewien skandal, który miał miejsce jakieś dziesięć lat temu. Dotyczył ciotki Wolfiego, która zmarła w dość dziwnych okolicznościach. - Przerwał na moment. - Została otruta.
- Otruta? - Jack spojrzal'na Petera, chcąc sprawdzić, jak przyjmuje tę opowieść. Dla niego brzmiała zbyt teatralnie: włoski markiz, pruskie intrygi, trucizny... Uniósł lekko brew.
- Aha, widzę, że mi nie wierzysz, chłopcze. Niestety, to prawda. Rodzime udało się zatuszować sprawę, ale wiem z pewnych źródeł, że Wolfie był głównym podejrzanym i że von Loewendorfowie wyłożyli znaczne sumy, by nie wniesiono przeciwko niemu oskarżenia. Potem go wyklęli, nie chcą go znać. Zapewne dlatego próbuje szczęścia tutaj - zauważył markiz cierpko. - Panowie, nie chcę wzbudzać paniki, ale mam wszelkie podstawy sądzić, że Wolfie i Serena nie tylko otruli moją drogą Elspeth, ale w ten sam sposób usiłują usunąć ze swej drogi Indię. Symptomy, które opisała mi gospodyni z Dunbaru, są charakterystyczne dla zatrucia arszenikiem.
Jack nadal nie dawał wiary domniemaniom markiza.
- Dlaczego Serena miałaby uciekać się do morderstwa? Chcę wykupić udziały Indii, to samo zamierzam zaproponować Serenie. Będzie miała swoje pieniądze. To na razie poufna wiadomość - dodał szybko.
- Serena jest najbliższą krewną Indii, prawda?

- Tak. - Peter powoli pokiwał głową i zmrużył oczy.
- Teraz rozumiem, do czego zmierzasz. Jeśli Serena pozbędzie się Indii, zagarnie całe pieniądze ze sprzedaży majątku, a na dodatek odziedziczy La Dolce Vita i dom w Szwajcarii. India zdaje się spłaciła już hipotekę, prawda, Giordano?
- India, dzięki ciężkiej pracy, stała się bardzo zamożną kobietą. Ciotka Wolfiego też była nadzwyczaj majętna
- mówił markiz. - Wolfie myślał, że do spółki z bratem odziedziczy jej fortunę, bo starsza pani nie miała dzieci. Widzę tu ten sam sposób działania. Wolfie prawdopodobnie planował pozbyć się również brata i przejąć jego część spadku. Stało się jednak tak, że nie dostał ani grosza, bowiem ciotka cały majątek zapisała jakiejś fundacji ekologicznej. Tak czy inaczej, musimy mieć świadomość, że mamy do czynienia z dwoma niebezpiecznymi, pozbawionymi skrupułów indywiduami. Ta para uczyni wszystko, by zdobyć to, co pragnie zdobyć.
Jacka przeszedł dreszcz. Rozumowanie markiza miało jednak sens.
- Serena jest zdolna do wszystkiego - przyznał - ale czy nie wyciąga pan zbyt daleko idących wniosków? -bronił się jeszcze przed przyjęciem prawdy.
- Oczywiście nie możemy osądzać zbyt pochopnie. Nie będziemy wiedzieć nic na pewno, dopóki nie zażądamy ekshumacji szczątków mojej drogiej Elspeth i nie będziemy mieli wyników badania krwi Indii. Z tego co wiem, powinny być gotowe najdalej jutro rano. Kiedy dzwoniłem do szpitala, nalegałem, by się pospieszyli. To straszne, ale sprawiedliwości musi stać się zadość. Niestety wszystko wskazuje na najgorszy możliwy wariant. Trzeba działać, panowie. Trzeba pomścić śmierć Elspeth

i zrobić co w naszej mocy, by ochronić Indię. To nasze zadanie. - Markiz utkwił spojrzenie w Jacku. Ten skinął głową. Sceptycyzm się ulotnił, teraz ogarniała go panika.
- Mogą próbować dotrzeć do niej nawet w szpitalu
- zaczaj. - Powinniśmy natychmiast wynająć ochroniarzy.
- Już o tym pomyślałem i wynająłem ludzi, którzy będą jej pilnować dzień i noc. Są przebrani za pielęgniarzy, nie rzucają się w oczy. Gdyby działo się coś podejrzanego, mają mi natychmiast meldować.
Niezwykły człowiek, władczy i energiczny pomimo swojego wieku, pomyślał Jack z podziwem i uśmiechnął się ciepło do markiza.
- Pomyślał pan o wszystkim. Dzięki Bogu, India jest bezpieczna. Nic mi nie pozostało do zrobienia - stwierdził apatycznie.
- Ty, chłopcze, masz inną rolę do odegrania. Jeśli rzeczywiście sprawy mają się tak, jak przypuszczamy, a wszystko na to wskazuje, będziesz miał mnóstwo do zrobienia. - Markiz spojrzał chytrze na obu przyjaciół. - Moje doświadczenie mówi mi, że w takich wypadkach nie można zdawać się na policję. - Wstał powoli, podszedł do Jacka i położył mu dłoń na ramieniu. - Nie martw się. Indii w tej chwili nic nie grozi. Jest bezpieczna.
- Chyba jednak powinienem być przy niej.
- Nie, nie, nie. - Markiz stanowczo pokręcił głową.
- Zostaw biedne dziecko w spokoju. Niech dojdzie do siebie. Dość się już przez ciebie nacierpiała.
- Ale...
- Żadnych ale. Nalegam. Możesz mieć tyle hoteli, ile chcesz, i latać po całym świecie, pracując na zawał

w okolicach czterdziestki, to twój osobisty wybór. Jednak w tym wypadku dostosujesz się do moich poleceń.
Do Jacka nikt tak nie mówił, od kiedy przestał być nastolatkiem, więc teraz, kompletnie nie wiedząc, jak zareagować, zwyczajnie, niczym smarkacz, zamknął się.
Peter posłał mu pełen zrozumienia uśmiech.
- Co zrobimy z Westmorelandem?
- O Lance'a się nie martw. Jest niezastąpiony w krytycznych sytuacjach.
- Okay - zgodził się Peter. - Zrobisz, jak uważasz. Jeśli chcesz go wprowadzić w sprawę, to twoja decyzja. Zresztą i tak by się dowiedział..
- Co postanawiamy w kwestii... lady Elspeth?
- Masz pewne wpływy w miejscowych władzach, prawda? - zapytał markiz Petera.
- Owszem. Ale w czym rzecz?
- Jestem pewien, że Serena nie zgodzi się na ekshumację, a Indii nie wolno teraz niepokoić. Musimy jakoś to obejść.
- Hm. Spróbuję porozmawiać z łanem. To porządny chłopak. Jako kuzyn lady Elspeth podpisze nam każdy dokument.
- Czy to ten, którego widziałem na cmentarzu? - zapytał Jack.
- Ten sam - przytaknął Peter.
- Dobry pomysł - pochwalił markiz. - Tymczasem powinniśmy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. I nikomu ani słowa.
- Oczywiście. Nie wolno niepokoić naszych pań -zgodził się Peter. - Może jednak należałoby się podzielić podejrzeniami z lekarzem?
- Już z nim rozmawiałem.

Markiz rzeczywiście pomyślał o wszystkim. Ten stary człowiek po cichu, niepostrzeżenie zapanował nad sytuacją.
- Czy jest coś, o co pan nie zadbał? - zapytał pół-żartem Jack. - A tak dla wyjaśnienia, moje rachunki z Indią są mniej więcej wyrównane. Nie tylko ona cierpi.
Na twarzy markiza pojawił się na poły żartobliwy, na poły melancholijny uśmiech.
- To rzeczywiście ciężka sprawa, kiedy nie tak układa się nam z kobietą, jak byśmy sobie życzyli, prawda? Jeszcze pamiętam, jak to bywa. Dawne czasy, ale wierz mi, od czterdziestu lat dziękuję Bogu, że odrzuciłem dumę i potrafiłem otworzyć serce. Duma i młodość to niebezpieczna kombinacja. Człowiek nie powinien dawać jej posłuchu. Zapamiętaj to sobie.
Jack spojrzał na Petera, trochę zbity z tropu, w końcu wzruszył ramionami, wstał i ruszył do garażu. W głowie miał kompletny chaos.
Dojazd na lotnisko Turnhouse zajął mu pół godziny.
Lance'a znalazł bez trudu. Stał przy barze pośrodku terminalu w kowbojskich butach i w stetsonie na głowie. Jack uśmiechnął się pod nosem.
- Cześć, Teksas!
Wielkolud odwrócił się gwałtownie.
- Jack! Dobrze cię widzieć. Strasznie mi przykro z powodu twojego brata. - Przyjaciele wymienili mocny, męski uścisk dłoni, uścisk dwóch facetów, którzy nie raz zaglądali śmierci w oczy i nie raz ratowali sobie nawzajem życie. - Napijesz się?
- Aha. - Jack z uśmiechem skinął głową. - Nic się nie zmieniłeś. - Ta sama szczupła sylwetka, szare, ciepłe oczy, które widziały zbyt wiele, mocne rysy, postawa żołnierza. - Trafiłeś w sam środek piekła, staruszku.

- Tak? - W ciepłych oczach pojawił się czujny błysk.
- Opowiem ci po drodze. Zbierajmy się. Dokończyli drinki i ruszyli w drogę do Dalkirku. Jack zreferował Lance'owi, w co mimowolnie wdepnął.
- Tak to w tej chwili wygląda - zakończył. - Ani słowa dziewczynom, ma się rozumieć, a wobec Sereny i Wolfiego musimy zachowywać się tak, jakbyśmy nic nie podejrzewali.
- Jasne - przytaknął Lance odruchowo, zatopiony we własnych myślach.
- W co się zaopatrzyłeś? - zapytał Jack, kiedy po wprowadzeniu wozu do garażu wyjmował bagaż West-morelanda z tylnego siedzenia.
Lance zmrużył oczy i spojrzał uważnie na przyjaciela.
- Smith&wesson, dziewiątka - odpowiedział, przeciągając zgłoski. - W samolocie mam jeszcze glocka, gdyby zaszła potrzeba.
- Dobrze. Zobaczymy, czym dysponuje Peter.
- Skąd wiedziałeś, że przyjadę zaopatrzony? Do spokojnej Szkocji? - zainteresował się Lance.
Jack uśmiechnął się pod nosem.
- Człowiek nie pozbywa się tak łatwo starych nawyków. Lance wybuchnął śmiechem i zsunął stetsona na tył
głowy.
- Nieźle, Buchanan. Całkiem nieźle.
Ruszyli do bocznego wejścia, wymieniając uwagi na temat zalet i niedostatków swoich samolotów. W kuchni oczywiście natknęli się na Mary MacClean.
- Pan Jack, miło pana widzieć! - Zamilkła i zmierzyła Lance'a krytycznym spojrzeniem.
- To Lance Westmoreland, pani MacClean.
- Też Amerykanin?

- Nie, madame. Teksańczyk. - Lance z galanterią uchylił kapelusz.
- Hm. Tylko patrzeć, jak kolacja będzie gotowa. Idźcie się ogarnąć i przebrać.
- Wow. - Lance rzucił Jackowi niepewne spojrzenie, kiedy znaleźli się w korytarzu.
- Spokojnie. Rodzina Petera jest wspaniała. Przekonasz się.

Po kolacji panowie na powrót wycofali się do biblioteki. Mieli przed sobą długi wieczór. Trzeba było omówić sytuację i przygotować precyzyjny "plan działania.

Następnego dnia rano Jack zrobił wszystko, żeby otrząsnąć się z ponurych myśli, i przystąpił do akcji. Zaczął od rozmowy z Chloe. Wydobył z niej tyle informacji, ile zdołał, nie wzbudzając podejrzeń. Uwierzyła w opowieść lekarza o zatruciu pokarmowym, nie zwróciła też uwagi na dwóch ochroniarzy, którzy dyskretnie czuwali w korytarzu w pobliżu sali Indii.

Panowie wyznaczyli sobie kolejne spotkanie wczesnym przedpołudniem.

- Mam nadzieję, że Lance trafi do jadalni - stwierdził Jack, siadając do późnego śniadania.

Chloe poderwała głowę.

- Lance?
- Tak. Lance West...

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął Westmoreland. Chloe zamarła, z Lance'em stało się mniej więcej to samo.

- A ty co tutaj robisz, na Boga? - zawołała i uśmiechnęła się szeroko. - Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

- Nie wiedział, inaczej zostałby w domu - mruknął Jack uprzejmie.
- Chcesz w łeb?
- Przestańcie. Zachowujecie się jak dzieci - skarciła ich Diana.
- Lance jest przyjacielem Jacka - pospieszył z wyjaśnieniem Peter. - Wchodzi z nami do spółki przy jednym z przedsięwzięć.
- Och. - W głosie Chloe dało się słyszeć nieukrywany zawód, ale po chwili znowu uśmiechnęła się szeroko. - Wszystko jedno. Ważne, że tutaj jesteś.
- Wy się znacie? - zdumiała się Diana.
- Tak. Lance jest moim szefem: - Chloe spłoniła się jak pensjonarka.
- Ach, więc to ty jesteś tym słynnym Teksańczykiem
- wtrącił Jack. - Powodzenia, stary. Siadaj do śniadania. Naprawdę zainwestowałeś w jakiegoś brukowca?
Chloe spiorunowała go wściekłym spojrzeniem.
- To nie jest żaden brukowiec! - Była naprawdę zła.
- Zresztą na kogo ja się złoszczę, zawsze byłeś milutki... inaczej. Nic dziwnego, że India nie chce cię znać. Świetnie ją rozumiem.
- Zachowuj się przyzwoicie, młoda damo - szepnął Jack. - Tym razem grasz w poważne klocki.
- Zamknij się - syknęła Chloe. - Dlaczego mi nie powiedziałeś, że on przyjeżdża?
- A skąd niby miałem wiedzieć, że Lance to twój Teksańczyk?
- Mogłeś się domyślić - stwierdziła z godnością.
- Przestaniecie wreszcie? - odezwała się Diana, powoli tracąc cierpliwość. - Bardzo cię przepraszam, Lance, za ich zachowanie. Może ty potrafisz ich uspokoić.

Jack uśmiechnął się beztrosko.
- Może potrafi.
Wyraźnie ubawiony Lance przysłuchiwał się sprzeczce. Kiedy śniadanie się skończyło, panowie przeprosili panie, znów bowiem zamierzali zamknąć się w bibliotece.
- Co się dzieje? - zwróciła się Chloe do siostry. -Może wiesz, co oni knują?
- Nie mam pojęcia, kochanie, ale cierpliwości, i tak dojdziemy prawdy. - Diana spojrzała pytająco na sunącego ku drzwiom męża.
Miejmy nadzieję, że nie dojdziecie, pomyślał Jack, wymykając się za Peterem. Zdawał sobie jednak sprawę, że ciężko będzie zachować dyskrecję.
- Dziewczyny zaczynają coś podejrzewać - stwierdził, gdy tylko zamknął za sobą drzwi.
- Wiem. Powiem im, że omawiamy sprawę nowego hotelu, we Włoszech albo na Sardynii. To wyjaśni obecność Giordana. Widzisz, Lance, mimo woli wpadłeś w sam środek poważnej afery. Co za zbieg okoliczności, że znasz Chloe - dodał po chwili Peter.
- Owszem. To niesamowita dziewczyna. Ponieważ jej ojciec nie żyje...
- Zmarł krótko po naszym ślubie.
- Więc niewykluczone, że niedługo złożę wam oficjalną wizytę. Już nie w interesach - powiedział Lance, sadowiąc się na parapecie.
A więc to aż tak daleko zaszło, pomyślał Jack. Lance i Chloe... Ciekawa **Z** nich będzie para.
Peter prawie nie słyszał słów Lance'a, bo myślał o czymś innym.
- łan i Giordano powinni być tu lada chwila. Gior-

dano przeniesie się do nas, bo dojazdy z Edynburga są dla niego zbyt męczące. Jack, będziesz musiał odstąpić mu swój pokój i przenieść się na górę. RRM, rozumiesz.
- Peter uśmiechnął się przepraszająco.
- Dlaczego ja? Przenieś Lance'a na górę. Poza tym co to za RRM?
- RRM, czyli Rodzina Robi Miejsce. Diana twierdzi, że należysz do rodziny, więc nie masz wyboru.
Jack mruknął coś pod nosem i cała trójka wybuchnęła śmiechem. W tej samej chwili w drzwiach pojawili się łan i markiz.
- Jakie wiadomości? - zapytał Peter, kiedy wszyscy się już przywitali.
- Nie najlepsze. - łan pokręcił głową. - Koroner upiera się, że jedna z córek musi podpisać zgodę. Szokująca sprawa, Peter. Paskudna.
- A mała dotacja? - zapytał markiz. - Na przykład dla klubu policyjnego? Coś w tym rodzaju?
- Przykro mi, Giordano, ale nie tutaj. Oni są w tych sprawach bardzo zasadniczy - powiedział Peter smętnie.
- Hm, szkoda. Będziemy musieli w takim razie uciec się do niekonwencjonalnych metod, żeby zdobyć podpis
- zawyrokował markiz.
- To znaczy? - Peter podniósł wzrok.
- Jack, masz przygotowane dokumenty związane z kupnem Dunbaru?
- Tak, oczywiście. - Jack nie chciał- teraz myśleć
o przejęciu majątku.
- Zadzwoń do swoich prawników i każ im je natychmiast sprawdzić, by były gotowe do podpisu.
Serena
i India podtrzymują chęć sprzedaży swoich części, *cor-rettol*

- Tak - burknął. No cóż, kolejne przypomnienie, że między nim i Indią wszystko skończone.
- *Va bene.* Niech ci prawnicy zrobią tak, by tych dokumentów było jak najwięcej. Aneksy do umowy, aneksy do aneksów... całe mnóstwo papierów, a każdy wymagający podpisu. Ma być ich tyle, żeby osoba składająca podpisy poczuła się znużona i nie patrzyła na każdy kar-teluszek... Oczywiście jeden komplet dla Indii, drugi dla Sereny, bo ta nie może niczego podejrzewać.
^ Podstępem chcecie zdobyć zgodę na ekshumację? - oburzył się łan, ale markiz tylko uśmiechnął się wyrozumiale.
- Drogi chłopcze, cel uświęca środki, tak na to popatrz. Serena prawdopodobnie zamordowała twoją ciotkę, to samo chciała zrobić z Indią, bo w jej krwi znaleziono ślady arszeniku. Dzwoniłem dzisiaj do szpitala i rozmawiałem z lekarzem.
- Dobry Boże - mruknął łan. - Ale jakim cudem lekarz udzielił panu poufnych informacji dotyczących zdrowia pacjentki?
- Dobrze znam doktora MacGregora, przyjaźnił się bowiem z moją drogą Elspeth i traktował nas jak małżeństwo, więc uznał mnie za osobę bliską również Indii. Oczywiście doktor MacGregor zawiadomił policję, bo arszenik wskazuje na próbę zabójstwa...
- Nie mogę tego słuchać! - Jack uderzył pięścią w stół. - Rozprawię się z Sereną i z tym sukinsynem. Natychmiast.
- Jestem z tobą, partnerze - odezwał się Lance. Markiz wzniósł ręce w geście desperacji.
- Cóż za porywczość, *Dio mio.* Nie tak szybko, panowie. *Ride meglio chi ride ultimo.* Ten się śmieje, kto

się śmieje ostatni. Powściągnijcie mordercze zapędy. Musicie nauczyć się cierpliwości. Przyczaić się i czekać. Jak lis. Bądźcie przebiegli. Trzeba obserwować Wolfiego i przyłapać go, kiedy najmniej będzie się tego spodziewał, inaczej nam się wymknie. Zresztą dzwoniłem również na policję, powiedziałem, co i jak. Szczęśliwie dzięki El poznałem jednego z wyższych oficerów, więc chętnie mnie wysłuchał... Wspomniałem o moich podejrzeniach dotyczących Wolfiego. Mają poufnymi kanałami sprawdzić, czy był zamieszany w Niemczech w aferę trucicielską. Wprawdzie sprawa została zatuszowana, ale tu chodzi o materiały operacyjne... *Summa summarum,* policja robi swoje, my zaś mamy po cichu pilnować Wolfiego i Sereny. No i strzec jak oka w głowie Indii. Uważam też, że jak tylko odzyska przytomność... bo cały czas ledwie kontaktuje z otoczeniem... należy jej powiedzieć o wszystkim. Jest dorosła i nie mamy prawa niczego przed nią ukrywać.
- On ma rację, Jack. Musimy działać rozważnie -powiedział Peter, po czym zwrócił się do lana: - Wiem, że to nie w porządku, ale wszystko wskazuje na to, że Serena popełniła ohydny czyn matkobójstwa. Musimy wiedzieć, czy lady Elspeth... została zamordowana - dokończył cicho,
Jack widział w oczach markiza twardą determinację. Ten stary człowiek nadal był silny i pełen woli działania. Postanowił pomścić śmierć ukochanej kobiety i zamierzał ten cel zrealizować.
- Porozmawiam z Hendersonem. Zobaczę, co da się zrobić.
Przeszedł do gabinetu, zadzwonił do Edynburga i do Stanów, do Quince'a.

- I co? - zapytał Peter z nadzieją w głosie, kiedy Jack wrócił po kilku minutach do biblioteki.
- Powiedziałem, żeby zostawili wszystkie inne sprawy i przygotowali dokumenty na dwunastą. Trochę się zdziwili tym szatkowaniem umowy, ale dobrze im płacę... Potem zadzwoniłem do Sereny i zaprosiłem ją na lunch. Obiecałem jej kilka tysięcy funtów ekstra za kłopoty. Najpierw niech sobie trochę podpije, wtedy dam jej papiery do podpisu.
- Świetnie - mruknął Peter. - Nie myślicie, że powinniśmy pilnować Wolfiego?
- Poślę prywatnego detektywa pod dom, w którym mieszka Serena - obiecał markiz. - Musimy być ostrożni. Wolfie nie jest amatorem. Na pewno domyśla się, że mamy już wyniki badania krwi Indii.
- Tak, musimy być ostrożni - przytaknął Peter.
Ostatecznie ustalono, że markiz zadba, by ktoś pilnował mieszkania Sereny, Jack miał natomiast zająć się nią samą i zdobyć jej zgodę na ekshumację. Wiedział, że nie będzie mu łatwo zachować spokój, lecz potem, kiedy Serena złoży już podpis, niech Bóg, czy raczej diabeł, ma ją w swojej opiece... Podobnie jak markiz, zamierzał wziąć odwet za swoją kobietę.

R0ZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jeden po drugim przed oczami Indii przesuwały się bolesne obrazy. Orzeczenie sędziego Mackenziego, decyzja porzucenia Dunbaru, okropne chwile, kiedy wiła się z bólu na podłodze salonu. A potem nic. Pustka. Otworzyła oczy, spojrzała na wenflon wbity w żyłę, rozejrzała się po ascetycznym szpitalnym pokoiku. Czym też mogła się zatruć?

Wszystko układało się na opak, jakby Szkocja przynosiła jej pecha. Myśl o rozstaniu z Dunbarem przyprawiała o rozpacz, ale im szybciej przetnie więzy, tym lepiej. Jeśli Jack przygotował potrzebne dokumenty, podpisze je natychmiast i będzie to miała wreszcie za sobą. Bolało ją, że tak niesprawiedliwie go oceniła. Cóż, pomimo wszystko będzie musiała jeszcze raz spojrzeć mu w twarz. Dlaczego nie porozmawiała z nim, kiedy wydzwaniał do Chantemerle, dlaczego nie dała mu wtedy cienia szansy...

Teraz wszystko skończone. Gdyby mogła cofnąć czas, naprawić to, co zniszczyła... Przestań fantazjować, napomniała się zaraz. Wiesz przecież, że zależy mu tylko na tym, by zamienić Dunbar w hotel. Poza tym dlaczego miałby dać ci jeszcze jedną szansę, skoro nie chciałaś go nawet wysłuchać? Przynajmniej usiłował być szczery, a ty mu odpłacałaś samymi kłamstwami.

Przypomniała sobie, jak bardzo nalegał, żeby jeszcze raz przemyślała swoją decyzję.

Stał zdumiony na środku chodnika, deszcz spływał mu po twarzy. I ta tęsknota w jego oczach... Chciał coś jeszcze powiedzieć... ale nie powiedział.
Powinna myśleć o sobie. Musi odzyskać siły i wracać do Szwajcarii. Tam jest jej miejsce. Ukryła twarz w poduszce. Nie wolno poddawać się przygnębieniu. Nie wolno ulec depresji.. Nie...
Rozległo się pukanie do drzwi.
- Proszę - zawołała słabym głosem.
Drzwi otworzyły się gwałtownie. India nie otworzyła nawet oczu, skrzywiła się tylko nieznacznie. Pewnie pielęgniarka.
- Mogę wejść? Chryste, okropnie wyglądasz.
Na dźwięk głosu Sereny usiadła z wysiłkiem w pościeli.
- Cześć, Sereno. Jak ja się tutaj znalazłam? - Leżała w szpitalu już trzeci dzień, najpierw prawie nieprzytomna, potem tak osłabiona i rozbita, że nie miała siły zadać nikomu tego najprostszego w świecie, najbardziej oczywistego pytania.
- Chloe znalazła cię na podłodze w salonie. Byłaś w takim stanie, jakbyś miała za chwilę wykitować. Przetransportowali cię helikopterem do szpitala. Na szczęście, bo było z tobą naprawdę marnie. Lepiej się czujesz? -zapytała Serena z niejakim powątpiewaniem.
India nie zdążyła odpowiedzieć, gdy w drzwiach pojawił się Jack. Najpierw wpadła w panikę, potem strasznie się zmieszała i zaczęła gorączkowo przygładzać zmierzwione włosy.
- Nie przejmuj się nami, kochanie. Zaraz sobie pójdziemy.
Serena zaczęła chodzić po pokoju, prawdziwe uoso-

bienie siostrzanej troski. Jack powoli zbliżył się do łóżka, uniósł lekko Indię i poprawił jej poduszki. Miała kompletną pustkę w głowie. Czuła zapach Jacka i potrafiła myśleć tylko o jednym: jak by to było cudownie znaleźć się znowu w jego ramionach.
- Dzięki - bąknęła.
- Przepraszam, że cię męczymy wizytami - zaczął Jack, cofając się o krok. - Ja...
- Nic nie szkodzi - zapewniła India pospiesznie. -Domyślam się, że masz już potrzebne dokumenty i chcesz załatwić sprawę przeniesienia własności. Podpisałaś już, Sereno? - To oczywiste, że Jack wolał sam dopatrzyć formalności, aniżeli pozostawiać je w gestii pełnomocników, pomyślała ze smutkiem.
- Podpisałam w czasie lunchu. - Serena wyjęła z torebki czek i pomachała nim z triumfalną miną. - Najpiękniejszy dzień w moim życiu. Tak się cieszę, że w końcu podjęłaś decyzję. Już myślałam, że nigdy...
- A ja się cieszę, że możemy to załatwić bez zbędnej zwłoki - przerwała India. - Jak tylko wyjdę ze szpitala, usunę swoje rzeczy z rezydencji i będziesz mógł robić, co zechcesz. Zależy mi tylko na jednym: żebyś do mojego wyjazdu nikomu nie powiedział o naszej transakcji. Nie zniosłabym łzawych pożegnań, tego całego zamętu. Również ciebie o to proszę, Sereno.
- Oczywiście, skarbie. Nie puszczę pary z ust, możesz na mnie liczyć.
- Ja też postaram się, żeby na razie nikt o niczym się nie dowiedział. Pamiętam też o mojej obietnicy, że zaopiekuję się ludźmi - powiedział Jack cicho.
- To dobrze. Skoro wyjaśniliśmy sobie tę kwestię, możemy finalizować sprawę.

Jack zawahał się na moment, po czym odwrócił się gwałtownie, otworzył teczkę, wyjął plik dokumentów i podał Indii.
Obserwowała każdy jego ruch, przyglądała mu się uważnie. Szary garnitur, nieskazitelna koszula, jedwabny krawat, który kupiła mu w Rio. Ciekawe, czy pamięta? Może nie. Był wyjątkowo chłodny, daleki. Takim jeszcze nigdy go nie widziała. Gdzie jest ta czarodziejska różdżka, której jedno dotknięcie miałoby odmienić wszystko? Jaka ja jestem głupia, pomyślała z rezygnacją. Przecież ten człowiek myśli wyłącznie o swoich hotelach, a ja się nie liczę.
- Jesteś pewna swojej decyzji? - Niby było w tym pytaniu zainteresowanie, ale oschły ton głosu zdawał się temu zaprzeczać. - Możesz się jeszcze wycofać. Jeśli się rozmyśliłaś, wystarczy, że...
- India wie, co robi. Co za niedorzeczne pytanie. -Serena zaśmiała się nerwowo.
- Nie martw się, Sereno, podpiszę - zapewniła India. Cóż, Jack pytał ją wyłącznie po to, żeby uczynić zadość formom. Tak wypadało. Nie chciał, żeby się wycofała, gotów był przecież przejąć Dunbar za każdą cenę. - Jestem pewna, że to najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich - powiedziała stanowczym tonem. - Myślę, że Rob tego by chciał. Dajcie mi jakąś podkładkę. Dzięki. Jest tu tego cała sterta. Ramsey przejrzał wszystko?
- Oczywiście. - Serena zaczynała się denerwować. Nie mogła się doczekać, kiedy India wreszcie podpisze dokumenty.
Bawiła się chwilę piórem. Niech się trochę pomęczą, niech poczekają.
Dokumentów było mnóstwo, co trochę ją zdziwiło.

Miała już do czynienia z obrotem nieruchomości i nigdy nie spotkała się z taką biurokracją, ale nie zamierzała nad tym dłużej się zastanawiać. Zaczęła podpisywać dokument za dokumentem.
Na samym spodzie znalazła kopertę z czekiem na jej nazwisko. A więc stało się. Sprzedała Dunbar za okrągłą sumę.
- Gotowe. - Oddała Jackowi pióro i papiery.
- Możesz wziąć z rezydencji, co tylko zechcesz, Indy. - Głos Jacka zabrzmiał dziwnie sucho.
Skinęła głową. Bała się, że jeśli powie choć słowo, rozpłacze się jak dziecko. Wbiła-wzrok w nijaką, pozbawioną wyrazu grafikę wiszącą na ścianie i modliła się w duchu, żeby sobie poszli, zanim zupełnie się rozklei.
- To wszystko. Więc chodźmy. - Jack jakby czytał w myślach Indii. - Chciałem tylko...
- Nie! Wyjdźcie stąd, proszę.
- Oczywiście, kochanie. Nie będziemy cię dłużej zamęczać. - Serena sięgnęła po swoją torebkę, Jack zatrzasnął teczkę, chwilę stał niezdecydowany, w końcu skinął głową. - Do widzenia. I wszystkiego dobrego.
- Pa, pa. - Serena pomachała Indii od drzwi. -Wpadnę do ciebie jutro.
Kiedy drzwi wreszcie się zamknęły, India ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się. Tym razem to już definitywny koniec. Zamknął się najważniejszy rozdział w jej życiu. Na zawsze.
Nieurzeczywistnione marzenia, niespełnione nadzieje. Jack zachował się jak człowiek, który myśli tylko o tym, żeby załatwić jak najszybciej swoje sprawy i uwolnić się od kłopotu. Spotkanie z Indią było dla niego niemiłym, ale koniecznym epizodem. A teraz? Ostatecznie zniknął

z jej życia. Odtąd miał być zaledwie wspomnieniem. Wspomnieniem i zarazem przypomnieniem, że przynajmniej raz w życiu zaznała prawdziwej miłości.
Jack był siny z wściekłości.
Nic nie ułożyło się tak, jak planował. Wyszedł okropny galimatias. India była zdenerwowana, Serena wprowadzała zamieszanie. Może powinien był wysłać ją po kawę, pozbyć się jej na chwilę pod pierwszym lepszym pretekstem? Co gorsza, musiał zachować kamienną twarz, bo bał się, żeby Serena nie zaczęła czegoś podejrzewać. Był taki moment, kiedy miał ochotę dać jej w twarz. Obejrzał się, skręcając za załom korytarza Dwaj ochroniarze w zielonych szpitalnych uniformach kręcili się w pobliżu sali Indii.
- Gładko poszło, co? - zagadnęła Serena, naciskając guzik przywoływania windy. - Lecę teraz do banku, spieszę się, ale dzięki za lunch, Jack. Teraz, kiedy masz już Dunbar, będziemy pewnie częściej się widywać. — Uśmiechnęła się znacząco, choć, jak Bóg miły, Jack nie miał pojęcia, o co jej chodziło. Czyżby zamierzała z nim romansować?
Wzdrygnął się z obrzydzeniem. Czuł do niej odrazę. Rzeczywiście „gładko poszło", aż za gładko. Podsunął jej dodatkowy czek na dwa tysiące funtów, opowiedział jakąś patentowaną bzdurę o budowie drogi i przenoszeniu grobów, a ona podpisała wszystko bez zastanowienia, nie patrząc nawet na kolejny nudny dokument... W czasie lunchu musiał się bardzo pilnować, żeby nie dać jej odczuć, co o niej myśli. Kiedy zaczęła nalegać, żeby pojechali razem do szpitala i wzięli podpisy od Indii, wykręcał się jak mógł, w końcu jednak przystał, nie chcąc budzić jej podejrzeń.

Teraz był zły, nieszczęśliwy, przygnębiony, wszystko naraz. Spotkanie wypadło fatalnie i na pewno potwierdziło najgorsze podejrzenia Indii, że zależy mu jedynie na przejęciu Dunbaru.
- Do widzenia, Jack. Zadzwoń kiedyś. - Serena pomachała mu na pożegnanie, kiedy wysiedli z windy na parterze, i ruszyła szybko do wyjścia.
Patrzył za nią przez chwilę. Stracił Indię, ale nadal mógł ją chronić przed Sereną i jej poplecznikami. Idąc w stronę parkingu, miał wrażenie, że dźwiga w teczce kamień. W .pewnym sensie tak było. W końcu jej zawartość przyczyniła się do zniszczenia najpiękniejszego związku w jego życiu. Wiedział, że już nigdy nie znajdzie takiej miłości.
Ale przynajmniej India była bezpieczna. Serena podpisała zgodę na ekshumację szczątków lady Elspeth. Teraz należało działać błyskawicznie. Trumna miała zostać wydobyta następnego dnia i Jack był pewien, że badanie toksykologiczne da wynik pozytywny.
- No i jak? - Wolfie wyskoczył do przedpokoju, ledwie Serena otworzyła drzwi. - Pokaż czek. Wiesz już, kiedy wypiszą Indię ze szpitala?
- Popatrz, Wolfie. - Serena okręciła się na środku bawialni, wyrzuciła w górę plik banknotów i zamknęła oczy, kiedy zaczęły powoli opadać na podłogę. Rozkoszowała się chwilą, triumfowała, przeżywała chore uniesienie.
- Zwariowałaś? - sarknął Wolfie i zaczął zbierać pieniądze. - Co ty wyprawiasz?
Serena zaśmiała się. Rozbawił ją ten odruch pazerności/nad którym Wolfie nie potrafił zapanować.
- Mamy tego mnóstwo. Dzięki Bogu już po wszyst-

kim. - Nagle przypomniała sobie o poważnym mankamencie transakcji i skrzywiła się. - Szkoda, że to tylko jedna trzecia. Gdybyśmy sprzedali Jackowi posiadłość od razu, jak planowałam, miałabym połowę. Wolfie puścił mimo uszu żale Sereny.
- Mają już wyniki badania krwi? Mówili coś?
- Nikt nie wspomniał o żadnych wynikach. - Serena ze wzruszeniem ramion usiadła na podłodze i zaczęła zgarniać banknoty ku sobie.
Wolfie przyglądał się jej spod przymrużonych powiek.
- Co jest? Czemu tak na mnie patrzysz? - Serena zapomniała już o swoich pretensjach do świata. Rozbawiona rzuciła w swojego wspólnika poduszką.
- Musimy to uczcić. Chodź do kuchni, otworzymy szampana.
Podniosła się z dywanu.
- Och, byłabym zapomniała. Mają wykopać mamę. Słyszałeś kiedyś coś równie absurdalnego?
- Co takiego?
- Przenoszą wszystkie groby, bo Jack zażyczył sobie zbudować nową drogę do Dunbaru akurat przez teren cmentarza i potrzebna jest zgoda rodzin na ekshumację zwłok. Też musiałam ją podpisać, bo to integralna część umowy... Gdzie pojedziemy na wakacje?
- O czym ty mówisz, Sereno?
- Najchętniej pojechałabym do Monte Carlo albo na Karaiby. O tej porze roku musi być tam fajnie. - Wyjęła butelkę szampana z lodówki. - Hm, dobrze schłodzony, w sam raz.
- Skup się na chwilę, ty durna... Serena obróciła się gwałtownie.
- O co ci, do diabła, chodzi? Mówię, że magistrat

dał zgodę na nową drogę i będą przenosić groby. Co w tym strasznego? Poza wszystkim,nie mam ochoty o tym mówić. Chcę jechać na wakacje.
- Kto ci to powiedział?
- O cmentarzu? Jack, kiedy podpisywałam umowę o sprzedaży Dunbaru. Miał przy sobie jakiś papier, wziął z magistratu. Innym płacił za tę zgodę, ale w moim przypadku była to, jak już mówiłam, integralna część umowy. .. więc skrobnęłam moje zacne imię, niech wykopią mamusię, byleby kasa się zgadzała...
- *Mein lieber Gott*\ Jesteś skończoną idiotką. Od kiedy to Buchanan załatwia sprawy za magistrat?! Jesteś naiwna jak niemowlę. Nie wierzę w żadną drogę. Może mają już wyniki badań i coś podejrzewają. - Wolfie zaczął niespokojnie chodzić po kuchni.
- Co się z tobą dzieje? Skąd niby miałam wiedzieć o wynikach badania krwi? Kogo to wszystko obchodzi? Uspokój się, na litość boską, bo zachowujesz się jak paranoik.
Wolfie podszedł do stołu.
- Buchanan dał ci magistracki papier do podpisu, tak? - upewniał się jeszcze.
- Tak, przecież słyszałeś. - Serena miała serdecznie dość tej rozmowy. - Masz, otwórz. - Wcisnęła Wolfiemu butelkę do ręki. - O co się awanturujesz? Zachowujesz się okropnie. Uparłeś się, żeby popsuć mi humor. - Podniosła kieliszek i upiła kilka łyków szampana.
- Która godzina? - zapytał Wolfie, bębniąc palcami o blat stołu.
- Wpół do szóstej. Dlaczego pytasz?
- Za późno, żeby zadzwonić do magistratu i sprawdzić, czy Buchanan nie wcisnął ci kitu. A że wcisnął,

jestem pewien... Zadzwonisz jutro z samego rana, rozumiesz? Dowiesz się, czy Jack dostał zgodę na budowę drogi przez cmentarz i czy ma prawo uzgadniać warunki ekshumacji z rodzinami tych wszystkich truposzów... Cholera, przecież to absurd!
- Postaraj się być trochę milszy. - Serena nie widziała jeszcze nigdy swojego przyjaciela w takiej furii. Nie była szczególnie zachwycona jego zachowaniem. Uśmiechnęła się zalotnie. - Wypij łyczek. Pyszny szampan.
Lecz Wolfie nawet nie drgnął.
- Myślisz, że udałoby ci się zabrać Indię ze szpitala? W końcu jesteś jej siostrą, mogłabyś zażądać wypisu.
- Zabrać? Pewnie bym mogła, tylko po co? Zmieniając temat, resztę pieniędzy zdeponowałam na koncie.
- Kolejny błąd - sarknął Wolfie.
- Dlaczego? Nie chcę trzymać kasy w domu.
- Musimy natychmiast zabrać ją ze szpitala.
- W porządku, jeśli ma ci to poprawić humor - zgodziła się Serena dla świętego spokoju, ale myślami była gdzie indziej. Popijając szampana, snuła plany na przyszłość. Zycie wreszcie stanie się przyjemne, czuła to. Zresztą czy nie zasłużyła sobie na odrobinę przyjemności?
- To bez sensu, żebyś tkwiła tu dłużej, Indio. Zabieram cię do domu. Ubieraj się, a ja w tym czasie załatwię wypis. Pomyśl o tych wszystkich infekcjach, na które jesteś narażona. - Serena omiotła krytycznym spojrzeniem szpitalny pokój i wzdrygnęła się z teatralną przesadą.
India zgodziła się bez oporów. Chciała wyjść ze szpitala, spakować wszystkie swoje rzeczy i wracać jak najszybciej do Szwajcarii.
- Masz rację, Sereno. Nie ma sensu, żebym tu leżała.

Czuję się już zupełnie dobrze. Lekarze chcą przeprowadzić jeszcze kilka badań, ale po co, skoro wiadomo, że miałam zatrucie pokarmowe? Strata czasu. Zmieniając temat, pamiętasz, o co prosiłam? Dopóki nie wyjadę, nikomu ani słowa, że Jack przejął Dunbar, bardzo cię proszę.
- Obiecałam ci wczoraj, że nic nikomu nie powiem. Nie mam ochoty wysłuchiwać jęków i płaczów dzierżawców ani znosić histerii Kathłeen czy Sue Walker.
- W takim razie zbierajmy się.
- Absolutnie. Trzymają cię tutaj tylko po to, żeby brać kasę za kolejne dni. To czyste złodziejstwo. Idę załatwić wypis. Bądź gotowa za piętnaście minut. Odwieziemy cię z Wolfiem do Dunbaru.
Może rzeczywiście siostra się zmieniła, rozmyślała India, gotując się do wyjścia. Teraz, kiedy sprzedały Dunbar Jackowi, zniknęła przyczyna konfliktów. Może wreszcie uda im się zapomnieć o przeszłości, może ich stosunki wreszcie się ułożą?
Na myśl, że za chwilę opuści szpital, poczuła przypływ energii. Wzięła szybki prysznic, ubrała się i wyjrzała na korytarz. Uśmiechnęła się do dwóch pielęgniarzy, którzy zawsze byli w pobliżu i na każde zawołanie służyli jej pomocą. Opieka w szpitalu była zaiste doskonała.
- Chciałam się pożegnać. Dziękuję za wszystko. I podziękujcie ode mnie Mary, nocnej pielęgniarce. - Młodzi ludzie słuchali jej coraz bardziej skonsternowani. - Coś nie tak? - zdziwiła się.
- Nie powinna pani jeszcze wychodzić ze szpitala, panno Moncrieff. Doktor MacGregor nie będzie zadowolony - bąknął wyższy.
- E tam, gadanie. Czuję się świetnie. - India zaśmiała się. - Nie martwcie się, chłopcy, jestem w dobrych rę-

kach. Ta kobieta, którą przed chwilą widzieliście, to moja siostra. Odwiezie mnie do domu. Wszystko będzie w porządku - oznajmiła kategorycznie, nie zamierzając przyjmować żadnych uwag.
Na korytarzu pojawiła się Serena, wymachując triumfalnie kartą wypisu.
- Wreszcie. Co za banda nudziarzy. Mówili, że potrzebna jest zgoda doktora MacGregora, poza tym ma ci coś ważnego do przekazania, a akurat jest na jakimś konsylium, ale powiedziałam, że szpital to nie więzienie, więc i tak wyjdziesz, kiedy będziesz chfciała. No i wszystko załatwione. Ten doktor wie, gdzie cię szukać, ma telefon do Dunbaru, i jak będą potrzebne jakieś leki' czy badania, zawsze się może z tobą skontaktować. Daj torbę, poniosę. Nie powinnaś się przemęczać.
India zauważyła, że pielęgniarze wymienili niepewne spojrzenia, po czym jeden z nich odszedł pospiesznie. Dlaczego tak się przejmują? Ledwie znalazła się za drzwiami szpitala i wciągnęła w płuca wiosenne powietrze, zapomniała o nich. Dobrze było znowu znaleźć się na wolności, z dala od szpitalnych zapachów i rygorów.
- Jak się masz, Indio. - Wolfie wysiadł z samochodu. - Miło widzieć cię w dobrym stanie. - Uśmiechnął się sztywno, jak to zwykle on.
Może myliła się w ocenie obojga, może wcale nie są tacy źli, myślała India. Nie potrafiła jednak uwolnić się od niepokoju. Zawsze czuła się nieswojo, kiedy byli w pobliżu, ale może to Wolfie, a nie Serena, budził w niej takie odczucia?
W domu pierwsza przywitała ją Sue Walker.
- Panienka India. - Gospodyni wybiegła rozpromieniona z kuchni i serdecznie uściskała rekonwalescentkę.

- Tak się cieszę. Niech panienka sobie zaraz siądzie. Nie wolno się przemęczać. Lady Kathleen codziennie mi mówiła, jak się panienka czuje. Oto i ona.
- Kochanie. - Kathleen otworzyła ramiona. - Cieszę się, że jesteś już w domu.
- Jak dobrze, że wreszcie się wydostałam z tego okropnego szpitala. Stęskniłam się już za tobą i panią Walker.
Kathleen koniecznie chciała, żeby India wsparła się na jej ramieniu, kiedy przechodziły do salonu.
- Kath, mogę iść o własnych siłach. Nie jestem inwalidką - obruszyła się India.
- Przechorowała się panienka, to teraz trzeba ha siebie uważać - burczała Sue, zmuszając Indię, żeby usiadła w fotelu przy kominku.
- Zaraz rozpalę ogień. Wiosna, ale w powietrzu jeszcze chłód. Panienka musi się ogrzać. Nie chcemy przecież, żeby nam się panienka zaziębiła, prawda?
Do pokoju weszli Serena i Wolfie.
- Zrobię ci herbatę - zaofiarowała się Serena. - Nie, proszę zająć się kominkiem, pani Walker. My z Wolfiem zajmiemy się herbatą. - Oboje wyszli równie szybko, jak się pojawili.
- Dziękuję, lady Sereno - burknęła gospodyni, po czym zwróciła się do Indii: - Nie powinnam nic mówić, bo to nie mój dom, ale ten przyjaciel lady Sereny wcale mi się nie podoba. Nie rozumiem, co ona w nim widzi. Aż wstyd, że taki się tu kręci. Ani chybi przez tego szczura mama panienki umarła. Oboje uczepili się biedaczki. - Sue przyklęknęła i zabrała się do rozpalania ognia.
- Co pani ma na myśli? - India nachyliła się ku niej.

- Nic, nic. Tak gadam, widać się starzeję, ale powiadam, nie lubię go... ani jej - stwierdziła kwaśno.
India omiotła pokój smutnym spojrzeniem. Czy Jack będzie czuł się tu równie dobrze jak ona? Znajdzie tu spokój? Ech, jak go zna, zamieni salon w bar hotelowy.
- Jest ktoś w domu?
W drzwiach pojawił się Peter Kinnaird.
- A ty skąd się tu wziąłeś? - przywitała go zaskoczona India.
- Mam dla ciebie niespodziankę. Zobacz, kogo przywiozłem.
Do pokoju wszedł markiz.
- Moja najdroższa Indio, tak się cieszę, że cię widzę. Dobrze wyglądasz. Troszkę jesteś blada, ale widać, że zdrowie ci wraca. Dobrze się czujesz? - upewniał się jeszcze na wszelki wypadek.
- Dobrze. Co robisz w Szkocji, Giordano?
- Długa historia, moja droga. - Markiz poklepał dłoń Indii.
- Cudownie, że przyjechałeś. Długo zamierzasz zostać?
- Jeszcze nie wiem. Kilka dni. Powiedz mi, *cara*, na pewno dobrze się czujesz?
- Na pewno, Giordano. - India uśmiechnęła się na to zatroskanie.
W salonie pojawiła się Kathleen z zastawioną tacą. Na widok Petera zatrzymała się gwałtownie.
- Po co przyjechałeś? - przywitała go mało uprzejmie.
- Przywiozłem markiza. Chciał się zobaczyć z Indią. Kathleen zawahała się, po czym obwieściła:
- No to herbata nam niepotrzebna. - Odstawiła tacę na stolik pod ścianą. - Pewnie wolicie po drinku. W koń-

cu minęło południe, możemy się napić. Co dla ciebie, Peter?
- Whisky, proszę.
- Witam w Dunbarze, markizie. - Kathleen podeszła do Giordana z wyciągniętą dłonią i szerokim uśmiechem na ustach. - Całe wieki.
Markiz z galanterią ujął dłoń Kathleen, ale na widok Sereny jego twarz stężała. Zmierzył ją chłodnym, niemal wrogim spojrzeniem, a zaskoczona India śledziła jego reakcję. Nigdy go takim nie widziała.
- Widzę, że ty czujesz się doskonale - stwierdził sucho, kładąc znaczący akcent na słowie „ty".
- Och, jestem w znakomitej formie - przytaknęła Serena, najwyraźniej nie zauważając wrogości markiza.
- Czego się pan napije, markizie? - zagadnęła Kathleen.
- Trzeba uczcić powrót po tak długiej nieobecności. Kropelkę tio pepe poproszę.
Wolfie niespokojnie popatrywał to na Petera, to na Giordana. Był wyraźnie spięty. Atmosfera w salonie zrobiła się dziwnie ciężka.
- Dawno temu studiowałem z twoim dziadkiem na Sorbonie, chłopcze. Był bardzo kulturalnym i znakomicie wykształconym człowiekiem. Stał się wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie. Ciekawym, czyś się w niego wrodził?
Wolfie przypominał w tej chwili schwytanego w potrzask królika. Jego cera zdawała się bardziej ziemista niż zwykle.
Peter usiadł obok Indii, Brał udział w rozmowie, ale był dziwnie rozkojarzony.
- Jezu, kto by się spodziewał! - zawołała Serena na wi-

dok Jacka i lana, którzy właśnie stanęli w drzwiach salonu.
- Tyle nas się zebrało, że możemy urządzić przyjęcie.
India podniosła wzrok. Obok Jacka i lana stał trzeci gość. Przywołując na pamięć opisy Chloe, domyśliła się, że musi to być jej Teksańczyk. Co ich wszystkich raptem sprowadziło do Dunbaru? Musiała mieć zdumioną minę, bo Peter nachylił się do niej z uśmiechem.
- łan i Lance chcieli zobaczyć rezydencję. Są ciekawi planów Jacka. Przedstawię ci Westmorełanda. - Lance zmierzył Indię pełnym uznania spojrzeniem i mocno uścisnął jej dłoń.
Jack stał nadal w progu, nie spuszczał wzroku z Indii.
- Co za niespodzianka - powtarzała Serena. -Wejdźże, Jack. Napijesz się? A pan niech siada - zwróciła się do Lance'a. - Pan też jest milionerem? - szczebiotała.
- Ostatnio nam obrodzili. Bardzo mi miło - wyciągnęła dłoń i uśmiechnęła się zalotnie.
. Dopiero teraz India odważyła się spojrzeć na Jacka... i wymienili rozbawione spojrzenia. No cóż, Serena jak zwykle odgrywała swoją rolę słodkiej kokietki, co dla tych, którzy dobrze ją znali, było komiczne.
Mimo to w powietrzu czuło się napięcie, jakby wszyscy oczekiwali, że za chwilę coś się wydarzy.
- Peter, co się dzieje? - szepnęła. - Wszyscy dziwnie się zachowują.
- Tak myślisz? Nie zauważyłem.
Peter również wydawał się zdenerwowany i jego słowa wcale nie uśmierzyły niepokoju Indii. Spojrzała na Jacka, ciekawa, czy zdecyduje się podejść do niej, czy też nadal będzie tkwił w drzwiach. W tej samej chwili kątem oka dostrzegła, że Wolfie mówi coś cicho do Kathleen, po czym pospiesznie wychodzi z salonu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kathleen świetnie się czuła w roli pani domu, a podejmowanie gości sprawiało jej niekłamaną przyjemność. Starła nieistniejący pyłek z ramki fotografii i westchnęła z zadowoleniem. To dopiero początek. Kiedy już upora się ze wszystkim i przejmie Dunbar, będzie zarządzać posiadłością jak należy. Jak zarządzałby tatuś.

Jako dziecko przyjeżdżała z owdowiałym ojcem do Dunbaru. Chodzili na długie spacery, przechadzali się po ogrodach i łąkach. Ojciec opowiadał o historii dóbr dun-barskieh, snuł własne plany, jak to będzie, kiedy odziedziczy majątek po śmierci stryja Thomasa. Już wtedy widziała się panią na włościach. Była jedynym dzieckiem swojego ojca i wiedziała, że kiedyś to ona przejmie Dun-bar. Teraz, po tylu latach, jej marzenie miało się wreszcie spełnić. Ona, Kathleen, przywróci Dunbar do dawnej świetności.

Omiotła pokój jednym spojrzeniem i na widok Indii stojącej ze starym Włochem koło kominka jej radość gdzieś się ulotniła. Gdyby Chloe nie wmieszała się, przynajmniej ta sprawa byłaby już załatwiona. Jeszcze kilkanaście minut i India nie chodziłaby po tym świecie. Na domiar złego dziewczyna uparła się polecieć z Indią do szpitala, pozbawiając Kathleen idealnej okazji do do-kończenia dzieła. Pech, prawdziwy pech. Chloe... Wszędzie musiała wetknąć swój parszywy nos.

Jeszcze raz ogarnęła spojrzeniem zebranych. Serena, cała w uśmiechach, umizgała się do Buchanana i tego drugiego Amerykanina. Kinnaird zatopiony w rozmowie z Wolfiem. Zatrzymała wzrok na Jacku. Z nim nie powinno być kłopotu. Miał bzika na punkcie Indii. Kiedy jej zabraknie, na pewno rzuci wszystko i wyjedzie. I bardzo dobrze. W końcu całe to towarzystwo stanowiło uprzykrzoną przeszkodę na drodze do szczytnego celu, który Kathleen zamierzała zrealizować. Była zdeterminowana, gotowa działać do końca. Dunbar będzie jej. Musi być jej. Została wychowana do tej roli. A że złośliwy los chciał inaczej? Cóż, naprostuje jego poplątane ścieżki.

Spojrzała na Wolfiego, na szarozieloną twarz niemieckiego przyjaciela Sereny, i w jej jakże płodnym umyśle zrodził się pomysł. Pora usunąć Niemca ze sceny. Spełnił swoje zadanie i stał się dla Kathleen prawdziwą zawadą. Nalegał, żeby dzwoniła do niego z automatu, nigdy z domu, na każdym kroku komplikował jej życie. W dodatku musiała udawać, że jest pod jego urokiem... Jakby nie wiedziała, o co mu chodzi. Dzięki Bogu wkrótce będzie po wszystkim. To już kwestia godzin, minut nawet, jeśli uda się jej wprowadzić w życie najnowszy plan.

Ocknęła się, wróciła na ziemię i wmieszała między gości. Uśmiechnęła się do Lance'a, zaproponowała kolejny kieliszek sherry markizowi, rzuciła w przelocie kilka miłych słów Indii.

Wtem dostrzegła, że Wolfie, który stał między Jackiem i Peterem, daje jej jakieś znaki. Najwyższy czas przejść do działania. Nadarzała się okazja, na którą czekała. Rozkosznie uśmiechnięta podeszła do trzech panów.

- Nic wam nie trzeba? O, Jack, masz pustą szklaneczkę. Wolfie, mój drogi, bądź tak miły i przynieś z kuchni na-

stępną butelkę glenfiddicha. Powinnam była pomyśleć
o tym zawczasu**.**
- Z przyjemnością - mruknął Wolfie i ewakuował się pospiesznie.
Kathleen przechyliła lekko głowę i zaczęła nasłuchiwać.
- Czyżby jeszcze jeden samochód? Nie mam pojęcia, kto to może być. A wy domyślacie się? - Zauważyła dziwne spojrzenia, które wymienili Jack i Peter. Ogarnęło ją podniecenie. Po tylu latach czekania wreszcie nadszedł momfent triumfu. Spokojnie, jeszcze nic się nie dopełniło, napomniała się. Odczekała chwilę i rzuciła od niechcenia:
- Widać Wolfie nie może znaleźć whisky. Sama muszę się tym zająć. Przepraszam was na chwilę. - Skinęła głową ruchem, który podpatrzyła u królowej i długo ćwiczyła przed lustrem. Bocznymi drzwiami pobiegła na tyły domu, szybko, żeby zdążyć przed Wolfiem. Rozejrzała się, czy nikogo nie ma w pobliżu, podeszła do starego volvo Sereny i podniosła maskę. Dwa zręczne ruchy
i rzecz była zrobiona. Z westchnieniem ulgi wróciła do środka. W korytarzu natknęła się na Wolfiego. Miał dzikie oczy, szara twarz zroszona była potem.
- Co z tobą, mój drogi? - zapytała, wychodząc z cienia. Zaskoczony Wolfie krzyknął:
- Wiedzą wszystko! Zrobili autopsję. Wszystko się wydało - histeryzował. - Ten samochód, który przed chwilą podjechał, to policja. Uciekam. - Wyjął kluczyki z kieszeni.
- Dlaczego tak się przeraziłeś?
- Na twoim miejscu też nie byłbym taki spokojny
- syknął Wolfie. - Jeśli mnie zatrzymają, powiem wszystko. Wszystko, słyszysz? Do ciebie też się dobiorą.

- Och, Wolfie, jak możesz mówić takie obrzydliwe rzeczy? Uciekaj, szybko. Ja ich zatrzymam. - Kathleen pchnęła Wolfiego ku drzwiom. Mruknął jeszcze coś po niemiecku, rzucił jej ostatnie, niepewne spojrzenie i zniknął.
Kathleen chwilę stała przy oknie, modląc się o sukces.
Serena zerknęła na zegarek, potem na drzwi. Wolfie gdzieś się zapodział. Kathleen posłała go po szampana czy po whisky, wszystko jedno, w każdym razie nie wracał. Kathleen też przepadła. Prawda, powiedziała, że sama przyniesie alkohol. Dziwne, że obojgu zajmuje to tyle czasu. Spojrzała na Jacka i Petera. Mieli poważne, zasępione twarze. Rozległ się dzwonek do drzwi. Zdjęta nagłym przeczuciem przeprosiła Lance'a, który bawił ją rozmową, i ruszyła w stronę kuchni.
- Wolfie! - zawołała, zbliżając się do drzwi. Żadnej odpowiedzi. - Kath? Jesteście tam? Znaleźliście butelkę?
W kuchni nie było nikogo. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Wolfie wskakuje do volvo. Rzuciła się do wyjścia. Jak ten drań może odjeżdżać bez niej? Jej samochodem! Bezczelność!
Kathleen dotknęła pereł na szyi. Prezent od ciotki El. Podarunek dla ubogiej krewnej, za który powinna być dozgonnie wdzięczna. Pomyśleć, że ta stara suka zostawiła jej kilka bezwartościowych błyskotek i pieniędzy tyle, co kot napłakał.
O wszystkim zadecydowały trzy dni, trzy dni, które odmieniły jej los. Gdyby ojciec przeżył jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny, to ona odziedziczyłaby Dunbar i teraz cała rodzina skakałaby koło niej. Ale dość użalania

się nad sobą. W końcu dostanie to, co się jej należy. Naprawi niesprawiedliwości.
Miała nadzieję, że Serena usłyszała jej słowa rzucone w salonie. Powinna się zaniepokoić, dlaczego Wolfie tak długo nie wraca, i zacząć go szukać. Zerknęła przez okno. Wolfie jeszcze nie ruszył. Stare volvo potrzebowało trochę czasu, bo silnik nie zawsze zaskakiwał od pierwszego razu.
Ukryta za płaszczami czekała niecierpliwie przy wąskim okienku w garderobie. Gdzie ta dziewczyna się podziewa, czemu nie przychodzi? Zupełnie jakby chciała pokrzyżować Kathleen starannie obmyślany plan.
Wreszcie usłyszała kroki, głos Sereny i po chwili kuzynka przebiegła jak szalona koło niej, potknęła się na stopniach i rzuciła do ruszającego właśnie samochodu.
Kathleen z zaciśniętymi dłońmi patrzyła, jak Serena dopada wozu i szarpie za drzwiczki. Udało się. Wskoczyła w ostatniej chwili na siedzenie koło Wolfiego. Volvo powoli zniknęło za węgłem domu. Kathleen odetchnęła z ulgą. Pora przejść do następnej, nie do końca jeszcze sprecyzowanej fazy planu. Pomyślała o swoim przodku, Fergusie. On też musiał prostować poplątane ścieżki losu. Przeszłość zdawała się tak bliska, niemal dotykalna. Może Fergus prowadzi ją zza grobu, dyktuje kolejne kroki? Jego sztylet z inkrustowaną drogimi kamieniami rękojeścią leżał w szklanej gablocie pośród innych rodzinnych pamiątek. Uśmiechnięta, pewna swojej siły wyszła z garderoby. Miała do spełnienia misję zleconą przez wyższe moce. Spoczywała na niej odpowiedzialność wobec przeszłości.
Wygładziła starą tweedową spódnicę i weszła do salonu, gdzie czekali na nią goście.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnęła Serena. - Porywasz mój wóz bez pytania. Chciałeś odjechać i zostawić mnie?
- Zamknij się. - Wolfie zacisnął dłonie na kierownicy. - Jest stąd jakiś boczny wyjazd?
- Jest, ale zablokowany. Co ci się tak nagle spieszy? Myślałam, że zostaniemy na obiedzie.
Wolfie nie odpowiedział, tylko nacisnął na pedał gazu i nerwowo zerknął w lusterko wsteczne. Serena spojrzała do tyłu.
- Wolfie, to policja. Jadą za nami. Zwolnij, nie pędź tak. Zupełnie zwariowałeś!
- *Lieber Gottl* Nic nie rozumiesz, *dwnmkopf!* - Posłał Serenie wściekłe spojrzenie. - Wiedzą wszystko. Przeprowadzili ekshumację, mają wyniki badania krwi Indii. Wydało się. *Scheisel* Gonią nas.
Volvo wyjechało na wąską wiejską drogę. Gnali sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.
- O czym ty mówisz? - wrzasnęła Serena, próbując coś zrozumieć z bełkotu Wolfiego. - Zwolnij, na litość boską. Zabijemy się!
Wolfie nie zwracał na' nią uwagi. Wziął zakręt na dwóch kołach. Serena znowu obejrzała się do tyłu. Wozy policyjne siedziały im na ogonie. Nie ogarniała jeszcze sytuacji, wiedziała tylko, że dzieje się coś strasznego. Nagle dotarła do niej prawda. Wreszcie pojęła.
- Coś ty zrobił? - Spojrzała na Wolfiego ze zgrozą. - O Boże... India... Mama... Dlatego się tak przeraziłeś, kiedy powiedziałam ci o grobach? Nie będą budować żadnej drogi. Jack mnie okłamał. Chryste, to twoja robota. Zabiłeś mamę i próbowałeś zabić Indię! A oni pewnie myślą, że ja...

Fiona Hood-Stewart
339
W ostatniej chwili, zanim samochód uderzył w drzewo, z gardła Sereny wydarł się przeraźliwy krzyk, krzyk agonii i skruchy.
A potem wszystko spowiła ciemność.
Na widok volvo uderzającego w drzewo Jack nacisnął gwałtownie na hamulec, zjechał na pobocze i wyskoczył z samochodu.
- Pójdę zobaczyć.
Lance skinął głową i odpiął pas.
- Będę cię ubezpieczał.
Chociaż volvo wyglądało koszmarnie, Jack zbliżał się do rozbitego wozu powoli, ostrożnie, uważając przy tym, żeby nie poślizgnąć się na błotnistym poboczu. Przód samochodu był zupełnie rozbity, wbił się czołowo w pień i złożył jak harmonijka. Wątpliwe, żeby ktoś przeżył takie uderzenie.
Zobaczył skrwawione, nieruchome ciała. Serena rozbiła przednią szybę, na wpół leżała na masce wśród drobin szkła. Wolfie tkwił za kierownicą z głową przekrzywioną pod nienaturalnym kątem.
Jack usiłował otworzyć drzwiczki od strony pasażera., ale zablokowały się. Siłował się z nimi chwilę, wreszcie ustąpiły. Chwycił bezwładnie zwieszoną dłoń Sereny, szukając pulsu. Nic. Delikatnie ujął ją za ramiona, wciągnął na powrót do kabiny i oparł ciało o zapiecek fotela. Kiedy długie blond włosy opadły do tyłu, Jackowi pokazała się skrwawiona, poraniona twarz.
Do volvo podjechali Peter i łan. Z drugiej strony auta byli już policjanci, którzy zaczęli sprawdzać, czy Wolfie przeżył.

- Nie żyje - powiedział Jack cicho i odsunął się o krok.
- Jezu. - łan był blady jak ściana. - Straszne. Po prostu straszne - powtarzał w szoku.
- Koszmar - przytaknął Peter, wpatrując się w ciało Sereny.
Przez chwilę cała czwórka stała w milczeniu, wreszcie Lance wypowiedział głośno to, o czym wszyscy pomyśleli.
- To rzeczywiście straszna śmierć, ale los tak zrządził. Przynajmniej India będzie teraz Ijezpieczna, Bogu dzięki.
- Tak. - Jack odwrócił wzrok. - Wolałbym jednak, żeby o tym zadecydował sąd, a nie los.
- Może lepiej, że tak się stało. Może ta śmierć przyszła jak błogosławieństwo - powiedział Peter w zadumie. - Proces o morderstwo to dla wszystkich paskudna sprawa.
- Ciągle nie wierzę, że Serena byłaby zdolna popełnić zbrodnię - odezwał się łan, kręcąc głową. - Była słodkim dzieckiem, naprawdę. Miłym, wesołym - mruczał nieprzytomnie. Ciągle nie był w stanie oderwać wzroku od bezwładnego ciała, dopiero Peter musiał wziąć go pod ramię i odciągnąć.
- Jedźmy stąd, stary. Niech policja robi swoje - powiedział, prowadząc lana w stronę samochodu.
- Tak, tak, oczywiście - przytaknął łan. - Nie wierzę, że to zrobiła. Nie wierzę. Pomyśleć tylko, ciocia El, India... Mój Boże.
Kiedy mieli już wsiadać do samochodów, Jack zadał pytanie, które męczyło wszystkich.
- Kto powie Indii?
- Może ty? - łan jakby się ocknął na moment.

Jack pokręcił głową i otworzył drzwiczki porsche.
- Nie, ja nie. Peter, może ty do niej pojedziesz?
- Na pewno tego chcesz? Myślę, że ty to powinieneś zrobić.
Spojrzeli na siebie. Jack zawahał się, ale nie zmienił decyzji.
- Jedź do niej.
- Dobrze - zgodził się Peter z westchnieniem.
Nie ma sensu jeszcze raz spotykać się z Indią i przedłużać agonii zerwanego, zniszczonego związku. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w kierunku Dalkirku. Był przybity, nie mógł myśleć,, zmusić się do jakiegokolwiek działania. Miał wrażenie, że śmierć towarzyszy mu na każdym kroku. Jedyną pociechą był fakt, że Indii nic nie grozi i że nie musi się już o nią martwić.
Kiedy zobaczyła, że jej goście w napięciu wymieniają spojrzenia i pospiesznie wychodzą z salonu, India podniosła się zaniepokojona.
- Co się dzieje, Giordano? Markiz położył jej dłoń na ramieniu.
- Wszystko ci wytłumaczę, *cara*. Usiądźmy przy kominku. Może jeszcze sherry?
- Ja podam - zaofiarowała się Kathleen.
- O co chodzi? - ponowiła pytanie India. - Dlaczego wyszli w takim pośpiechu?
- To prawda, dokądś strasznie się spieszyli - przytaknęła Kathleen, wciskając Indii do ręki kieliszek sherry, na którą ta wcale nie miała ochoty. - Jakby coś się stało. I Wolfie był taki blady. Zauważyłaś, kochanie?
- Rzeczywiście, teraz mi to uświadomiłaś. Serena wybiegła jak oparzona, a kiedy pojawiła się policja, w jed-

nej chwili wszyscy się wynieśli. - Podniosła ręce do góry, omal nie wylewając zawartości kieliszka. Była roztrzęsiona po spotkaniu z Jackiem, teraz okazywało się, że pojawił się jakiś problem, o którym nic nie wiedziała.
Spojrzała na Giordana. Nie było sensu go ponaglać. Stanęła jej przed oczami twarz Jacka, kiedy pospiesznie wychodził z pokoju. Tak samo wyglądał tamtego okropnego wieczoru w Rio. Czuła instynktownie, że dzieje się coś niedobrego.
Markiz zaplótł palce na kolanie i westchnął.
- To, co mam do powiedzenia, nie będzie przyjemne, *cara.* Usłyszysz bolesną prawdę, ale poznać ją musisz, bo sprawiedliwości musi stać się zadość, a winni muszą zostać ukarani.
- Co to znaczy? - India była coraz bardziej zaniepokojona.
- Chodzi o Ust, który dałaś mi w Lozannie krótko po swoim powrocie z Argentyny. Pamiętasz? Zrobiłaś mi jego fotokopię.
- Pamiętam, oczywiście.
- Długo się nad nim zastanawiałem i powoli zacząłem kojarzyć fakty, a kiedy Sue Walker opisała mi twoje symptomy, nie miałem już żadnych wątpliwości. Zadzwoniłem do Dunbaru ze Szwajcarii, usłyszałem
o twojej chorobie i przyleciałem pierwszym samolotem.
- Wybacz, Giordano, ale mówisz zagadkami. Markiz znowu westchnął, odstawił kieliszek na mały stolik z laki i spojrzał smutno na Indię.
- Serena i Wolfie von Loewendorf otruli twoją matkę
i usiłowali otruć ciebie. Taka jest prawda, *cara mia.*
- Co takiego?!

- Och, nie, markizie. Biedna cioteczka El. To zbyt straszne! - zawołała Kathleen.
- Niestety, moja droga.
Do Indii nie docierał jeszcze sens słów Giordana. Jej matka zamordowana, ona sama wystawiona na podobny los... Własna siostra chciałaby pozbawić ją życia? Niemożliwe. Serena nie była przyjemną osobą, ale żeby oskarżać ją o morderstwo? To jakaś koszmarna pomyłka.
- Jesteś pewien, Giordano?
- Mamy niezbite dowody, moja droga. Twoje tak zwane zatrucie-pokarmowe to nic innego jak efekt działania arszeniku.
- Arszeniku? - powtórzyła Kathleen.
- Nie wierzę, Giordano. - India zerwała się z fotela i zaczęła chodzić po pokoju. - Serena jest nieznośna, to prawda, ale żeby robić z niej zbrodniarkę? Nie, dałeś się ponieść fantazji. Wybacz, to jakieś chore urojenia.
- Niezupełnie. Jakiś czas temu Wolfie otruł w identyczny sposób swoją ciotkę. Rodzina wprawdzie wyciszyła sprawę, ale dzisiaj dostałem poufną informację, że policja niemiecka dysponuje operacyjną wiedzą na ten temat... Ale wracajmy do rzeczy. Kiedy dałaś mi list, w mojej starej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Przeprowadziłem małe dochodzenie, a po rozmowie z Sue wiedziałem już, że moje podejrzenia są w pełni uzasadnione. - Markiz podniósł się, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i podał ją Indii.
Otworzyła ją z wahaniem. W środku były wyniki autopsji i wczorajsza data. India podniosła wzrok na Giordana.
- I ty na to pozwoliłeś?! Jakim prawem? Przecież to moja matka.

- Nie było wyjścia. Nie chcieliśmy niepokoić ciebie w chorobie, więc zgodę na ekshumację podpisała Serena.
- Serena? Przecież oskarżasz ją o morderstwo. Nic nie rozumiem.
- Zdobyliśmy jej podpis podstępem, przyznaję. Stało się to podczas podpisywania umowy sprzedaży Dunbaru.
- Jack...
- Tak, Jack. Zrozum, musieliśmy zażądać ekshumacji, żeby zdobyć dowody. Widzisz, w twojej krwi wykryto ślady arszeniku. Musieliśmy wiedzieć, czy znajdziemy go w szczątkach lady El. - Markiz na powrót usiadł i oparł dłonie na rączce laseczki, co świadczyło, iż jest zmęczony.
- Co za okropność! -'"zawołała Kathleen ze łzami w oczach. - Biedna cioteczka El. I ty, moje biedactwo. To zbyt straszne. Pomyśleć, że wpuściłyśmy do domu taką kreaturę. - Przytknęła chusteczkę do ust.
- Dlaczego lekarz nic mi nie powiedział? - zapytała India, przyglądając się kartce z własnymi wynikami badania krwi. - Słowem mi o niczym nie wspomnieli, a to był arszenik...
- Długo byłaś nieprzytomna, a potem tak słaba, że nie chcieliśmy cię denerwować, *cara*. Doktor MacGregor miał cię o wszystkim poinformować dzisiaj, ale opuściłaś na własne żądanie szpital...
- Serena nalegała... Nie zmienia to jednak faktu, że potraktowaliście mnie jak kukłę czy niedorozwinięte dziecko... Zresztą, to teraz nieważne. Mój Boże, jak Serena mogła zrobić coś takiego? Nic dziwnego, że była przerażona. Nic mi nie powiedzieliście, ale sama powinnam była się domyślić, że coś jest nie tak. Powinnam była coś zauważyć. Powinnam... - Chodziła

nerwowo po pokoju, trzymając w dłoni wyniki badania krwi.
- Tej tragedii nie dało się uniknąć. Nikt nie ponosi winy poza mordercami - stwierdził markiz z goryczą. -Muszą stanąć przed sądem.
- Gdzie tu twoja wina, droga Indio? - Bliska płaczu Kathleen przysiadła na brzegu sofy. - Jeśli ktoś jest tu winny, tó ja. Nie powinnam była tego dnia jechać do ciotecznej babki Moiry i zostawiać cię tu z nimi. - Ukryła twarz w chuteczce.
- Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinnaś wiedzieć, Indio. Elspeth chorowała na serce, ale nikomu o tym nie mówiła. - Markiz zerknął na Kathleen i uśmiechnął się smutno. - To bardzo do niej podobne, nie martwić nikogo swoim stanem zdrowia. Trucizna tylko przyspieszyła nieodległą śmierć.
- To żadna pociecha, Giordano.
- Wiem, ale trzeba pogodzić się z losem. Nie cofniemy czasu.
India skinęła głową.
- Nadal nie mogę uwierzyć, że Serena była zdolna do czegoś takiego. Cóż, musiała stracić rozum, chwilowa niepoczytalność, to się zdarza... ale Wolfie doskonale wiedział, co robi. To on ją popchnął do zbrodni. Sama nie wpadłaby na podobny pomysł. Nie jest aż tak zła, no i brak jej inteligencji, by zaplanować to wszystko. Tak, motorem musiał być Wolfie - dokończyła z goryczą.
Jeśli Serena zostanie oskarżona o morderstwo, może uda się ją wybronić, dowodząc niepoczytalności. India tylko tak potrafiła wytłumaczyć sobie czyny siostry. Inaczej miała się sprawa z Wolfiem. To on był mordercą.

Zabił jej matkę, próbował zabić ją samą, popchnął Serenę do zbrodni.
Kathleen wstała, mruknęła coś o Sue i wymknęła się z pokoju.
India oparła się o gzyms kominka i zaczęła masować skronie. Głowa jej pękała. Coś się nie zgadzało. Dlaczego w sytuacji, kiedy sprzedaż posiadłości była praktycznie przesądzona, * Serena miałaby ryzykować i wciąż nasta-wać na jej życie? Pieniądze z transakcji pozwoliłyby jej na komfortową egzystencję do późnej starości.
- Gdzie Wolfie i Serena? - ocknęła się z ponurych rozważań. - Gdzie Jack i reszta? Co zamierzają?
Markiz westchnął, zanim odpowiedział.
- Jack zachował się wspaniale.- Peter i ten Amerykanin, Lance, też. A Wolfie i Serena pewnie uciekli, kiedy usłyszeli, że przyjechała policja. Dlatego chłopcy tak nagle zniknęli.
- Chcesz powiedzieć, że ruszyli w pościg? - India przeraziła się, że Jack może znaleźć się w niebezpieczeństwie.
- Tak. Mam nadzieję, że tych dwoje trafi wreszcie pod klucz - zauważył markiz sucho.
- To okropne. - Nagle zobaczyła Jacka martwego, z kulą w piersi. Przeczesała nerwowo włosy palcami i odwróciła się do Giordana. - A jeśli coś mu się stanie? - Ogarnęła ją panika.
- *Calma, carina.* Jack wie, co robi. Potrafi zadbać o własne bezpieczeństwo... O twoje również, jeśli mu pozwolisz - powiedział, przyglądając się uważnie swojej młodej przyjaciółce.
India pokręciła głową i podeszła do okna.
- To już skończone. Z mojej winy. Nie chciałam go

słuchać, kiedy próbował mi wytłumaczyć, co tak naprawdę się stało. Nie dałam mu cienia szansy. Zasypałam go kłamstwami. Potem było już za późno. - Podeszła do ognia, modląc się w duchu, żeby Jack wyszedł cało z pościgu za mordercami. Markiz zaśmiał się cicho.
- Nigdy nie jest za późno, *cara mia.* Tam, gdzie jest miłość, zawsze pojawia się chwila wybaczenia, pojednania... i nowego początku.
India zapatrzyła się w dogasające polana. Tak bardzo pragnęła, by słowa Giordana okazały się prawdą. Ale Giordano nie był w szpitalu, nie .widział kamiennego wyrazu twarzy Jacka, jego sztywnego, oficjalnego zachowania, kiedy podpisywała dokumenty.
- Jemu zależy wyłącznie na hotelu, Giordano. Próbowałam wmówić sobie, że to nieprawda, ale w głębi duszy jestem przekonana, że dla Jacka najważniejsze są interesy.
- Naprawdę tak sądzisz? - W głosie markiza zabrzmiała nuta ironii. - Uważasz, że człowiek, który w tej chwili naraża dla ciebie życie, który chce dojść sprawiedliwości, myśli tylko o interesach? - Markiz wstał, podszedł do Indii i spojrzał jej surowo w twarz. - Jesteś inteligentną, bystrą dziewczyną, aleś przy tym uparta jak sycylijski muł. Buchananowi zależy na tobie. Nie bądź ślepa, nie bądź zbyt dumna, dojrzyj wreszcie prawdę. Pamiętasz, co powiedziałem ci w Lozannie? Musisz się nauczyć patrzeć oczami duszy.
India miała już odpowiedzieć, kiedy drzwi się otworzyły i progu stanął Peter.
- Przepraszam, że wam przeszkadzam - powiedział z wahaniem, po czym wsunąwszy dłonie do kieszeni sztruksów, podszedł do kominka.

- Mów, Peter, co się dzieje. Złapali Wolfiego i... Och, to okropne, że Serena dopuściła się zbrodni. Jestem pewna, że ten niegodziwiec ją zmusił. - India szukała potwierdzenia swoich słów w oczach Petera.
- Mam bardzo złą wiadomość. - Peter odkaszlnął zakłopotany.
- Tylko nie Jack - szepnęła India. - Błagam, powiedz, że to nie Jack.
- Z Jackiem wszystko w porządku. Pewnie jest już w Dalkirku. Prawdę mówiąc, chodzi o Serenę.
- Złapali ich?
- Gorzej. Był wypadek. Jechali bardzo szybko. Gnali jak szaleńcy. - Peter znowu się zawahał. - Wolfie na zakręcie stracił panowanie nad kierownicą i uderzyli w drzewo. Oboje zginęli na miejscu - dokończył zdławionym głosem.
India patrzyła na niego w milczeniu, zapomniała
o Jacku. Zamknęła oczy. Dlaczego? Wszystko mogło przecież ułożyć się zupełnie inaczej... ale w jakimś sensie zaakceptowała śmierć siostry. Może wreszcie Serena zazna spokoju, którego nie miała za życia?
- Dziękuję, że przyjechałeś, Peter - powiedziała. -Dobry z ciebie przyjaciel.
- Po to ma się przyjaciół - mruknął i uścisnął dłoń Indii. - Pojadę już. - Zerknął na zegarek. - Di pewnie się niepokoi. Giordano, jedziesz ze mną, czy chcesz zostać? A ty, Indy? Może wszyscy pojedziemy do Dalkirku
i zjemy razem obiad? Nie powinnaś zostawać sama.
India zastanawiała się przez chwilę. Nie, nie powinna jechać. Znowu musiałaby spotkać się z Jackiem, a dla obojga było to trudne.
- Dziękuję, Peter, ale zostanę w domu. Policja może

potrzebować moich zeznań, zadzwonię też do pastora, by ustalić datę pogrzebu Sereny. Zaraz potem wyjadę do Szwajcarii. - Podniosła wzrok i spojrzała na Petera. -Jak myślisz, dlaczego to zrobili? Gdybym nie chciała sprzedać Dunbaru Jackowi, mieliby powód, ale przecież chciałam. Nie rozumiem, czym się kierowali. Chyba że Serena postanowiła dziedziczyć po mnie...
- Też tego nie rozumiem. Serena była chciwa, ale żeby aż tak? W końcu dostała za Dunbar tyle, że wystarczyłoby jej do końca życia. To do niej niepodobne. -Peter pokręcił głową ze smutkiem. - Przykro mówić, ale to szczęście, że oboje skończyli w ten sposób.
- Być może. - India zawahała się, ale uznała, że musi powiedzieć to, co cisnęło się jej na usta. - Podziękuj Jackowi za wszystko. - Odwróciła szybko wzrok.
- Oczywiście, ale dlaczego nie pojedziesz ze mną i nie zrobisz tego sama?
- Nie, Peter - powiedziała stanowczo. - Powiedzieliśmy sobie już wszystko, co było do powiedzenia.
Wzruszył bezradnie ramionami.
- Jak chcesz.
- Postępujesz bardzo nierozważnie, *cara* - przemówił markiz surowo. - Obyś nie musiała tego później żałować. Tak czy inaczej nie powinnaś zostawać sama Jedź z nami do Dalkirku.
- Proszę się nie martwić, markizie, ja będę przy niej. - Kathleen niepostrzeżenie wróciła do salonu i od dobrej chwili przysłuchiwała się rozmowie. - Jakie to wszystko straszne - zwróciła się do Petera. - Pomyśleć, biedna cio-teczka El zamordowana z zimną krwią. Serena musiała być obłąkana.
Peter zachmurzył się, po czym skinął głową.

- Pojedziemy już.
- Zaniechanie jest najgorszym wyborem. - Giordano posłał Indii pełne dezaprobaty spojrzenie i wolno ruszył ku drzwiom.
India i Kathleen stały na stopniach przed domem i patrzyły przez chwilę za Odjeżdżającym samochodem. Niebo zaciągnęło się ciężkimi chmurami, w oddali dało się słyszeć pierwszy grzmot.
- Idzie burza - mruknęła Kathleen.
- Tyle się wydarzyło, Kath - westchnęła India. - Tyle strasznych rzeczy. Jak to dobrzfi, że mam ciebie. Jesteś dla mnie prawdziwym oparciem, jedyną osobą, której mogę całkowicie ufać. - Uścisnęła serdecznie kuzynkę.
- Moje biedactwo - mruknęła Kathleen z udawanym współczuciem. - Musisz być wykończona, ale chyba powinnyśmy powiedzieć Sue, co się stało, nie sądzisz? Nie chcę, żeby dowiedziała się o śmierci Sereny od obcych.
Ruszyły do kuchni.
Jack schodził na obiad w podłym nastroju. Stracił ukochaną kobietę i został z majątkiem ziemskim, którego wcale nie chciał. Patrząc obiektywnie, musiał przyznać, że spieprzył sobie życie. Wielkie plany wobec Dunbaru rozwiały się niczym poranna mgła. Zniknęła wizja wytwornego hotelu, urządzonego starannie dobranymi antykami, gości gwarzących przy popołudniowej herbacie, bezszelestnej obsługi spełniającej każdą zachciankę i każdy kaprys.
Teraz jawił mu się inny Dunbar, naznaczony jej ręką, przesycony jej zapachem: obraz tak wyrazisty, że niemal dotykalny. Zdawałoby się, dość wyciągnąć rękę...

Fiona Hood-Stewart

351

Za późno. Na wszystko za późno.

Niebo przecięła błyskawica, potem huknął grzmot, aż zadźwięczały szyby w oknach. Ponury wieczór, dobrze oddający wisielczy nastrój Jacka.

Co teraz robi India? Peter twierdził, że przyjęła wiadomość o śmierci Sereny ze smutkiem, ale spokojnie. Przynajmniej nie jest w domu sama, ma koło siebie kuzynkę, prawda, że czasami nadopiekuńczą.

Do jadalni wszedł ponury jak chmura gradowa, a Chloe jeszcze go dobiła:

- Chryste, wyglądasz jak śmierć na chorągwi, jankesie.

Jack mruknął coś mało sympatycznego i podszedł do georgiańskiego pomocnika, żeby nałożyć sobie na talerz porcję *truite a l'amandine* i młode ziemniaki.

- Widzę, że jesteś w doskonałym humorze - wymamrotała z pełnymi ustami Chloe, wymachując groźnie nożem. - Bardzo dobrze. Zasłużyłeś sobie na podłe samopoczucie po tym wszystkim, co zrobiłeś biednej Indy. To twoja wina. Gdybyś się tak nie uparł, żeby zdobyć Dunbar, nie byłoby tych wszystkich nieszczęść.

- Chloe, zostaw Jacka w spokoju. Nie wtrącaj się w jego sprawy - napomniała ją Diana. - Jest jednym z Dunbarów, tak samo jak Indy.

Jack powstrzymał się od komentarza, który cisnął mu się na usta, i tylko strasznym wzrokiem spojrzał na Chloe, natomiast Lance uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze, dobrze. Wiem, że prawda w oczy kole -warknęła.

- Chloe! - po raz drugi ofuknęła ją Diana, po czym zwróciła się do Jacka: - Pójdziesz na pogrzeb Sereny?

- Nie wiem. Może. Nie zastanawiałem się nad tym.

- Widzisz, nie potrafi podjąć decyzji nawet w tak prostej sprawie.
- Zamknij się, Chloe - rozległo się równocześnie z kilku stron, więc z apetytem zabrała się za szpinak. Peter sięgnął po wino i przez chwilę z nabożeństwem przyglądał się butelce.
- Muszę powiedzieć, że bardzo lubię dobre montra-chet. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało, Jack.
- Zamiast je podziwiać, może nalałbyś do kieliszków, zanim skończymy rybę, kochanie - powiedziała Diana, przywołując na pomoc resztki cierpliwości.
- Oczywiście, już. - Peter z niezbyt mądrym uśmieszkiem zaczął manipulować korkociągiem.
- Indy pewnie nie może się już doczekać, kiedy wróci do domu i uwolni się od tego zamętu - zauważyła Chloe. Najwyraźniej nie zamierzała odczepić się od Jacka. - Zresztą nie ma tu już, kochane biedactwo, dachu nad głową, bo ukradłeś jej Dunbar - dodała słodkim głosikiem.
- Do cholery, nie ukradłem jej Dunbaru! - żachnął się Jack. - Zapłaciłem uczciwą cenę. - Ledwie to powiedział, uzmysłowił sobie, że w ten sposób jeszcze bardziej zagmatwał sprawę.
- Przepraszam, jeśli uraziłam twoją wrażliwą duszyczkę. A więc w końcu wymusiłeś na niej, żeby sprzedała ci to, co jej zostało po tej nieszczęsnej rozprawie? A Serena? Pewnie była zachwycona?
- Nie wiem - mruknął, wściekły, że złamał obietnicę daną Indii.
- Domyślam się, że nikomu nie miałeś nic mówić - zauważyła Chloe. - Ale cóż, powiedziałeś.
- Tę kobietę.ktoś powinien utemperować. To wszyst-

ko ze staropanieństwa. Niech wreszcie jakiś kretyn się z nią ożeni, może wtedy zaznamy spokoju.
- Kości mogą mi połamać kije i kamienie, ale na twoje słowo nigdy się nie zmienię - wesolutko zacytowała Chloe i z godnością uniosła swój zadarty nosek, po czym uśmiechnęła się do Lance'a, który wpatrywał się w nią jak zaczarowany.
Peter skończył nalewać wino i obiad dalej przebiegał już spokojnie.
Markiz z uśmiechem sięgnął po kieliszek.
- Chciałbym wznieść toast. Za sprawiedliwość i za zwycięstwo dobra nad złem. *In sumo,* wszystko dobre, co się dobrze kończy.
Wokół stołu przebiegł cichy pomruk, po czym zebrani spełnili toast.
Ciszę przerwał donośny dzwonek starego telefonu stojącego w holu.
- Mary jest na pewno jeszcze w kuchni. Mógłbyś odebrać, kochanie? - poprosiła Petera Diana.
Peter odłożył serwetkę, przeprosił i wyszedł. Wrócił po chwili blady i roztrzęsiony.
- Dzwonił konstabl. Okazuje się, że to nie był wypadek. Ktoś majstrował przy samochodzie Sereny i celowo uszkodził układ kierowniczy. Go oznacza, że...
- Ktoś chciał się ich pozbyć.
Jackowi zakręciło się w głowie. Zacisnął dłonie na krawędzi stołu.
- Kto? Komu zależało na ich śmierci? To bez sensu...
- Niezupełnie.
Wszyscy spojrzeli na bladą jak płótno twarz Diany.
- Dobry Boże - szepnął Peter. - Że też o tym wcześniej nie pomyślałem.

- Wszyscy popełniliśmy ten sam błąd - ciągnęła Diana. - Kathleen zawsze widziała się panią na Dunbarze. Świadomość, że tak mało brakowało, by stała się dziedziczką, musiała zatruwać jej spokój przez te wszystkie lata. - Zerwała się gwałtownie od stołu. - Chryste! India jest z nią sama w domu. Trzeba natychmiast tam jechać.
- Ja pojadę. - Jack ruszył ku drzwiom. - Peter, zawiadom policję i przyjeżdżaj zaraz do Dunbaru. Di, gdybym nie mógł się dostać do środka, wiesz, gdzie jest zapasowy klucz?
- W donicy z kwiatami przy bocznym wejściu, po lewej stronie. Uważaj na siebie, Jack.
Lance podniósł się i wyciągnął z kieszeni pistolet.
- Weź go, chociaż prawdę mówiąc, wolałby pojechać z tobą.
Jack pokręcił głową.
- Nie, zostań tutaj. Peter będzie tam zaraz po mnie.
- Wsunął broń do kieszeni kurtki, którą przyniosła mu Diana.
- Jedź ostrożnie - zawołała jeszcze za nim Chloe.
- Okropna pogoda. - Sue Walker z westchnieniem wrzuciła kolejny ziemniak do szkockiego barszczu, który pyrkotał na kuchence. - Pomyśleć tylko, że lady Serena zamordowała własną matkę, a teraz sama leży w kostnicy. Że też to tak. Z tych nerw aż cała chodzę.
- Wiem, pani Walker. Dla nas wszystkich było to straszne przeżycie. Nie do wyobrażenia, żeby Serena przeciw własnej matce, z tym okropnym człowiekiem...
- przyświadczyła Kathleen, licząc starannie złożone serwetki. - Pani Walker, trzech brakuje. Z serwetkami jak ze skarpetkami. Zawsze giną.

- Zginęły, to się i znajdą. Biedna panienka India. Mówi, że zaraz po pogrzebie wyjeżdża. Ma rację nasza dziewczynka. Po co niby miałaby zostawać, kiedy nas wykupił ten amerykański dżentelmen? Wprost pojąć niepodobna, żeby Dunbar w hotel miał się zamienić. - Zabrała się do obierania ostatniego ziemniaka. - Jedno dobre, że wszyscy tu zostaniemy. Panienka India powiada, że dał jej najświętsze słowo.
- O czym pani mówi, Walker?
- Nic pani nie powiedziała? - zdumiała się Sue. -Ano rozmawiała ze mną po południu i mówiła, że tylko dlatego sprzedały z lady Sereną majątek, bo obiecał, że zatrzyma całą służbę i dzierżawców nie wyrzuci. O wszystkich pomyślała, kochana dziewczyna.
Kathleen zamarła na chwilę.
- Słowem o niczym mi nie wspomniała - mruknęła wreszcie.
Sue wzruszyła ramionami i zaczęła kroić marchewkę.
- Tyle ma na głowie, biedaczka, że widać zapomniała. Powie pewnie później, wieczorem. Biedna lady Serena. Zawsze była w nerwach, aż się jej z tego wszystkiego umysł zmącił, jak słusznie pani zauważyła. Tak czy siak, jakby nie patrzył, ciągle nie mogę uwierzyć. Żeby coś podobnego... To ten łajdak ją przywiódł do złego. Zbrodnia się dokonała prawie że na naszych oczach, a człowiek ani się czego domyślił. - Sue pociągnęła nosem i zamilkła.
- Tak, to straszne - przytaknęła Kathleen machinalnie, zajęta własnymi myślami.
Dunbar sprzedany obcemu. Zdrajczynie, pomyślała mściwie. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w serwetki. Tyle lat układania przemyślnych planów, tyle lat

wyczekiwania i wszystko przekreślone jednym krótkim zdaniem. Była tak blisko celu. Tyle osiągnęła, by tego samego popołudnia dowiedzieć się, że cała koncepcja runęła. Jak to znieść? Zamknęła oczy, próbowała się opanować. Musi się trzymać. Znajdzie wyjście. Los nie może być aż tak niesprawiedliwy, nie pozbawi jej jedynego marzenia, które hołubiła w sobie, od kiedy tylko sięgała pamięcią.
Podniosła się z krzesła.
- Sprawdzę, czy okna pozamykane. Okropna pogoda. - Wzdrygnęła się na odgłos kolejnego grzmotu.
- To gdzieś blisko. - Sue spojrzała na niebo za oknem. - Wnet będzie obiad, wszystko już prawie gotowe.
- Niech pani to zostawi. Zjemy coś na zimno. Proszę się położyć, odpocząć. Musi być pani zmęczona po takim okropnym dniu. Damy sobie radę. - Kathleen uśmiechnęła się łaskawie.
- Dziękuję, lady Kathleen. Nie powiem, nóg już nie czuję. Ma pani rację, położę się. Jutro znowu trzeba zakasać rękawy, to i odpocząć się przyda.
- Otóż to. Niech pani odpocznie, pani Walker. Zajrzę do Indii, zobaczę, jak się biedaczka czuje. - Kathleen zabrała serwetki i ruszyła ku drzwiom, pochłonięta myślą o swoim przodku Fergusie. Równie mocno jak ona pragnął mieć Dunbar. On jeden potrafiłby ją zrozumieć. I tak jak on, Kathleen była gotowa pokonać wszystkie przeszkody, które stały na drodze do celu.
Jack jechał na oślep pośród szalejącej burzy, ledwie co widział przez sieczoną ulewą szybę. Prowadził go bardziej lęk o Indię niż wzrok.
Pokonanie trasy do Dunbaru, które normalnie zajmowało

kwadrans, zabrało mu pół godziny. Wreszcie, ku swojej uldze, dojrzał w strugach deszczu bramę rezydencji.
Dom był pogrążony w ciemnościach, rozświetlanych tylko przez błyskawice. Wyłączył światła w samochodzie i podjechał do bocznego wejścia. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Po omacku odszukał klucz w donicy przy drzwiach, wsunął do zamka i znalazł się w garderobie.
Wyjął pistolet z kieszeni, chwilę nasłuchiwał. Absolutna cisza, żadnego dźwięku poza odgłosami oddalającej się burzy. Ruszył ostrożnie w głąb domu. Zatrzymywał się co kilka kroków, usiłując coś dojrzeć w mroku.
Kiedy dotarł do głównego holu, usłyszał głos Kathleen. Chwilę trwało, zanim ustalił, z której strony dochodzi. Przyczaił się za drzwiami biblioteki i czekał w napięciu na odpowiedni moment.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy wysiadło światło, India wyszła z pokoju. U podnóża schodów natknęła się na Kathleen i obie ruszyły szukać świec. Nagle kuzynka pchnęła ją pod ścianę i India poczuła na szyi zimne stalowe ostrze.

- Żadna z was nigdy, choćby przez moment, nie pomyślała, co czułam, kiedy straciłam Dunbar - wysyczała Kath z nienawiścią. - Nikogo to nie obchodziło. Przez te wszystkie lata słyszałam tylko: „Kathleen, moja kochana, bądź taka dobra i podaj mi chusteczkę", „Och, jaki przeciąg. Zamknij z łaski swojej okna, moja droga". Jakbym była pieskiem, który przynosi kapcie, żeby zasłużyć sobie na resztki z pańskiego stołu i klepnięcie po łbie. Żadnej z was nie przyszło do głowy, że ograbiłyście mnie z tego, co słusznie mi się należało! - krzyczała wściekła, pełna nienawiści i goryczy. - Dunbar powinien był przypaść mojemu ojcu, a po ojcu mnie. Zabrakło trzech dni. - Zaśmiała się histerycznie. - Trzech nędznych dni, które przesądziły o moim losie. Ale wy wszyscy byliście głupcami. Ułatwialiście mi zadanie. Nawet Wolfie, niby taki szczwany. Imbecyl! Myślisz, że zależało mu na Serenie? Wcale. Myślał, że pozbędzie się nas i sam zagarnie wszystko. Wszystko, słyszysz? Zabiłby Serenę, potem ożeniłby się ze mną, na koniec mnie też by sprzątnął, bo za dużo wiem. A może miał inny plan? Najpierw zabiłby mnie, a potem ją... Co za idiota! Świetnie się

bawiłam, patrząc, jak się do mnie umizga. Myślał, że taka stara panna poleci na każdego. Nie wyprowadzałam go z błędu. To był jego pomysł, żeby usunąć Elspeth. Kiedy wspomniałam, że jest ciężko chora na serce, zaczaj ją po trochu podtruwać. No i biedne serce w końcu nie wytrzymało. W najlepszym momencie. Akurat nie było mnie w domu. - Cofnęła się o krok, chichocząc jak niezbyt rozgarnięta nastolatka. - Miała dobrą śmierć, lepszą, niż sobie zasłużyła. Musiałam jeszcze usunąć Serenę i jej żigolaka, ale to nie było trudne. Nie powinna była jeździć tym starym gratem.
India drżała. Zaraz mógł nadejść koniec. Za wszelką, cenę musiała zachować jasny umysł, nie poddawać się panice. To jej jedyna broń.
- Czujesz? - Kathleen znowu się zbliżyła i pchnęła lekko ostrze, a krople krwi zaczęły spływać po szyi Indii. - Wiesz, czyj to sztylet, Indio? Nie wiesz. Nie możesz wiedzieć. - Kathleen znowu się zaśmiała. - Powiem ci. Należał do Fergusa Dunbara, który miał dość rozumu, żeby zabić swojego kuzyna i wziąć to, czego pragnął. Ten sztylet ma szczególną moc. Raz już wyznaczył los Dunbaru, dzisiaj uczyni to znowu. Zmiesza się na nim twoja krew z krwią Roba i Dunbar będzie mój.
India modliła się, żeby choćby na sekundę coś odwróciło uwagę Kathleen, by mogła wyzwolić się, uciec. Boże, żeby nagle pojawił się Jack! Ale to przecież niemożliwe.
Stary zegar w holu zaczaj wybijać godzinę. Wsłuchiwała się w kolejne uderzenia... i nagle poczuła przypływ siły. Strach zniknął. Musi przeżyć. Musi oczyścić Dunbar ze zła. Obłąkana Kathleen przelała już dość krwi. Trzeba położyć temu kres.

Przypomniała sobie chłopca z portretu i dopiero teraz uświadomiła sobie, że to Rob Dunbar. Wzdrygnęła się, prąd przebiegł po jej ciele, obudziło się podniecenie. Czuła obecność Roba, wiedziała, że jej pomoże.
Jack domyślił się, że Kathleen musiała przyprzeć Indię do ściany. Słyszał jej płytki oddech. Znowu zaczęła mówić, teraz spokojnie, jakby prowadziła rozmowę towarzyską:
- A ty, moja droga Indio, słodki aniołeczku, pojawiłaś się tu jak zły szeląg. Kiedy Ramsey przeczytał testament, nie mogłam w pierwszej chwili uwierzyć, myślałam, że to żart. Byłam pewna, że cioteczka El zostawi Dunbar Serenie, i to jej zamierzałam się pozbyć, ale nie, ty też dostałaś swoją część. To była ostatnia kropla.
- Uszkodziłaś samochód, prawda?
- Oczywiście. - W głosie Kathleen zabrzmiała nuta dumy. - Całe lata pomagałam ojcu rozbierać i składać silniki. Z wozem Sereny nie miałam kłopotu. Pozbyłam się tych dwojga. Zostałaś jeszcze ty.
- Mylisz się. Sprzedałyśmy Dunbar Jackowi Buchananowi i teraz on jest właścicielem majątku. Nawet jeśli się mnie pozbędziesz, nie zdobędziesz Dunbaru.
Jack wstrzymał oddech. Ton głosu Indii wskazywał, że będzie walczyła, nie podda się. Chciał iść jej z pomocą, pchnąć drzwi i wybawić ją z rąk Kathleen, ale musiał czekać na odpowiednią chwilę. Położył dłoń na klamce.
- Wiem, wiem... On się w tobie kocha, dlatego chce mieć Dunbar, ale gdy ciebie już nie będzie, wyjedzie stąd i odda mi majątek pod zarząd.
Jack bezszelestnie nacisnął klamkę. Teraz. Za chwilę może być za późno.

- Dunbar jest mój - powiedział głośno, stając w holu. Kathleen obróciła się gwałtownie. W tej samej chwili
niebo rozdarł kolejny błysk i Jack dojrzał w jej dłoni złowrogi sztylet. Znowu wszystko skryły ciemności, rozległ się ogłuszający grzmot. Jack zdążył jeszcze zobaczyć, jak Kathleen rzuca się w jego stronę, potem w mroku, razem z grzmotem, rozległ się ostrzegawczy krzyk Indii. Wszystko to działo się w ułamkach sekundy. Jack został pchnięty na ścianę, wytrącono mu broń z ręki. Dał się słyszeć łoskot i jęk. Wszystko, co mógł dojrzeć w ciemnościach, to niewyraźny zarys ciała Kathleen na posadzce.
Przez chwilę stał bez ruchu; kompletnie oszołomiony. Ktoś przyszedł mu z pomocą, odepchnął, ratując życie, ale Jack nikogo poza Indią nie mógł dojrzeć. Chciał do niej podejść, najpierw jednak nachylił się nad nieruchomym ciałem i odwrócił je. Kathleen leżała na posadzce z szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi ustami. Sztylet tkwił w sercu, wysadzana kamieniami rękojeść połyskiwała w mroku niczym śmiercionośna brosza.
A potem padli sobie z Indią w ramiona, zapominając o wszystkim wokół.
Nic już nie miało znaczenia: Kathleen, Dunbar, tragiczne wypadki mijającego dnia.
- Nigdy już nie pozwolę ci odejść - szepnął Jack. - Za każdym razem, kiedy spuszczam z ciebie oko, coś ci się przydarza. Mało brakowało, a Kathleen by cię zabiła.
- Oszalała. Uwierzyła, że to sztylet, od którego zginął Rob. Pewnie pomyślisz, że i ja postradałam zmysły, ale przysięgam, że czułam cały czas jego obecność.

Jack odsunął Indię na wyciągnięcie ramienia, spojrzał jej w oczy.
- Trudno w to uwierzyć, ale powiem ci, że ktoś mnie odepchnął, kiedy rzuciła się na mnie, i wytrącił mi pistolet z ręki. Inaczej zabiłbym ją. - Jack omiótł spojrzeniem mroczny hol.
- Dzięki Bogu już po wszystkim - szepnęła India, dotykając jego policzka.
Pośród zawodzenia wiatru dał się słyszeć odgłos syren.
- Peter sprowadził policję. Powiemy im, że zdarzył się wypadek, bo jak inaczej wytłumaczyć to, co się stało?
- Bo to był wypadek. Musiała się potknąć o wystrzępiony brzeg chodnika. Serenie też się to zdarzyło tuż przed pogrzebem mamy. Upadła i potłukła się. A jednak to dziwne, Jack. Jakby ktoś czuwał nad zdarzeniami.
- Wiem. Czułem to samo.
Zapaliły się światła i dopiero teraz Jack dojrzał krew na szyi Indii.
- Chryste. - Przytuhł ją mocno, jakby się bał, że mu ucieknie, zniknie nagle.
Głośne walenie do drzwi sprowadziło go z powrotem na ziemię. Pocałował Indię w czoło i nakazał surowo:
- Nie ruszaj się. - Po czym poszedł otworzyć. Patrzyła za nim z uśmiechem. Nigdy się nie zmieni, pomyślała. I wcale nie chciała, żeby się zmieniał.
W progu stali Giordano i Peter w towarzystwie czterech policjantów.
- Nic się jej nie stało? - Markiz zacisnął dłoń na ramieniu Jacka. Można było odnieść wrażenie, że postarzał się przez kilka ostatnich godzin.
- Jest cała i zdrowa, natomiast Kathleen nie żyje.

Fiona Hood-Stewjat
363
Wbiła sobie sztylet w pierś. Musiała potknąć się o chodnik. - Jack posłał markizowi porozumiewawcze spojrzenie.
- *Non e possibile* - wykrzyknął Giordano, podchwytując w lot intencje Jacka. Policjanci stali tuż za jego plecami, to dla nich rozgrywał się ten dialog. - Taka wspaniała kobieta. *Che tragedia, Dio mio.*
- Straszny wypadek. A pan bał się, że to włamanie, sir Peter. Co za historia - odezwał się przysadzisty sierżant. - Nie chciałbym państwa męczyć, panie Buchanan, ale muszę zadać panu i pannie Moncrieff kilka pytań. - Sierżant bardzo sumiennie traktował swoje obowiązki, chociaż dobrze patrzyło mu z oczu, a w głosie brzmiała raczej nuta zaambarasowania niż służbistości. - Dobry wieczór, panno Moncrieff. Stokrotnie przepraszam, że panią niepokoję.
- Dobry wieczór, sierżancie Macintyre. Jak pan widzi, spotkało nas kolejne nieszczęście.
India ciągle nie mogła się oswoić z myślą, że dobra, serdeczna, ukochana Kathleen okazała się obłąkaną, zdolną do zbrodni kobietą.
- Może przejdziemy do biblioteki - zaproponowała, kiedy sierżant wyciągnął notes i długopis.
- Ach, te chodniki. Paskudna sprawa - westchnął sierżant, spoglądając na wystrzępiony brzeg, o który zawadziła Kathleen.
- Chodźmy, sierżancie - przynaglił policjanta markiz, odzyskując zwykłą swadę. - Łyk czegoś mocniejszego dobrze nam wszystkim zrobi.
- Bardzo chętnie. - Macintyre posłał pełne wyższości spojrzenie pozostałym policjantom, którzy cisnęli się przy drzwiach.

- Whisky? - zwrócił się do niego Jack, kiedy już wszyscy znaleźli się w pokoju.
- Na służbie nie piję, ale jestem już właściwie po godzinach, więc pozwolę sobie na kropelkę. W taki straszny wieczór...
Macintyre usadowił się na kanapie naprzeciwko Indii i markiza. Jack podał drinki, przysiadł na oparciu fotela Indii i opiekuńczym gestem położył jej dłoń na ramieniu.
- Zechce pani opowiedzieć, jak doszło do wypadku, panno Moncrieff? - poprosił sierżant.
Jack wstał i podszedł do kominka, chcąc odciągnąć uwagę sierżanta od Indii.
- Czuję się odpowiedzialny za to nieszczęście. Jakiś czas temu Kathleen obiecała mi pokazać kilka ciekawszych egzemplarzy białej broni z dunbarskiej kolekcji. Kilka dni temu powiedziała, że jeden szczególnie powinien mnie zainteresować.
- To prawda - przyświadczyła India. - Ten sztylet łączy się z historią przodka Jacka, Roba Dunbara. Dlatego wyjęła go z gabloty i przyniosła na dół.
- Co takiego szczególnego było w tym sztylecie? -zainteresował się sierżant. - Pan jest kolekcjonerem?
- Tak... Ale do rzeczy. Kiedy Kathleen zadzwoniła do Dalkirku w obawie przed rabusiami, natychmiast tu przyjechałem i we troje zlustrowaliśmy dom. Okazało się, że alarm był fałszywy. Wtedy Kathleen postanowiła pokazać mi sztylet. Kiedy go przyniosła, rozległ się grzmot, zgasło światło... i doszło do nieszczęścia.
Macintyre skrupulatnie zapisywał każde słowo.
- Zaczęło się od tego, że lady Kathleen usłyszała podejrzane hałasy i zadzwoniła do pana, sir Peter? - upewniał się sierżant.

- Ehem. W rzeczy samej - mruknął Peter. Sierżant był tak pochłonięty sporządzaniem notatek, że nie wgłębiał się w studium psychologiczne postaci. Na szczęście, bo Peter był nader nędznym łgarzem.
- Czy znalazł pan ślady włamania, przybywszy na miejsce, panie Buchanan? - kontynuował Macintyre.
- Już mówiłem, żadnych. Kiedy zadzwoniła Kathleen, bardzo się przestraszyliśmy, bo w tym domu przebywały same kobiety. To było zaraz po telefonie z policji w sprawie samochodu Sereny.
- Może chciałaby pani coś dodać, panno Moncrieff?
- Byłam w swoim pokoju i nagle Kathleen mnie zawołała - zaczęła India Opanowanym, spokojnym głosem. Jack słuchał czujnie, gotów się włączyć, gdyby zaszła potrzeba. - Była zdenerwowana i przestraszona, więc natychmiast do niej zbiegłam. Powiedziała mi, że usłyszała dziwne odgłosy, jakby ktoś próbował włamać się do domu. Postanowiłyśmy zadzwonić do Dalkirku po pomoc i zaszyłyśmy się w kuchni, ja z wałkiem, Kathleen z wa-rząchwią. Starałam się coś usłyszeć, trzask wyłamywanych okien, gmeranie w zamkach, ale docierały do mnie tylko odgłosy burzy, wiatr, deszcz, spadające gałęzie... Wreszcie przyjechał Jack, to jest pan Buchanan. Có było dalej, wie już pan z jego relacji. To straszna tragedia. - Przerwała na moment. - Jakiś czas temu moja siostra również potknęła się na tym chodniuku i potłukła. Powinnyśmy były od razu go wtedy zreperować - zakończyła ze smutkiem.
- Rzeczywiście, to straszna tragedia - przytaknął Macintyre. - Wszystkim będzie brakowało lady Kathleen. W każdą niedzielę tak pięknie grała na organach w naszym kościółku...

- Tak, straszna tragedia - powtórzył markiz. - Może powinien się pan rozejrzeć, czy jednak nie ma jakichś śladów włamania? Biedna lady Kathleen. Taka wspaniała osoba - pomrukiwał, kręcąc siwą głową.
- Moi ludzie już się tym zajęli, sir. Wszystko sprawdzą. Co za dzień, co za dzień. - Macintyre z zafrasowaną miną podrapał się po czole. - Chciałaby pani coś jeszcze dodać, panno Moncrieff?
- Nie, to już chyba wszystko. Biedna Kathleen. - India uśmiechnęła się smutno. - Wszyscy bardzo ją kochaliśmy. Pochowamy ją rażeni z mamą i Sereną. Natomiast jeśli chodzi o samochód mojej siostry... - Zmieniła temat z takim błyskiem w oku, że Jack omal nie zachłysnął się whisky. - Cóż, wydaje mi się, że wiem, jak doszło do wypadku. Wolfie uważał się za wytrawnego mechanika, choć było w tym, delikatnie mówiąc, wiele przesady. Przedwczoraj Serena skarżyła się, że wóz jest niesprawny i Wolfie próbował go zreperować, a jak widać, popsuł jeszcze bardziej.
- Tak, kochanie. - Giordano poklepał Indię po ręce. - Loewendorfowie słynęli z technicznych talentów, a dziadek Wolfiego, którego miałem przyjemność znać, był pionierem automobilizmu. Sam zbudował silnik do swojej maszyny. - Westchnął melancholijnie. - Jak widać, wnuk nie odziedziczył jego talentów. Hrabia przewraca się pewnie w grobie, że jego potomek okazał się takim imbecylem z zakresie mechaniki. Cóż począć. -Zafrasował się bardzo przekonująco. - Pan wybaczy, sierżancie, ale to dziecko musi odpocząć. Zbyt wiele nieszczęść na nią spadło. Rozumie pan zapewne.
- Naturalnie. - Sierżant Macintyre wstał. - Nie będę dłużej przeszkadzał. Resztę formalności możemy załatwić

jutro. Rano pojawi się tutaj detektyw Morrison, ale proszę się nie martwić, przedstawię mu swój raport. Dobranoc państwu.
Jack odprowadził sierżanta do drzwi, obiecując sowity datek przy najbliższej zbiórce pieniężnej na wdowy i sieroty po policjantach.
- Bardzo dobrze, chłopcze — pochwalił go markiz, kiedy Jack wrócił do biblioteki. - Nie trzeba budzić licha. Im mniej się powie, tym lepiej.
- Hm. Niezbyt to prawomyślne, ale masz rację. Wszyscy byśmy ucierpieli. Skandal odbiłby się na interesach. - Wbrew swoim słowom, Peter nie był do końca przekonany co do słuszności przyjętej taktyki. - Może teraz nam powiesz, co się właściwie stało? - zwrócił się do Jacka.
- Później. India miała ciężki dzień. Powinna odpocząć. A co do interesów, to masz rację - dodał z namysłem.
India podniosła wzrok.
- Pomyślcie, jaka by to była atrakcja turystyczna. Ile gości moglibyście przyciągnąć. - Nie potrafiła sobie odmówić odpowiedniej porcji zjadliwości. - Już widzę te foldery: „Odwiedź ociekający krwią szkocki zamek. Dwieście pięćdziesiąt lat rodzinnych mordów. Dunbar ze zbrodni słynie i zbrodni wygląda. Efekty specjalne za dodatkową opłatą. Niezapomniane wakacje z upiorami".
- *Madonna mia.* - Markiz wzniósł oczy do nieba, po czym spojrzał surowo na Indię. - Nie kłóć się z Jackiem, proszę. Powinnaś pojechać z nami do Dalkirku, *cara.* Nie możesz tu dzisiaj nocować sama.
- Nie będzie nocować sama, Giordano. Domyślam

się, że Jack zostanie dzisiaj w Dunbarze? - Peter zerknął pytająco na przyjaciela.
- Dobrze się domyślasz - przytaknął Jack z szerokim uśmiechem.
Peter odchrząknął.
- Zostawiamy was zatem. Dobranoc, staruszku. Zadzwoń do nas. Na Kinnairdów zawsze możesz liczyć.
- Obawiam się, że tu nawet dwa i pół wieku przyjaźni niewiele pomoże.
- Nie wiem. Po wydarzeniach ostatnich dni jestem gotów uwierzyć we wszystko - mruknął Peter.
- Musimy porozmawiać - oznajmiła India, kiedy po odprowadzeniu Petera i Giordana Jack wrócił do biblioteki.
W odpowiedzi wziął ją w ramiona, Jak dobrze. Zbyt dobrze. Zapomniał o Hernanie, o Dunbarze, o planie stworzenia hotelu. Czy to grzech chcieć czegoś trwałego i pewnego w tym zwariowanym świecie? Nie. Musi jednak znać prawdę. Bez tego nie będzie nic.
India odsunęła się i spojrzała Jackowi w oczy. Czekała ją trudna rozmowa, ale nie była przecież tchórzem.
- Musimy porozmawiać - powtórzyła. - Winna ci jestem kilka, wyjaśnień.
- Rozmowa nie może poczekać?
- Nie - powiedziała twardo.
- A więc zaczynajmy. - Z westchnieniem usiadł na kanapie. - Najpierw jednak wysłuchaj, co ja mam do powiedzenia
Chciała zaprotestować, ale widząc zdeterminowaną minę Jacka, niechętnie ustąpiła.
- Dobrze, mów - mruknęła.

- Nigdzie nie wyjedziesz. - Tak krótkiej przemowy jeszcze nie wygłosił, liczył jednak, że kapralski ton i jednoznaczne polecenie załatwi sprawę, a potem już nic, tylko będą się kochać.
- Zrobię to, co sama uznam za słuszne - odprawiła kaprala z kwitkiem.
Źle, pomyślał Jack i zmienił taktykę.
- To znaczy nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Wszystko przemyślałem. Twoje miejsce jest tutaj. - Cholera, też niedobrze, już wiedział.
- Gdzie jest moje miejsce, o tym decyduję ja - warknęła wściekle. Ten cholerny jankeski milioner traktował ją jak przedmiot. Indio, stań tu, stań tam...
Jeszcze gorzej, w desperacji pomyślał Jack. On, złoto-usty biznesmen, co każdego potrafi przekabacić... Cóż, nie potrafił.
- Dunbar jest ci bardzo bliski... - spróbował sentymentalnej nuty.
- Już nie. Należy do ciebie, a mnie pozostały tylko wspomnienia. Lecz ta ziemia, w swej materialnej postaci, jest mi już obca. Świetnie to rozumiesz. Co się sprzeda, to nie nasze, co się kupi, to nasze.
- Indio... - Mocarny Jack najchętniej by się rozpłakał, tak bardzo czuł się bezradny.
- Buchanan, mówiąc po kupiecku, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Niby dlaczego miałbyś je mieć? Podpisałam umowę sprzedaży i jestem tu obca. Więc nie mów, że tu jest moje miejsce. Tak mógłbyś mówić do jakiejś niezaradnej, zagubionej istoty. Zapominasz jednak, że stworzyłam La Dolce Vita, spłaciłam mój dom w Szwajcarii, mam pozycję zawodową, więc nie mów do mnie w ten sposób, bo brzmi to co najmniej

dziwnie. - Przerwała na chwilę. - A jeśli chodzi o Dunbar... No cóż, to wszystko zdarzyło się nie bez powodu. Po dwustu pięćdziesięciu latach osiądziesz na historycznych, rodowych włościach, dzięki czemu zamknie się pętla dziejów. Od tej chwili czas zacznie liczyć się od nowa, twój i mój... osobno.
- Indię wiele kosztowały te słowa, ale postawa Jacka zmroziła ją niepomiernie. Po prostu chciał ją kupić. Ochmistrzyni dunbarskiej krwi wdzięcząca się do gości w dunbarskim hotelu... Wymyślił sobie, że to napędzi klientów... Takie miało być „jej miejsce". - Nie interesuje mnie twoja^propozycja, Jack. Więcej, jest głęboko obraźliwa, choć zarazem bardzo amerykańska w stylu. Tu jednak jeszcze jest Szkocja. A ja jestem Szkotką.
Jack słuchał w osłupieniu. O czym ona mówi? - zastanawiał się gorączkowo. Czym ją obraził?
I nagle wszystko zrozumiał.
Zerwał się i w dwóch susach przypadł do Indii.
- Chryste Panie, to nie tak! - krzyknął w wielkim wzburzeniu. - Indy, kocham cię do szaleństwa... i może jestem zadufanym sukinsynem, ale myślę, że ty też mnie kochasz. Dlatego twoje miejsce jest tutaj. Oczywiście jeśli sama tak uznasz - dodał szybko, pomny poprzednich wpadek.
- Jack, ja...
Podniósł dłoń. Musiał znów być stanowczy.
- Nie. Teraz moja kolej. Do tej pory pozwalałem ci mówić, miałaś zawsze ostatnie słowo i tyle mi z tego przyszło, że jestem samotny i nieszczęśliwy. Wiem, to moja wina. Powinienem był ci powiedzieć, że chcę kupić Dunbar. Wtedy być może nie doszłoby do tych wszystkich nieszczęść. Głupio postąpiłem. Chciałem zrobić ci

niespodziankę. Chciałem, żebyś nadal czuła się związana ze swoim dziedzictwem. Lecz teraz już koniec. Sprawa zamknięta. Powinniśmy pomyśleć o naszej wspólnej przyszłości.
- Niespodzianka? Wspólna przyszłość? - India była kompletnie oszołomiona.
- Tak, wspólna przyszłość. Ale może najpierw o niespodziance... Wiem, postąpiłem jak ostatni dureń. Tamtego wieczoru w San Telmo byłaś taka smutna. Przykro mi się zrobiło, że Dunbar odziedziczyła Serena, bo wtedy byłem pewien, że tak właśnie jest. Potem, ilekroć próbowałem rozmawiać z tobą o Dunbarze, zamykałaś się w skorupie. Wtedy wymyśliłem, że poproszę cię o urządzenie wnętrz rezydencji. Żebyś nadal czuła się związana ze swoim rodzinnym gniazdem. A wspólna przyszłość? Indy, pragnę cię. Kocham cię i nie chcę znowu stracić. Chcę się z tobą ożenić. Stworzyć wspólny dom. Pragnę, żebyśmy razem wychowywali Molly i dochowali się gromady własnych dzieci. - Uśmiechnął się szeroko. - Będziesz ślicznie wyglądała w ciąży.
- W cią...
- Jeszcze nie skończyłem. Wiesz równie dobrze jak ja, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie fantazjuję, chodzę mocno po ziemi. Nie próbuję nawet zrozumieć, co się tu dzisiaj wydarzyło i jaką rolę odegrał Rob. Wiem tylko, że patrzy na nas z nieba i pragnie, żebyśmy tu razem zamieszkali. W głębi serca ty też tak uważasz. -Jack spojrzał jej prosto w oczy. - Byłem idiotą i prostakiem, kiedy chciałem zamienić Dunbar w hotel. Nie widziałem tego, co ty potrafiłaś dostrzec, to znaczy korzeni. Prawdziwego domii, którego częścią się czułaś. Teraz to widzę. I chcę, żebyśmy razem zamieszkali w Dunbarze.,

- To znaczy, że rezygnujesz z hotelu?
- Do diabla z hotelem. Nie będzie żadnego hotelu. Moja żona i moje dzieci nie będą mieszkać nad recepcją. - Roześmiał się uszczęśliwiony. - Dunbar jest dla ciebie, Indy, dla nich, dla nas. Od początku miałaś rację i trwałaś przy niej, dzięki Bogu.
Odetchnął z ulgą. Wreszcie przyznał głośno, czego pragnie w życiu.
- Nie wierzę własnym uszom. Naprawdę rezygnujesz z hotelu? Dla mnie?
- Tak.
- Ale z czego utrzymamy Dunbar? Majątek jest potwornie zadłużony...
- Znowu zaczynasz się ze mną kłócić?
- A niby dlaczego nie? - India roześmiała się. - Lubię się czasami pokłócić i tyle. - Spoważniała. - Nigdy nie wierzyłam, że zrozumiesz, czym jest przeszłość... To dziś, tylko trochę dawniej. Nie wierzyłam, że Dunbar zacznie znaczyć dla ciebie to samo, co dla mnie. A tu słyszę zupełnie niedorzeczną, choć przyznam, cudowną propozycję.
- To nie propozycja, to oświadczyny. Czy to takie niedorzeczne, że chcę się ożenić z kobietą, którą kocham? Ze chcę żyć z tobą w domu, który od niepamiętnych czasów należał do naszych przodków? Wychowywać w nim nasze dzieci? Należy im się to od nas, to będzie ich spuścizna, ich dziedzictwo. Czeka nas dobre życie, Indy. I nie mówię tylko o seksie - dodał szybko. - Powiedz coś wreszcie, na litość boską.
- Widzisz, Jack, to nie jest takie proste... Paskudnie się z tym czuję i nie wiem, czy po moich kłamstwach.

- Chodzi ci o Hernana?
- Tak. Widzisz... - Rzeczywiście czuła się paskudnie. Przecież nigdy nie kłamała, była wręcz przeczulona na tym punkcie... - Okrutnie zadrwiłam z ciebie... Mogłam narazić waszą spółkę...
Jack zaśmiał się i ujął Indię pod brodę.
- Myślisz, że byłbym tutaj, gdybym nie wiedział, że historia z Hernanem to bzdura? Broniłaś się, byłaś wściekła... rozumiem cię, naprawdę. Kłamiemy, gdy zmuszają nas do tego okoliczności... jak choćby dzisiaj z Kathleen... A z Hernanem skłamałaś, bo twój były mąż oszukał cię i masz uraz na tym tle. Mnie też uznałaś za oszusta... To całkiem zrozumiałe, że się wściekłaś.
- Naprawdę mnie rozumiesz?
Jack przygarnął ją do siebie, pocałunkiem zamknął jej usta, a potem szepnął:
- Och, to za dużo powiedziane. Trzeba wielu, wielu lat, by zrozumieć kłótiiwą, nieznośną, złośliwą, piękną, uroczą, kochaną i mądrą Indię. A ja zamierzam tego dokonać. Dlatego nigdy nie pozwolę ci odejść...
- Całkiem nieźle - mruknęła... i już nie myślała
o niczym, tylko o...
- Jesteś pewien, że chcesz ze wszystkiego zrezygnować? - India obróciła się na dywanie przed kominkiem
i wsparła na łokciu. - Z hotelu, ze swoich planów?
- Z niczego nie zrezygnuję, Indy. Osiągnę wszystko, czego pragnę. Będę miał ciebie, rodzinę, prawdziwy dom.
- Myślę o twoich interesach. Poświęcisz...
- Przestań wreszcie zadawać pytania i zrozum, że cię kocham. Niczego więc nie poświęcam, tylko odzyskuję to, co przez lata było mi zabrane.

India uśmiechnęła się.
- Giordano miał rację - szepnęła.
- Zazwyczaj ma rację. Powiedział ci, żebyś za mnie wyszła?
- Nie wprost, ale dawał do zrozumienia. Wiesz, reszta się nie liczy. Błąkanie się po całym świecie, od zlecenia do zlecenia. Przedtem wydawało mi się takie ważne, wręcz niezbędne do życia, a tu, w Dunbarze, odnajduję... spokój.
Jack skinął głową.
- Masz rację. Tu znajdziemy prawdziwy spokój. Taki, który wypływa z głębi duszy. Cholera, nie umiem mówić
o takich sprawach**.** Więc ty mi powiedz. - Uklęknął
i ujął twarz Indii w dłonie. Czekał.
Miały to być najważniejsze słowa w jej życiu. Nie wahała się, nie zadawała sobie pytań. Przepełniała ją radość. Zwlekała, chciała, żeby ta chwila trwała w nieskończoność. Żeby na zawsze zapisała się w jej pamięci.
- Chcę, żebyś to powiedziała - szepnął. India spełniła jego prośbę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Gdzie jest wujek Jack? - zagadnęła Molly, pałaszując jajka na bekonie i podkarmiając Feliksa, który cierpliwie czekał pod stołem.
- Nie widziałam go rano - odpowiedziała Diana wymijająco.
- Jack? Nocował... - Peter odłożył gazetę i zaniemówił na widok pełnej zgrozy miny Diany. - Ach, prawda. Wcześnie rano pojechał do Dunbaru, miał tam coś do załatwienia - poprawił się szybko.
- Pojechał do Indii? Fajnie - ucieszyła się Molly i spojrzała na Chloe, która w zamyśleniu popijała kawę. - Ciociu, wujek powinien ożenić się z Indią. Jak myślisz? India jest zupełnie sama i wujek jest zupełnie sam. Kiedyś się lubili, wiesz? Może pojedziemy do nich?

Chloe zastanawiała się przez moment, wreszcie na jej twarzy pojawił się chytry uśmiech.

- Świetny pomysł - przytaknęła i westchnęła z zazdrością na widok potężnych porcji pochłanianych przez Lance'a. Dlaczego niektórzy ludzie mogą się objadać zupełnie bezkarnie, gdy inni, jak ona, muszą zadowalać się filiżanką czarnej kawy? Nieważne. Znacznie bardziej zajmowało ją, co dzieje się w Dunbarze. Umierała z ciekawości, czy India i Jack wreszcie się dogadali. - Zawiozę cię do Dunbaru, Molly. Czy ktoś jeszcze ma ochotę na wycieczkę?

- Kochanie, nie wiem czy powinnaś - próbowała przystopować ją Diana. - To naprawdę nie nasza sprawa.
- A dlaczego, u diaska, miałybyśmy nie jechać? Ty zawsze potrafisz zepsuć ludziom przyjemność. Przecież nawet jeśli będą teraz...
- Dość, Chloe! - Diana stanęła w pąsach, natomiast Lance uśmiechnął się radośnie.
- Pojadę z wami. Zakładamy się?
- Sto, że robią to.
- Zgoda. Funtów czy dolarów?
- Dolarów - odpowiedziała szybko Chloe na wypadek, gdyby jednak przegrała. - Ktoś jeszcze obstawia?
- Siostro, dama tak się nie zachowuje. - Diana zerknęła na Molly. Na szczęście mała była zajęta dokarmianiem psa i nie zwracała uwagi na rozmowy dorosłych.
- Zadzwonię do Jacka, powiem mu, że jedziecie. -Peter podniósł się zza stołu.
- O nie, Peterze Kinnairdzie. Jeśli to zrobisz, więcej się do ciebie nie odezwę. Wyluzuj trochę, i nie psuj mi interesu. Chcę oskubać Lance'a na stówkę.
- Nie wiem, skąd u ciebie to wścibstwo, Chloe. -Diana z niesmakiem kręciła głową. - Szwendać się po ludziach z dzieckiem...
- I z Lance'em - podpowiedziała Chloe usłużnie. Diana uniosła dłonie.
- Poddaję się. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Peter, powiedzże coś, bo ja nie mam już siły. - Wstała i wyszła z jadalni.
Peter westchnął ciężko.
- Domyślam się, że nie wyperswaduję ci tego pomysłu.
- Nie wyperswadujesz, choćbyś nie wiem jak bardzo się starał. - Chloe uśmiechnęła się szeroko.

- Tak też myślałem. - Peter wrócił do przeglądania ostatniego numeru „Psa i konia", który przyszedł z poranną pocztą.
- Zbierajcie się - rzuciła Chloe do Molly i Lance'a. - Może być czek, ale gotówkę też przyjmuję - poinformowała narzeczonego.
- I bardzo dobrze. Nie zapomnij portfela. Pokazała mu język, a potem cała trójka ruszyła ku drzwiom.
Jack i India po odwiedzeniu kamienia, przy którym Rob wprawiał się w rycerskie rzemiosło, zapatrzeni w widnokrąg stali teraz pod dunbarskim dębem.
- To wszystko jest teraz naprawdę nasze - szepnął.
- Uhm...
- A to co? - Jack wyciągnął coś z kieszeni kurtki myśliwskiej.
- To mój wisiorek. Szukałam go wszędzie od tamtego dnia, kiedy mnie ustrzeliłeś.
- Kiedy chybiłem - poprawił ją Jack.
- Przeleżał cały ten czas w twojej kieszeni.
- Czekał na odpowiedni moment, żeby wrócić do właścicielki.
- Przestań dopatrywać się we wszystkim zrządzeń losu. To, że Rob jest twoim praprapra... kimś tam, nie daje ci licencji na fantazjowanie.
- Może nie, ale przyznasz, że czasami fantazja bardzo się przydaje. Jak wczoraj wieczorem w bibliotece: świece, ogień na kominku, miękkie poduszki...
- Jack...
Pocałował ją, zanim zdążyła skończyć zdanie. Podnieśli głowy dopiero na zbliżający się tupot. Przez trawnik

pędziła w ich stronę Molly. India pospiesznie obciągnęła sweter.
Mała zatrzymała się koło nich zadyszana.
- Skąd się tu wzięłaś, szkrabie? - zdziwił się Jack. Molly puściła mimo uszu pytanie.
- Poprosiłeś ją już, wujku?
- Słucham?
Molly spojrzała na niego, jakby miała do czynienia z umysłowym kaleką. Cóż, sama musiała załatwić sprawę. Na wujka nie ma co liczyć. Wlepiła wielkie oczy w Indię. .
- Wyjdziesz za nas? Zgódź się, proszę. Wiem, że wujek jest trochę tego... ale damy sobie z nim radę.
India nie zdawała się przekonana.
- Tak myślisz? Niebezpieczna sprawa. Załóżmy, że wyjdę za niego, a jak się okaże niewart funta kłaków, nie będę już mogła się wycofać. Małżeństwo to poważna sprawa. Sama mówisz, że jest trochę tego...
- Zobaczysz, poradzimy sobie - zapewniła Molly z powagą. - On nie jest wcale taki zły, trzeba go tylko lepiej poznać i mieć swoje sposoby. Nawet jak się złości, zawsze daje się ugłaskać, a na koniec sam przeprasza. Tak naprawdę to jest całkiem fajny - dodała z zachęcającym uśmiechem, który miał rozproszyć wątpliwości Indii.
- Hm. - India popadła w zamyślenie. Starannie rozważała kwestię małżeństwa.
Kiedy zniecierpliwiona Molly pociągnęła ją za sweter, India parsknęła śmiechem i zmierzwiła jasne włosy dziewczynki:
- Oczywiście, że za was wyjdę. Nikogo na świecie nie kocham tak bardzo jak ciebie i Jacka.

- Naprawdę? - pisnęła Molly. - Naprawimy wujka Jacka, zobaczysz...
- Hej, ja też mam chyba coś do powiedzenia -obruszył się Jack. - Może uwzględnicie moje zdanie. A poza wszystkim, naprawdę uważacie, że jestem taki okropny?
- Co, kochanie? A tak, biorę cię za męża. Molly już
o tym wie, więc dowiedz się i ty. Myślę, że jakoś z tobą wytrzymamy.
- Dziękuję. Jesteście niezwykle wspaniałomyślne.
- Wujek mówi, że będziemy mieszkać w Dunbarze.
i będę chodziła do szkoły razem z Caroline i Henny. Fajnie, prawda?
- Tak mówiłeś? - India uniosła brwi. - Musiałeś być bardzo pewny swojego. Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?
- Potem ci to wytłumaczę. W bibliotece. Teraz musimy zająć się gośćmi. - Pomachał na powitanie Chloe i Lance'owi, którzy rozsiedli się na ławce koło domu i kłócili się zawzięcie, co chwila wybuchając śmiechem. Przedmiotem sporu była bardzo poważna kwestia: czy gorący pocałunek i lubieżne męskie dłonie pod damskim sweterkiem to już jest to, czy jeszcze nie. Gra szła o stówkę.
- Cudowna przyszłość przed nami, obiecuję, Indio. - Jack objął ją czule, natomiast Molly zobaczyła Angusa i pobiegła przodem przywitać się z psem, szczęśliwa, że załatwiła sprawę i może zająć się zabawą.
Ranek był pochmurny, zanosiło się na deszcz, aż tu nagle zza chmur wyjrzało słońce, ozłacając Dunbar. Jack i India patrzyli z trwożnym zachwytem na tonący w blasku dom. Zdawało się, że wszyscy ich przodkowie, od

Williama po lady Elspeth, dają im swoje błogosławieństwo.
- Czuję, że oni wszyscy są tu z nami - szepnęła India.
- Na pewno są. - Jack sięgnął ponownie do kieszeni, - Zamknij oczy.
Po chwili wsunął jej na palec pierścionek z brylantem i ametystami, przeznaczony kiedyś dla jego praprababki Mhairie.
India spojrzała na stary klejnot.
- Jest piękny, Jack. Dziękuję.
- Nie mnie dziękuj, tylko Robowi. Był w skrzynce pod dębem, czekał ńa ciebie. Coś jeszcze chciałem ci dać. - Wyjął z kieszeni dokument, nadający jej tytuł własności. - Obiecałem ci Dunbar. Teraz jest twój, na zawsze.
- Nie, Jack, jest nasz.
- Któregoś dnia, oby tak się stało, przejmie go nasz syn, ale teraz pragnę, abyś wiedziała, że naprawdę jesteś w domu. A kiedy on się urodzi, rany wreszcie się zabliźnią i Dunbar znowu będzie jedną, niepodzielną całością.
India zaśmiała się na tę seksistowską deklarację.
- Skąd wiesz, że to nie będzie dziewczynka?
- Chłopak czy dziewucha, nie ma co o tym gadać, tylko trzeba brać się do roboty.
- Jack!
Chwycił ją w ramiona, zanim zdążyła zaprotestować. Z ławki rozległy się gwizdy i oboje ruszyli przywitać się z gośćmi.
- Niech żyje happy end! - zawołała Chloe. - Cholera, przegrałam zakład, bo to jednak nie to... ale bar

dzo się cieszę, że jesteście szczęśliwi. - Objęła serdecznie Indię.
- Ja też przyjmuję gotówkę - wtrącił Lance.
- Założę się - Chloe w szybkim tempie zamieniała się w hazardzistkę - że Peter jednak ich uprzedził. Jack, dzwonił do was dzisiaj Peter albo Diana?
- Nie, skąd. A o co chodzi?
Chloe i Lance wybuchnęli śmiechem.
- Nie przy dziecku - powiedział Lance, patrząc na zbliżającą się Molly. - A ty, mała, naucz się przegrywać. Wiesz co? Stawiam jeden do dziesięciu, że nie minie rok, jak będziemy małżeństwem.
- Nie oponuję... i wchodzę za tysiąc. Przynajmniej tego zakładu nie przerżnę. A bank trzymasz ty - roześmiała się Chloe.
- A to spryciula... Z tego wynika, że oświadczyny będę mnie kosztować dziesięć tysięcy! - zawołał Lance, szczęśliwy, jakby to jemu płacono.
- Westmoreland - powiedział Jack - bądź dobrym kumplem i dokończ tę konwersację z Chloe gdzie indziej: w ogrodzie, w altanie, w sztucznej grocie, nie wiem, gdziekolwiek.
- Masz to załatwione.' - Lance wstał i podał ramię Chloe.
Molly pobiegła przodem, otworzyła przeszklone drzwi do dębowego salonu i zatrzymała się raptownie.
- Słyszycie?
- Co, Molly?
- Nie słyszycie? Ktoś gwiżdże. Nasłuchiwali przez chwilę w milczeniu.
- Masz rację, to stara szkocka ballada „Charlie Is My Darling".

- I jakby koń pędził... Gdzie tu mógłby koń pędzić, wujku?
Tętent i wesoła melodia oddalały się, cichły powoli. Jack i India wymienili uśmiechy.
- Widać Rob uznał, że może już zostawić nas samym sobie - powiedział Jack cicho.
- Ślubowanie Williama utrzyma się w mocy - dodała India.
Wreszcie pokonali wszystkie przeszkody i powrócili do domu.